



ELENA CZUDINOVA

**MECZET
NOTRE DAME
ROK 2048**

ZASTRZEŻENIE

Książka jest w całości wytworem wyobraźni autora i służy wyłącznie rozrywce intelektualnej. Wszelkie podobieństwo postaci oraz wątków fabularnych w niej zawartych do prawdziwych osób lub sytuacji jest całkowicie przypadkowe i niezaplanowane. Poglądy i opinie prezentowane przez postaci wykreowane na użytek tej książki przynależą wyłącznie do owych fikcyjnych postaci i w żaden sposób nie reprezentują poglądów autora, wydawcy ani ich pracowników czy reprezentantów.

ELENA CZUDINOVA

**MECZET
NOTRE DAME
ROK 2048**

WYDAWNICTWO

VARSOVIA

WARSZAWA

Титул oryginalu
Мечеть Парижской Богоматери
La Mosquee Notre-Dame de Paris: annee 2048

Przekład
Aleksandra Lewandowska

Redakcja
Piotr Woszczenko
Zespół VARSOVIA

Korekta:
Bożena Hryciuk

Redakcja techniczna:
Zespół VARSOVIA

Projekt okładki:
Krzysztof Krawiec

Copyright © 2005 Editions Tatamis

Copyright for the Polish edition © 2012 by Wydawnictwo VARSOVIA.

skani opracowanie elektroniczne
lesiojot

Wydawnictwo VARSOVIA
e-mail: biuro@varsovia.biz
www.varsovia.biz

ISBN 978-83-61463-03-0

Podeszwy tenisówek niewysokiej dziewczynki uderzały gniewnie o angielski bruk.

Tak, Sonia kochała Anglię, aż do chwili, gdy skończyła dwanaście lat. Między dwunastym a trzynastym rokiem życia nie kochała już niczego i nikogo - nawet taty, który nie sprawdził się w roli czarodzieja. Płakała, krzyczała, wołała, a on mimo to nie przyszedł; nie przybiegł jej na ratunek, żeby zabrać ją z tego straszego miejsca, a tamtych ukarać.

Dawniej mógł wszystko; zasypywał jej pokój lalkami Barbie, których tak nie znosiła, kupował średniowieczną serię klocków Lego, które z kolei uwielbiała; obiecywał, że zabierze ją do Anglii na wakacje, wyciągał ją ze szkolnych tarapatów i odpędzał senne koszmary. Ale gdy zaczął się koszmar na jawie, okazało się, ku jej wielkiemu oburzeniu, że jednak nie jest wszechmogący. Trzeba było jeszcze roku, żeby wybaczyć tacie i pokochać go na nowo. Jednak, aby do tego doszło, Sonia musiała dorosnąć, i to szybko; własnymi rękami zgasła ostatnie iskierki ciepłego dziecięcego świata, w którym tata był najwspanialszy i najsilniejszy. Nie było innego sposobu, by wybaczyć Bogu ducha winnemu ojcu, który nie wiedzieć kiedy przestał być tak młody i piękny, jak kiedyś.

Dziś ojciec stał tu wśród tłumu razem z Sonią, trzymając ją za ramiona, co wymagało od niego znacznego pochylenia się w prawo. W ciągu ostatnich trzech lat Sonia prawie w ogóle nie urosła. Do dwunastego roku życia mierzyła metr czterdzieści osiem i wszystko wskazywało na to, że będzie rosnąć dalej. Wiadomo już było, że top modelką raczej nie zostanie, ale spodziewano się, że osiągnie przynajmniej metr sześćdziesiąt pięć, jak jej mama. Teraz, jako piętnastolatka, miała zaledwie metr pięćdziesiąt. Zestawy witamin we wszystkich kolorach tęczy na niewiele się zdały.

Ojciec przyglądał się, jak jego córka wspina się na palce, by chwiejąc się, dojrzeć cokolwiek zza przysłaniających jej widok pleców

rozgadanych i wesołych ludzi sukcesu, obwieszonych kamerami, aparatami fotograficznymi i czarnymi kulami mikrofonów. Nie chciała przegapić momentu, kiedy otworzą się drzwi prowadzące na szerokie schody, a nie wpuszczono jej przecież do środka.

Jakże pragnął zabrać ją daleko stąd, z tego bursztynowo-szarego, owiniętego wytwornym, zielonym aksamitem trawników, starodawnego placu. Dawniej obraz tego fragmentu miasta zdobił okładki pierwszych podręczników Soni do angielskiego. To on sam, kosztem swojego snu, uczył ją tego języka. Wprawdzie równie dobrze mógłby się tym zająć drogi korepetytor, ale przekazanie miłości do języka nie było zadaniem dla prywatnych nauczycieli. Ich kolej przychodzi dopiero wtedy, gdy trzeba systematyzować i pogłębiać wiedzę. Rzecz jasna, córka powinna znać angielski lepiej niż on sam.

Jego rodzicom pewnie nawet się nie śniło, że syn zobaczy Anglię. Tymczasem on nie ma żadnej wątpliwości - Sonia nie tylko zobaczy ten kraj, ale odwiedzi go wiele, wiele razy, a jeśli zechce, będzie w nim miała własny staroświecki dom porośnięty bluszczem - jaki tylko sobie wymarzy. Dla kogo by przecież robił to wszystko? Sam nigdy nie miał czasu, żeby nacieszyć się zdobytym majątkiem.

Na razie jednak Sonia nie przeprowadzi się do Anglii. Wątpliwe nawet, czy kiedykolwiek sama będzie pragnęła tam wyjechać. On nie ma przecież prawa zabierać jej stąd na siłę, chociaż byłoby znacznie lepiej, gdyby nie było jej tu teraz obok niego. Wolałby, żeby nie lustrowała tym przenikliwym spojrzeniem, jakim obrzucała ze swych zwężonych w lodowate szparki oczu twarze swych rodaków - zarówno Rosjan, jak i Żydów. Widok tych ostatnich był dla niego jeszcze bardziej przykry, mimo iż od dawna nie uważał ich już za braci. Teraz krewnymi byli dla niego wyłącznie nierosyjscy Żydzi, przynajmniej na razie.

Coraz częściej myślał o tym, by sprzedać interes, wziąć Sońkę i wyjechać do Izraela. Może i nie jest to najspokojniejsze miejsce na ziemi, ale tam będzie jej zdecydowanie lepiej. Za trzy lata mogłaby pójść do wojska, jak wszystkie tamtejsze dziewczęta; pewnie dobrze by jej to

zrobiło. Tylko czy w armii będą ją chcieli? Oto jest pytanie. Nie, lepiej będzie jeszcze trochę zostać, zwłaszcza, że powoli zaczyna się tu zmieniać. O czym on to... A zresztą, nieważne, liczy się tylko jedno: nie ma prawa zabierać jej stąd, z dala od tych twarzy, które miała tak dobrze zna. Ciągłe śledzi w telewizji informacje na ich temat, zamiast oglądać teledyski, jak zwykła nastolatka. Zna ich wszystkich.

Sonia rzeczywiście znała ich wszystkich, ale nigdy wcześniej, nawet w telewizji, nie widziała tyłu celebrytów zbitych w jedną tak wielką gromadę. Stłoczyli się tu razem przed chciwymi sensacji obiektywami, rozgorączkowani jak kibice po meczu.

Choćby ten deputowany o wsiowej fizjonomii, który przypędził tu na pierwszy gwizdek. Od początku kariery pokazuje w przedwyborczych klipach swoje wiejskie pochodzenie: a to przy krowach, a to z „mamusią” w staromodnym zgrzybiałym szuszenie¹ i chustce z koziej wełny. Gdy Sonia była mała, mówiło się, że okradł ponad setkę wychowanków domu dziecka. Tak naprawdę to, co zrobił, było jeszcze gorsze. Pracownicy ambasady rosyjskiej w USA przez całą noc pakowali pomoc humanitarną, by skorzystać z okazji i załadować ją na pusty samolot, którym deputowany latał sam jeden na koszt państwa. Rano jednak, tuż przed startem, polityk kazał wyrzucić pakunki wprost na płytę lotniska - potrzebował miejsca na materiały budowlane, które zakupił, aby wykończyć swoją willę za miastem. Wybuchł wtedy niezły skandal, jednak on sam wyszedł z całej sprawy bez szwanku i dalej pozostał deputowanym. „Nasze dzieci nie potrzebują zagranicznych ochłapów!” - oznajmił w telewizji, kiedy dziennikarze zarzucili go pytaniami. Teraz przyjechał obejrzeć więzienną celę, czy aby na pewno posiada wszystkie niezbędne wygody. „Niczego sobie, wszystko ładnie urządzone, prysznic nawet jest, telewizor” - oznajmił dziennikarzom, nadrabiając swoje ubogie słownictwo żywą gestykulacją.

Albo ta wysoka chuda kobieta z modnie ostrzyżonymi siwymi włosami, to akurat dziennikarka. Tylko że teraz to nie ona zadaje

1 Ros. »tarodawny ubiór żeński, rodzaj koszuli albo palta, zwężany w talii, wykonywany z płótna albo sukna (przyp. tłum.).

pytania, ale sama udziela wywiadów. Po raz setny opowiada, jak to siedziała w drewnianym wychodku, a zbuntowani żołnierze zakradli się do niej od tyłu - ciekawe jak? Czyżby z dołu na odchody? I skarżyli się - jak relacjonowała - że wcale nie chcą tu walczyć, lecz są zmuszani przez dowództwo. Ich samych to w ogóle nie ma się co obawiać, bo są dobrzy i szlachetni...

Co za chrzaniecie... weźmy na przykład takiego Kolę, który był przetrzymywany z Sonią przez tydzień w jakiejś piwnicy, za nic w świecie nie podkraadałby się pod żaden wychodek. Tak, ten chłopak nie wyglądał na żadnego bohatera; może prędzej na kumpla ze starszej klasy, przebranego w za duży wojskowy mundur. Do Soni mówił „siostrzyczko” i próbował z pamięci, bez komputera, nauczyć ją grać w „Cywilizację”, w czym nabył ogromnej wprawy, jeszcze zanim został wzięty do niewoli. „Kola, a ty serio wierzysz w Boga?” - nie wytrzymała Sonia, dowiedziawszy się, o co chodzi. „Oj, siostrzyczko, chciałbym” - Kola przebiegł palcami po łańcuszku, na którym zawieszony był krzyżyk. - W Wielkanoc chodziliśmy nocą z kolegami oglądać procesję. Piękna sprawa, wiadomo. A krzyżyk to mi ciotka na szyi zawiesiła, przed samym poborem. Mówiła, że mnie obroni. No i nie obronił, jak widzisz”. - „W takim razie, dlaczego?...” - „Dlatego, siostrzyczko, że jeśli oni tak nalegają, żebym go sam zdjął, to znaczy, że pod żadnym pozorem nie wolno go zdejmować! To znaczy, że w nim kryje się więcej sensu niż mi się wydawało, kiedy jeszcze byłem beztroskim głupcem. Ty też katapulty nie wynajdziesz, bo jeszcze nie wiesz, co to jest matematyka”. Potem Kolę...

A dziennikarka za swoje „bohaterskie” siedzenie w wychodku dostała odznaczenie... nawet jeśli nikt się tam właściwie do niej nie zakradał.

A któż to stoi obok niej?... Też dziennikarz, ale tego akurat Sonia знаła nie z telewizji. Podobny do liliputa, jak przerośnięty uczeń podstawówki - okularnik z za dużą głową. Często występuje razem z tamtymi przed kamerą.

O, jakże Sonia nienawidzi teraz kamer! Tę, co była w domu, kazała tacie wyrzucić na śmietnik, ku wielkiej uciechu wszystkich tych, którzy

nie rozumieli, że kamery niczego dobrego nie przyniosły w jej życiu. Jednak ci, którzy teraz się przed nimi puszą, są najwyraźniej innego zdania, bo ze wszystkich sił prą na szkło.

Pcha się więc do obiektywu tłusta ciota, podobna do rozdętej żaby. Inna z taką tuszą pewnie krępowałaby się w ogóle wychodzić na ulicę, ale ta wręcz przeciwnie. Sonia wiedziała skądinąd, że owa landara jest w sobie bezkrytycznie zakochana i lubi siebie taką, jaka jest: grubą, z trzema podbródkami i tłustą kasztanową grzywką zachodzącą na grube okulary z ciemnego, lichego tworzywa.

Z kolei tamten wytworny staruszek, który z gracją trzyma tłustą jejmość pod ramię, nosi szkła w cienkiej oprawie z metalu. W drugiej ręce dzierży ewidentnie już sfatygowaną, niemodną aktówkę. Twarz uczciwa i uduchowiona. Garnitur swojsko powypychany na kolanach - typowy pocziwy dziadzia, do którego wnuki biegną na wyścigi. Gdy przedstawiciele pewnej organizacji społecznej o bardzo skomplikowanej nazwie zorganizowali mu spotkanie z Sonią, zdrzemnął się podczas jej opowiadania. Nudził się. Dziś też tu jest, bo jakże mogłoby go zabraknąć.

Nareszcie! Drzwi otwierają się szeroko, po zgromadzonych przebiega szmer. Sonia nie słyszy słów, które ktoś wykrzykuje z góry, są tu zresztą zbędne. Aktorka, idącą pod rękę z eleganckim, dobrze zbudowanym przystojniakiem, promienieje. Ręką w zielonej rękawiczce rozdaje na prawo i lewo pocałunki swoich liliowych ust. Dziesiątki pocałunków. Staruszek zaczyna klaskać, po chwili dołącza do niego tłusciocha, a teraz klaszczą już wszyscy. Klaszcze liliput, klaszcze dziennikarka, klaszcze deputowany. Kamery ruszają z miejsca, mikrofony prą do przodu. Partner aktorki stara się nie pokazywać swego zadowolenia, uśmiecha się tylko nieznacznie pod szykownie przystrzyżoną brodą i podgolonym wąsem. Widać, że lubi być w centrum uwagi, w końcu sam jest kimś w rodzaju aktora.

- Tato - wyszeptła Sonia - wygrali, słyszysz, wygrali!

- Córeczko, przecież to było do przewidzenia - ojciec próbował przytulić jej twarzyczkę do swojej piersi, ale Sonia wyrwała się i spojrzała

na tłum jakby otumaniona. – Gdyby ich nie przekupili, to pozwoliliby ci zeznawać.

Aktorce najwyraźniej zrobiło się gorąco, bo schodząc po stopniach, rozpięła płaszcz. Łagodny wietrzyk bawił się jej włosami, tlenionymi na kolor skórki od cytryny (szkoda, że tylko młodzi mogą sobie pozwolić na nierzucanie się w oczy). Tak naprawdę to niezbyt wysoko ceni sobie to całe oklaskujące ją towarzystwo, chociaż za chwilę podejdzie do nich i weźmie ich w swoje filmowe objęcia. Prawdę mówiąc, te służusy, żeby nie wiadomo jak bardzo wysługiwali się owej hydrze medialnej, to i tak pozostaną dla niej istotami drugiego gatunku. Wszyscy oni są wczorajszym *homo sovieticus*, a nie, jak myślą, dumnymi wybrańcami losu, urodzonymi w kolebce wartości liberalnych. Za wolność jej towarzysza, na którego ramieniu z takim zadowoleniem się teraz opiera, też nie walczyli ot tak sobie, bezinteresownie. Musieli odpracowywać zarobione pieniądze, co prawda on z własnych im nie płacił, ale i tak on tu jest panem, a oni - zwykłymi pionkami. Wiadomo, że nawet nie ma co ich porównywać z nią, obrończynią sprawiedliwości i... miłości. Niby to tajemnica, ale i tak wszyscy wiedzą...

Jakże przyjemnie pieści ją myśl o tym, że jej ciało, choć naszpikowane botoksem, wielokrotnie przeszyte złotymi nićmi i z dziesięć razy krojone, lecz ciągle bezczelnie wędnące, rozpałiło żądze w tym pozornie cywilizowanym, ale w gruncie rzeczy ordynarnym, zachwycająco brutalnym mężczyźnie. O ile rzeczywiście tak jest... Stłumiła w sobie to nieprzyjemne uczucie podejrzliwości. To oczywiste, że jest nią zafascynowany, olśniła go przecież, wstrząsnęła nim! Takich jak ona daleko szukać w jego kraju - kraju pokornych kobiet, ukrywających pod warstwami niepraktycznych łachów wszystko, co tylko da się ukryć. A jeśli nawet cokolwiek z tego, co rosyjscy prokuratorzy próbowali przedstawić na rozprawie, jest prawdą, to i tak Rosjanie sami są sobie winni. Po co walczą z tym małym dumnym narodem, z miłującymi wolność dziećmi dzikich gór?... Czy w ogóle warto się zastanawiać nad jakimiś tam pojedynczymi przypadkami okrucieństwa, skoro historyczna wina Rosjan jest tak ogromna? Kobieta odpędziła od siebie

natrętną myśl, prawdopodobnie wstydząc się przyznać przed samą sobą, jak podnieca ją podejrzenie, że niektóre zarzuty stawiane jej wybrankowi mogłyby okazać się prawdziwe.

I tak oto miłość zwyciężyła. Z pewnością on zechce się jej dziś odwdziaczyć, w końcu tak pięknie o niego walczyła. Wyglądała zupełnie jak bohaterka własnych filmów. Nawiasem mówiąc, przy okazji nieźle się wylansowała, a ostatnio bardzo potrzebowała reklamy.

Nie - dość już, dość, koniec z niewesołymi myślami, dziś jest wspaniały dzień, dzień ich zwycięstwa!

Jeszcze chwila, a zacznie rozdawać uściski... i nagle potknęła się na schodach. Jej roztargnione, błyszczące oczy spotkały się ze spojrzeniem stojącej w tłumie ciemnowłosej dziewczynki w białej wiatrówce i ciemnoróżowym kombinezonie. Mała miała ma na oko jakieś trzynaście lat, nie więcej, i nie wyglądała na jej wielbicielek. Jej wzrok był jakiś dziwny, raczej nie chodziło jej o autograf. Oczy miała zmrużone, ale nie z powodu wady wzroku. Przeszyła aktorkę spojrzeniem dźgającym jak twarde iglice ciemnego lodu. Nagle przeszył ją zimny dreszcz. Otuliła się futrem.

Dziewczynka w bezsilnym gniewie zacisnęła pięści. Palce wpiły się w skórę dłoni - pięć palców prawej ręki i trzy palce lewej. Dwóch brakowało - odstrzelono je przed kamerami, aby ojciec - biznesmen szybciej zebrał pieniądze na okup za dziecko.

ROZDZIAŁ I

Ostatni *shopping* Zeinab

Eugène Olivier szedł po Polach Elizejskich tak szybko, jak to tylko było możliwe w swym wyjątkowo niewygodnym stroju (niestety, niczego lepszego w tej dziedzinie dotychczas nie wymyślono). Rzecz jasna, nie biegł, by niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. W rzeczywistości jednak jego krok był szybszy od biegu. W każdym razie, mało który biegacz nie zrobiłby sobie przerwy po jakichś sześciu godzinach wysiłku, j ednak osiemnastoletni Eugène Olivier potrafił w takim tempie obejść cały Paryż i to bez odpoczynków. Zdawało mu się, że dopiero co mijał Ogród Luksemburski, a tymczasem przeszedł już przez Most Inwalidów i oto już Pola Elizejskie błyszczały szybami sklepowych witryn, tu i ówdzie nieśmiało migając oknami przysłoniętych willi. Tych ostatnich nie ma jednak tam zbyt wiele. Więcej tu sklepów, takich jak ten, do którego właśnie zmierzał.

*

Zeinab wyszła na zakupy pieszo. Dzień był wyjątkowo piękny; delikatny wietrzyk gnał po Sekwanie srebrzysto-olowiane drobinki popiołu. Po obu stronach rzeki jaśniały białe pnie platanów, a złociste iskierki światła tańczyły po wszystkim, co tylko dawało im możliwość refleksu. Sylwetki budynków w oddali otulały się bursztynową mgłą. Zeinab nigdy w życiu nie słyszała słowa „impresjonizm” i, co całkiem naturalne, jako kobieta z dobrego domu nigdy się nie zetknęła z płótnami (o ile takie ocalały) czy nawet reprodukcjami tych niepotrzebnych nikomu bohomazów. Toteż owa gra złotych i

siniejących świateł, w których wczesnym wiosennym popołudniem skąpany jest Paryż, raczej nie porywała jej wyobraźni.

Z drugiej strony, gdyby piękna pogoda tego dnia w ogóle jej nie poruszała, Zeinab pojechałaby na swój *shopping* samochodem, zamiast łączyć go z przyjemnym spacerem. Zabawne słowo *shopping*, przestarzałe, dawniej używali go chyba w lingua-euro. A może w lingua-franca? Zresztą, nieważne skąd wzięło się słowo *shopping*, ważne, żeby mąż nie obciął jej przyznanych na to funduszy. W damskim dziale jednego ze sklepów na Polach Elizejskich ma być dziś pokaz mody.

Nie jest było to co prawda do końca przyzwoite, żeby sama chodziła po sklepach, ale w końcu nawet policja religijna przyryka oko na takie stosunkowo częste przypadki naruszania prawa shariatu przez bardzo bogatych krezusów i ekstremalnych biedaków. Jeśli chodzi o biedaków, to wiadomo - wszyscy mężczyźni w rodzinie pracują, podczas gdy kobieta lata po sklepach, sprawdzając, gdzie taniej dostanie kawałek baraniny. Gdyby chociażby jeden z mężczyzn zrezygnował z pracy, żeby zachować w tej sprawie konwenanse, to mogłoby się okazać, że brakuje im pieniędzy na ten kawałek mięsa. Co do bogaczy, to już bardziej śliska sprawa. Oni nie mogą się przecież usprawiedliwiać życiową koniecznością. Jednak jeśli nie można by było choć odrobinę naruszyć tych zasad, których inni muszą bezwzględnie przestrzegać, to gdzie byłaby tu przyjemność i korzyść z posiadania wpływów? Nawet policja religijna rozumie te niuanse i nie popuszcza tylko zwykłym obywatelom, nędzarzy i wysoko postawione elity zostawiając w spokoju.

Oczywiście, to nie znaczy, że można przesadzać. Zeinab, na przykład, właściwie nie poszła sama na zakupy, bo skoro zaraz kadi² Malik podjedzie po nią pod sklep, to można przecież powiedzieć, że po prostu wyszła mężowi na spotkanie. Przeszła zaledwie kawałeczek z Orsay przez Most Emiratów, a stąd na Elizejskie Pola jest już dosłownie rzut kamieniem.

Na skrzyżowaniu z ulicą Osamy ZeTnab niechętnie przepuściła bardzo młodziutką z wyglądu kobietę, która potrafiła ją łokciem.

² Kadi - sędzia muzułmański (przyp. tłum.).

Dokąd gna w taki piękny dzień ta prostaczka?! A jak brzydko idzie, skacze jak żreback! Zupełnie jak facet.

Rozmyślając tak nad mało kobiecym chodem bezczelnej dziewczyny, Zeinab nagle stanęła. Ani się obejrzała, a luksusowy sklep pojawił się tuż przed nią, jak gdyby wcale nie stał na swoim miejscu, lecz przypląnął ku niej, niczym statek po falach. W szybach sklepowych witryn odbijały się światła reflektorów, kierując uwagę na to, od czego i tak nie sposób było oderwać chciwego wzroku: na trzyczęściowe garnitury z miękkiej czarnej wełny, jasne, letnie dwuczęściowe garnitury z jedwabistego lnu, śnieżnobiałe koszule z jedwabnej popeliny i cienkiego płótna, pstrokate koszulki polo, kaszmirowe płaszcze, buty ze skórzanymi zelówkami (do których dodają idealnie dopasowane kościane łyżki), safianowe, wyszywane pantofle, spinki i szpilki do krawatów, ręcznie robione krawaty, ciężkie bransolety szwajcarskich zegarków, sygnety z pieczęciami, laski z rzeźbionymi i inkrustowanymi gałkami, słowem - na wszystko, czego tylko może sobie życzyć mężczyzna.

Oczywiście w dziale damskim niczego na wystawie nie było; przydymione szyby ledwo odbijały widok ulicy. Za to tam, w tych tajemniczych ciemnościach przypominających jaskinię Ali-Baby, kryły się prawdziwe skarby. Mimo to, w taką pogodę jak dziś, Zeinab nie spieszyła im na spotkanie tak radośnie, jak zwykle. Przed opuszczeniem sklepu w towarzystwie obładowanych pakunkami służących trzeba będzie zadzwonić z komórki po kadi Malika, a wtedy ten wesoły dzień w oka mgnieniu zniknie za szybami mercedesa. Szyby w samochodzie są oczywiście przyciemniane, można więc patrzeć, ile się chce; choćby się wszystkim zajrzało w oczy, nikt i tak nie odwzajemni spojrzenia. No dobrze, jeszcze jakieś piętnaście minut tu sobie pospaceruje, najwyżej nie zobaczy kilku modeli na pokazie.

Co za wspaniały dzień! Dziś nie drażnią jej nawet biedacy, zawodzący jak zwykle nad swoimi miskami żebraczymi. Nie drażnią nawet przenikliwe piski i głośne wrzaski bawiących się dzieci. O, krok dalej miękka pachnąca pita rozdziawia swoją białą paszczę w zwinnych rękach sprzedawcy, gotowa, by się napełnić ostrym i gorącym nadzieniem, a

zaraz potem powędrawać w ręce kupującego. Zalśnił sypki kuskus, wyskakujący z kotła wprost do papierowych torebek. Muchy chciwie krążą nad bakławą i rachatłukumem, a bywalcy ulicznych kafejek niespiesznie zapijają płonący czarny napój wodą z lodem. Jakże przyjemnie jest wiosną na Polach Elizejskich!

Tymczasem ludzie z jakiegoś powodu gromadzą się pod Łukiem Triumfalnym. Co się tam mogło ciekawego stać?

*

Omam nie potrafiwszy jakiejś otyłej kobiety, Eugène Olivier zatrzymał się gwałtownie pod neonami domu towarowego. Niedobrze, bardzo niedobrze! Przyszedł o dobre pół godziny wcześniej niż trzeba. Niby nic się takiego nie stało, dzięki temu może się przejść spacerkiem w stronę Łuku Triumfalnego, zwłaszcza, że tłoczą się tam gapie. Martwiło go jednak co innego - znowu nie potrafił dobrze skalkulować ile potrzeba mu czasu na dojście w zaplanowane miejsce. Kto przychodzi za wcześnie, może się także spóźnić. Sévazmiou zawsze i wszędzie zjawia się punktualnie co do minuty.

Ponoć kiedyś do Łuku Triumfalnego można było dojść tylko podziemnym przejściem, ale w Paryżu było wtedy o wiele więcej samochodów niż teraz. Odkąd Eugène Oliver pamiętał, plac wokół Łuku Triumfalnego był miejscem dla spacerowiczów. Coś przebudowują, czy co? Naokoło Łuku, w równych odstępach ustawiono około dziesięciu żelaznych kontenerów, przypominających duże pojemniki na śmieci. Kontener z prawej był po brzegi wypełniony kamieniami, a z niewielkiej ciężarówki właśnie wysypywano ładunek do tego po lewej.

Deptakiem sunął niespiesznie jakiś samochód. Zielony policyjny wóz z oddzielnym od kabiny boksem do przewozu aresztowanych. Eugène Olivier zaczął odczuwać niepokój, lecz natychmiast ów niewidzialny urzędnik, który od zawsze mieszkał w jego wnętrzu, zwrócił mu uwagę, by się uspokoił. Nie ma przecież powodu do niepokoju, a żadne dziwne myśli nie powinny obecnie zajmować jego umysłu. Choćby się waliło i

palilo, ma wykonać rozkaz i tyle. Tak naprawdę, to wcale nie jest ciekaw, co tu się dzieje, po prostu udaje gapia, żeby ukryć swoje zbyt wczesne przybycie.

Gdy dogonił przeciskający się przez tłum samochód, Eugène Olivier demonstracyjnie utkwiał wzrok w zakratowanych tylnych drzwiach auta. Za kratami siedział człowiek. Auto przyhamowało. Po co tu przywieźli tego biedaka? Przecież nie ma tu ani więzienia, ani sądu.

Dopiero teraz rzuciły mu się w oczy świeże plakaty rozwieszone na ścianach Łuku i na słupach ogłoszeniowych. Ostatnie, na co miał ochotę, to odszyfrowywanie tych ich obrzydliwych robaczków! Zresztą, już nie trzeba. Jakiś Arab, usadowiwszy się na ławeczce, rozwinął właśnie jeszcze jeden afisz i wygląda na to, że będzie go odczytywał gromadzie otaczających go chłopców i kobiet. To ja też udam niepiśmiennego, pomyślał Eugène Olivier, przeciskając się przez tłum.

– Naruszał regulacje prawne, do których przestrzegania sam się zobowiązał, podpisując umowę o dopuszczeniu do wykonywania zawodu – z uśmiechem czytał Arab.

– A co to znaczy panie Hussein? – dopytywała się rosła kobieta w niebieskiej parandży³. – Tak napisali, że nie wiadomo, o co chodzi.

– Ten gjaur⁴ obiecał, cioteczko Mariam, że całe zbiory winogron ze swoich upraw będzie odstawiał do przetwórnicy suszonych owoców – tłumaczył cierpliwie czytający – ale prowadził fałszywą ewidencję. A to niby mszyca zniszczyła zbiory, a to znów przymrozek był... Po prostu nie podawał całej ilości winogron. Chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego.

– Wino by robił?! A to pies jeden! – cioteczka aż klasnęła w dłonie.

– Pies!

– Pies niewierny!

– Niech no tylko poczeka, już mu tam dadzą wino!!

– Pies!!! – pokrzykiwały podrostki.

3 Długi płaszcz noszony przez kobiety muzułmańskie (przyp. tłum.)

4 Gjaur - inaczej kaflr - w wielu językach narodów islamskich słowo oznaczające niemuzułmanina, słowo o charakterze obraźliwym.

Tymczasem policjanci wyprowadzali już aresztowanego. Okazało się, że to starszy mężczyzna, choć jeszcze całkiem krzepki, sądząc po jego ogorzałej twarzy i sposobie, w jaki się poruszał. Człowiek był chudy i żyłasty. Jego żelazne mięśnie rysowały się pod spraną flanelą koszuli. Workowaty dżinsowy kombinezon, w jaki był ubrany, stał się już do białości, a szara czapeczka z daszkiem była tak wypłowiała, że już nie dawało się z niej odczytać reklamy jakichś tam dawno zakazanych zawodów sportowych. Chłop - widać na pierwszy rzut oka, nawet gdyby nie było wiadomo, że zajmuje się uprawą winorośli. Tylko dokąd oni go prowadzą, do jakiegoś idiotycznego betonowego słupa umocowanego pod sklepieniem Łuku. Jeszcze niedawno go tam nie było.

- Kiamran, hej tam, Kiamran, zaraz się zacznie! - podrostek w pstrokatej hawajskiej koszuli, najwidoczniej już czymś odurzony, zerwał się w stronę żelaznej skrzyni, po czym zaczął zagarniać kamienie, jeden, dwa, kilka kamieni wielkości jabłka. Może naprawdę myślał, że to jabłka? Takie miał białe oczy...

Podrostek lewą ręką przyciskał kamienie do piersi, a prawą wyciągał kolejne. W pewnym momencie niefortunnie się pochylił i kamień spadł mu na nogę. Jednak zamiast zakląć z bólu, chłopak delikatnie się uśmiechnął, jakby się czemuś przysłuchiwał. Ostatecznie zdążył już dać sobie z rana w żyłę.

- Dobra, starczy ci już - cioteczka w niebieskim zebrała fałdy swojej parandży, tak że powstało coś na kształt fartucha, i sama wzięła się za zbieranie kamieni.

Za nią spieszyli się już napełnić kamieniami kieszenie spodni dwaj chłopcy. Po chwili dołączył do nich grubas trzymający cygaro zębami, tak aby mieć swobodne ręce, i całkiem malutka dziewczynka z odkrytą twarzą.

Co oni, wszyscy na haju, czy jak?!

Eugène Olivier od około dwudziestu lat uważał się za żołnierza i, ściśle mówiąc, był nim. Właśnie dlatego nie bał się uczciwie powiedzieć sobie tego, co kołtuneria ubrałaby w bardziej oględne słówka - zaczął się bać.

Klucz do całej zagadki skakał mu po głowie jak piłka, która nie chce

wpaść do bramki. Tymczasem rozwiązanie było oczywiste, lecz mimo to nie chciał w nie uwierzyć. Uspokój się, mięczaku! Trzeba wziąć się w garść i szybko zrozumieć, co tu się dzieje. Ale on po prostu nie chciał tego wiedzieć.

Zeïnab zawahała się. Też miała ochotę nazbierać kamieni, ostatecznie dłonie mogłaby potem przetrzeć nawilżanymi perfumowanymi chusteczkami, jakie zawsze przy sobie nosi, ale co z paznokciami? Żal byłoby zniszczyć, dopiero co wczoraj robiła manicure takim dobrym lakierem! Tak nawiasem mówiąc, mogliby za opłatą udostępniać ludziom z wyższych sfer coś bardziej wytwornego. Przynajmniej te kamienie mogliby owijać celofanem. Mąż miał rację, zebrzą o zwiększenie socjału, narzekają, że nie ma pracy, a jak potrzeba w odpowiedniej chwili odrobinę się postarać, żeby wpadło trochę grosza, to tylko o własną rozrywkę się troszczą. Niby czemu Zeïnab miałyby albo sobie odmawiać pewnych rzeczy, albo upodabniać się do tej nędzarki w obdartej parandży?

Jednak nędzarka, która właściwie nie miała nic do roboty w tej luksusowej okolicy, tak ochoczo zaopatrywała się w kamienie, że Zeïnab nie wytrzymała. Do diabła z paznokciami, ostatecznie manicure można będzie jakoś tam poprawić w toalecie domu towarowego, a na jutro umówi się już w domu ze swoją manikiurzystką.

Policjanci już zatraskiwali specjalne kajdanki, żeby przykuć starca do słupa. Dla Eugène Obviera wszystko było już jasne. Prawda dotarła do niego, zanim jeszcze wsłuchał się w przytłumiony pomruk tłumu. Był całkiem spokojny. Nie takie rzeczy już widział w ciągu swych osiemnastu lat. Stał w odległości około trzydziestu kroków od skazańca, gdy nagle wydarzyło się coś zupełnie zaskakującego.

Mężczyzna ostro wyszarpnął się policjantowi, który wykręcał mu rękę do tyłu i wznosząc głowę ku niebu, uniósł zakutą w żelazną obręcz rękę do czoła. Powoli dotknął go końcami palców, następnie powiodł dłonią w dół, ku sercu, a stamtąd do lewego, a potem do prawego ramienia.

Starzec się przeżegnał!

To było jak sygnał do ataku. Policjanci ledwo zdążyli przykuć go do

słupa, a już ze strachem musieli uciekać.

– Bismill-a-a-ah!⁵

Kilka kamieni przeleciało obok celu. W końcu jeden z nich trafił w policzek, rozcinając skórę. Później nic już nie było widać, ludzie piszczeli, wrzeszczeli, śmiali się, kamienie leciały jak grad, zderzały się ze sobą, opadały, bombardowały asfalt jak ściana deszczu.

– Inszalla-a-ah!⁶

– Śmierć kafirowi!

– Śmierć psu!

– Śmierć winiarzowi!

– Subahnalla-a-ah!⁷

Eugène Olivier zauważył chłopczyka, nie więcej jak trzyletniego, w puszystym białym ubranku, z jasnokasztanowymi kędziorkami, który z werwą i uporem pchał się do przodu na swych jeszcze niepewnych nóżkach. On także w swych rączkach trzymał kamień.

– A ty co, rąk nie chcesz sobie pobrudzić? – zagadnął go chłopak w czarnej koszuli. Z wyglądu był nieco bardziej trzeźwy niż jego towarzysze. Pewnie to jeden z ochotników policji religijnej – pomyślał.
– Trzeba wiać, póki jeszcze można.

Furia tłumu trwała nie dłużej niż piętnaście minut i prędko ucichła. Zakrwawiona miazga ciała bezwładnie zwisała ze słupa skuta kajdanami. Kamieni wokół było po kolana. Prawdopodobnie śmierć zlitowała się nad mężczyzną na długo przedtem, nim ustał kamienny grad.

Zeïnab wycierała już dłonie pachnącą jaśminem chusteczką. Jeden paznokieć był całkiem złamany. To nic, manikiurzystka podklei go plastikową podkładką, pod lakierem nic nie będzie widać.

Eugène Olivier cichaczem wymknął się z tłumu. Jeszcze jeden obrazek z ich codziennego życia, jeden zaledwie z setek podobnych. Jeszcze jedna śmierć, jedna z tysięcy innych śmierci. Co w tym takiego niezwykłego?

5 Arab. w imię Boże.

6 Arab. skoro Bóg tego chce.

7 Arab. chwała należy do Boga.

Jak długo są we Francji winnice, będą i tajni winiarze, będzie czarny rynek. Winnic nie zlikwidują, za bardzo lubią rodzynki, dodają je chyba do wszystkich swoich dań. No, a skoro czarny rynek jest, to winiarzy i handlarzy winem będą wyłapywać i męczyć zgodnie ze wszelkimi zasadami szariatu. Tak czy inaczej, coś go zafrapowało, coś bardzo ważnego. Czyżby chodziło o ten dziwnie majestatyczny znak krzyża, ten szeroko odmierzony gest pięciu palców niczym symbolu pięciu ran Chrystusa? Czyżby jeszcze ostali się w Paryżu jacyś chrześcijanie? Przecież to już jakieś dwadzieścia lat od czasu, gdy odbyło się w mieście ostatnie nabożeństwo!

Eugène Olivier nie wierzył w Boga z powodów rodzinnych. Rodzina Léveque, od dobrych kilkudziesięciu pokoleń zamieszkująca rodową posiadłość w zacisznym Wersalu, w dawnych czasach zaliczała się do warstwy panującej. „My, rzecz jasna, jesteśmy za *złotokracją* i *cielcokracją* – zwykł mawiać słynący z niewyparzonego języka dziad Patrice, którego Eugène Olivier nigdy na oczy nie widział. – Innej władzy w republikach nie ma. Ale ostatecznie nasz «cielec» jest rasowy. Liberalowie opanowali do perfekcji kpienie z naszej pogoni za zdobywaniem zaproszeń na przyjęcia. W rzeczy samej - potrójna ochrona i elektronika jak w CIA, i po co? Tylko po to, by do sali, gdzie setka małolatów buja się w rytmach hip-hopu, nie dostał się sto pierwszy, którego nie ma na liście. A niech tam się śmieją. Cel tego wyścigu jest czysto matrymonialny. Młodzi bogacze nie będą mieszać swojej krwi z naszą, choćby byli od nas dziesięć razy bogatsi...

Głupcy! Co znaczą ich miliony wobec naszych tysięcy? Jeśli potknie się kto z naszych, setki rąk pomogą mu wstać. Tamtych z kolei tysiące nóg wdepcze głęboko w ziemię. Wespazjan był głupcem - być może pieniądze śmierdzą, ale pierwszy duży kapitał to nawet jakoś pachnie. Choć pieniądze o najwspanialszym aromacie rosną najwolniej. Tak, tylko dwie rzeczy mogą uszlachetnić pieniądze. Pierwsza to czas - pieniądze, tak jak dobre wino, muszą sobie poleżeć. Druga to tradycja - jeśli nie ma w nas tradycji, jesteśmy nikim”.

I rodzina Léveque miała swoją tradycję. Należy przyznać, że mimo iż

wśród kobiet zdarzały się zakonnice, to jednak niezbyt często. Mężczyźni też rzadko dołączali do stanu duchownego - zbyt przyziemny charakter miały ich geny. Mimo to, z pokolenia na pokolenie mężczyźni będący głową rodziny, w drogim garniturze pod komżą, w każde święta służyli do mszy w Notre Dame. Byli oni ministrantami w tej katedrze z dziada-pradziada. Przywilej ten nie był tani. Leveque'owie nigdy nie żałowali ofiar na Notre Dame, na prace konserwatorskie, akcje dobroczynne czy nowe szaty liturgiczne. To też było ich tradycją.

Prapradziad, Antoine-Philipe, był ministrantem w czasach Soboru Watykańskiego II⁸. Wtedy to, w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, wielu jego dobrych znajomych, starych i młodych, odeszło do sedewakantystów⁹, na czele których stał Monsignore Marcel de Lefebvre¹⁰. Ludzie wychowani na tradycji, nawet ci niespecjalnie

8 Sobór Watykański II, odbywający się w latach 1962-1965, został zwołany dla opracowania i ustanowienia programu „odnowienia” Kościoła rzymskokatolickiego. Sobór ogłosił m.in. faktyczną równość katolicyzmu i innych chrześcijańskich konfesji, dając w ten sposób podwaliny pod rozwój katolickiego ekumenizmu; za godne szacunku i zawierające elementy świętości i prawdy uznał religie niechrześcijańskie (buddyzm, islam, judaizm, a nawet pogaństwo); zadeklarował prawo do swobody wyznania (tym samym ograniczył dynamikę misji i głoszenia Dobrej Nowiny). Sobór sankcjonował przeprowadzenie reformy liturgicznej, która nie do poznania odmieniła liturgię katolicką. Katolicy sprzeciwiający się postanowieniom Soboru i przeprowadzanym reformom, którzy w mniejszym lub większym stopniu odłączyli się od „oficjalnego” kościoła rzymskokatolickiego, zostali nazwani tradycjonalistami lub integrystami.

9 Młody Eugène Olivier nie jest do końca zorientowany w dawnych wydarzeniach. Arcybiskup Marcel Lefebvre nigdy nie stał na czele sedewakantystów. Nazwa tego ruchu pochodzi od odrzucenia reform Soboru Watykańskiego II. Sedewakantyści uznali tron Piotrowy za pusty, to znaczy przestali uznawać panujących papieży. Oprócz tego tradycjonałści, którzy zostali potem nazwani lefebrystami, różnili się jeszcze od nich mniej konsekwentnym systemem przekonań. Chociaż ogłaszali, że współczesny papież popadł w herezję, to mimo wszystko dalej go uznawali (przyp. red).

10 Lefebvre Marcel (1905-1991) - arcybiskup katolicki, organizator i duchowy przywódca największego ruchu w katolickim tradycjonalizmie. Uczestniczył w pracach Soboru Watykańskiego II, na którym przewodził grupie przeciwników „odnawiania” Kościoła rzymskokatolickiego i nalegających na pozostawienie tradycyjnego

pobożni, nie mogli pogodzić się z uproszczeniem rytu mszy świętej, z usunięciem łaciny, ze zmianą usytuowania ołtarzy. Wielu, bardzo wielu, zdecydowało się na schizmę. Ale nie Leveque'owie, chociaż dla nich *Novus Ordo*¹¹ był znacznie większą rewolucją niż dla innych. Powód, dla którego rodzina Leveque pozostała na łonie „odnowionego” Kościoła katolickiego, był prosty, a na imię mu było Notre Dame.

Nie można było opuścić katedry, tak jak nie zostawia się w biedzie starego, bezbronnego przyjaciela. I trwając przy katedrze, Antoine-Phillipe cierpiał. Jak trudno było mu znieść pięćdziesięciminutową mszę z księdzem stojącym twarzą nie do Pana, lecz do wiernych. Cierpiał, gdy rozdawano Ciało Pańskie do rąk¹². Cierpiała cała rodzina - z zawiścią oglądając filmy z „sekiarskich” liturgii, których hojnie dostarczali im przyjaciele. „My możemy uciec od modernistów - mawiał Antoine-Philippe - ale katedra nie”.

Ostatnim ministrantem w Notre Dame był Patrice. Dziadek miał

katolickiego nauczania i tradycyjnej liturgii. Na prośbę grupy seminarzystów w 1969 r. Lefebvre założył Bractwo św. Piusa X i otworzył seminaria w Ecône (Szwajcaria), a następnie we Flavigny (Francja). Duchowni i seminarzyści, wchodzący w skład Bractwa, odmówili uznania reform liturgii i nauczania Soboru Watykańskiego II. 2 lipca 1988 r. papież Jan Paweł II ekskomunikował Lefebvre'a i jego zwolenników, choć sami lefebryści nie uznali prawomocności tej decyzji i zarzutów o schizmę i do dziś uważają się za prawowitych członków Kościoła katolickiego.

11 *Novus Ordo* (łac. Nowy ryt mszy) - oficjalna nazwa nowego rytu mszy św., wprowadzonego przez papieża Pawła VI w 1969 r. w ramach reform liturgicznych, rozpoczętych na Soborze Watykańskim II. Ryt ten został znacząco skrócony i uproszczony, zalecano sprawować ją przodem do wiernych i tyłem do „starego” ołtarza. Zamiast w języku sakralnym - łacinie - mszę zaczęto odprawiać w językach narodowych. Często odprawianiu nowej mszy św. towarzyszyły ludowe pieśni i tańce, świecka muzyka (w tym rock), co konserwatystom przypominało bardziej protestanckie nabożeństwa niż katolicką liturgię (przyp. red.).

12 Po wprowadzeniu nowego rytu mszy św. we współczesnym Kościele rzymskokatolickim szeroko rozpowszechniła się praktyka udzielania wiernym komunii św. na rękę, co wg tradycjonalistów przeczyło kanonom (zgodnie z którymi Ciało Chrystusa mógł ręką dotykać jedynie duchowny) i ogólnej tradycji Kościoła katolickiego i Cerkwi prawosławnej.

pięćdziesiąt kilka lat, kiedy wahhabici¹³ wdarli się do katedry, żeby rozbijać rzeźby i krzyże. Ksiądz, który tego dnia odprawiał mszę, szybko zrzucił w zakrystii nylonową pelerynę, udającą ornat założony na albę. Tkanina była czerwona: akurat było wspomnienie męczennika. Księdzu nie bardzo uśmiechało się samemu zostać męczennikiem, cisnął więc szaty liturgiczne w kąt, wyrwał z kołnierzyka niebieskiej koszuli białą plastikową koloratkę i pospieszył do wyjścia. Nikt go nie zatrzymywał. Całą uwagę wahhabitów skupił na sobie Patrice Leveque, który stanął im na drodze ze śmiechu wartym orężem w dłoni - tyczką zakończoną haczykiem, jakiej zwykle używano do poprawiania wysoko zawieszonych draperii. Dwóch albo trzech zdzielił po łbach, a któregoś tam jeszcze dźgnął. Obezwładnienie go zajęło im w sumie parę chwil, po czym dziadek, z gardłem poderżniętym od jednego do drugiego ucha, upadł, obryzgując krwią podnózek Matki Bożej, ponoć tej, która podawała Dzieciątku kamienną lilię. (Teraz, kiedy posągi są już od dawna porozbijane, nie sposób rozpoznać, czy rzeczywiście Dzieciątko wyciągało rączki do kwiatu Francji, czy ktoś to później zmyślił, dla ubarwienia całej historii).

Całe dzieciństwo Eugène'a Obviera upłynęło pod znakiem tego obrazu: ministrant, umierający w nierównej walce za Notre Dame, i ksiądz, w biegu wydzierający drżącymi palcami z kołnierzyka koloratkę - małą niebezpieczną opaskę, którą potem być może niezauważenie podeptał nogami - razem z własną godnością.

Eugène Olivier nie był w stanie sobie wytłumaczyć, czemu to nie żal z powodu strasznej śmierci dziadka, a jedynie wspomnienie księdza-zdrajcy sprawiało, że każda jego myśl o Bogu napełniona była zawziętym sprzeciwem. Czyżby Bóg istniał naprawdę? Chyba nie, istnieją tylko te diabły, a na nich jest tylko jeden sposób. Ręka bezwiednie natrafiła na ukrytą kieszeń, przyszytą do przebrania. To była jedyna rzecz, w którą wierzył.

13 Najbardziej skrajna i radykalna forma doktryny muzułmańskiej, która rozwinęła się w XVIII w. W obecnych czasach silnie związana z terroryzmem ogólnoswiatowym (przyp. tłum.).

*

Przyjemnie podekscytowana Zeinab zanurzyła się w końcu w chłód wielkiego sklepu, jak w ogromne akwarium z rozlewającymi się falami kojącego półmroku. Rzecz jasna, oświetlone setkami lamp pomieszczenie wydawało się ciemnawe tylko dla wchodzących tu bezpośrednio z promieniającego słońcem dnia. Puszysty dywan miękko otulał nieco zmęczone już stopy.

– Życzy sobie pani przejść na pokaz mody? – spytała uniżenie sprzedawczyni w szarofioletowym (firmowe barwy sklepu) hidżabie¹⁴. – Dopiero co się zaczęło, w sali są jeszcze dobre miejsca.

Zeinab z zadowoleniem przeszła przez rozsuwające się szklane drzwi do niewielkiej wygodnej sali, gdzie wokół wybiegu siedziało już około czterdziestu kobiet. O, jest i Assette, akurat obok niej jest wolne miejsce.

– I co, kupiłaś już całą kolekcję czy zostawiłaś mi chociaż połowę? – szepnęła przyjaciółce na ucho Zeinab, przysiadając się.

– Jak mnie poznałaś? – Assette zachichotała spod szydełkowanego ażuru. Pytanie nie mogło być na serio: młoda kobieta dobrze wiedziała, że drugiego takiego stroju w kolorze złocistego piasku nie ma nikt. Mocny jedwab, prosto z Chin; nawet w Paryżu trudno o pewne rzeczy.

Tymczasem prowadząca zapowiadała już przez mikrofon prezentację modelu „Pierwsza róża”. Na podest wybiegła bijąca po oczach równą, sztuczną opalenizną dziewczyna w pobłyskujących złotem, zakończonych nad kostką, czarnych spodniach i w odsłaniającej brzuch bluzce tego samego typu.

Narzucona na wierzch kamizelka z ciemnoczerwonego krepdeszynu, bez zapięcia, falowała, podkreślając zamaszyste ruchy modelki. Pomalowane ciemnoczerwoną szminką usta zostały wyraźnie podkreślone prawie czarną kredką, a w czarne włosy wpięta była czerwona, krepdeszynowa róża, „gubiąca” płatki w zagłębieniach loków.

– O, co za чудо! – z żalem wykrzyknęła Assette. – Ale coś takiego pasuje tylko wyraźnej brunetce!

14 Muzułmańska chusta zakrywająca włosy, uszy i szyję (przyp. tłum.).

No pewnie, gdyby Assette z tą swoją jasnoblonde czupryną nałożyła coś takiego, to mąż odszedłby od niej. Bez dwóch zdań, zaraz by jej powiedział: talak¹⁵! Trzeba będzie koniecznie kupić ten ciuch, akurat Zeïnab swoją wyrazistą urodą może sprawić przyjemność kadiemu Malikowi. A że jest trochę przy kości, to nic nie szkodzi, modelka też wcale chudziutka nie jest. Kupi się, a potem trzeba będzie się pochwalić przed Assette.

Zeïnab spojrzała na przyjaciółkę z wywyższością, jak to, nawiasem mówiąc, często już robiła. W końcu Assette jest prawowierna dopiero w pierwszym pokoleniu - pochodzi z bogatej rodziny francuskich przemysłowców, która zdążyła nawrócić się szybciej od innych. Przyjaźniły się od dzieciństwa i Zeïnab, rzecz jasna, wie o wszystkich, jak to mówią w lingua-euro, trupach w szafie, jakie skrywał dom przyjaciółki. Stara zła babka, nieżyjąca już od jakichś pięciu lat, uparcie nazywała wnuczkę Anette. I to nawet przy jej koleżankach z klasy! W tak kompromitujących sytuacjach Assette albo próbowała odwrócić uwagę dziewczynek, pokazując im swoje zabawki, albo wrzeszczała na babkę, wprawnie uchylając się od jej kuksańców. Śmiechu było co niemiara. Toteż choćby Assette na głowie stanęła, to i tak pierwsza lepsza Turczynka będzie od niej lepsza, a co dopiero kobieta z prawdziwej arabskiej rodziny. Czegoś brak tym neofitom i nigdy tego czegoś mieć nie będą. W gadaniu to oni są ach, och i ech, ale jak trzeba wziąć kamień do ręki i rzucić w kafira, to im mina zaraz rzędzie i zaczynają się wymówki.

*

Eugène Olivier, z przyzwyczajenia bezgłośnie poruszając wargami, powtórzył wszystkie instrukcje Sévazmiou. Zazwyczaj przypominał sobie całą ich treść od deski do deski co sześćdziesiąt minut, ale tym razem robił to prawie co pół godziny. Nie to, żeby bał się o coś

15 Talak - słowo-formuła rozwodu w islamie: wypowiedziane przez męża trzykrotnie na głos prawnie sankcjonuje zaistnienie rozwodu. Może być ono wypowiedziane przez telefon lub nawet wysłane SMS-em.

zapomnieć; po prostu było mu przyjemnie, gdy powtarzając, znów przywoływał w pamięci jej głos, intonację, oczy, ruch ręki z papierosem. Nieczęsto zdarza się, aby dostał polecenia tak po prostu w rozmowie z Sévazmiou. Uczucie, którego doświadczał, można byłoby nazwać miłością, ale to nie była miłość. Było to specyficzne, niedające się z niczym porównać uczucie uwielbienia, do którego człowiek jest zdolny tylko w młodości, kiedy jego dusza dojrzewa i obdarza swój ideał uwielbieniem, które nie zna wieku i płci, bezcielesnym i szalonym, bardziej bliskim śmierci niż życiu.

Błyszczący fioletowy mercedes płynnie zajechał na parking przed domem towarowym. Za kierownicą siedział sam kadi. To, że lubi prowadzić nowe samochody, było wiadomo od dawna. Ale w końcu ma też szofera, a mogłoby się przecież tak zdarzyć, że ten akurat dziś pełniłby swoje obowiązki. W takim przypadku trzeba by brać nogi za pas, nie osiagnąwszy niczego. Szofer dodatkowo jest też ochroniarzem, może wprawdzie zabijać czas, łuskając pistacje, ale może też sprawdzić jeszcze raz samochód. Paskudna byłaby to sprawa, gdyby auto nie wybuchło. Znaleźliby odciski palców i inne ślady, a potem kolejna próba byłaby znacznie trudniejsza. Nieważne zresztą, dziś ten typ jest tu sam.

Kadi nie bez trudu wywlekł swoje potężne ciało z samochodu. Wzrok Eugène Obviera stał się nagle nadzwyczaj wyraźny, jak to się już zdarzało wcześniej. Zdało mu się, że stoi tuż obok, na odległość wyciągniętej ręki, patrząc na okrągłą twarz z wakacyjną opalenizną (tydzień wcześniej kadi wrócił z Nicei], starannie utrzymaną bródkę, przyciemnione okulary w cienkiej złotej oprawie, trzydzieści dwie luksusowe porcelanowe koronki obnażone w mimowolnym uśmiechu zadowolenia. Kadi Malik uśmiechał się.

Tak, kadi Malik uśmiechał się, i to nie bez powodu. Nie minęła nawet godzina, odkąd powiedział „talak” apetycznej sztuce, z którą imam ożenił go cztery godziny temu¹⁶. Sztukę, jak by jej nie nazywać, nie na

16Wg prawa szariatmu muzułmański mężczyzna nie może zadawać się z prostytutkami, ale może w każdej chwili wziąć sobie nową żonę, choćby na jedną czy

darmo zachwalali mu przyjaciele z klubu. Żywiółowa, ruda dziewczka o niebieskich oczach i zadartym nosku, okrągła, ale jędrna, w niczym nie podobna do zwalistej biedaczki Zeinab. Tamta co prawda nie jest dużo grubsza, ale nie o masę tu chodzi. Uda, pośladki - jak trzęsąca się w dłoniach galareta, słowem, ciało meduzy. I równie pociągająca, jak to morskie stworzenie. A tamta, ach... Ile słodczy było w jej rozkosznej pupie?

Za to teraz nie żał mu tracić czasu, by wlec się za żoną do sklepu. Zeinab też musi mieć coś z życia. Żadne łąski już nie uczynią jej piękniejszą w oczach męża, ale przecież kobiety cieszą się z nowych szmatek dla nich samych. A niech ma. Rozsądny człowiek ceni spokój we własnym domu i zniża się do oznak uwagi dla żony.

Eugène Olivier zmusił się do tego, aby przerwać tę trwającą wieczność chwilę. W rzeczywistości przyglądał się kadi Malikowi nie więcej niż kilka sekund. Wystarczy, już czas! Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... stop!

Kadi Malik skrzywił się, zamykając drzwiczki samochodu. Jakaś młoda dziewczyna, sądząc po żwawych ruchach i szczupłości, której nie kryło nawet obfite ubranie, po zajrzeniu do sklepu przez szybę, upuściła koszyczek z prowiantem. Białe główki czosnku podskoczyły na jezdni. Kretynka! Co ona tu w ogóle robi z tymi swoimi zakupami? Pewnie od godziny wytrzeszcza gały na witrynę, z której i tak nigdy W życiu nic nie kupi, a rodzina tymczasem na obiad czeka!

Kilka główek poturlało się wprost pod koła samochodu. Dziewczyna podążyła za nimi. A widzisz, zbieraj teraz! Ktoś inny pewnie by specjalnie nastąpił kilka razy na to nędzne żarcie, ale kadi Malik tylko odkopnął czubkiem buta pomidor, który upadł prosto na drogę.

Kilku chłopców przystanęło ze śmiechem. Dziewczyna pospiesznie wkładała swoje zakupy z powrotem do torby.

Przyciemniane drzwi zaczęły się już otwierać, ale kadi zatrzymał się i rozdrażniony klepnął się w czoło. Że też zapomniał o komórce! Oczywiście, zostawił telefon w samochodzie! Nie chciałoby mu się

dwie godziny w celu odbycia stosunku. Potem wystarczy, by wypowiedział trzykrotnie formułę „talak”, by usankcjonować z nią natychmiastowy rozwód.

wracać, gdyby nie to, że czekał na ten telefon z Kopenhagi. Każda minuta może być warta ciężkich pieniędzy, wiadomość z giełdy to przecież nie robota, że nie ucieknie.

Fajtłapa od czosnku ze strachem odskoczyła na bok. Tak jak można się było spodziewać, telefon już dzwonił. Kadi Malik pospiesznie chwycił za aparat i wsiadł z powrotem. Mógłby, rzecz jasna, nie wsiadać, mógłby nie zamykać drzwi od środka, mógłby po prostu wyjąć z auta piszczący telefon i rozmawiać już po drodze. Oczywiście, mógłby, i taki wybór dałby szanowanemu kadi szesnastego okręgu miasta Paryża jeszcze pół godziny życia. Ale on wolał znów usadowić się na wyściełanym krokodylą skórą wygodnym fotelu, a drzwi przymknąć.

Eugène Olivier nacisnął przycisk.

Rozmówca z Kopenhagi długo nie mógł zrozumieć, dlaczego reakcją na dość ważną informację było wyłączenie telefonu. Próbował połączyć się ponownie, ale numer kadi Malika nie odpowiadał.

Zeïnab i Assette stały przy kontuarze sklepu z bielizną. Sprzedawczyni właśnie pakowała przepiękne różowe body, które wybrała Assette, w szarofioletową torebkę. Zeïnab zdecydowała się na bardziej soczysty, malinowy kolor. Jednak, o zgrozo, nie było rozmiaru 48, chyba że chciałyby białe albo niebieskie! Jak na złość, nie dałoby się chyba wymyślić mniej pasujących kolorów dla bladej brunetki, jeden lepszy od drugiego! Nie, to są po prostu kpiny! Zamówią, pewnie, spróbowałyby nie, ale ona chciała dziś! Najchętniej uszczypnęłaby ze złości tę skromniutką sprzedawczynię, a także Assette, która beztróska wypisywała czek ręką kokieteryjnie ozdobioną szmaragdzykiem.

– Wstąpimy do kawiarni, kochana? – Assette zwinęła złoty kołpaczek.

– Robią tam taką bakławę, że nie mogę obok niej przejść obojętnie.

– Czemu nie? – Zeïnab, kryjąc niechęć, postanowiła w duchu zadowolić się sokiem z granatu. Domyśl się tu teraz, czy drogiej przyjaciółeczce tak się po prostu powiedziało o tej bakławie, czy też to miała być jakaś aluzja, że nie każdemu to służy. Bakława w tym sklepie była wyjątkowo dobra, ostatecznie jeden kawałek nie zaszkodzi.

Przyjaciółki właśnie kierowały się w stronę przytulnego kącika pełnego

stolików z czerwonego drewna, kiedy szklana szyba znajdująca się wprost za ladą nagle rozsypała się z hukiem na tysiące kawałków. Oślepiający blask słońca wdarł się w półmrok sklepowego akwarium, tańcząc na dachach i ścianach domów po drugiej stronie ulicy. Błękitne niebo przesłoniła gęsta chmura czarnego dymu, a na dole odpowiedział mu tysiącem głosów widoczny z drugiego piętra tłum.

Kobiety krzyczały dookoła. Panika zapanowała wśród sprzedawczyń i klientek. Także dzieci zanosily się płaczem. Jednak wszystkie te odgłosy zagłuszył potężny dźwięk syreny alarmowej.

Syrena wyła nad pogrążonym w chaosie tłumem jak śmiertelnie ranny Lewiatan. Eugène Olivier podniósł się z asfaltu. Jak można było się wcześniej domyślić, nikt nie zauważył, że jedna osoba rzuciła się na jezdnię jeszcze zanim nastąpił wybuch.

Karetka pogotowia torowała sobie drogę przez morze gapiów. Trudno było stwierdzić, w którą stronę kierowali się ludzie - albo w strachu uciekali od miejsca wybuchu, albo podbiegali doń z ciekawością. Tak czy inaczej, i jedno, i drugie potęgowało tylko wszechobecny chaos.

Jedna z najmłodszych pracownic sklepu - sprzątaczką - ostrożnie przedzierając się przez odłamki, wyjrzała przez otwór na zewnątrz, ani trochę nie wstydząc się swojej całkiem odkrytej twarzy, której pokazywanie było dopuszczalne tylko w pomieszczeniu gdzie były same kobiety. Kto by ją teraz karał!

- Co tam, Chabrina?! - krzyknęła kobieta z plaketką administratora, nie wychylając się zza lady.

- Bombę podłożyli! - dźwięczny głosik dziewczynki kontrastował z basem syreny i szeroko niósł się po napełnionym krzykami i jękami piętrze. - Bombę podłożyli, podłożyli pod samochód, fioletowy mere, tu zaraz, na naszym parkingu! Taki luksusowy SUV, widziałam, jak parkował! Oj, nawet nie próbują wyciągać kierowcy, wóz płonie jak pochodnia, straż przyjechała, ale nawet nie gaszą! Normalnie człowieka widać za kierownicą, cały w płomieniach! Karetka też podjechała, ale lekarz tylko ręką machnął! Poszedł zobaczyć, czy rannych nie ma, do merca nawet nie podszedł! Dosłownie na środku naszego parkingu

podłożyli bombę!

Zeï nab skamieniała. Fioletowy mercedes SUV zaparkowany na parkingu sklepu! Dziesięć minut temu, kiedy akurat wchodziły z Assette do działu z bielizną, kadi Malik dzwonił, że właśnie podjeżdża. Zeï nab zrozumiała, że właśnie została wdową. Tę przejmującą, okropną pewność miała jeszcze z innego powodu. Nie wiedzieć dlaczego, całą jej istotę ogarnął płomień nie mniejszy niż trawiący w tej chwili mercedesa. Było to gwałtowne poczucie urazy, tak jakby jakiś nieznaną wróg ją oszukał, okradł, obrabował w biały dzień, a teraz śmiał się i wytykał ją palcem, strojąc głupawe miny. Niepotrzebnie kupiła kostium „Pierwsza róża”, niepotrzebnie złożyła zamówienie na ciemnoróżowe body, niepotrzebnie zapakowano jej w firmowe torebki perfumy Opium i wielokolorowe żełe do włosów. A aksamitne czółenka, a perłowa torebeczka?! Zakupy były niepotrzebne, a następnych już więcej nie będzie. Żona szwagra, podła Emine, zwykła Turczynka, która zawsze była o nią zazdrośna teraz już dopilnuje, żeby Zeï nab podporządkowała się konwenansom, i to wszystkim.

Assette nie potrafiła opanować drżenia, przypomniawszy sobie babkę Madeleine, która przez dziesięć lat, do samej śmierci, nigdy nie wyszła z domu, tylko dlatego, żeby nie musieć zakładać parandży. „Jesteście wstrętne, wstrętne we wszystkim, co robicie, gorsze jesteście niż ropuchy – dogadywała jęklwym głosem, potrząsając uparciem głową. – Jeśli macie usta zakryte materiałem, to nie powinnyście ich w ogóle otwierać! Jak to niby wygląda, wrzeszcząca bela materiału?!

Bela materiału siedząca obok Assette wrzeszczała, zachłystując się od płaczu i była w tym tak wstrętna, że jej przyjaciółka, nagle zastygła w niespodziewanym uczuciu odrazy, nie miała sił jej pomóc. Krzyk ucichł. Bela zaczęła przechylać się na bok, aż wreszcie upadła.

Zeï nab straciła przytomność.

Nikt nawet nie próbował gasić rozpalonego do białości płomienia, buchającego w górę z metalowej skorupy. Kryminalni podjadą, kiedy się już dopali. Gapie, którzy stali wraz z Eugènem Olivierem, dyskutowali o zaletach i wadach dopalającego się samochodu – choć ani jego wady,

ani zalety nie miały już żadnego znaczenia. Eugène Olivier schował pilot do wewnętrznej kieszeni i cofnął jeszcze kilka kroków dalej. Obrócił się na pięcie i odszedł. Spokojnie, jeszcze spokojniej!

Przyczepić ładunek magnezem do wysoko uniesionego podwozia SUV-a - to dopiero połowa sukcesu. O wiele łatwiej jest spowodować wybuch, niż zachować spokój i nie przyspieszyć kroku, odchodząc z miejsca zdarzenia. Eugène Olivier, z przyzwyczajenia, o którym nikt nie wiedział, wyobraził sobie, że Sévazmiou go teraz widzi. Zmuszał się, by co jakiś czas się zatrzymać, spowolnić kroku, albo odwrócić się, tak jak gdyby najzwyczajsza ciekawość przewyciężała ten tak zrozumiwały strach. Przebranie go ochroni, trzeba tylko umieć je dobrze wykorzystać.

**- UWAGA!! UWAGA!! PROSZĘ POZOSTAĆ NA MIEJSCACH!
ZAMYKAMY ULICĘ DO SKRZYŻOWANIA!**

Ale numer! W głośniku, zazwyczaj nadającym jedynie zawołania muezzina, nagle odezwał się głos policjanta. Wcześniej nigdy by im do głowy nie przyszło, żeby użyć go w ten sposób. Teraz rozstawia samochody w poprzek ulicy, a potem zaczął sprawdzać wszystkich bez wyjątku. Na szczęście, do skrzyżowania jest już niedaleko. Eugène Olivier rzucił się w jego stronę, w chwili gdy drzwi windy zaczęły się już zamykać. Teraz już biegł - gnał tak szybko, że wiatr targał niewygodnym strojem, dmuchając w rękawy jak w żagle, zadzierając podwiązany dół: w końcu nie było już sensu troszczyć się o pozory. Ciemnoskóry podrostek, zapewne jeden z ochotników pomagających policji religijnej, spróbował podstawić mu nogę - ręce miał zajęte dopiero co kupioną pitą, którą szkoda mu było wyrzucać dla jakiegoś tam przestępcy, kimkolwiek by nie był. Mimo wszystko musiał rozstać się z nadzianą czerwoną papryką i baraniną bułką, gdy Eugène Olivier w locie uderzył go w kolano. Kawałki ciasta odbiły się od jezdni, kiedy gorliwiec, skomląc z bólu, runął na ziemię. Inni ludzie natychmiast odskoczyli na chodnik, ze strachu, że biegnący ma rewolwer. Eugène Olivier oczywiście go nie miał, w przeciwieństwie do policjantów, co potwierdziło kilka wystrzałów, których niewyraźne trzaski przyłączyły się do ogłuszającego ryku syreny. Do kryjówki już niedaleko, dziesięć

minut biegu. To zupełnie wyjątkowe miejsce, służy jednorazowo jedynie w szczególnych sytuacjach. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, że przy Połach Elizejskich w ogóle jest gdzie się schować. Adres, który usłyszał dopiero dziś rano, tak wrył mu się w pamięć, jakby to był jego własny. Już jest, dwupiętrowy dom z dziewiętnastego wieku, żadna willa, zwykła stara kamienica.

Przeskakując obok marmurowych stopni drzwi frontowych, Eugène Olivier rzucił się do tylnego wejścia. Stary elektryczny dzwonek, który miał już chyba ze sto lat, wydał z siebie zadziwiająco przenikliwy dźwięk. Masywny domofon, który zapewne był w równie sędziwym wieku co dzwonek, zabrzączał prawie tak samo mocno.

– Halo?

Głupie słowo, ale nawet Arabowie go używają, więc może być. Głos był młody, należał do kobiety.

– Artos¹⁷ – kto wymyślił takie hasło, nie wypadało mówić. Któż inny tak lubił greckie słówka?

– Inoje!¹⁸ – drzwi uchyliły się, niewysoka dziewczęca figurka wyszła z półmroku, w którym oślepiające światło wpadające z zewnątrz nie pozwalało dojrzeć drewnianych krótkich i wąskich schodów.

– No, ruszaj się! – dziewczyna otworzyła drzwi na oścież i z nieskrywaną irytacją chwyciła gościa za rękę, siłą wciągając go do środka. Zasuwa ciężko opadła na miejsce.

– Chodź za mną – dziewczyna zamiast wejść po schodach, skręciła za nimi do małej oszklonej werandy, której drzwi wiodły do wewnętrznego patio. Na takich werandach przeważnie stawia się doniczki z kwiatami; tutaj, obok dopiero co napoczętej zgrzewki z wodą „Perrier”, kurzyły się stosy starych gazet.

– Ale ci serce wali – dziewczyna kopnęła niedomknięte drzwi i wyjęła butelkę ze zgrzewki. – Zdejmuj te szmaty. Chcesz pić?

– Nie chcę – niespodziewanie ochryplym głosem odpowiedział Eugène Olivier, podążając za dziewczyną na patio. Niegdyś urocze

17 Gr. chleb.

18 Gr. wino.

miejsce otoczone żywopłotem, obecnie zaś, zgodnie z muzułmańskimi zasadami, odgródzone od świata zewnętrznego głuchą betonową ścianą. Kilka kulistych i stożkowatych drzewek, nierównych i zeschniętych, dawno niestrzyżony trawnik. Eugène Olivier, nie wiedzieć czemu, starannie przyjrzał się temu smutnemu miejscu, zanim uważniej spojrzął na dziewczynę.

Dziewczyna wyglądała na szesnaście lat, miała ciemnorude włosy, lekko faliste, byle jak przycięte nożyczkami. Jej fryzura upodabniała ją do średniowiecznego pazia. Ubrana też była po chłopięcemu - spłowiełe džinsy i koszula w biało-niebieską kratkę, z zakasany do łokci rękawami i rozpiętym kołnierzykiem. Z pewnością nie przypomniwała jednak chłopaka. Jej figura, nie do końca jeszcze ukształtowana, sprawiała, że dziewczyna wydawała się nieco tęzsza, niż była w rzeczywistości.

- Rozluźnij się - dziewczyna odkręciła zakrętkę i upiła łyk wody z szyjki zielonej butelki. - To najbezpieczniejsze miejsce w całym Paryżu. Możesz zacząć ten swój striptiz.

- Nie rób sobie żartów, OK? - prychnął Eugène Olivier, z obrzydzeniem ścigając parandzę. - Nawet jeśli ty sama masz papiery w porządku, gdzie podziejesz zbędnego człowieka, kiedy zaczną przeczesać dzielnicę? Mogą tu być nawet za piętnaście minut.

- Za piętnaście minut nas już tu nie będzie - uśmiechnęła się dziewczyna. Miała malutkie wargi, lekko różowe i nawet gdy przestała się uśmiechać, cień uśmiechu pozostał w kąciakach ust. Serce Eugène Obviera biło teraz o wiele mocniej niż kilka chwil temu - kiedy w powietrzu latały odłamki szkła i wyła syrena. Cały czas przeżywał prostotę i naturalność jej gestu, kiedy maleńka dłoń pewnie schwyciła go za rękę - jego, nieznanego chłopaka - w sposób, w jaki mogłaby to zrobić może jego babka za młodych lat, ale na pewno nie jego rówieśniczki. Rzecz jasna, one też tak robiły, nie przepuszczając żadnej okazji, by udowodnić sobie, że nie są jakimiś żalonymi muzułmankami. Jednak popełniając haram¹⁹, wewnątrz siebie się spinały,

19 Haram - grzech, zakaz w islamie.

mimowolnie przypominając sobie, czym to grozi, a ich ruchy robiły się sztywne. Za to ona chwyciła go za rękę tak, jakby jej za to nic w ogóle nie groziło.

Nawet nie domyślając się, jaką burzę wywołała, dziewczyna stała przed nim, dopijając swoją musującą wesołymi bąbelkami wodę „Perrier”. Odchylona w tył szyja, wiszący na nitce na wpół oberwany biały guziczek rozpiętego kołnierza, podniesiona ręka, naciągająca sfatygowany materiał tak, że nie było żadnych wątpliwości - o staniku nie mogło być mowy.

Eugène Olivier bywał nieraz w krajach, gdzie muzułmanie jeszcze pozwalali kobietom chodzić po ulicy z odsłoniętą górną częścią twarzy. Oczy muzułmanek na długo zapadły mu w pamięć - z rzęsami pociągniętymi tuszem albo ze sztucznymi, obrysowane konturówką, z metalicznymi, brokatowymi albo jeszcze innymi cieniami na powiekach. Skromności i cnotliwości było po nich widać akurat tyle, ile miłości do prawa i porządku po recydywście, wtrąconym do izolatki otoczonej drutem kolczastym pod napięciem. Prawdę powiedziawszy, same tylko oczy sprawiały, że kobiety wyglądały bardziej wyzywająco, niż gdyby były zupełnie nagie. A od tej dziewczyny z gołą szyją, z odsłoniętymi rękami, z dziewczęcym biustem w za ciasnej koszuli, która groziła rozerwaniem, biła sama niewinność. Upiła jeszcze jeden łyk. Eugène Olivier chętnie dopiłby teraz tę wodę, chociaż tym razem już nie z powodu pragnienia.

- Hej, co jest, brudna jestem, czy co? - opróżniona butelka poszybowała w stojący nieopodal na asfalcie drewniany kosz na śmieci.
- Musimy już iść!

Eugène Olivier innym razem na pewno o wiele wcześniej domyśliłby się, że do tego miejsca powinien prowadzić albo jakiś podziemny chodnik, albo labirynt opustoszałego metra [w końcu obecnie ponad połowa linii jest nieczynna). Tym razem jednak dał się zaskoczyć. Dziewczyna podeszła do garażu, za którego drzwiami stał stary jak świat citroen i wzięła się za przesuwanie skrzyni z narzędziami, umieszczonej przy tylnej ścianie pomieszczenia.

Eugène Olivier natychmiast do niej dołączył. Skrzynia była wyjątkowo ciężka, jak gdyby narzędzia były z żeliwa.

– Jestem Eugène Olivier – powiedział, nie przestając pochyłać nad skrzynią.

– A ja Jeanne.

Eugène Olivier nigdy w życiu nie widział na własne oczy dziewczyny o imieniu Jeanne. Ojciec opowiadał, że pod koniec XX wieku to imię, najpopularniejsze w poprzednim stuleciu, prawie zupełnie zanikło. Mieszczuchy, których wtedy przybywało, zaczęli je uznawać za prostackie. Z kolei mieszkańcy wsi chcieli udawać mieszczuchów i pokazać, że ich dzieci też mogą się nazywać Renée albo Leonie. Już wtedy było widać, że źle się dzieje we Francji, skoro dziewczynkom przestali już nadawać na imię Jeanne, mawiał ojciec. „Gdyby się nam urodziła córeczka, to od razu byśmy ją tak nazwali. Jak na złość, siostry nie masz ani jednej”.

– Masz bardzo rzadkie imię – powiedział Eugène Olivier.

Popatrzyli na siebie i roześmiali się, prawie zderzając się czołami nad grubą deską. Skrzynka nagle odjechała na bok, zupełnie jakby była na płozach. Nawiasem mówiąc, tak właśnie było.

Schody, umiejscowione w zamaskowanym włazie, w ogóle nie przypominały zwyczajnych drewnianych schodów spotykanych w paryskich domach. Zespawane z lekkiego metalu, z pewnością nie porażały jakąś przedpotopową wytwornością. Zwykłe schody, a mimo to skrywały czyjąś myśl, która już dawno rozplynęła się w powietrzu, dziś już niezrozumiałą i nikomu niepotrzebną. Po co ktoś dołożył te symetryczne dziurki w przykręconych do stalowej osi kwadracikach stopni, po co te raz rozszerzające się, a raz zwężające się poręcze?

Jeanne i Eugène Olivier stali wewnątrz metalowego sześcianu, oświetconego rażącym światłem luminescencyjnej lampy. Po dotknięciu lamperii stalowe deski rozeszły się na boki, jak w windzie. Ich oczom ukazał się niewielki otwór - kolejne rozsuwane drzwi. Za nimi znajdował się długi, kręty korytarz.

Nie, ta podziemna kryjówka nie była podobna ani do sieci

kanalizacyjnej, ani do nieczynnej nitki metra, wilgotnej, ciemnej i pełnej szcurów. Jeszcze mniej przypominała ona podziemne przejście z dawnych wieków (ostatecznie takich jest sporo pod Paryżem), przejście prowadzące do krypty, kamiennego lochu czy ossuarium²⁰. Równa podłoga z ceramicznych płytek, równe betonowe ściany pomalowane szarą olejną farbą. Rząd dających mdłe światło żarówek na suficie oświetlał grzbiet tego krętego korytarza. Metalowe drzwi były precyzyjnie umocowane w potężnej futrynie.

– Nigdy nie byłeś w takich miejscach jak to? – w głosie Jeanne słychać było pełną wyższości chętność, rzec by można, że to ona sama urządziła tę podziemną budowlę, a co najmniej zarządzała nią od trzech pokoleń. – Szykownie tu, co?

– Aż za bardzo – Eugène Olivier, ku niewątpliwemu zadowoleniu Jeanne, nie zdołał ukryć podziwu. – Co to właściwie jest?

– Bunkier. Potwornie stary, ma już prawie sto lat.

– Z czasów drugiej wojny światowej? Wybudowany za Hitlera?

– Eugène Olivier nie miał nic przeciwko temu, by od czasu do czasu popisać się swoją wiedzą historyczną.

– Nie, nie, powstał prawie dwadzieścia lat później.

– Jakich bomb się wtedy obawiali? – Najwidoczniej akurat przy Jeanne nie trzeba było się spieszyć z demonstracją wiedzy historycznej. Teraz było mu jeszcze bardziej głupio wyjść na laika.

– Żadnych – Jeanne szła w przód, a jej chód, energiczny i nieco bezładny sprawiał, że wyglądała na jeszcze młodszą, niż w istocie była – po prostu wszyscy się wtedy bali wojny nuklearnej. Budowano wtedy wiele takich schronów na wszelki wypadek. Można tu wejść z kilku różnych miejsc, na pewno właściciele wszystkich mieszkań kamienicy się o to postarali.

Korytarzyk urywał się na jeszcze jednych metalowych drzwiach. Były inne, w kształcie owalu, co teoretycznie miało spełniać funkcję dekoracyjną. Przed drzwiami stała na taborecie biała plastikowa miska z wodą.

20 Ossuarium (łac. *os, ossis* - kość) - kostnica.

– A woda po co?

– Nie wiem, może tu rybki trzymają? – własny dziecinny żart, sądząc po cichutkim chichocie, wydał się Jeanne niezwykle inteligentny. – Dobra, idziemy do pozostałych – dodała już poważniej.

– Jakos nie wypada nie wejść, skoro już tu jesteśmy.

Drzwi były najwidoczniej całkowicie dźwiękoszczelne: ledwo się otworzyły, rozległ się stłumiony szum co najmniej kilkudziesięciu głosów. Ogromny pokój, z jakiegoś powodu zastawiony dwoma rzędami krzesel i ławek, był pełen ludzi. Niektórzy siedzieli zatopieni w lekturze, inni, stłoczeni w malutkich grupkach, cicho rozmawiali. Wysoki starzec, ze staromodnie zebranymi do tyłu siwiuteńkimi włosami, podobny do jakiegoś osiemnastowiecznego wielmoży, przyjaźnie skinął Jeanne i jej towarzyszowi. Ogólnie było tu sporo starszych ludzi. Ku wielkiemu zdumieniu Eugène'a Obviera oprócz dorosłych były tu także dzieci, nawet całkiem malutkie, niektóre nie miały nawet roczku. Dzieci zachowywały się zadziwiająco cicho, w czym w ogóle nie przypominały maluchów z muzułmańskich ulic. Około trzyletni chłopiec, który siedział na podłodze, z powagą zajmował się najzwyklejszą zabawką: czymś w rodzaju nanizanych na sznureczek turkusowych koralików różnej wielkości. Ubiór wszystkich kobiet, co do jednej, ukazywał aurat²¹ - żadne tam sweterki pod szyję. Starsze kobiety miały na sobie bluzki z wykładanymi kołnierzykami, młodsze - kowbojki i koszulki sportowe.

Z drugiej strony pokoju otworzyły się jeszcze jedne drzwi, bardzo małe. Stał za nimi człowiek, na widok którego Eugène Olivier zaczął podejrzewać, że i Jeanne, i to dziwne luksusowe podziemie z czasów zimnej wojny, i wszystko inne po prostu mu się przyśniło.

Człowiek, który się pojawił, był księdzem, jednak nie podobnym do tych, których Eugène Olivier widział na ocalałych fotografiach ostatnich dni chrześcijańskiej Notre Dame. Wydawało się, że za żelaznymi

21 Aurat - części ciała, których kobietom nie wolno pokazywać - nogi powyżej kostek, ręce powyżej nadgarstków, włosy, itp.

drzwiami znajdowała się epoka Piusa X²². Sztywne poły czarnej sutanny niemalże sunęły po podłodze i można było policzyć, że maleńkich, obciągniętych materiałem guzików było na niej równo 33, ani jednego mniej. Wysoki, jasnowłosy duchowny był raczej młody, chociaż zastygły, wręcz lodowaty wyraz twarzy silnie go postarzał.

– Mszy dziś nic będzie – rozległ się w ciszy, która zapadła po jego wejściu, dźwięczny i surowy głos duchownego.

– Nasz dostawca wina wpadł w ręce muzułmanów. Świeć Panie nad jego duszą.

22 Pius X (Giuseppe Melchior Capto, 1835-1914) - papież (1903-1914). Urodził się w rodzinie prostego służącego. Po ukończeniu seminarium w Padwie w 1857 r. został wyświęcony na księdza. W ciągu 17 lat służył na różnych parafiach, od 1875 r. był sekretarzem diecezji i dyrektorem seminarium w Treviso. W 1884 r. wyświęcony na biskupa Mantui, od 1893 r. - kardynał, patriarcha Wenecji. Po wyborze na stolicę Piotrową Pius X surowo tępił rozpowszechniony wśród katolickich teologów modernizm (kierunek, zgodnie z którym nauczanie i obrzędy Kościoła należy dopasować do potrzeb współczesnego człowieka), który uznawał za „największą herezję XX wieku”. Kanonizowany przez Kościół rzymskokatolicki w 1954 r.

ROZDZIAŁ II

Valérie

Biedny monsieur Simoulin! – stara kobieta w tonującej siwiznę liliowej bluzce zachowała spokojny głos, ale Eugène Olivier zauważył, że jej suchawym ciałem wstrząsał dreszcz.

– Rozmawiałem z nim przedwczoraj przez telefon – powiedział miękko starzec o długich włosach – dobrze wiedział, że lepiej byłoby poczekać ze dwa tygodnie, ale bardzo zależało mu na tym, aby odbyło się dzisiejsze święto. Wiedział przecież, że nie ma już wina, w czasie ostatniej mszy zużyliśmy ostatnią ampułkę. Dzisiaj byłyby czerwone ornaty, w końcu apostoł Jan przyjął wieniec męczeństwa²³. Dobrze, że szaty są czerwone; do dzisiejszego święta dojdzie wspomnienie o kolejnym męczenniku.

– A ja myślałem, że to spekulant z szarej strefy – łamiącym się głosem szepnął Jeanne Eugène Olivier.

– Myślałeś... – Jeanne zacisnęła ręce. – Ty... widziałeś? Widziałeś coś?

– Godzinę temu.

Inni mężczyźni też coś mówili, niektóre kobiety płakały. Ale kapłan, nie dodając już nic więcej do swoich słów, odwrócił się i poszedł w kierunku tylnej ściany pomieszczenia. Jak to możliwe, że Eugène Oliver wcześniej nie zauważył na niej krzyża z wizerunkiem Ukrzyżowanego? Nakryte białą tkaniną podwyższenie sięgające do piersi - to pewnie

23 6 maja - święto św. Jana Apostoła. Schwytyany na polecenie Domicjana apostoł Jan został ponoć wrzucony do wrzącego oleju, a mimo to nic mu się nie stało. Następnie został zesłany na wyspę Patmos, gdzie dokończył życia. Apostoła schwymano przed wrotami Rzymu, nazwanymi Łacińskimi, stąd też nazwa święta. Pisze o tym św. Hieronim, powołując się na świadectwo Tertuliana.

ołtarz. Książd opadł na kolana. Zapanowało milczenie.

Słysząc było jedynie szelest malutkich książeczek z tasiemkowymi zakładkami; w każdej było po kilkanaście wstążeczek w najrozmaitszych kolorach.

Cisza dała Eugène'owi Olivierowi wyczekiwaną sposobność, żeby choć trochę zebrać myśli. Skąd wziął się tu książd? Skoro jest książd, to również powinien być i biskup, a jeśli jest biskup, to także powinien być i papież. Ale papieża dawno nie było, zrzekł się tronu św. Piotra jeszcze w 2031 roku. Poganie już dawno zrównali Watykan z ziemią i urządzili tam miejskie wysypisko na śmieci z całego Rzymu²⁴.

Malutki chłopczyk dalej przebierał swoimi koralikami, ale czemu dopiero teraz Eugène Olivier zauważył wśród nich niewielki krzyżyk?

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Kilka niedużych sztychów na ścianach przedstawiało stacje drogi krzyżowej. Na specjalnym haczyku wisiała srebrzysta piramidka kadzielnicy, dziś już niestety niepotrzebna. Część ołtarzowa, ze względu na specyfikę pomieszczenia pozbawiona swojego tradycyjnego podwyższenia, była symbolicznie oddzielona prowizorycznym ogrodzeniem - słupkami na podstawkach. A jak skomplikowane było, jeśli się dobrze przyjrzeć, nakrycie głowy duchownego! Czegoś takiego księża nie nosili chyba nawet w połowie ubiegłego wieku, jeśli popatrzeć na stare fotografie. Nawet lefebryści czegoś takiego nie używali. Czarna czapeczka, kwadratowa, jak pudełeczko bawełny, z każdego rogu wychodziło sztywne okrągłe piórko. Nie, wszystkich krawędzi było cztery, a piórek tylko trzy, jedna krawędź była go pozbawiona, za to opadał na nią pomponik z czarnej

24Szejk Josef Kordaun w wystąpieniu dla stacji Al Jazeera: „Proroka zapytano, jakie miasto zostanie podbite jako pierwsze, Konstantynopol czy Rzym? Odpowiedź była następująca: «Pierwszy będzie Konstantynopol. Zostaje jeszcze drugie miasto, mamy nadzieję, że zostanie zdobyte...». To oznacza, że wrócimy do Europy jako zdobywcy po tym, jak nas dwukrotnie stąd wypędzali, pierwszy raz z południa Andaluzji, drugi raz ze Wschodu i tym razem Europa będzie zawojowana nie mieczem, a modlitwą i ideologią. Ostatecznie cóż to za różnica, czy do upadku Rzymu doprowadzimy drogą pokoju czy wojny?» (za „Corriere della Sera” z artykułu: „Ogłoszono fatwę dla Rzymu. «Miasto zostanie zdobyte»”. 15 marca 2004 r.)

wełny²⁵. Od czasu do czasu duchowny zdejmował czapeczkę, przyciskał ją do piersi, pochylał głowę i znów ją zakładał. W modlitewnej ciszy słycać było, jak stopniowo cichną tłumione szlochania. Długo trwało to milczenie, dla wszystkich, oprócz Eugène'a Obviera, przepełnione jakimiś powinnościami, jakimś zadaniem. W końcu duchowny podniósł się.

– On bardzo lubił rzeźbić w drewnie, monsieur Simoulin – powiedziała Jeanne, jakby do siebie. – w ich gospodarstwie wszystko było jego roboty – i drzwi, i meble.

– A przecież najtrudniej było dostać drewno – uśmiechnął się długowłosey staruszek. – W warsztatach stolarskich już od jakichś stu lat nawet najdroższe rzeczy robią z nowego dębu. Simoulin skupował zużyte beczki po cydrze, a potem prostował te deski pod ciężarem, w wodzie... Chwalił się, że jego robota przetrwa więcej niż sto lat. To była cała filozofia. Mówił, że drzewo, które się obrabia, nie umiera po ścięciu, a tylko przechodzi do innego życia, jak człowiek po fizycznej śmierci.

– A jak on nienawidził lakieru do mebli! – dodał drugi mężczyzna, też już niemłody.

– Pamiętam, mówił, że drzewo też musi oddychać, że jakby nas ktoś tak lakierem pokrył, to w ciągu tygodnia trzeba by pogrzeb organizować.

Rozmowa nagle ucichła.

– Zapowiedziałem już Jacques'owi le Difard i młodemu Thomasowi Bourdelet, żeby pod żadnym pozorem nie próbowali przedostać się do grobu – powiedział ostro duchowny – wystarczy na dziś jednej ofiary.

– I wasza wielebność miał rację. Przecież już ostatnia próba się nie powiodła, aż trzech ludzi straciliśmy.

Wokół duchownego wciąż stała grupka ludzi, choć zebrani zaczynali się już powolutku rozchodzić. Każdy wychodzący padał przed księdzem

²⁵ Przytoczony jest tu opis biretu - nakrycia głowy katolickiego duchowieństwa (podobnego do prawosławnej skufii), które prawie zupełnie wyszło z użycia we współczesnym Kościele rzymskokatolickim.

na kolana, prosząc, jak za dawnych czasów, o błogosławieństwo.

– *Benedicat te omnipotens Deus*²⁶.

Łacina! Prawdziwa, autentyczna łacina, którą znał jeszcze dziad Patrice, ta sama, której ojciec już się nie zdążył nauczyć...

– Kim są ci wszyscy ludzie? – szeptem zapytał Eugène Olivier.

– Nigdy przedtem ich nie spotkałeś? Mamy wiele wspólnych kryjówek. A może raczej, ta kryjówka należy do nich, ale nam też pozwalają przeczekać tu niebezpieczeństwo. Oczywiście sami również czasami ukrywają się u nas. Ale oni nie zabijają saracenów, tylko przychodzą na mszę świętą.

– No pewnie, tyle tu starszych ludzi, gdzie im do walki.

– Nic nie rozumiesz, oni po prostu nie chcą. Poza tym, ich zdaniem czasy wypraw krzyżowych już minęły, a na ziemi nic dobrego ich już nie czeka. Nie wiem, jak mam ci to wyjaśnić, jeśli nie słyszałeś o Dniu Ostatecznym. Oni po prostu chcą, żeby dopóki żyje choć garstka chrześcijan, była sprawowana msza święta. W Paryżu są trzy takie wspólnoty. Chrześcijanie zaczynali od katakumb i do katakumb powrócili.

– A gdzie oni wszyscy mieszkają?

– W getcie, a gdzie by indziej.

Eugène Olivier doznał wstrząsu. Był częstym gościem w każdym z pięciu wielkich gett Paryża, gdzie mieszkali pozbawieni praw Francuzi, którzy nie przyjęli islamu. Rozpaczliwie beznadziejne było ich życie za drutem kolczastym, jednak wielu ludzi je wybierało, decydując się na zapłacenie takiej ceny za prawo do bycia sobą. Ogromna bieda i ciasnota, za byle co – śmierć z ręki pierwszego lepszego policjanta, dla którego każdy „niewierny” był zwykłym psem. Ale jakaż to radość, nic sobie nie robić z krzyków muezzinów i spokojnie siedzieć gdzieś na ławce, wiedząc, że kolaboranci ze swoich luksusowych willi biegną teraz na codzienny WF. Rzecz jasna, zdobycie wina w getcie groziło śmiertelnym niebezpieczeństwem, zaś kobiety wychodziły z domu, owijając wokół szyi i głowy chusty. Kobiety schwyte z odkrytą głową

26 Łac. Niech ci błogosławi Bóg Wszechmogący.

policjanci z marszu katowali na śmierć. Jednak mimo to ich twarze nie były zasłonięte! Mieszkańcy getta pozostawali Francuzami, uczyli swoje dzieci jak tylko umieli najlepiej, chociaż książek mieli niewiele; każdy komiks z Asteriksem, każdą bajkę w rozpadającej się okładce przekazywano sobie z domu do domu, dopóki można było jeszcze cokolwiek wyczytać z tych przetartych kartek. Czasem w getcie nagle urządzano serię niespodziewanych rewizji. W ich efekcie skape zasoby prywatnych bibliotek jeszcze bardziej topniały. Jednak nie to było najgorsze. Czasem, przypadkiem lub na skutek jakichś paranoicznych urojeń okupanta, policja religijna postanawiała porządnie przetrzebić jedną z rodzin. W takim domu zaczynał przesiadywać imam, a jeśli nie on to jego młodzi pomocnicy, jeszcze bardziej nachalni. Żal było patrzeć na napięte, skamieniałe twarze wziętych w taki kołowrót ludzi. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że nie miną nawet trzy miesiące, a sąsiedzi zobaczą rano albo ciężarówkę wywożącą świeżo upieczonych neofitów do muzułmańskich bloków, albo dom z zabitymi okiennicami i szeroko otwartymi drzwiami opustoszałego mieszkania. Na progach opuszczonych siedzib młodzi chłopcy czasem zapalali znicze, ryzykując życiem. To wszystko nie było dla niego niczym nowym. Ale żeby wśród mieszkańców getta byli ukryci chrześcijanie?!

– Skąd by tu się wzięli? Przecież papież rozwiązał struktury kościelne!

– No tak, ale on nie miał prawa niczego rozwiązywać. Wiesz, byli tacy, którzy jeszcze przed całą tą zawieruchą odłączyli się, razem z arcybiskupem Marcelem Lefebvre. To właśnie oni teraz zstąpili do katakumb.

– Dlaczego ty cały czas mówisz „oni”? Nie należysz do tej wspólnoty?

– Należę do *Maquis*²⁷ – Jeanne gniewnie zacisnęła małą dolną wargę koloru berbersowych jagód – i nie jestem z tej wspólnoty! O, nie! I o nic więcej nie pytaj, dobra?

²⁷ *Maquis* - słowo korsykańskie oznaczające: gąszcz, zarośla. Początkowo zwrot „uciekać w maquis” oznaczało ukrywać się przed władzą. W czasie drugiej wojny światowej zaczęto tak nazywać ruch partyzancki. Stąd powstało słowo pochodzenia już czysto francuskiego *makisar* (*maquisard*).

OK, nie to nie. Ale jeśli Jeanne też należy do armii Ruchu Oporu (choć, biorąc pod uwagę, że nigdy wcześniej się nie spotkali, raczej nie służy pod dowództwem Sévazmiou), to znaczy, że zobaczą się jeszcze i to nie raz. Gdyby tak ją specjalnie zaprosić na spotkanie, to może by go wyśmiała albo, co gorsza, domyśliła się wszystkiego.

Jak to dobrze się składa, że nie musi jej niczego proponować, prędzej czy później i tak znów się spotkają! Poza tym, spędzi tu jeszcze co najmniej dobę. A ona?

– Podejdźmy do ojca Lotaire'a – Jeanne zerwała się od razu, nie wątpiąc, że Eugène Olivier za nią podąży.

Och, niczego sobie rodowe zawołanie, Lotaire! W zatęchłym podziemiu nagle zapachniało heraldycznymi liliami. Co prawda i w rodzinie Léveque snobów nie brakowało, ale do tego się nie posuwali. Tak czy inaczej, rozmawiać z księdzem, nawet gdyby to był jakiś zwykły ojciec Pierre, Eugène Olivier nie miał najmniejszej ochoty. No, ale co zrobić, ma tu zadanie do wykonania, a ten duchowny to pewnie jakiś głównodowodzący. Tak, zaraz mu zresztą pokaże swoją postawą, że żadne kwestie duchowości go tu nie interesują.

Tymczasem Jeanne, spojrzawszy odrobinę z ukosa na swojego gościa, jak gdyby szokowanie go sprawiało jej przyjemność, uklękła po chłopięcemu na jedno kolano i potrząsnęła jasną krótką czupryną, skłaniając głowę:

– *Jube, domne, benedicere!*²⁸

– Witaj, małeńka Jeanne – usta duchownego uśmiechały się, ale w jego spojrzeniu, opuszczonym na jej jasną główkę, zagościł ból. – *Benedicat te omnipotens Deus.*

– Ojciec Lotaire, to jest Eugène Olivier, z Ruchu Oporu – Jeanne otrzepywała już dzinsy – poczeka u nas na wydanie nowych dokumentów, które mają dostarczyć z Colombo.

– Pamiętam, Jeanne – najwidoczniej, ojciec Lotaire nie mógł się nie uśmiechać, gdy patrzył na dziewczynę. Nawiasem mówiąc, czynił to nie bez delikatnej, serdecznej drwiny. Po chwili zwrócił się do Eugène'a

28 Łac. Panie, racz pobłogosławić [przyp. red.).

Obwiera.

– Zapewne nie miał pan lekkiego dnia?

– Owszem. Za to zdaje się, że uda mi się teraz odpocząć więcej niż dzień – odparł z uśmiechem Eugène Olivier. Młodzieniec z ulgą zauważył, że powstrzymał się od pokusy, by niedbale rzucić coś w stylu „a tam, głupstwo, nic specjalnego”. Zabrzmiałoby to bardzo tanio, a duchowny z bacznym spojrzeniem, zaraz by wychwycił taką tandetę. Nie pokazałby po sobie, ale na pewno zwróciłby na to uwagę.

– Widzę, że jest pan tu pierwszy raz – ojciec Lotaire przyglądał się Eugène'owi Olivierowi uważnie, w ogóle się z tym nie kryjąc, najwyraźniej dając sobie prawo do prześwietlania tak kogoś wzrokiem. – Dziwne miejsce, nieprawdaż? Wszystko to wybudowano w czasach, kiedy ludzie uważali religię za niegroźne dziwactwo. Sądzili, że skoro potrafią przewieźć dokoła naszej grzesznej planety kilka psów i małą, to jest to już jakiś dowód na nieistnienie Boga. Bardzo dużo myśleli o przyszłości, o jakimś tam niewyobrażalnym rozkwicie wszystkich nauk, sztucznych formach rozumu. Sporo czytałem książek z tamtych lat. Jedyne, co ówczesnym piewcom postępu nigdy w życiu nie przysłoby do głowy, to nasza teraźniejszość. I w życiu by nie pomyśleli, komu i do czego kiedyś posłużą ich schrony.

– Ja nie wierzę w Boga – Eugène Olivier spojrzał duchownemu w oczy. – Czy On by dopuścił... dopuścił, żeby muzułmanie wstawili do Notre Dame balie do mycia nóg?

– A czy naprawdę On do tego dopuścił? – zaoponował ojciec Lotaire. – To my do tego dopuściliśmy, prawdę mówiąc, dopuścili do tego nasi przodkowie. Pierwszy krok w tym kierunku uczynili, gdy zaczęli traktować Notre Dame nie jak miejsce tronu Bożego, ale jak zabytek architektury. Przez cały XX wiek nic innego nie robili, tylko po kawałeczku dopuszczali do tego świętego miejsca świeckość²⁹.

²⁹ Dwa przykłady na potwierdzenie prawdziwości słów ojca Lotaire'a. Wiosną 2004 r. Kościół katolicki w Niemczech zorganizował w muzeum biskupim miasta Meinz wystawę pod tytułem „Nie ma świętych wojen”, proponując zwiedzającym „krytyczne spojrzenie” na „niesławne dzieje” krzyżowców. Obrazoburcze twierdzenie, że rycerzy,

No i doczekali słuł Ale dość już o nich, o przodkach... Pańscy pewnie pochodzili z Normandii, mógłbym się o to założyć.

– Być może, nie wiem na pewno. – Pytanie o przodków nie szczególnie zaprzątnęło uwagę Eugene'a Oliviera. Było jednak wyraźnie widać, że duchowny stara się zmienić temat, by uniknąć kłótni. – Od dawna mieszkamy w Wersalu, to znaczy – poprawił się – mieszkaliśmy.

– A ja dałbym sobie rękę uciąć, że mam rację. Jesteście nawet z Jeanne do siebie podobni, w górnej części twarzy – ojciec Lotaire przeniósł wzrok na dziewczynę. – A już bardziej normańskiej Normandki od Jeanne nawet sztucznie nie dałoby się stworzyć. W dzieciństwie widziałem portret Charlotte Corday³⁰, namalowany w jakieś trzydzieści lat po jej śmierci. Nieprawdopodobnie piękny, wątpię, czy ma coś wspólnego z oryginałem. Czasem, gdy patrzę na Jeanne, zdaje mi się, że mam przed sobą żywy portret Charlotte. Prawdopodobieństwo jest wysokie. W końcu Charlotte była dziewczyną z Caen. A takich jak Jeanne w Caen są do dziś całe setki.

– Okropieństwo. Setki dziewczyn z cienkimi włoskami i przykrótkimi nogami – wtrąciła Jeanne.

– A co, wołałabyś być podobna do Miss Universum 2023? – odparował duchowny.

– Ale z ojca dowcipniś – z pogodnej twarzy Jeanne można było wyczytać, że takie utarczki były już tradycją. – Miss Universum to

którzy obarczyli siebie niehumanitarnymi ciężarami w Ziemi Świętej, wiodła w drogę nie wiara, a „żądza sławy i bogactwa” wygłosił na otwarciu kardynał Karl Lehman. W tymże roku w Hiszpanii z inicjatywy Kapituły Katedralnego Kościoła Galicji - Santiago de Compostella - usunięto posąg Santiago Matamoros [maurobójca], ukazujący św. Jakuba na koniu. Święty rąbie mieczem głowy Maurów w turbanach, pod kopytami - martwe ciała Maurów. Zdaniem Kapituły rzeźba „może obrazić uczucia muzułmanów, którzy również odwiedzają kościół, będący sławnym zabytkiem architektonicznym”. Trzeba także wspomnieć o usunięciu relikwii św. Szymona z Trydentu, co zrobiono, by nie „razić” Żydów. Kiedy religia z objawienia staje się spuścizną kulturową, zaczyna się społeczna refleksja i rozważanie - jak by tu nikomu nie nastąpić na odcisk. Toteż ojciec Lotaire ma rację - zmieniło się postrzeganie, a w konsekwencji - traktowanie symboli wiary katolickiej.

30 Żyrodystka, morderczyni Jean-Paula Marata.

najlepiej opłacana modelka roku, tak?

– A gdzie tam, po prostu zwyczajczynie konkursu piękności. W takich konkursach biorą udział różne dziewczyny, nie tylko modelki, ale i studentki, fryzjerki, bibliotekarki, nawet policjantki się zdarzały – westchnął ojciec Lotaire. – Zawsze czuję się jak wiekowy starzec, kiedy po raz kolejny odkrywam, jak małą wiedzę macie o starym świecie.

Nawiasem mówiąc, starcem ojciec Lotaire wcale nie był. Z wyglądu można mu było dać trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Niemniej jednak, aby nie poczuł się jeszcze starszym niż jest, Eugene Olivier powstrzymał się od pytania, kto to taki ta Charlotte Corday.

Siostra miłosierdzia rozstrzelana za czasów pierwszej wojny światowej? Chyba tak, coś takiego kiedyś obito mu się o uszy.

Tymczasem do „kościółka” weszła jeszcze jakaś kobieta, wysoka i zgrabna, jak kątem oka zdążył zauważyć Eugène Olivier, zanim ją rozpoznał.

– Oj, to jest przecież... – źrenice Jeanne nagle się rozszerzyły.

Z daleka kobieta zdawała się być całkiem młoda, czy to dzięki zgrabnym biodrom i długim nogom, czy to może przez swój dziewczęcy, energiczny chód. Długie i proste ciemne włosy, jakby rozświetlane od środka srebrnym blaskiem, swobodnie opadały na plecy i były urzekająco piękne. Proste włosy, nawet jeśli są naturalnie gęste, rzadko sprawiają wrażenie ciężkich, ale ciężar tej grzywy od razu rzucał się w oczy, być może przez kontrast z wątłymi plecami. Gdy się zbliżyła, okazało się, że włosy wyglądały jakby się świeciły tylko dlatego, że ciemne pasma były gęsto przeplatane siwymi. I nie była młoda - miała co najmniej sześćdziesiąt lat i nikt z pewnością nie dałby jej ani roku mniej. Jej szczupła twarz o ostrych rysach i głębokie, wyraźne zmarszczki podkreślające zacięte usta wyraźnie świadczyły o wieku. Mimo to nikt nie odważyłby się nazwać jej staruchą. W czarnych obcisłych dżinsach, czarnym golfie, adidasach i lekkiej, luźnej kurtce Sophie Sévazmiou, najbardziej szalony dowódca z wszystkich siedmiu stojących na czele armii Ruchu Oporu albo krócej – *Maquis*, najwidoczniej nie wiedziała, co to określony wiek.

Eugène Olivier zauważył, jak wzrok Jeanne, jakby bezwiednie, padł na lewą rękę Sophie, ubraną w siwą rękawiczkę z cienkiego zamszu.

– Zdejmuję ją, kiedy chodzę po ich osiedlach – uśmiechnęła się Sophie. – Kojarzysz pewnie tę piosenkę? Dzień dobry, proszę księdza.

– Tak – Jeanne zaczerwieniła się, a oczarowany Eugène Olivier dokonał kolejnego małego odkrycia; miała angielskie rumieńce, nie ciepłe, a zachwycająco chłodne. Gdyby nie to, że była tak zmieszana, pewnie pograżyłaby się jeszcze bardziej, przyznając, że zna piosenkę o Trzypalcej Starusze, którą muzułmanie straszą małe dzieci.

– Cieszę się, że panią widzę, Sophie – ojciec Lotaire uśmiechnął się szeroko, jak mały chłopiec. – To jest Jeanne Sainteville, a tego młodego człowieka chyba nie muszą przedstawiać. Znaie się przecież i pewnie się już dziś widzieliście.

– Już ojca to naprawdę nie da rady przechytryć, tyle razy próbowałam i nic – Sophie machinalnie sięgnęła do przestronnej kieszeni, jednak, rzuciwszy okiem na ołtarz, zawahała się.

– Zapraszam do mnie do zakrystii, bo widzę, że czeka pani już pół godziny, żeby zapalić te swoje mezopotamskie – ojciec Lotaire wykonał zachęcający gest w stronę niewysokich drzwi.

– Co do papierosów nazywają się *Bielomorkanał* i niech mi ksiądz wierzy, że nie jest to najtańsza kontrabanda. Co do tego chłopaka... tak, ten kadi... Porażający zbieg okoliczności, trzeba przyznać... Słowem, nieboszczyk zapoczątkował nowy sposób użytkowania Łuku Triumfalnego. Rzecz jasna, nie wiedzieliśmy, że pierwszą ofiarą okaże się być Simoulin. Jeszcze ze dwa dni, być może, a udałoby się go uratować, ale czas pracował na ich korzyść.

– Nie trzeba już go żałować, teraz to on współczuje nam. – Ojciec Lotaire otworzył metalowe drzwi, puszczając przodem Sophie, Jeanne i Eugène'a Obviera. – Chciałbym tylko uprzedzić, że mam tu już jednego gościa. Ale nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu, że pani zapali.

W prowizorycznej zakrystii, pokoju ze stołem, kilkoma krzesłami i szafą z drzwiami suwanymi, na pierwszy rzut oka nikogo nie było. Uwagę Eugène'a Obviera przykuły niezgrabne wieszaki, na których

wisiał kilka szat liturgicznych z aksamitu pokrytych brokatem. Na samym wierzchu leżał nieźle pogryziony przez mole ornat wiśniowego koloru, misternie opleciony ciemnym złotem. Wyglądał na bardzo ciężki. Złotymi nićmi wyszyte były litery „IHS”³¹, znaczenia których Eugène Obvier - nie to, żeby nie znał - ale jakoś akurat nie mógł sobie przypomnieć. W tym momencie chłopak zauważył, że za wieszakiem schowało się jedno z przyprowadzonych na mszę dzieci; najprawdopodobniej bawiło się tu w chowanego.

- Hej, mam cię, wychodź! - szepnął do dziecka.

Malutka dziewczynka najpierw wyjrzała zza ornatów z jednej strony, potem z drugiej i wtedy dopiero wyszła. Miała jakieś osiem lat, może mniej, ładniutka jak z obrazka, lecz mimo to, na jej widok Eugène Olivier aż się odsunął. Nic dziwnego: jasne kędziory, przypominające len, wydawały się popielate od brudu i opadały do pasa w postaci skudlonych strąków. Dziewczynka miała na sobie tylko siwą męską koszulkę polo, z nadrukiem sieci supermarketów „Monoprix”. Koszulka, bardziej przypominająca sukienkę, sięgała jej do kolan, za to ze zbyt szerokiego kołnierza co chwila wypadało raz jedno, raz drugie chude ramionko. Kształtne, bose stopki stały na kaflowej podłodze tak pewnie, jak gdyby dziewczynka nigdy nie chodziła w butach. Nic dziwnego, że już zdążyła się skaleczyć - na stopie miała krew.

Dziewczynka utkwiała w chłopcu swoje ogromne, jasnoniebieskie oczy. Przeszkadzał jej w tym jeden splątany lok opadający na twarz. Niecierpliwie odgarnęła go ręką. Po maleńkiej, jakby wyrzeźbionej z kości słoniowej dłoni, również spływała krew.

- Valérie! - cicho zawołała z tyłu Jeanne - mam coś dla ciebie, chodź tu do mnie!

Dziewczynka stała niewzruszona, w dalszym ciągu bacznie przyglądając się Eugène'owi Olivierowi.

- Zawróciłeś czarta do piekła i myślisz, że zrobiłeś kawał dobrej

31 Monogram imienia Chrystusa, pochodzenia greckiego, zapisany łacińskimi literami - „IHS”, później często interpretowanymi jako *Iesus hominum Salvator* - Jezus, Zbawiciel ludzi.

roboty? – odezwał się w końcu dźwięczny głosik. – A Matka Boża tymczasem płacze. Wiesz, gdzie ona mieszka? Ma wielki, piękny, kamienny dom z kwiatami w oknach. Ale do jej domu teraz chodzą „zadki”; ona ich nie zapraszała, a oni i tak tam chodzą. Matka Boża nie chce, aby „zadki” do niej przychodziły. Moglibyście w końcu coś z tym zrobić, przecież jesteście dorośli!

Ojciec Lotaire i Sophie patrzyli na dziewczynkę z goryczą, ale bez najmniejszego zdziwienia. Jeanne, przykucnąwszy, wyjęła z kieszeni dzinsów chupa-chupsa na patyku i wabiła do siebie dziecko, machając przed nią lizakiem.

– Nie chcę! – dziewczynka ze złością zasłoniła twarz rękami. Na lewej ręce też miała ranę, i to w bardzo dziwnym miejscu: w tym samym, co prawa, pośrodku dłoni. Bose nóżki również były poranione w tych samych miejscach, nieco wyżej palców. Wszystkie cztery maleńkie rany wciąż krwawiły.

– No weź, proszę cię, Valérie – zachęcała ją Jeanne. – Ukradłam ją specjalnie dla ciebie. Ci od „zadków” mogli mnie pojmać! A teraz ty nie chcesz i jest mi przykro.

Dziewczynka, nachmurzywszy idealnie nakreślone rude brwi, niechętnie podeszła i wzięła prezent, ale zamiast zjeść, schowała go do kieszeni i podeszła do Sévazmiou.

– Sophie, kochana Sophie, zrób tak, żeby oni już więcej tam nie przychodzili! Potrafisz, ja wiem, że potrafisz!

– Nie, Valérie, zrobiłabym to dla ciebie, ale naprawdę nie mogę. – Sophie Sévazmiou rozmawiała z dzieckiem bez cienia wyższości, jak równa z równą, może jedynie jej głos był odrobinę bardziej delikatny. – Zrozum, ja i moi żołnierze moglibyśmy przegnać „zadki” z Jej domu, tak jak chcesz. Ale kiedy nas wszystkich wybija, to „zadki” zlecą się znowu. Mojej armii nie wystarczyłoby, żeby chociaż przez tydzień utrzymać Notre Dame. Ja naprawdę nie mogę tego zrobić.

– Możesz, tylko udajesz, że nie wiesz, jak to zrobić! A ja ci nie mogę podpowiadać! Matka Boża zabroniła podpowiadać! – Valérie zapłakała, rozcierając po twarzy brudne smugi.

– Co jej jest, ona tak sama się poraniła? – Eugène Olivier zwrócił się po cichu do Jeanne. Odeszli już od księdza i Sophie, którzy już we dwoje kontynuowali jakieś swoje rozmowy. O czym to Sophie Sévazmiou może tak długo z księdzem rozmawiać? – Czemu nikt jej tego nie opatrzy?

– Ona się nie poraniła – Jeanne spojrzała na Eugène'a Obviera dziwnym wzrokiem.

– Słuchaj, przez przypadek tak się nie można pokłuć! Skąd więc te rany, kto śmiał jej zrobić coś takiego?

– Ty naprawdę nie wiesz, co to są stygmaty?

– Nie... – Nawiasem mówiąc, słowo majaczyło mu jakoś w pamięci, tak samo jak litery IHS, i pewność, że Pius X był bardzo surowy.

– To odwzorowanie ran Chrystusa... Same się otwierają i krwawią. Zdarzają się u niektórych świętych, u bogobojnych ludzi. Valérie jest jakby namaszczona. Wie wszystko o wszystkich, nie można jej oszukać.

– Czemu ona mówi „zadki”?

– Widziałeś kiedyś namaz³²?

– No...

– To co się głupio pytasz. Co się wtedy najbardziej rzuca w oczy? Eugène Olivier prychnął.

– No cóż... Jest jeszcze malutka. Mówi, co widzi. Wiesz, jak oni się jej boją? Ona chodzi po całym Paryżu i piąstkami im grozi, i nogą tupie... A najbardziej kocha Notre Dame.

– Notre Dame? – Eugène Olivier nie mógł oprzeć się zdumieniu wobec tak niesamowitego zbiegu okoliczności; przez cały dzień słowo Notre Dame chodziło mu po głowie, przypominając mu o katedrze do znudzenia.

– Tak, to ją nazywa domem Matki Bożej. Prosi, żeby ich przegnać

32 Namaz - muzułmańska modlitwa. Jej charakterystyczną cechą są liczne pokłony twarzą do ziemi, wykonywane na kolanach. Siłą rzeczy modlący przez chwilę prezentują obserwatorowi swoje siedzenie. Stąd wzięło się dziwaczne określenie, którego użyła mała, rozgoryczona dziewczynka niesiląca się nawet na obiektywność. Dzieci często nie zastanawiają się nad poprawnością tego, co mówią, ponieważ opisują rzeczywistość tak, jak ją postrzegają. Patrz także zastrzeżenie na stronie 2 [przyp. red.).

właśnie z katedry. Często spaceruje w pobliżu i cały czas płacze, płacze, że tam jest teraz meczet.

– Twój dziadek był dobrym człowiekiem. Jest już w raju. A ty? Czy ty ich przegnasz? – Valérie, która wcześniej podeszła do Eugène’a Obviera, odwróciła się i poszła nagle w stronę drzwi.

Młynarzu, czemu śpisz!

Młyn już ostro mle!

Młynarzu, czemu śpisz!

Młyn zbyt prędko jest!

podśpiewywała cichutko niesamowicie dźwięcznym, czystym, wręcz niezemskim głosem.

Młyn, młyn, młyn

młyn już ostro mle!

młyn, młyn, młyn

bardzo spieszy się!

Malutka postać w łachmanach wślizgnęła się w drzwi. Przedtem jednak, odwróciwszy się, jeszcze raz spojrzała na Eugène Obviera i surowo pogroziła mu palcem.

– Nie wiem o co tam chodziło z twoim dziadkiem, ale rozumiesz teraz, czemu wszyscy się jej boją? – Jeanne odprowadziła Valérie wzrokiem. Jej oczy nie były tak duże jak oczy dziewczynki, ale za to siwe jak dym, ocienione długimi czarnymi rzęsami, i z tych oczu właśnie cicho popłynęło po policzkach kilka malutkich przezroczystych łez. Najprawdopodobniej nawet nie zauważyła, że płacze. – Nikt nie wie, skąd ona się wzięła, gdzie się podziała jej rodzina. Ona nawet zimą chodzi boso, a śpi na ulicy. Butów albo ciepłego ubrania lepiej jej w ogóle nie proponować. Czasem udaje mi się ją umyć, albo chociaż troszeczkę wycesać, ale musi wtedy być w wyjątkowo dobrym humorze. Nie mam nawet pojęcia, co ona je... Sądzę, że czasami przez

cały tydzień nie bierze do ust niczego poza komunią świętą. Nawiasem mówiąc, sam opłatek też bardzo lubi jeść, ojciec Lotaire zawsze jej trochę zostawia przed konsekracją.

– Powiedziałem temu ojcu Lotaire'owi, że nie wierzę w Boga, a on specjalnie zmienił temat – wspomniał Eugène Olivier.

– On jest nie w ciemni bity, od razu mówię, żeby potem nie było.

– A ty... ty wierzysz?

– No pewnie – zdziwiła się Jeanne – przecież głupia nie jestem.

– Jasne, dzięki. W takim razie po co się bijesz z saracenami, nie lepiej sobie tu posiedzieć i paciorek zmówić? – ironizował Eugène Olivier.

– Prosiłam cię chyba, żebyś o to nie pytał – Jeanne z urazą w głosie zacisnęła pięść. – Nic się nie stało, po prostu dotknąłeś bolesnego miejsca. Bardzo bolesnego. Pewnie dobrze by mi się żyło za czasów wypraw krzyżowych, a z kolei do życia w czasach ostatecznych moja dusza najwidoczniej nie dorosła. Albo męstwa mi brak, nie wiem. Tak, nie śmiej się, trzeba o wiele więcej męstwa, żeby modlić się i czekać, aż cię za to zabiją, niż żeby iść na wojnę.

– Rozumiem – Eugène Olivier naprawdę rozumiał, chociaż jeszcze godzinę temu nie mógłby sobie nawet wyobrazić czegoś podobnego.

Tymczasem Sophie w końcu wyciągnęła z kieszeni paczkę z nadrukowanym na niej kawałeczkiem mapy i wyjęła papierosa, z przyzwyczajenia spłaszczając palcami ustnik.

– Biedna dziewczynka – powiedziała, wypuszczając dym.

– Tak, biedna, i to bardzo – potwierdził ojciec Lotaire. – Z tym, że ja mówię nie o młodszej, tylko o tej starszej. Valérie przekracza nasze ludzkie pojęcie, są jej dane pociechy, których się nawet nie domyślamy. Ma spójną naturę i wie, w jakiej intencji cierpi. Za to wewnątrz Jeanne Sainteville jest rozdzierane na pół przez duszę i serce - jak przez konie o równej sile.

– Tak, wiem, dla ojca to są dwie różne sprawy. Dla mnie – nie.

– Czyżby, Sophie? Nie zapomniała pani przypadkiem, czym się ostatnio odgrażała?

– Oczywiście, że nie. Ja naprawdę chcę księdzu o czymś opowiedzieć.

Być może nawet dziś wieczorem. Może być?

– Blżej północy, tak. Teraz powinienem pójść do getta, do umierającego. Bóg jeden wie, ile tam czasu spędzę. Ale będę na panią czekać.

*

Tymczasem Jeanne biegła już korytarzem przylegającym do podziemnego kościoła, ciągnąc za sobą swojego gościa. Przed kolejnymi owalnymi metalowymi drzwiami zatrzymała się i nacisnęła na jakiś metalowy panel.

– Jesteśmy na miejscu – schronisko turystyczne vel pustelnia. Rzeczywiście często zatrzymują się w nim nietutejsi zakonnicy.

Malusieńki pokój bardziej przypominał kajutę okrętową, i to taką, jakie pokazywali na starych filmach. Brakowało tylko iluminatora. Sufit wisiał dosłownie nad głową, łóżko natomiast było przymocowane do ściany. Jeanne kilka razy energicznie szarpnęła drzwi wbudowanej szafy, odsłaniając półki, na których leżały złożone kołdry i jakieś książki. Za matowym szkłem, w kącie mieścił się niewielki prysznic. Nie było tam niczego więcej, oprócz szklanego stolika na wygiętej stalowej nodze. Eugéne'a Oliviera nie dziwił już widok niewielkiego drewnianego krzyżyka na ścianie z zatkniętymi zań suchymi gałązkami jałowca.

– Francja-elegancja. Hotel „Lutece”.

– A oto plan hotelu – Jeanne wyjęła z szafy kartkę z jakimiś rysunkami. – Bunkier nie jest w rzeczywistości tak duży, na jaki wygląda. Ale jeśli nie zna się planu, można zabłądzić. Jakie dokumenty ci wyrabiają?

– Zwyczajne, mieszkańca getta, z pracowniczą przepustką na wyjście. Jeszcze nie wiem, jaki mam zawód. Najprawdopodobniej zamiatam ulice.

– Kolaboranckie są lepsze – większa swoboda manewru.

– WF-em miałbym się zajmować? Za nic!

Jeanne kiwnęła głową ze zrozumieniem, ich spojrzenia spotkały się. „WF-em” w młodzieżowym slangu nazywano namaz. Co do

dokumentów, surowe prawa szariatu były konspiratorom na rękę: można było je wymieniać do woli, nie patrząc na twarz, nawet mężczyźnie wyrabiać kobiece, byleby odciski palców się zgadzały. Zidentyfikować kogoś można było tylko po palcach, ale żeby go zaaresztować, trzeba było otworzyć elektroniczną kartotekę, a wiadomo, że nikomu by się nie chciało za każdym razem w tym grzebać. To nie fotografia, którą można porozwieszać na słupach, ani komputerowy rysopis, który można by pokazywać świadkom. Nie dalej jak w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku muzułmańskie kobiety wywalczyły sobie prawo do zakrywania włosów i uszu na fotografiach. Po dziesięciu latach zdecydowano, że w ogóle nie będzie się fotografować muzułmanek, aby nie obnażać przed bezwstydnymi urzędasami ich cnotliwych twarzy.

Eugène Olivier wiedział, że na wysokim i średnim szczeblu policji, gdzie pracują wykształceni emigranci z zeuropeizowanych rodzin mieszkających we Francji od trzech, czterech pokoleń, ze wszystkich sił starają się przeforsować powrót dokumentów starego typu, przynajmniej dla mężczyzn. Dobrze wiedzą, jak to ułatwiłoby im życie i jednocześnie pokrzyżowało szyki partyzantce. Na szczęście, wszelkie ich wysiłki rozбивały się o fanatyzm religijny kręgów rządowych.

– No dobrze, jakby co, to mapę masz! Zawsze ktoś się tutaj kręci w pobliżu. – Jeanne zniknęła za drzwiami.

Eugène Olivier został sam. Sam, całkowicie bezpieczny, chyba po raz pierwszy tego dnia. Co za luksus!

Zajrzał do szafy: cztery jednakowe tomiki w skórzanych oprawach, z tłoczonymi monogramami Chrystusa - to, zdaje się, *brewiarze*, czyli *Liturgia Godzin*. Do wyboru do koloru, na każdą porę roku. Zwykłych książek było tu tyle, co kot napłakał: biografia Monsignore Marcela de Lefebvre'a, wydana na początku XXI wieku przez wydawnictwo „Clovis”; w sumie można by to podciągnąć pod zwykłe książki. Jakimś cudem znalazło się tu kilka książek dla dzieci: *Maty kiczę* Charlotte Yonge po angielsku i *Sire* Jeana Raspaila. Teraz już coś mu świta! Akurat *Sire* zaczął kiedyś czytać, tylko nie zdążył, bo policja religijna ją

skonfiskowała.

Eugène Olivier z zadowoleniem odciągnął od ściany lekkie składane łóżko i położył się. Można czytać całą dobę! Ogólnie trzeba przyznać, że dzień był całkiem udany. „Zawrócił czarta do piekła”, zobaczył jeszcze jedno szariackie zabójstwo, odkrył prawdziwych chrześcijan, ponownie spotkał się z Sophie Sévazmiou i znów z nią rozmawiał i zdaje się, że jeszcze... Otwarta książka wypadła mu z rąk. Jednak twarz, która rozbłysła przed jego przymkniętymi oczami nie była miłą, niesamowicie drogą mu twarzą Jeanne. Była to niesamowicie piękna, ale i pałająca profetycznym gniewem twarzyczka Valérie.

ROZDZIAŁ III

Slobodan

Podmuchy wiosennego wiatru krążyły w ciemności niczym dobre duchy. Rozwiewały włosy i wsuwały się za kołnierz jedwabnej piżamy. Na balkonie dziewiętnastego piętra było wprawdzie chłodnawo, ale i tak nie chciało się z niego wracać do ciepłych, jasnych pokoi. Tam, w dole, widać było Paryż, cichy i senny jak zawsze, poza ramadanem, kiedy to na ulicach panował gwar, a miasto mieniło się kolorami. Prawowierni, lubując się widokiem Sekwany i meczetu Al Frankoni (dawniej zwanego katedrą Notre Dame), przesiadywali do rana w luksusowej restauracji „Świat Arabski”, u „Maxime’a”, albo w „Le Procope”, a jeśli nie stać było ich na bywanie tam czy w „Le Grand Veroufa” lub w „Le Fouquet”, to opychali się kebabami w małych restauracjach na placu Bastylii albo kuskusem w jakimś „Charlie de Bab el Oued”. Na szczęście ramadan już się zakończył. Paryskie noce znów stały się bezludne.

Jakież wytchnienie dawała mu ta cisza, i jak dobrze, że wybrał mieszkanie na wyższym piętrze, tuż pod sekcją apartamentów, które ze względu na przepisy nie miały już otwieranych okien.

Szkoda było mu czasu na sen. Zbyt cenne było tych kilka godzin, które mu pozostały. Niedługo z głośników rozlegną się zawodzenia muezzinów, a szajtan³³ pójdzie na obchód Paryża, nasikać do uszu³⁴ tym nie dość pobożnym sługom Allacha, którzy nie podnieśli się na poranną

33 Arab. szatan (przyp. tłum).

34 O człowieku, który przespał całą noc i następujący po niej rano prorok Mahomet miał powiedzieć „oto człowiek, któremu szatan sikał do ucha” (przyp. tłum).

modlitwę.

1 dobrze wam tak, Francuzi. Na Boga, czyście nie zasłużyli właśnie na to? Czy to nie wy sami własnym rękami budowaliście wczoraj swój dzisiejszy dzień? Żyćcie w nim teraz, bo Bóg istnieje. Nie mieliście pojęcia o historii Serbii, nie zrozumieliście Kosowa. Czy wiedzieliście, że to właśnie Serbowie z odwagą ginęli na Kosowym polu, gdy wojowie kniazia Lazara stanęli na drodze niezliczonych wojsk sułtana Murada, by bronić swej ojczyzny? Nie mieliście pojęcia, jak to było, kiedy sułtan Bajazyd dziesiątkował ich kraj - gorzej niż dzuma, a na jego zgłiszczach osiedlał stada idących za nim muzułmańskich osadników - dzisiejszych Albańczyków. Pięćset lat pod jarzmem Imperium Osmańskiego! Nie mieliście pojęcia, jakim przekleństwem była ta hegemonia, nie mieliście pojęcia, ile serbskiej krwi przelano, żeby je obalić. Nie minęło trzydzieści lat, kiedy na brzegi Sitnicy powrócili Serbowie, a tu znów wygnanie. Nowym Bajazydem okazał się Hitler. I co, światli Europejczycy, tego już nie pamiętacie? Czy ktokolwiek z was, oklaskujących bombardowania Belgradu, słyszał chociaż w szkole, że nie kto inny jak Hitler, strąciwszy z tronu Serba Piotra II, cisnął Kosowo jak ochłap Albańczykowi Żogu I?³⁵ I, jak dawniej, za nowym Bajazydem na serbską ziemię znów ruszyli osadnicy albańscy, niczym hieny wyczuwające padlinę. Znów zajęli opustoszałe domy, znów zaczęli zbierać urodzaj z serbskich pól. A ileż to wojska Hitler z Mussolinim musieli utrzymywać na tych ziemiach, by Kosowo mogło pozostać albańskie! Wy, Europejczycy, którzy tak się zachłystujecie faktem zbyt późno otworzonego frontu zachodniego, czyście choć raz podziękowali Serbom za to, że armia czetników³⁶ Draży Michajłowicza wzięła się za hitlerowców dużo wcześniej niż wy?

Co was tak przynagliło, żeby wspierać Albańczyków w odbudowie hitlerowskiej mapy Europy, co sprawiło, że tak chętnie daliście wiarę nawet najbardziej niedorzecznym łgarstwom o powszechnym bestialstwie Serbów?

35 Przywódca kolaborujących z Hitlerem albańskich muzułmanów (przyp. red.).

36 Serbscy partyzanci-monarchiści (przyp. red.).

Rzecz jasna, nie co, ale kto. Wasze muzułmańskie diaspory pociągały za sznurki, szczyły was, a wy, marionetki w ręku tych animatorów, uznaliście się za obrońców jakichś tam „praw człowieka”. Podawaliście się za oświeconych humanistów, podczas gdy staliście się jedynie zdrajcami chrześcijańskiej cywilizacji.

Chrześcijanin - za Turkiem, przeciw Chrystusowi?!

Chrześcijanin - obrońcą Mahometa?!

Hańba sprzeniewierzającym się krzyżowi,

Niszczycielom Bożego Słońca!³⁷

Czyż nie tak? A przecież Dostojewskiego jeszcze wówczas czytaliście, mogliście przypomnieć sobie ten wierszyk. Teraz to już nawet nie wiecie, kim był Dostojewski. Taki los!

Z Milosevica był szchwany lis, kuty na cztery łapy, ale wyście obstawili go czerwonymi chorągiewkami i bez przerwy zmuszali do ustępstw i odstępstw. W końcu do jego siwizny dołożył się jeszcze ów pokój z Dayton, ale wam i tego było mało. A kiedy wreszcie zrozumiał, że nie ma już z czego ustąpić, wybuchła kolejna wojna. Och, jakże czujnie wasi „negocjatorzy pokojowi” pilnowali, żeby Serbowie nie podnieśli głowy! Bardzo na to zwracali uwagę, ale za to rok 1997 jakoś im umknął sprzed nosa. I gdy AOK³⁸ wyrosła z waszego cienia jak zgniły muchomor i rozpoczęła już nie mityczną, ale najprawdziwszą czystkę etniczną, byliście ślepi - gorzej niż ślepi. Pokazywaliście w swoich telewizjach cikliwe obrazki, jak to Albańczycy z Kosowa pokrywają groby swoich zmarłych pobratymców czerwonymi sztandarami z czarnym orłem, jak grzmią salwy honorowe, a nad świeżymi mogiłami kołyszają się dzikie róże. A poza kadrem, w tym samym czasie, wasi bohaterowie wyrzynali w wioskach całe rodziny chrześcijan, zabijali nauczycieli i duchownych. A gdy Milosevic spróbował się przeciwstawić, na Serbię poleciały bomby.

37 Fiodor Dostojewski, *Na wydarzenia europejskie 1854* - fragment, tłum. A.L.

38 Albański Ochotniczy Korpus (przyp. red.).

Świątynie, które tu stały od niemalże dziesięciu wieków, legły w gruzach po waszych bombardowaniach. No tak, przecież to nie wasze kościoły. Ale czym różnicie się w takim razie od afgańskich talibów, wysadzających skalne pomniki?

Wiele razy zmusiliście Miloševića, by wydal Serbów na zatracenie, w końcu i Serbowie wydali Miloševića. XX wiek nie należał do błogosławionych. Całe społeczeństwo, umęczone przeciwstawianiem się nie tylko muzułmanom, ale i całemu Zachodowi, uznało - jak stary wilk - że Milosevic będzie łapą, którą trzeba sobie odgryźć, byleby tylko wydostać się z potrzasku!

A przecież, tak hołubionym przez was muzułmanom, Kosowo było potrzebne jako węzeł drogowy ułatwiający handel narkotykami w Europie. Zbyt duże pieniądze wchodziły w grę, żeby dać Serbom jakąkolwiek szansę.

I w centrum europejskiego handlu narkotykami, w Kosowie, nastał spokój. Kiedy już ostatni Serb został wypędzony lub zarżnięty, i kiedy już ostatnia cerkiew została sprofanowana i zburzona, wtedy uznaliście, że korpus pokojowy jest zbędny i może odejść.

Tymczasem trucizna dalej gotowała się w tym kotle, a brudna, skażona piana rosła i rosła, by w końcu, po latach, rozlać się po całych Bałkanach. W ten sposób miasta Bujanovac, Preszevo, Medvede, podzieliły los Kosowa. A wy wciąż tłamsiliście i gnietliście Serbów. Gdy w końcu Belgrad został stolicą Wielkiej Albanii, Unia Europejska nagle zaczęła się bać. Ale teraz już, to, co wcześniej dawała bezmyślnie i z głupoty, dawała muzułmanom przejęta strachem. Tak! Niech teraz paryżanki chodzą w parandżach - przecież ich babki tak się rozczułały nad zdjęciami róż na mogiłach kosowskich Albańczyków.

Słobodan Vukovic miał pięćdziesiąt lat, ale wydarzenia ze swojej młodości pamiętał nadzwyczaj dobrze.

Pamiętał swój dom, z zewnątrz przypominający nieobraną pisanek wielkanocną; pobielony wapnem, pod czerwono-rudą dachówką. Ściany wewnątrz pomalowane były na ciepły, terakotowy kolor. Ceramiczna podłoga, wypastowana woskiem na błysk, skrzypiące drewniane schody.

Jako dwuletni chłopczyk ślizgał się po nich, trzymając się spodu poręczy, przed kominek, do którego mama wkładała już bożonarodzeniowe polana-badniaki³⁹. Trzeba było jeszcze tylko posypać je białą mąką i polać winem.

To było ostatnie Boże Narodzenie w rodzinnym domu, w Prisztinie. Następującą po nim Wielkanoc też świętował jeszcze w domu, ale to była już całkiem inna, smutna, wojenna Wielkanoc. Wojna. Jeśli tylko można nazwać wojną lecące z nieba bomby, wszechobecność bezkarnego, niewidzialnego, nieuchwytnego wroga. Obok byli też inni wrogowie, świętujący, przekonani, że teraz już na pewno nadejdzie dzień, w którym z Kosowa znikną wszelkie konflikty na tle etnicznym; ostatni Serb opuści je nogami do przodu.

Nie wiedział, z pewnością nie wiedział, gdzie i kiedy zobaczył dziecięcymi oczami obraz, który wrył mu się w pamięć z najdrobniejszymi szczegółami. Siostry zakonne i mniszki w czerwonych aureolach własnej krwi, każda - z poderżniętym gardłem, na białawej ziemi, szczątki zniszczonych ikon, rozwalona brama świątyni... Czy to naprawdę takie ważne, kiedy i gdzie? Iluż ich było, takich męczenników, takich świątyń?

Miał trzy lata, gdy uciekli z Kosowa do Belgradu. Matka całymi godzinami się modliła, przyciskając do siebie dziecko, w obłądnym strachu, tak długo, jak rozsypujące się małowitrazowe auto trzęsło się po zniszczonej wojną drodze. Już nie tak straszna, ale jeszcze bardziej beznadziejna była emigracja z Belgradu. Ucieczka z Belgradu. Ucieczka z Serbii.

Potem była młodość w Nowym Belgradzie nad Amurem, nowiutkim - jak spod igielki, rosnącym jak grzyby po deszczu. Jakiż to tęgi umysł wpadł na taki plan - dać trzystu tysiącom ocalałych Serbów autonomię w pobliżu Chin? Niektórzy twierdzili, i wtedy i jeszcze później, że Rosja postanowiła po prostu zagasić żar cudzymi rękami, ale Slobodan nigdy w to nie wierzył. Zdemobilizowanemu wojskowemu trudno jest

39 Suche gałęzie drzew palone w Serbii w wigilię Bożego Narodzenia, symbolizujące narodziny Zbawiciela (przyp. tłum.).

przywyknąć do beczynnego życia, to oczywiste, ale kto pojmie, że zdemobilizowanemu narodowi wcale nie jest łatwiej. Krew stygnie powoli. Napięcie powstałe od nabrzmiałego agresją nowego sąsiedztwa okazało się więc błogosławione. Ale nie doszło do żadnych poważnych epizodów na pograniczu, co, nawiasem mówiąc, łatwo można było zrozumieć, tak jak w wypadku Kozaków.

Młodość przeżyta w takich realiach wcale nie sprzyjała roztkliwianiu się nad sobą. Mimo wszystko, wielu rówieśników, dorastając, wchodziło w tryby może i „kozackiego”, ale pokojowego budowania. Zakładali rodziny, brali się za wychowywanie pierwszego urodzonego po upadku oczyzny pokolenia Serbów. Slobodan jednak nie potrafił. Jako dziewiętnastoletni młodzieniec przyjechał (dosłownie przyjechał, a nie przyleciał, bo na samolot z Amuru nie było go stać] do Moskwy. Serbscy chłopcy odchodzili w tym czasie ze służby w armii rosyjskiej. Zamieniono im ją na o wiele sensowniejsze szkolenie militarne w miejscu zamieszkania. Między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia musieli zgłaszać się na jeden miesiąc w roku na ćwiczenia wojskowe. Młody Słobo miał już w tym czasie na swoim koncie doświadczenie w wyładowywaniu broni, przyzwoitą liczbę skoków ze spadochronem, licencję kierowcy i lotnika oraz wprawę saperską. Miał jeszcze wpojona, jakby niezmywalne wewnętrzne znamię, znajomość muzułmanów - genetyczną, dziecięcą, chciwie wysaną z opowiadań starców i wyczytaną z książek. Marzył o jednym - wrócić do Kosowa.

Ale zamiast Kosowa dostał przydział na siedmioletni pobyt we Francji, jednym z trzech wiodących krajów bloku euroislamskiego. Cóż, dziecięca żądza zemsty była już wtedy zrównoważona dojrzałymi ambicjami intelektu. Świetnie zdawał sobie sprawę, że francuskie poletko działalności jest o wiele szersze i bardziej interesujące. Zgodził się, choć, prawdę mówiąc, zgodę wyraził nie gruntownie wykształcony i bojowo wyszkolony dwudziestosześcioletni aspirant Vuković, lecz przekonany o swoim nieokrzesaniu dziewiętnastoletni Słobo.

Okazało się, że na wiele spraw nie był przygotowany, mimo wcześniejszych solidnych szkoleń. Zawsze nastawiał się na

współdziałanie z tępyim bezosobowym bydłem, naprędcie ulepionym z chciwości, żądz i sadyzmu, wypieczonym w foremce fanatyzmu religijnego. Jednakże ze względu na rodzaj swojej działalności przyszło mu teraz obracać się głównie w kręgu wykształconych muzułmanów - intelektualistów, obdarowanych niemałą liczbą zupełnie ludzkich cech. Ci ludzie uciekali w działalność naukową, po tym, jak gdzieś w drodze do władzy sparzyli się, zrozumieli, iż inne siły mają na nią wyłączność i jeśli natychmiast nie zrezygnują ze swych ambicji, to czekają ich, delikatnie mówiąc, liczne kłopoty i nieprzyjemności.

O, tak! Trudno mu było sobie wyobrazić, by wielu z nich mogło się śmiać z ludzkiej agonii lub by własnymi rękami byli zdolni przetrząść żywe gardło! Byli na to zbyt kulturalni, zbyt normalni - muzułmanie, Francuzi od trzeciego lub czwartego pokolenia. Uczyli się w porządnym angielskich lub francuskich szkołach i nie każdy dzień ich dzieciństwa upływał im na wbijaniu w umysł, kim są i co mają zanieść temu ufnemu i gościnnemu światu. Niemniej jednak oni też dostali to, o co walczyli, choć z paradoksalnym dla siebie rezultatem.

To była przecież ich własna bajka, o wypuszczonym z butelki dżinie. Wykształceni, z europejską ogładą - piękną dekoracją do muzułmańskiego życia, rozszerzali swoje wpływy, opierając się, bądź co bądź, w swych kalkulacjach na tłumie nieokrzesanej biedoty, której na oścież otworzyli wrota granic Zachodu. Myśleli, że pewnego pięknego dnia, za jakieś sto lat, Europa po prostu obudzi się całkowicie zislamizowana i nikt nawet nie zauważy, kiedy to się stało. Skąd mogli przypuszczać, że ciemne masy, nienauczone wysublimowanej taktyki, a więc mocno niecierpliwe, tak szybko się zagotują i wykipią, rozlewając się po kraju śmiercionośnym potokiem, którego nurtowi, oni, oświeceni Europejczycy, będą musieli się poddać, by sami w nim nie utonąć.

Maquis i katakumby powstały wyłącznie dlatego, że niecierpliwość czerni wybuchła zbyt wcześnie. Francuski Ruch Oporu nie wywołał u Slobodana ani sympatii, ani współczucia. Zaledwie przyjmował do wiadomości jego istnienie i bez istotnego powodu nie pomógłby im, bez względu na okoliczności. Niech sami się o siebie martwią. On już 30 lat

siedzi we Francji dla pomyślności prawosławnego świata. Choć, trzeba przyznać, osobista cena, jaką on, Serb z Kosowa, Slobodan Vukovic, płaci za tę pomyślność, jest bardzo wysoka. O, nie każdy prawosławny tyle by z siebie dał.

Być może na starość, jeśli dożyje, uda mu się zamodlić swój grzech. Najlepiej byłoby na górze Athos, w jednej z najbardziej głuchych pustelni. Ach, Grecy, wy oczywiście wykpiłicie się lepiej od Włochów. Grecja pozostała krajem chrześcijańskim. Ale jakimże to narodowym poniżeniem zakończyła się wasza dawna wyniosłość! Pod koniec XX wieku, we wszystkich krajach, które opływały w dostatek kwitły greckie diaspory i wszędzie Grecy żyli sobie niczym Żydzi. Mikrokosmos w wielkim makrokosmosie, pomagając sobie nawzajem i ani myśląc dawać świadectwa prawdzie. Grecy od dziecka zwykli uważać prawosławie za swój narodowy przywilej, a prawosławnych nie-Greków - za niepotrzebnych ludzi drugiego gatunku.

Greckie wspólnoty nie przeszkadzały nigdzie nikomu - wszak nie zajmowały się misjonarstwem. Jedyne, co ostatecznie umieli zrobić, zrobili, ale dla swoich. Kiedy euroislam zapukał do drzwi Grecji, milionerzy wszystkich diaspor złożyli się i zaproponowali okup. Suma była tak nieprawdopodobnie wysoka, że przedstawiciele Francji, Anglii i Niemiec nie byli w stanie się oprzeć. I oto dziś Grecy - lennicy islamu - płacą za nietykalność swojej ojczyzny, jak kiedyś Ruś płaciła Tatarom. Z jednym wyjątkiem, przeciw któremu Grecy nie mogli protestować, gdyż żadne pieniądze nie mogły tego zagwarantować! Euroislam planował za wszelką cenę skończyć z górą Athos. Zachowały się przerażające kadry kronik, ukazujące mnichów, którzy już gotowali się na śmierć. Straszny dźwięk dzwonu znad świętej góry obwieszczał koniec, wzywał do męczeństwa. Zewsząd nadpływały okręty i najeżdżały wojskowe ciężarówki z roześmianymi, śniadymi żołnierzami w mundurach moro z zielonymi opaskami. W rękach trzymali swe kałasznikowy, a do plecaków mieli przytroczony pierwszorzędny sprzęt alpinistyczny. W wielkanocny poranek roku 2033 ruszyli całą siłą na górę Athos.

Jednak wydarzyło się coś kompletnie zaskakującego. Statek, który

podpłynął jako pierwszy, przełamał się na pół niczym piernik w rękach dziecka. Woda wypełniła jego ładownie tak gwałtownym uderzeniem, że zanim ktoś zdążył zrozumieć, co się dzieje, nie było już nikogo, kto miałby cokolwiek rozumieć. Jak się później wyjaśniło, w tym samym czasie wybuchł bak z benzyną w prowadzącej ciężarówce, która zabarykadowała drogę dojazdową. Drugi statek uszkodził sobie część dziobową i zaczął się topić. Wielu rozbitków zdołano z niego wciągnąć na pokład trzeciego statku, zanim i ten podzielił los pierwszego. W ciężarówkach masowo zgasły silniki.

Wojska wycofały się, by się przegrupować i poczekać na posiłki przed walką z nieoczekiwanym przeciwnikiem. Ale przeciwnika nie było widać! Nikt z „mniszego państwa” nie strzelał do trzech helikopterów z desantem, które rozbiły się podczas krótkiego lotu na Athos. Helikoptery po prostu same spadły, bez żadnej widocznej przyczyny. Trzy miesiące trwała ta niepojęta wojna. Działa zagwaźdżały się własnym prochem, kalecząc pracujących przy nich ludzi. Zdrowi jak ryby żołnierze siadali, by odpocząć w cieniu cyprysów i już nie wstawali, a lekarzom wojskowym nie pozostawało nic innego, jak stwierdzać zawały serca. Innym odejmowało władzę w nogach lub ich kończyny zamieniały się białawy pył. Wyli, ale pomoc nie nadchodziła. Żołnierze w panice uciekali od nich, bojąc się tego jak zarazy. Inni doświadczali nagłych uderzeń gorąca, gorączkowego przyspieszenia pulsu, ślepoty, utraty słuchu. Byli też tacy, którzy postradali rozum, zachowując się nagle niczym dzieci. Wojska nie wycofano - ono po prostu samo uciekło w popłochu, wbrew rozkazom i grożącym konsekwencjom, tratując się nawzajem w takich liczbach, że doroczny hadź⁴⁰ byłby zaledwie sąsiedzkim spotkaniem.

Góra Athos ocalała, ale w Europie nikt o tym nie słyszał. Żadne media nawet słowem o tym nie wspomniały. Prasa i telewizja już od dawna były cenzurowane. Także korzystanie z internetu zostało ograniczone specjalnymi filtrami informacyjnymi, które po raz pierwszy były już wcześniej skutecznie przetestowane w Chinach i Korei.

40 Obowiązkowa pielgrzymka do Mekki.

Ale Athos nie jest przecież zarezerwowana tylko dla Grecji, ta góra jest skarbem wszystkich. Sytuacja jednak ukazała, jaką hańbą okryli się Grecy, gdy jednocześnie tacy Polacy zyskali uznanie u wszystkich, a to tylko dlatego, że zawsze byli bezmyślnymi patriotami. A uparte były te Lachy, jak nikt inny. Choć łatwo było nimi też manipulować. Gdy po drugiej wojnie światowej, kiedy zszokowana holocaustem ludzkość bała się oskarżeń o jakikolwiek antysemityzm, marionetkowy rząd w Polsce, pociągany sznurkami z Moskwy, zarządził wywóz ocalałych Żydów. Gdzie indziej na świecie byłoby to możliwe? Ale Polacy zawsze muszą się wyróżniać, zawsze muszą zrobić coś po swojemu. Polacy, Polacy, naród do żadnego innego niepodobny... W poprzedniej epoce całą Europę zalali swoim przemożnym pragnieniem dorobienia się, co zapewne przejęli od tych Żydów, których wysłali do Izraela. Twardzi, rzadko wielkoduszni, drobnii pragmatycy. A jednak, mimo wszystko - głęboko, bezinteresownie wierzący. Daleko bardziej gorliwi niż inne, wytworne i mniej przyziemne od nich nacje. I pewnie dlatego w XXI wieku Polacy nie ruszyli w owczym pędzie za innymi narodami. Jako pierwsi z byłego bloku wschodniego mieli odwagę krzyknąć, że nie potrzebują strumienia muzułmańskich imigrantów z trzeciego świata. W ciągu pierwszych kilku lat członkostwa w UE żadnego strumienia zresztą nie było. Poziom życia w Polsce był niższy niż ten w starej Europie, co czyniło Polskę, Czechy, Węgry, Litwę i Łotwę mniej atrakcyjnymi państwami dla imigrantów. Proszę bardzo, niechby kto na początku XXI wieku spróbował wyżyć z polskiego albo estońskiego zasiłku dla bezrobotnych! Z czasem jednak różnice zaczęły się zacierać, a imigranci zaczęli ściągać również do Europy Wschodniej. Większość państw tego regionu, jako świeżo upieczeni członkowie Unii Europejskiej, dali się ponieść kompleksowi nuworysza i ulegli strachowi przed okazaniem zbyt małego przywiązania do ideałów demokracji. Cierpliwie więc zaczęli przyjmować napływ muzułmańskiej magmy. Za to Polacy zbuntowali się od razu. Najpierw był cichy biurokratyczny sabotaż na każdym poziomie administracyjnym. Wkrótce jednak okazało się, że to nie wystarczy.

I wtedy Polacy zrobili szach mat. Ówczesny prezydent Polski, Marek Stasiński, obwieścił wystąpienie swego kraju z Unii Europejskiej i NATO! Polska dobrowolnie opuściła organizacje, do których tyle lat się rwała! Dla wszystkich był to gigantyczny szok. Lecz w kraju prezydenta hołubiono jak bohatera narodowego.

Słobodan w końcu podmarzył nieco na balkonie. Wrócił więc do pokoju i skierował się do kuchni. Nie ma to jak ten rosyjski zwyczaj parzenia herbaty w bezsenne noce, przy rozmyślaniach nad losami ludzkości! Ale to już zależy, kto z kim przestaje... Zdecydowanie wolałby teraz oddawać się innemu rosyjskiemu zwyczajowi: wałnąłby sobie szklaneczkę jałowcówki zamiast herbaty. Tak, właśnie jałowcówki, albo dwie... i po bezsenności. A zakąsiłby różowym plasterkiem słoniny cieniutko odkrojonym od kawałka z rdzawą skórką natartą pieprzem. Eh! Dobrze, zejdźmy lepiej na ziemię! Jak to powiedzieliby Rosjanie, jeszcze nigdy Stirlitz nie był tak blisko wpadki. Nie ma nawet co marzyć o jałowcówce albo o słoninie. A tacy Polacy sobie teraz jedzą słoninę, boczuś, antrykoty i schab, i kaszanekę.

Za darmo, cholera, tego nie dostali! Opozycja krzyczała, że Stasiński stracił rozum: graniczyć z Niemcami, których armia w trzech czwartych składa się z muzułmanów, i nie grać według ogólnoeuropejskich zasad gry?! Ale naród wierzył prezydentowi, jak się okazało, nie na darmo.

Polacy pozostali katolikami. Kiedy nastąpił złowieszczy 2031 rok i papież abdykował, równo miesiąc później nad dominikańskim klasztorem Świętej Trójcy w Krakowie ujrano biały dym. Nowy tron papieski ustanowiono w Polsce, zresztą jej granice wyznaczały wówczas granice świata katolickiego. Tak to w życiu jest. Kraków, a nie Rzym stał się awangardą współczesnego katolicyzmu. Kto by przypuszczał pod koniec XX wieku, że tak to będzie wyglądać?! Historia toczy się swoim torem, a w Polsce, jak za dawnych lat, u podnóża małych przydrożnych kapliczek zawsze są kwiaty i palą się znicze.

Gratulując w duchu Polakom, którym oszczędzono wędzonej końskiej kiełbasy halal⁴¹, Słobodan z rezygnacją otworzył lodówkę. Mimo

41 Produkty halal - podobnie jak koszerne jedzenie w judaizmie, dania podlegające

pełnego profesjonalizmu bojowego nie potrafił zjeść mięsa z zabitego po ichniemu bydła. Za bardzo zapadło mu w pamięć z młodości lat, że z takim samym wyrazem twarzy podrzynali gardła tak baranom, jak i ludziom. I te ich słowa: „Bismillah Allohu Akbar”⁴². W pierwszym przypadku są obowiązkowe, ale i w drugim zdarza im się je wypowiadać. Mdli go, gdy ktoś częstuje go baraniną. Musi wymawiać się nadwrażliwością żołądka na mięso. Swego czasu próbowali poradzić sobie z tym razem z psychologiem z GRU. „Nie, lepiej tego nie przewyciężać na siłę – powiedział mu ostatecznie. – Można za bardzo podrażnić bolące miejsce. Ogólnie jest to pod kontrolą, sama psychika stanowi warstwę izolacyjną. Ale lepiej niczego nie ruszać. Chociaż, wiadomo, ryzyko zawsze jest”.

Ryzyko, żeby tylko. Tak czy inaczej, lepszej opcji nie ma, mruknął pod nosem Słobodan, gdy z obrzydzeniem kroił piłę. Jeśli ją nadziać dżemem brzoskwinowym, to do herbaty ujdzie. Zwłaszcza, jak się ją podgrzeje w mikrofali. Tylko, że od tego tyje, ale przecież nie może jechać na samej wodzie.

Tak, wiele rzeczy się zmieniło po tym, jak rozpadł się blok wojskowy NATO. Osłabiona Ameryka martwiła się teraz tylko o siebie.

Biali z Południa i Murzyni, muzułmanie oraz Żydzi ze wschodniego wybrzeża walczyli między sobą o jak największy kawałek tortu w Kongresie i Senacie. Jak długo jednak uda się im się zachować tę kruchą równowagę sił? Z całej mocy starają się nie dopuścić do wybuchu nowej wojny domowej. Trzeba przyznać, że amerykańscy chrześcijanie z Południa mieli sporo szczęścia; zamiast jednej zwartej armii

obostrzeniom ze względu na składniki (np. nie mogą być przygotowane z wieprzowiny) i spełniające określone normy przygotowywania (np. mięso nie może zawierać krwi). W tym punkcie islam i judaizm są podobne, a jednocześnie różnią się od chrześcijaństwa. Potrawy zakazane dla chrześcijan nie są zakazane same w sobie, ale tylko w czasie postu. W chrześcijaństwie brak jest również archaicznego połączenia zawodów kucharza i kapłana.

42 W imię Allacha, Allah jest największy (arab.) - rytualne słowa wypowiedziane przez rzeźnika. Zwierzęta zabite bez wypowiedzenia tych słów nie są pożywieniem halal.

muzułmanów mają przeciwko sobie trzy, łącznie z buddyzmem, wrogie im religie (na szczęście także wrogie dla siebie nawzajem). Póki co żadna z nich nie pragnie twardego rewanżu ze strony chrześcijan, i to je łączy. No i dobra, pobawili się trochę w głównych rozgrywających losami świata, i już wystarczy. Z Ameryką można sobie w ogóle dać spokój, i to na dłuższy czas. Teraz liczy się to, co dzieje się bliżej: na granicach euroislam. Tu rozgrywa się prawdziwa walka. Uwzględniając, rzecz jasna, że jedni odgrywają w niej większą, a inni mniejszą rolę.

Śpośród państw islamskich własną drogą poszła Turcja, która w końcu nie zdecydowała się na zmianę swojego statusu jako państwa świeckiego. Oczywiście, w niczym to jej nie przeszkodziło, żeby prawem silniejszego odgryźć Krym od Ukrainy. No tak, w dzisiejszych czasach tylko bezzębny od Chochołów nic nie odgryzie. Na rosyjskich terytoriach panuje jeszcze względny spokój, ale na niezależnych terenach w połowie XXI wieku odrodziła się dzika i mało zorganizowana Sicz. Tworzenie map tego rejonu nie ma obecnie większego sensu. Władza i wpływy zmieniają się tam z chrześcijańskiej na muzułmańską i na odwrót prawie każdego dnia. Warunki też są tam ciężkie. Prąd mają raz w miesiącu, i to tylko w miastach, rzecz jasna. Na wsiach nawet lamp naftowych nie ma. Najmądrzej zrobili Białorusini, przyłączając się w odpowiedniej chwili do Rosji. Przynajmniej dzięki temu wyrzucili na śmietnik historii te swoje smętne papierki - „zajączki”⁴³, mniej warte od papieru, na którym je emitowano, rozpychające portmonetki staruszków ponurym, grubym plikiem.

Przylgnęły też do Rosji Uzbekistan z Tadżykistanem. Uzbekcy - dla wygody i aiatego, że Tadżycy tak zrobili, Tadżycy zaś nie mieli ochoty na walkę z wiecznie brodzącym we krwi irańskim żywiołem.

Chcieli pozostać muzułmanami, ale bez parandży i gazawatu⁴⁴, bez szariatu, z kielichem dobrego wina na świątecznym stole. W ogóle, przez swoje spokojne umiarkowanie, wszyscy rosyjscy muzułmanie są w świecie euroislam uważani za odstępców. Za to ilu wykształconych

43 Pot. ruble białoruskie (przyp. tłum.).

44 Czeczeński dżihad (przyp. tłum.).

uchodźców z Europy zasililo muzułmańskie szeregi w Rosji przed upadkiem zielonej kurtyny!

Trudno powiedzieć, by muzułmanie żyjący w azjatyckiej Rosji czuli się bardzo urażeni niechęcią Europy. Żyją w swoim środowisku, warto dodać, że żyją sobie całkiem nieźle.

Kuriozalny wyjątek stanowi jednak niepodległa Turkmenia. Tam rządy sprawuje czwarta, zdaje się, reinkarnacja Turkmenbaszy. Przyjęła się już tradycja, że Turkmenbasza odradza się w pierwszym dziecku płci męskiej, urodzonym w klanie panującym po śmierci jego poprzedniego wcielenia. No i dobrze, wszyscy się cieszą, oczywiście oprócz samych Turkmenów; czort wie, co tam im w głowach siedzi.

A co się stało z dumną i niepodległą maleńką Czeczenią, największą bolączką Rosji z przełomu stuleci? Ano nic. Czeczenia siedzi cicho, jak mysz pod miotłą, bo Rosja jest teraz silna i bezwzględna, bez żadnego wsparcia z zewnątrz. A co bez kasy można zrobić? Nawet granatu się nie kupi. Byle tylko nie zapomnieć, że będzie to zawsze piąta kolumna, skorpion kryjący w sobie śmierć, który może trwać uspiiony przez bardzo długi czas, by jednak w końcu zaatakować. Nie, o tym już się nie zapomni. W historii Rosji było już zbyt wiele podobnych pomyłek. Teraz myśleć się już nie wolno.

Który to już raz w taką bezsenną noc jak ta mapa świata przepływa mu przed oczami? Czasem ta wirtualna mapa porusza się równo, jak przędza w rękach starej serbskiej wieśniaczki. Innym razem jakiś fragment nagle zmienia rozmiar, rozrasta się. Raz rośnie w siłę Izrael, niezwykle wzmocniony emigracją, której początek dało niegdyś wezwanie Szarona, a raz Australia, pozostająca idylliczną oazą starej zachodniej cywilizacji, mimo że nie odgrywa obecnie znaczącej roli w światowym porządku. Japonia, która jeszcze bardziej zamknęła się w swojej kulturowej inności, jak perła zamykająca się w swej muszli, albo Indie, będące w stanie permanentnej wojny, której nie przegrały dotąd jedynie ze względu na liczebność swych mieszkańców.

A kimże jest on sam, Slobodan Vuković, pogrążony w myślach o geopolitycznym kalejdoskopie? Człowiek, który swoje namiętności

zastąpił abstrakcją, czy po prostu precyzyjnie zaprogramowany przyrząd ustalający równowagę sił?

Jeśli jest tym drugim, to wskaźnik przyrządu podejrzenie drga. Nadchodzi zmiana. O tym szepcze nocny Paryż za oknami swoich modnych apartamentów, o tym mówi, rozdziawiając swoją paszczę, bułka-pita na talerzyku z porcelany Meissen, o tym huczy krew w jego skroniach.

Równowaga może zostać naruszona.

ROZDZIAŁ IV

Spowiedź bez konfesjonału

Estonia, 2006 rok

Anne Virve uchyliła skrzydło nowiutkiego dźwiękoszczelnego okna i do pokoju natychmiast wdarł się hałas ulicy Narva maantee. Wprawdzie okna nie wychodziły na samą jezdnię, ale taki już był urok tego mieszkania. Drugim mankamentem były krzyżujące się tu linie tramwajowe. Jest też trzeci - strasznie niskie sufity. Ale nie ma co narzekać, inne mieszkania kosztują więcej, znacznie więcej. Nie każda niezależna kobieta dobiegająca trzydziestki może w dzisiejszych czasach pozwolić sobie na zakup czteropokojowego mieszkania, i to praktycznie w centrum Tallina. No... prawie w centrum. Dla mieszkańców tych męczących satelickich megalopolis „prawie centrum” to jakieś dwadzieścia minut jazdy samochodem, a piętnaście minut piechotą od wieżyczek Viru to, jak na Tallin, jeszcze nie przedmieście, ale mimo wszystko...

Annę zdecydowanym ruchem zamknęła okno. Jak się ma porządną klimatyzację, to zanieczyszczone uliczne powietrze nie jest potrzebne do szczęścia. Nie ma sensu zadrećcać się dłużej pytaniami, czy za te pieniądze nie dałoby się kupić czegoś lepszego. Trudno, stało się i nie ma już co narzekać. Zresztą, i tak już się naczekała, w końcu przez ostatnie sześć lat zarabiała jakieś marne grosze, nieraz ledwo wyciągała nędzne sto euro na miesiąc. Tymczasem latka lecą - pora ułożyć sobie życie. Powiedzmy sobie szczerze: czy biedna dziewczyna, gnieźdząca się w jednym pokoiku z rodzicami, w parszywej dzielnicy Õismae, może

liczyć na odpowiednią partię? Pusty śmiech bierze. Nie chodzi o żadne wyrachowanie czy głupotę, chodzi o styl życia.

A mieszkanko jest niczego sobie. Kuchnia jest oddzielona od ulicy łądniutką kwadratową loggią. Annę długo się wahała podczas remontu: a może by powiększyć kuchnię kosztem tej wewnętrznej przegrody? Miałaby kuchnię z jadalnią. Powstrzymała się jednak, i wyszło na to, że dobrze zrobiła: moda na wystawianie na pokaz zmywarek i chłodziarko-zamrażarek dawno już minęła, a tak wygląda to znacznie lepiej: z salonu wyjście na ogród zimowy, a przez szybę malutkiej kuchni widać gęste zielone zarośla. Annę z uśmiechem potargała grzywę papirusa, kłaniającego się długim pióropuszem nad ceramiczną donicą. Nawet ławeczka się zmieściła - jeden albo dwóch gości może sobie tam przejść z salonu na kawę. Ile to kasy włożyła w ten salon! Lepiej nie wspominać, co tu było, kiedy kupowała mieszkanie. Tapeta z jakimiś staromodnymi wzorami na nierównych ścianach, szare linoleum z czarnymi prześwitami. Zdaje się, że poprzednimi właścicielami byli jacyś starszankowie. Emeryci bardzo często przeprowadzają się do kawalerek, bo na większy metraż ich teraz nie stać. Na samo ogrzewanie ile idzie! Gdyby nie takie sytuacje mieszkanie wyniosłoby ją jeszcze drożej. Ale najbardziej jej szkoda, że wysokość ścian nie pozwala na zamontowanie podwieszanych sufitów. No ale nic, meble z IKEI i bez tego tworzą współczesny i funkcjonalny styl. Co ciekawe: mówi się, że meble z IKEI są dla mas, a mimo to dają wrażenie luksusu. Sekret jest bardzo prosty: aby funkcjonalne meble spełniały rolę reprezentacyjną, wystarczy tylko obstawić nimi cały dom, a to już świadczy o sporych sumach, jakie właściciel musiał na to wydać. (Nie licząc, oczywiście, specjalnie wyeksponowanych „babcinych” bibelotów. W domu Annę rolę tę spełnia z powodzeniem zabytkowa maszyna do szycia Singer.) Niektórzy z kolei rozstawiają współczesne regały wśród niemodnych kanap i stołów, które pamiętają chyba jeszcze komunę. Żenada.

Rozległ się wesoły trel domofonu. Kogo tam diabli niosą? (Jednak warto by zamontować kamerę przy wejściu do klatki, trzeba będzie o tym porozmawiać z innymi właścicielami!).

– Międzynarodowa fundacja „Problemy demokracji” – przedstawił się po angielsku młody kobiecy głos. – Ja w sprawie dobrowolnej ankiety socjologicznej. Czy byłaby pani skłonna poświęcić mi kilka minut?

Annę wahała się przez sekundę. Od kiedy Estonia należy do UE, wszelkiej maści socjologowie i społecznicy nie dają spokoju. Z drugiej strony, można by się pochwalić nowym mieszkaniem przed człowiekiem na poziomie.

Drugi argument przeważył.

– Proszę wejść – zaprosiła kobietę do środka, naciskając przycisk. Co prawda jej angielski nie jest bez zarzutu, ale też nie ma się czego wstydzić.

Głos nie kłamał; kobieta rzeczywiście była młoda, właściwie zupełnie młodziutka, a jej prezencja rozczarowywała na pierwszy rzut oka. Chudziutka i niewysoka, miała na sobie ubranie typowe dla wykształconych przedstawicielek „starej” Europy. Adidasy, czarne dżinsy, ciemny golf, różowa wiatrówka. Kasztanowe długie włosy opadające na ramiona; najprawdopodobniej fryzjer dotykał tylko grzywki, jeżeli już.

Domyśl się teraz, co to za jedna; równie dobrze mogłaby mieszkać w przyczepie, jak i w rodowym pałacyku; po takich jak ona nigdy nic nie widać. Rozmowa z takimi dziwadłami to żadna przyjemność.

– Zapraszam do salonu – Annę zdusiła w sobie myśl o straconym czasie. Akurat taka dziewczyna, najpewniej studentka, zwróci uwagę na to, jak ładnie wyglądają jasne bukowe meble na tle równusieńkich niebieskich ścian albo na ogromne kino domowe z ciekłokrystalicznym ekranem! Dwa metry na półtora, nawiasem mówiąc. Zajęło prawie całą ścianę.

– Ładnie pani mieszka.

– Podoba się pani? – rozpromieniła się zaskoczona Anna. – Dopiero co się tu wprowadziłam.

Usiadłszy na plecionym fotelu, dziewczyna wyjęła z kieszeni wiatrówki palmtopa i zaczęła stukać rysikiem w klawisze. Lewa ręka, w której go trzymała, była jakoś dziwnie nieporadna.

– Napije się pani kawy?

– Dziękuję, może później. – Dopiero teraz Annę zwróciła uwagę na osobliwy głos dziewczyny: dźwięczny, a zarazem ochryply. Nagle odechciało się jej pokazywać nowe mieszkanie. Coś niepokojącego było w tej ankieterce, która tymczasem wbiła już do swojego komputera wiek, płęć, stan cywilny, zawód, ulubiony sport - narciarstwo górskie i strzelectwo. No i dobrze, najwidoczniej nie potrwa to długo.

– Interesują nas opinie rdzennych mieszkańców Estonii, z różnych grup wiekowych i o różnym stopniu zamożności odnośnie do problemu tak zwanej ludności rosyjskojęzycznej. Jakie pani widziałyby tu rozwiązania?

No i masz, teraz trzeba będzie się pilnować. Mówić krótko i na temat, ale postarać się, żeby brzmiało to dość poprawnie politycznie. Starzy Europejczycy nie powinni mieć w tej kwestii żadnych złudzeń.

– Niestety, widzę tylko jedno rozwiązanie: ekstradycję rosyjskojęzycznych do Rosji. Niech idą do swoich.

– Czemu jednak wśród was, Estończyków, jest tak mało stronników chociażby stopniowej asymilacji ludności rosyjskiej?

– Wszyscy Estończycy – w tym i ja – są głęboko zasmuceni niezrozumieniem, jakiego państwa bałtyckie doświadczają od innych krajów UE. Niestety, nas, Estończyków, rozumieją tylko Łotysze, bracia w nieszczęściu, nawet Litwini wykazują się wyjątkowo krótką pamięcią historyczną. Problem Rosjan jest bardzo złożony. Historyczna wina rosyjskich okupantów wobec narodu estońskiego jest zbyt wielka, aby można było o niej zapomnieć. Ale tak poza tym to w gruncie rzeczy jesteśmy przecież gościnnym i serdecznym narodem.

Dziewczyna z uwagą słuchała Annę, jednak coś było nie tak. Ale co?

– Jesteśmy przyjaźnie nastawieni wobec tych, którzy nie wyrządzali nam zła. Ale żeby nie wiem jak Rosjanie próbowali wyrzec się swojej mowy i przystosować się do naszych obyczajów, czy moglibyśmy zapomnieć, że to oni narzucili nam krwawy komunistyczny reżim?

Ten chwyt zawsze przechodzi. Bo co by tu można powiedzieć przeciw?

– Gdybyście się nie dogadywali z bolszewikami, jak by tu Judenicza⁴⁵ sprzedać, to i narzucać nie byłoby czego.

O czym ona gada? Co za Judenicz? Aaa, tysiąc dziewięćset dziewiętnasty!

– Ale przecież wtedy bolszewicy ustąpili nam terytorium.

– I wtedy byli OK?

Dopiero teraz Annę zorientowała się, że dziewczyna mówi po rosyjsku.

– *Mina ei raagi venel*⁴⁶ – z niezrozumiałym dla siebie załęknieniem krzyknęła Annę. Kto by pomyślał, rozpuszczona ruska dziewczyna udająca socjologa. Młodzi Rosjanie lubią odstawiać takie numery, ale można ich szybciotko postawić do pionu. Pusty żołądek to coś romantycznego, tylko gdy się ma osiemnaście lat; po przekroczeniu dwudziestki chce się jednak jeść, i to bardzo. Kilka takich sytuacji odnotowanych przez policję i problemy ze znalezieniem pracy murowane. A rodzice prędzej mają dość utrzymywania dorosłego dzieciaka niż narzekania na władzę we własnej kuchni, bo też jedzenia w tej kuchni nie ma wcale tak dużo.

Annę starała się uspokoić, choć w dalszym ciągu się denerwowała. Tylko czemu, przecież nie ma powodu do obaw? To tylko jakaś ruska prostytutka, chuchro, jednym prztyczkiem można by ją przewrócić!

– Jak trzeba to wy wszyscy *raagi*, i to jeszcze jak!

Dziewczyna wepchnęła do kieszeni zbędno już palmtopa. Przy okazji znów rzuciła się w oczy niezgrabność ruchów jej lewej ręki.

– Co to za najście? To jest wbrew prawu! – Annę zrobiła trzy kroki w stronę okna, jakby wycofując się przed gościem.

– Ani kroku dalej! – z prawej kieszeni szerokiej kurteczki dziewczyna błyskawicznym ruchem wyciągnęła rewolwer. – Stój i nie waż się

45 W1919 r. jednostka wojskowa białych: Północno-Zachodnia Armia Ochotnicza (ros. CZAJ została zdradzona przez estońskich sojuszników, którzy poszli na tajny układ z bolszewikami w Dorpacie (Tartu), za plecami broniących ich białogwardystów.

46 Est. Nie znam rosyjskiego!

podchodzić do alarmu!

Jednak to nie rewolwer (w końcu nie wiadomo, czy prawdziwy) zmroził Annę krew w żyłach. Skąd ta małolata bez obywatelstwa wie, gdzie jest u niej alarm?! To po prostu niemożliwe, to nie do wiary! Zwyczajny przypadek, pewnie tak sobie tylko gada.

- Jaki alarm? Tutaj nie ma żadnego alarmu.

- Fakt, poza przyciskiem obok tego do podnoszenia żaluzji i fałszywego wyłącznika, nie masz żadnych lepszych zabezpieczeń. Rzeczywiście kiepskawo. A ty serio mnie nie poznajesz?

Ręka z rewolwerem była spokojna, nienapięta i niedrząca, akurat Annę dobrze się na tym znała. Lewa ręka tymczasem nie bez trudu zapinała kieszeń z palmtopem. Ruszały się tylko trzy palce. Dwa ostatnie, zastygłe w zgiętej pozycji, wyglądały jakoś nienaturalnie, jak martwe.

- Nie!!! - Na czoło Annę wystąpił obfity pot. - To nie możesz być ty!

Tymczasem to była ona, nawet niewiele się zmieniła z wyglądu. Tylko włosy miała teraz dłuższe. Wtedy były one krótko obcięte, dopiero odrastające, i tak brudne, że nie można było rozpoznać ich koloru. Tak samo małutka jak wtedy, jej twarz prawie w ogóle nie nabrała rysów dorosłej osoby. Chyba nawet wówczas wyglądała na starszą, być może z powodu spuchniętej i obolałej twarzy. Rękę miała obandażowaną starą szmatą z plamami zaschłej krwi, a ubrana była w podarty waciak zarzucony na cienką koszulkę - w końcu porwano ją latem, a na zewnątrz był już wówczas listopad. Zły, dziki czas - z drzew opadły ostatnie liście, to nie był dobry sezon na akcje. Dlatego też Annę pojechała w gościnę do Ahmeda. Dziewczynkę widziała może kilka razy i tyle. Co ona zresztą ją tam obchodziła. Mimo to, jej wygląd zapamiętała całkiem dobrze.

Jednak właśnie ten obraz, politowania godnej, wystraszonej dziewczynki z główką schowaną w drobnych ramionach, zupełnie jej teraz nie pasował do widoku dziewczyny, która z kamiennym spokojem mierzyła do niej z rewolweru.

- Ciekawe, że to właśnie owego języka „okupantów” używałaś, kiedy

się z nim pieprzyłaś. I targowaliście się także po rosyjsku!

– Ale ty nie jesteś Rosjanką! – krzyknęła Annę.

– Nawet to pamiętasz – dziewczyna uśmiechnęła się, nieomalże przyjaźnie. – Moja matka była Rosjanką, ale pewnie nie rozumiesz, jakie to ma znaczenie. Jednak w ruskiej krwi, cokolwiek by do niej domieszać, nic nie zginie. Podaj mi nazwisko chociażby jednego genialnego Estończyka; może być uczony albo kompozytor. Tylko mi tu bajek o Ristikivi⁴⁷ nie wstawiaj, u nas takich klasyków to w każdym wydawnictwie jest na pęczki⁴⁸. Jesteście kwadratami monoetnicznymi⁴⁹, jak u Marqueza⁵⁰, u takich w końcu dzieci się rodzą z czułkami, jak kosmici.

Dobra, niech tam sobie plecie nawet o Marksie i Leninie, najważniejsze, że sama podtrzymuje rozmowę. To prosta zasada - im dłużej trwa kontakt, tym trudniej potem wystrzelić. Potrenować sobie na strzelnicy to każdy potrafi, ale w takiej sytuacji liczą się inne umiejętności. Zagadać, podejść odrobinę bliżej, skoro już wie o alarmie, wystarczy ścisnąć jej rękę, a potem wykręcić. Poradzić sobie z tą smarkulą w szarpaninie to już małe piwo.

– To wszystko było tak dawno temu... Skąd teraz nagle te pretensje? To co robiłaś tyle lat?

– Uczyłam się – jak na razie dziewczyna miała się na baczności. Za wcześniej jeszcze, żeby podejść bliżej.

– Ach, uczyłaś się, tak? – Annę postanowiła udawać życzliwe

47 Ristikivi, Karl - estoński pisarz-beletyista XX wieku, uważany za klasyka estońskiej literatury.

48 Przez usta dziewczyny przemawia rosyjski szowinizm, jednak w zgodnej opinii nierosyjskich krytyków literatury dorobek Ristikiviego znacznie przewyższa osiągnięcia wielu socrealistycznych pisarzy rosyjskich (przyp. red.).

49 Według A. Alekseewa i L. Gromovej, autorów książki *Psychogeometria dla menedżerów*, ludzie, którzy spośród zaprezentowanych im figur geometrycznych wybierają kwadrat, odznaczają się określonymi cechami charakteru, takimi jak np. racjonalność (przyp. tłum).

50 W powieści Gabriela Garcii Marqueza *Sto lat samotności*, podjęty został temat genetycznego zwyrodnienia.

zainteresowanie. – Czego?

– Czego się uczyłam? – Dziewczyna uśmiechnęła się. – Podnosiłam kwalifikacje w nienawiści. Program rozszerzony. Roku by na to nie starczyło. Nie bez znaczenia było też zdiagnozowanie u mnie syndromu sztokholmskiego⁵¹. Myślałam nawet, że nigdy go nie miałam. Ale tak mi się tylko zdawało. Miałam. Oj, niewielu jest ludzi, którzy potrafią inteligentnie nienawidzić.

– Ale dlaczego ja? Dlaczego to właśnie mnie nienawidzisz?

To wariatka – myślała gorączkowo – prawdziwa wariatka. Niedobrze, wariaci czasem mają większą siłę w mięśniach, niż mogłoby się wydawać.

– Ciebie? Też coś. Nienawidzę wszystkich, rozumiesz? Wszystkich, którzy tam byli. Wszystkich, którzy mogli tam być, co ostatecznie na jedno wychodzi.

– Jednak to właśnie do mnie przyszłaś. A przecież ja byłam tam całkiem przypadkowo, nie jestem Czeczenką. To był tylko biznes.

– I to całkiem dochodowy, prawda? – Dziewczyna szybkim ruchem głowy wskazała na kanapę pokrytą stylową narzutą w kolorze ultramaryny w pomarańczowe geometryczne wzory. – Po sto dolarów za szeregowca, trzysta, czterysta za oficera. Jeśli liczyć tylko po szeregowych, to ilu zabitych kosztował cię ten kawał szmaty? Ze trzech ludzi, *ja?* Droga rzecz. Ilu to chłopaków nie wróciło do domu przez to, że usadowiłaś się na drzewku ze swoim karabinem! I to po co? Po to, żebyś mogła sobie nakupować mebelków do tej klity! Tu jest krwi po kolana!

– Nie, nie! Mylisz się! – Annę pilnie starała się zachować naturalny wyraz twarzy, nie pozwalając by odmalował się na niej strach, wiedząc, że równałoby się to pewnej śmierci. Mimo to, pot całymi strugami ściekał jej po plecach pod lekkim peniuarem. – Byłam w Czeczenii bardzo krótko! To wszystko tutaj mam dzięki odszkodowaniu, widzisz, za komuny zbudowali wielką fabrykę tam, gdzie moja babcia miała

⁵¹ Stan psychiczny występujący u ofiar porwania, objawiający się występowaniem uczuć sympatii w stosunku do porywaczy (przyp. tłum.).

dom! Mogę ci wynagrodzić straty moralne, mam konto w banku!

– Konto w banku to mam i ja, ty głupia pindo! – Dziewczyna wyglądała na coraz bardziej świadomą swej siły, a co najważniejsze, cały czas pamiętała, by zachować dystans. – Znalazłam cię zupełnie przypadkowo, ale skoro już tu jestem, to znaczy, że wiem o tobie wszystko. Wiele problemów można rozwiązać dzięki pieniądзом, nieprawdaż? Ale nie wszystkie. Nie zawsze można się wykupić od śmierci.

Dziewczyna nie spuszczała oka z alarmu, a może to raczej jej rewolwer go pilnował. Annę zupełnie niespodziewanie pomyślała o słomkowym trapezie, który na Boże Narodzenie zamierzała zawiesić w salonie, zamiast ustawiania w nim banalnej, europejskiej choinki. Nie zrobi już tego, bardzo wyraźnie to teraz rozumiała. Nie chodzi o dziewczynę ani o jej rewolwer, ale o coś innego. Czuła tę straszną, absurdalną pewność, że jakkolwiek opór nie ma sensu, bo przyszedł na nią czas. Czemu to ludzie nieraz tak dziwnie się zachowują przed śmiercią!

– Chcesz mnie zabić? – głos Annę był tak martwy i pusty, że sama go nie poznawała.

– Zabiję cię. I to zupełnie za darmo. Przejdź tam dalej, pod ten sztych.

Dla Annę praca w charakterze snajpera była zawsze tylko biznesem; nigdy nie rozmawiała ze swoimi ofiarami, nigdy nie oglądała ich żywych z bliska. Jednak ile to już razy zdarzało jej się słyszeć tę intonację. Co to za różnica, gdzie zabić, na środku pokoju czy pod sztychem? Żadna. Ale ten, kto zabija z bliska, nie wie, czemu, zazwyczaj wydaje jakiś rozkaz. Najczęściej zupełnie bezsensowny. A może jest w tym jednak jakiś sens?

Annę nie zdążyła już tego rozstrzygnąć.

Morderczyni w różowej wiatrówce w jednej chwili znów stała się małą dziewczynką. Podeszła do Annę i ostrożnie pochyliła się nad ciałem roślej, eleganckiej kobiety w czarnym, koronkowym peniuarze. Zgrabne, opalone nogi Annę leżały na długim jak źdźbła trawy włosiu dywanu. Dzięki dobremu obcięciu i pasemkom, jej cienkie, rude włosy wyglądały na ładniejsze, niż w rzeczywistości były.

Dziewczyna stała i patrzyła jeszcze przez dłuższą chwilę na swoją ofiarę, a następnie wyjęła z kieszeni plastikowy pojemnik z wilgotnymi chusteczkami do przecierania monitorów. Szybko i bardzo dokładnie wytarła wszystko, czego mogły dotykać jej ręce.

Paryż, rok 2048

– Ksiądz jest zbyt młody, by wiedzieć, jakiego banalnie melodramatycznego dejavu doznałam w tej chwili! – Kobieta swoim zwyczajem zaciągnęła się papierosem. – Za młodych lat moich rodziców kręcono mnóstwo filmów; a my jesteśmy jak wymarzeni do jednego z nich. Stara grzesznica ze skruszonym sercem opowiada historię swego życia młodemu księdzu, idealście z głową pełną wzniosłych myśli. I do tego jeszcze przystojnemu. W tamtych czasach katolicki celibat przedstawiano na dużym ekranie jako coś bardzo romantycznego. Oczywiście, to było, jeszcze zanim wprowadzono zakaz wyświetlania filmów chrześcijańskich, które mogłyby urazić uczucia muzułmańskich obywateli Europy. Jakiś czas później w ogóle zlikwidowano kina.

Duchowny udawał, że nie zauważa ironii jej słów. Przywykł już do sposobu wyrażania się Soni i składał to na karb czegoś, co w psychologii nazywano „rytuałem obrony”. Niezwykła, nawet teraz, była historia tej udręczonej duszy, która w młodości spalona została doszczętnie, a dziś zdolna jest znajdować siły do życia już tylko dzięki pielęgnowanej w sobie nienawiści.

– Powiedziała pani, że od tamtego dnia coś się zmieniło?– spytał cicho.

– Nie w mojej duszy, rozczaruję księdza. W ciele.

– To znaczy?

– Od czasu oswobodzenia mnie z niewoli, więcej już nie urosłam. Czym mnie tam lekarze nie faszzerowali! Od razu było widać, że taka już pozostanę, ze swoim metrem pięćdziesiąt. Chociaż między osiemnastym a dwudziestym rokiem życia nagle śmignęłam w górę jeszcze piętnaście

centymetrów. Tak szybko wtedy rosłam, że nawet zdarzało mi się przez to mdleć. No, a potem urosłam jeszcze jakieś trzy centymetry w półtora roku.

– Całe szczęście, że nie każda taka historia dodawała pani wzrostu – ksiądz uśmiechnął się i przez moment wydawało się, że ma mniej niż trzydzieści lat. – Zrównałaby się pani z minaretem Eiffla.

– Już i bez tego straszą mną dzieci – kobieta wypuściła kółeczko dymu. – Niestety, zupełnie niepotrzebnie.

– Nigdy nie zabijała pani dzieci? – ton głosu księdza przypominał palce lekarza, ostrożnie zbliżającego się do bolącego miejsca.

– Niestety, choć wiem, że to „niestety” księdza szokuje. To była głupota z mojej strony, nie zabijać ich, ale pozwalałam sobie na robienie takich głupot. A raczej - na nierobienie.

– Wszystkie dzieci są okrutne – odpowiedział cicho duchowny. Siedział naprzeciwko Sophie, odruchowo przysłaniając dłonią powieki. Nie miał na szyi stuły, po prostu zadziałał nawyk, który wszedł mu już w krew, gdy wsłuchiwał się w takie wyznania - automatycznie przyjmował postawę spowiednika.

– To inna sprawa. Szczerze mówiąc, to nie są dzieci w naszym rozumieniu tego słowa. To po prostu osobniki, które jeszcze nie osiągnęły pełnego rozmiaru i zdolności do rozmnażania się. Ich dusza i intelekt rozwijają się tylko do około piątego roku życia; potem tylko zwiększa się ilość przyswojonych informacji. Nawiasem mówiąc, trudno powiedzieć, jak to właściwie z nimi jest: czy to ich dzieci nie mają dziecięcych dusz, czy raczej ci ludzie nawet jako dorośli nigdy nie dorastają do rozróżniania dobra i zła. Powie ksiądz, że jak ich dziecko trafi w dobre ręce, to można je wychować na normalnego człowieka. Rozumiem księdza intencje. Tamci bardzo by sobie życzyli, żebyśmy tak właśnie myśleli, jednak sami mają zupełnie inne zdanie na ten temat. Tam, gdzie mnie przetrzymywano, ludzie uważali się za mistrzów eugeniki⁵². Całymi dniami rozmyślali, kogo by tu z kim skrzyżować,

⁵² Eugenika (od gr. *eugenes* = dobrze urodzony) - pojęcie wprowadzone w 1883 r. przez Francisa Galtona, kuzyna Karola Darwina, które dotyczyło selektywnego

żeby potomstwo bardziej się udało. Odważnych z mądrymi, skromnych z wesołymi; wszystkie cechy tejpów⁵³ są rejestrowane. Szkoda tylko, że rezultat tych wszystkich genetycznych zabaw jest zawsze jeden - zabójca i bandyta, Te eugeniczne brylanty trzeba dusić w kołyse, a jeszcze lepiej - w łonie matki. A najlepiej - w zarodku⁵⁴.

Duchowny przywykł już od tej dziwnej manieri swojej rozmówczyni - słowa napełnione nienawiścią i gniewem wypowiadała spokojnym, chłodnym głosem, głosem całkowicie pozbawionym emocji. Im ostrzejsze były słowa, tym chłodniejszy stawał się głos.

- Co więc panią powstrzymało od popełnienia tego grzechu, który uważa pani za dobro?

- Moje własne zasady: nie wolno się do nich upodabniać, pod żadnym względem. Dopiero co księdzu opowiadałam, jak tamta Estonka próbowała mnie zagadać. Dobrze wiedzą, że im dłużej się rozmawia z człowiekiem, tym trudniej go zabić.

- A nie jest tak?

- Tak, dla ludzi jej podobnych. Logika płatnego zabójcy - nie wolno dostrzec w ofierze niczego, poza nieożywionym przedmiotem, abstrakcją, celem. Moja logika podpowiada mi coś zupełnie innego. Trzeba patrzeć w oczy, trzeba widzieć. Widzieć, kogo się zabija. Tylko w ten sposób można wziąć na siebie odpowiedzialność. A jeśli nie potrafisz zabić, patrząc w oczy, to znaczy, że nie warto tego robić.

- Ale to musi być bardzo trudne.

- Ojczy, a kto powiedział, że trzeba to sobie ułatwiać? - kobieta

rozmnażania osobników (w tym ludzi), aby ulepszać gatunki z pokolenia na pokolenie, szczególnie jeśli chodzi o cechy dziedziczne (przyp. red. wg Wikipedii).

53 Czczeńskie struktury rodowe (przyp. tłum.).

54 Bohaterka wypowiada gorzkie słowa, które niejednokrotnie można usłyszeć z ust ciężko doświadczonych ofiar przepęlnionych nienawiścią. Nie sili się na obiektywizm. Jej osobiste dramatyczne doświadczenia i cierpienie, przez jakie przeszła, będąc dzieckiem, poniekąd wyjaśniają takie zacieńwienie w poglądach. Nic dziwnego, że nie identyfikuje się ona z moralnością chrześcijańską, choć w obliczu zagłady, jaką Zachodowi niesie islam, stoi w jednym szeregu z ludźmi o zupełnie innych poglądach. Patrz także zastrzeżenie na stronie 2 (przyp. red.).

uśmiechnęła się. – Logika tej snajperki sprowadzała się do biznesu, zlecenia. Porywaczom akurat łatwo się rozmawia z ofiarami, czerpią z tego ogromną przyjemność, wręcz szczytują, kiedy przeryniają komuś gardło. Żeby nie wiem jak chciała się do nich upodobnić, nie dam rady osiągnąć orgazmu przy naciskaniu spustu. Ale skoro oni zabijają nasze dzieci, to czy my mamy zostawiać ich dzieci w spokoju – wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi, na własną szkodę? Z czego się ojciec śmieje?

– Obrazi się pani może, ale jak dla mnie, to wszystko jedno, jaką kto sobie teorię dośpiewa, tam, gdzie skutek jest jeden.

– Teść mi to samo powtarzał.

Elektroniczny zegarek pokazywał pierwszą godzinę. Tylko dzięki tym migającym zielonym cyferkom można było zorientować się w tym podziemiu, czy na zewnątrz jest dzień czy noc.

– Czy to prawda, że był on prawosławnym popem, Sophie? A pani została ochrzczona w cerkwi?

– Cóż za jezuicki podstęp. To nie teść mnie chrzczył, tylko ciotka ze strony mamy zaniósła mnie do cerkwi, jak byłam jeszcze malutka. Ku wielkiemu niezadowoleniu moich żydowskich krewnych.

– Byli wierzącymi Żydami?

– Należeli do gatunku *homo sovieticus*, jeśli w ogóle da się jakoś nazwać ten historyczny fenomen. Wszelką religię uważali za nieszkodliwe dziwactwo. Do tego moja babka, matka ojca, była lekarzem i uważała, że to niehigieniczne, nosić gdzieś dziecko i zanurzać w zimnej wodzie.

– Nie, nie chodzi o to, że nie wiem, jakie były realia tamtych czasów. Ale na Zachodzie było gorzej, tam materializm po prostu przeniknął ludzkiego ducha i odcisnął swe piętno na religii. To jak tam było z pani teściem?

– Był popem i myślę, że życzyłby sobie innej żony dla swojego syna, zupełnie innej. Jego syn, Leonid Sévazmios... zrozumiał to i zaakceptował, że dzieci nie będzie, bo ja nie umiałabym wychowywać dzieci w świecie, w którym nie potrafię zagwarantować im

bezpieczeństwa. Mój ojciec, na przykład, nie przeżył tego, co mi zrobili – miał czterdzieści pięć lat, kiedy powaliły go rozmaite choroby. Pojawiały się jedna po drugiej, czasem dwie naraz, a to serce, a to wątroba, a to krążenie... A przecież on nigdy nawet na grypę nie chorował. Po prostu organizm się poddał. Strasznie mi go żal i dlatego nigdy nie chciałabym być na jego miejscu. Nie chciałabym też zresztą być na miejscu ojca mojego męża. Nie chodzi zresztą o mnie czy o te nienarodzone, niepoczęte wnuki. Dla papy Dymitra, bo tak go nazywali, to był straszny cios – odkryć, że jego jedyny syn, dla którego również wymarzył sobie duchowne powołanie, zajmuje się – pod przykrywką domu towarowego – dostawami broni. Delikatnie mówiąc, niezbyt to typowe zajęcie dla Greka. W końcu Grecy zachowywali się w tamtych czasach, tak jak zresztą prawie zawsze, dość samolubnie. Byli święcie przekonani, że islamizacja Europy ich nigdy nie osiągnie! Śmiech bierze, no ale w gruncie rzeczy ten mało praktyczny, kłótniwy chłopaczek, jak myślała o Leonidzie rodzina, był daleko bardziej praktyczny i rozumny niż oni wszyscy razem wzięci. Miał swoje pieniądze po matce i wszystko zainwestował po swojemu, nie pytając nikogo o zdanie. Do tego doszedł kolejny skandal – kryminalista w szanowanej rodzinie. Na szczęście, spotkaliśmy się, kiedy sprawa już przycichła. Ale to już zupełnie inna historia, kiedyś może opowiem, gdy nadarzy się stosowna okazja. Powiem tylko tyle; teść pogodził się z działalnością Leonida, kiedy syn powiedział mu jedno-jedyne zdanie: „Gdybyś ty wczoraj był oddany misjom ewangelizacyjnym, to ja dziś nie musiałbym kupować broni”⁵⁵.

– Z przykrością o tym myślę, będąc katolikiem. Był taki czas, kiedy po upadku struktur Kościoła rzymskokatolickiego i masowych

55 W samej tylko Danii w latach 1990-2000 islam przyjęło, wg naszych skromnych danych, od 3 000 do 5 000 Europejczyków. Program pierwszy duńskiej telewizji w 2004 r. zapoczątkował transmisje piątkowych modlitw z meczetu w Kopenhadze. Po duńsku kazania głosi imam Abdulwahid Bedarssen, Duńczyk. W Niemczech liczba rodowitych Niemców, którzy przeszli na islam, wynosi od 13 000 do 60 000 ludzi, przy czym liczba konwertytów w 2003 r. podwoiła się w porównaniu do roku poprzedniego.

aresztowaniach wśród wiernych i duchownych prawosławie miało jeszcze szansę wybawić Europę od islamu. Ale rosyjska diaspora była zbyt mała, a Grecy rzeczywiście nie prowadzili misji. Tymczasem islam stał już u bram. Wychodzi więc na to, że pani mąż miał rację z tym swoim przytykiem. Ale w tamtych czasach krucjaty jeszcze były możliwe. Mówi pani, że nie tylko nie stracił wiary, ale wręcz stał się wojującym wyznawcą?

– Tak, był bardzo gorliwym wierzącym.

– Jednak nie umiał wskazać pani drogi do Boga – tym razem ojciec Lotaire już nie pytał, a stwierdzał fakty.

– Nic na to nie poradzę, on wyssał wiarę z mlekiem matki, a ja... Być może zachodzi ksiądz w głowę, czemu mi się zebrało na takie wynurzenia. Oczywiście, jest ksiądz zbyt taktowny, by mi powiedzieć, że wielu ludzi ma tak po siedemdziesiątce. Rozczaruję księdza. Całe życie spędziłam w towarzystwie śmierci, zbawienie mojej duszy jest mi, jak zawsze, obojętne. – Sophie wstała i, skrywając wzburzenie, energicznym krokiem zaczęła przemierzać malutką przestrzeń pomieszczenia.

Ojciec Lotaire po raz kolejny nie mógł się nadziwić, jaka energia i młodość emanowały z jej ruchów.

– Niech ksiądz spróbuje zrozumieć, tacy wiarusi jak ja mają szczególnego rodzaju intuicję. Być może zastanawiam się teraz nad sprawami wiary częściej niż kiedykolwiek w całym moim życiu tylko dlatego, że przeczuwam... Bzdury opowiadam; jak ksiądz mógłby mnie zrozumieć, skoro ja sama siebie nie rozumiem.

– Sophie... nie obchodzi mnie, jaki jest tego powód – ksiądz również się podniósł i stali teraz naprzeciwko siebie w dziwnym napięciu, jakby to był pojedynek. – Cieszę się jedynie, że w ogóle nachodzą panią takie myśli, bo rzeczywiście ma pani nad czym się zastanawiać.

– Serio? – kobieta uśmiechnęła się.

– Nie przyszło pani do głowy, Sophie, że coś tu jest nie tak? Proszę popatrzeć, jak to wszystko wygląda z pani strony. Jest pani zatwardziałą materialistką, nic się tu nie zmieniło. Proszę nie myśleć, że dałem się zwieść tym, że nieraz sobie porozmawiamy o sprawach duchowych. Tak

więc, jest pani materialistką. ja jestem idealistą, mistykiem, i jak mnie tam pani jeszcze nazywa, czyli kimś, kto pani zdaniem, buja w obłokach.

– Przyjmijmy, że tak jest – kobieta wyjęła z oberwanej paczki kolejnego papierosa. Uśmiechała się.

– Czemu więc z nas dwojga to ja mam praktyczny cel, a pani – nie? Już od dawna chciałem to pani powiedzieć, ale szczerze mówiąc, nie miałem odwagi.

– O matko! Ale z księdza dzieciuch! Ksiądz naprawdę myśli, że istnieją jeszcze jakiegokolwiek słowa, które mogłyby mnie zranić? Proszę mówić.

– Choćby mój cel wydawał się pani nic nie wartą iluzją, jest on realny i, powtarzam jeszcze raz, ma praktyczne właściwości. Liturgia musi być odprawiana. Dopóki jest na świecie choć jeden ksiądz, choć jedna kropla wina i choć jedna garść pszenicznej mąki – inaczej być nie może. W imię tego umieramy, w imię tego idziemy na mękę. Pani zaś nie ma żadnego celu, tak samo jak cały wasz Ruch Oporu. Wojna nie może być celem, może być tylko środkiem. Tymczasem wojna, którą prowadzi Ruch Oporu, jest już od dziesięcioleci przegrana, przegrana ze zwycięstwem.

– To prawda. I cóż, jakoś nie rwę sobie z tego powodu włosów z głowy.

– Macie dobrze zorganizowaną siatkę konspiracji, bazy do ćwiczeń, kanały dostaw amunicji. Zapewne macie też konta bankowe za granicami Eurabii, bo wątpię, żeby Chińczycy dostarczali *Maquis'om* swoją pirotechnikę na ładne oczy. Ale celu, celu *Maquis* nie ma żadnego! Wojna dla wojny i nic poza tym. A na niej giną setki ludzi. Ten chłopak dziś ryzykował swoje młode życie po to jedynie, żeby było o jednego muzułmańskiego psubrata mniej. Ale prędzej czy później skończą się wam pieniądze i wyczerpią się zapasy broni, kryjóWKi zostaną zdemaskowane, a ostatni z was zostaną zabici. Muzułmanie ostatecznie zwyciężą.

– Prędzej czy później wyrzną wam winiarzy, zdemaskują kryjóWKi, zniszczą ostatni mszał i zabiją ostatniego księdza. Muzułmanie ostatecznie zwyciężą. – W oczach Sophie jakby igrała wesoła czarna

iskiereczka.

– Nic podobnego! – Szare oczy duchownego zaśmiały się w odpowiedzi. – Kiedy nie będzie można już odprawić mszy świętej, nastąpi koniec świata. A poganie wcale ostatecznie nie zwyciężą. Oni zostaną wysłani do piekła. To tylko według waszej logiki przeżyją nas, według naszej - nie!

– Och, cóż to za erupcja katolickiej dumy! Może jeszcze mi ksiądz powie, że w Polsce nie odprawia się mszy świętej, a prawosławna Rosja z górą Athos to już się w ogóle nie liczy!

– Nigdy bym czegoś podobnego nie powiedział, i dobrze pani o tym wie. W tych naszych, ostatecznych, jak się zdaje, czasach, każdy odpowiada sam za siebie. Nie jestem ani w Rosji, ani w Polsce. Sprawuję posługę we Francji. I muszę to robić tak, jak gdyby tylko od moich modlitw zależało, kiedy nadejdzie koniec świata. Oczywiście, można się w tym doszukiwać jakiegoś pierwiastka dumy. Ale w seminarium uczono nas, byśmy nasze słabości przemieniali w mechanizmy napędzające dobre działania.

– Rozumiem. – Czarne ogniki w oczach Sophie zgasły, a jej twarz stała się dziwnie delikatna. – Ten chłopak, Leveque, najprawdopodobniej nie dożyje nie tylko mojego wieku, ale nawet i wieku księdza. Zresztą co mu pozostaje? Zostać muzulmaninem?

– Przypomnieć sobie, że urodził się w Zachodnim świecie, którego szkielet rozwinął się na bazie chrześcijaństwa.

– Dałby już ksiądz spokój, przecież on się urodził chyba w trzydziestym roku! O jakim chrześcijaństwie mogła być wtedy mowa? Nie pamięta już ksiądz, jak bardzo wyjąłowany stał się katolicyzm? Stało się to zresztą na długo przed upadkiem Rzymu. Gdyby tak nie było, to Rzym by w ogóle nie upadł. Sam ksiądz prowadzi liturgię tylko dlatego, że przodkowie księdza należeli do mniejszości, która umiała się przystosować. Ale czy jest to księdza zasługa?

– Nie moja, ma pani rację. Ale i tak uważam, że moja działalność ma cel, a pani – nie.

– Nie umierać na kolanach! Czy nie można by to podciągnąć pod cel?

- Nie wiem, Sophie. Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem o tym przekonany.

Na elektronicznym zegarku było piętnaście po trzeciej. Tam, gdzie na zewnątrz, nastawał dzień, wiosenny, pełen zapachu drzew wypuszczających lepkie liście. Trudno było to sobie wyobrazić tu, w martwej mechanicznej przestrzeni, pozbawionej pór roku.

Prawie wszystkie papierosy z kontrabandy zmieniły miejsce pobytu z wymiętej paczki na plastikowy pojemnik po kawie, służący za popielniczkę. Cicho w nim dogasały, roznosząc nieprzyjemną woń. Ale dwa ostatnie jeszcze nie zamieniły się w zmięte niedopałki. Sophie niedbale wsunęła paczkę do swojej przepastnej kieszeni.

- To ja proszę o wybaczenie. Jestem ogromnie wdzięczna ojcu za to, że babra się razem ze mną w popiołach mojej przeszłości. A co do zmysłu praktyczności... Przecież ja naprawdę nie robię nic na darmo. Czuję coś w powietrzu. Coś bardzo ważnego, co dotknie w równym stopniu mnie, ojca, makisarów i katakumbników. Być może to właśnie będzie tym celem, nie wiem.

ROZDZIAŁ V

Ahmed ibn Salih

Z samego rana Jeanne przyniosła Valérie flakonik wody mydlanej do puszczenia baniek. Uradowana dziewczynka dmuchała w różowe kółeczko z plastiku i śmiała się, zachwycona, patrząc na tęcze kuleczki. Jeanne i Eugène Olivier łapali je, już to próbując schować je w dłonie, już to niszcząc je specjalnie głośnym kłaśnięciem, ciesząc się z radości Valérie nie mniej niż ona sama z baniek.

W pewnej chwili jednak dziewczynka porzuciła zabawę i zapominając o niej, odeszła w kąt zamyślona. Następnie wstała, ze zdziwieniem spojrzawszy na pojemniczek z wodą, który wciąż trzymała w ręczce i odstawiła go, jakby nie był jej już do niczego potrzebny.

–Dokąd ona idzie? – szeptem spytał Eugène Olivier, patrząc w stronę niknącej w korytarzu chudziuteńkiej postaci.

– Na miasto – spokojnym głosem odpowiedziała Jeanne – najprawdopodobniej do Notre Dame, jak zwykle. Będzie tam chodzić i płakać, a „zadki” jej nie przegonią, bo się boją.

Eugène Olivier mimo woli wzdrygnął się, jak gdyby przypadkiem dotknął żaby. Sam był w Notre Dame tylko raz i wystarczy mu do końca życia. Dobudowaną do niej betonową budkę mihrabu⁵⁶ widział nie raz, podobnie jak tron biskupi przerobiony na minbar⁵⁷ z doczepionymi do oparcia dwoma półksiężycami. W galerii, przegrodzonej cienką ścianą, wyzierają z podłogi - jak w toalecie publicznej - dziesiątki balii do mycia nóg... Kobiety myją nogi tam,

⁵⁶ Mihrab - nisza zwrócona w stronę Mekki.

⁵⁷ Minbar - tron imama w meczecie.

gdzie wcześniej stały organy, dla nich też przeznaczone jest całe drugie piętro, do którego wchodzi się od zewnątrz, po drabinie. Tu i ówdzie zachowały się jeszcze rozety z ornamentami, przez co tym bardziej rzucają się w oczy zwykłe szyby w miejscach, gdzie dawniej pyszniły się witraże z figurami świętych. Miałyby znów patrzeć na te ich pismo robaczkowe wyrzeźbione tam, gdzie niegdyś były łacińskie inskrypcje? Miałyby oglądać wyrwy w podłodze po zniszczonych posagach? Miałyby zgadywać, gdzie stała owa figura Matki Bożej, pod którą poległ jego dziad Patrice? Nie, on miał już dość. A Valérie chodzi tam prawie codziennie. Przecież to musi boleć bardziej niż najsurowsze biczowanie. A jeśli on to tak bardzo odczuwa, to co dopiero mała dziewczynka? Jak ją przed tym ochronić, co zrobić, żeby „zadki tam nie chodziły”? W głowie mu się mąci, czy co? Bzdura kompletna, niby jak teraz ich stamtąd wykurzyć?

– Daj sobie spokój – zirytowana Jeanne pociągnęła go za rękaw – akurat twój żal nie jest jej do szczęścia potrzebny. Ona oczekuje od nas tylko jednej rzeczy, której akurat nie możemy jej dać. Cieniasy z nas. A tak przy okazji, twoje dokumenty.

Eugène Olivier nie wyjawiał Jeanne, że właśnie myśleli o tym samym. Zresztą, to tylko myśli, o niczym to nie świadczy. Jeanne ma rację, cienias z niego. Nie od razu do niego doszło, że patrzy na zaklejoną taśmą kopertę prawie z takim samym niedowierzaniem, jak jeszcze przed chwilą Valérie na nową zabawkę. Tymczasem okazało się, że dokumentów był cały plik, ktoś musiał się przy tym nieźle natrudzić. Dowód osobisty mieszkańca getta, przepustka do pracy w mieście, karta członkowska miejskiego klubu alpinistycznego, najpopularniejsza karta kredytowa. Dodatkowo w pakiecie znalazła się również francuska gazetka prosto z rezerwatu, pomięta, na kiepskim papierze z równie kiepską zawartością. Co by się zresztą mogło znaleźć w całkowicie ocenzonej pisemku, oprócz przepisów kulinarnych, ogłoszeń w sprawie sprzedaży używanych samochodów, rebusów, krzyżówek i kącika „porady babuni”? Ktoś niezbyt doświadczony w rozwiązywaniu szarad, niedbale wpisał w kratki krzyżówki kilka słów. Eugène Olivier

zatrzymał się przy pobliskiej budce telefonicznej, nie wyjmując jednak z kieszeni dzinsów gazety.

– Sprzęt dostaniesz na miejscu, na ulicy Violette 10, mieszkanie zajmuje całe dwudzieste piętro – młody męski głos wydawał mu się znajomy, ale Eugène Olivier postanowił nie zgadywać, skąd go zna: kiedy „zadki” zaczną na przesłuchaniu wyciągać jelita, to tylko głupiec może powiedzieć, że na pewno nie pęknie. Im mniej się wie, tym lepiej dla wszystkich. – Naprawdę znasz się na komputerach?

Eugène Olivier machinalnie kiwnął głową, chociaż rozmówca nie mógł go przecież widzieć. Miał się czym pochwalić. Rzadka umiejętność wśród Francuzów nierenegatów. W getcie komputerów jest akurat tyle, co kot napłakał. Jest, co prawda, kafejka internetowa, ale z takimi filtrami, że nie ma w sumie po co tam chodzić.

– Na wszelki wypadek trzeba będzie wszystko skopiować, wszystkie pliki robocze, cały twardy dysk. Słowem wszystko, co tylko ci się uda. Masz na to kupę czasu – jakieś cztery godziny. Ale lepiej byłoby, gdybyś się uwinął w dwadzieścia minut. I posprzątaj po sobie. Żadnych odcisków palców, wszystko ma być czyścusiennie, jak dusza po spowiedzi. Powodzenia!

Zgnieciona gazeta wylądowała po drodze w koszu.

Nie minęła nawet godzina, kiedy Eugène Olivier, ubrany w syntetyczny kombinezon i rudy kask, jechał już w dźwigu po ścianie nowoczesnego wieżowca, jednego z tych, które zbudowali już za islamu. Do piętnastego piętra nie było normalnych okien, zamiast nich były tam długie wąskie świetliki, a i te były oszklone tak, że w rezultacie ściany przypominały jakąś dziwną zebłą - piętro z przyciemnianymi szybami, piętro z matowymi, i znów z przyciemnianymi. Wyżej były już normalne okna, zdaje się, że te mieszkania były droższe. Przy dwudziestym piętrze z uwagą przyjrzał się plastikowym ramom. Oczywiście były zamknięte, ale on w jednej z kieszeni miał już przygotowany zestaw specjalnych otwieraczy. Nie całkiem jeszcze rozwinięte liście kołysały się w dole, okrywając zieloną, przejrzystą chmurą stare dachy.

A gdyby tak na chwilę wyobrazić sobie, że wszystko to jest jakimś absurdalnym snem, a on sam jest po prostu zwykłym robotnikiem, który pracując na świeżym powietrzu, podśpiewuje sobie, a potem najspokojniej w świecie pójdzie na jakąś dyskotekę z dziewczyną, podobną do Jeanne. Pioruny laserów będą cięły ciemność, dźwięki muzyki będą przeplatać się ze śmiechem, to będzie święto szczęśliwej młodości, do której ma się pełne prawo. Tak bardzo chciałby móc w to wierzyć, ale nic z tego. Po pierwsze, nie mógł sobie wyobrazić siebie jako budowlańca. Teraz pewnie studiowałby na Sorbonie, na najbardziej ekskluzywnym kierunku, jaki tylko jest. Po drugie, wtedy, jakieś czterdzieści pięć lat wcześniej, kiedy życie było jeszcze normalne, nie mogłaby się narodzić dziewczyna podobna do Jeanne Sainteville. Takie jak Jeanne rodzą się tylko w czasie burzy. A on chyba jednak nie chciałby nigdzie chodzić z dziewczyną niepodobną do Jeanne, nawet na dyskotekę.

Szkoda, pomarzyć mu się zachciało, ale nawet i to nie wyszło. Ojciec Lotaire pewnie by powiedział, że z chrześcijańskiego punktu widzenia te wszystkie marzenia to szkodliwe bzdury, na które dusza marnuje swoje siły. No i dobrze.

Eugène Olivier zatrzymał dźwig między dwudziestym pierwszym a dwudziestym drugim piętrem. OK, w sam raz. Tu sobie wózeczek wisi, a tam sobie idzie pracownik. Chyba nie dało się znaleźć mieszkania, które w mniejszym stopniu przykuwałoby uwagę.

Po ścianie w dół szedł ostrożnie, z przyzwyczajenia. Zamek w oknie szczęknął i lekko ustąpił pod wytrychem. Eugène Olivier odczepił od siebie linę i wślizgnął się przez otwór do środka. *A niech to! Celofanowe ochraniacze na buty powinien być założyć na zewnątrz. Uwalane wapnem buty zostawiły duże, białe ślady na dywanie. Mniej więcej trzydziestometrowy pokój, cały był wyłożony luksusowym dywanem, najpewniej naturalną wykładziną. Perski czy turkmeński, czort go tam wie. Szykowny apartamencik, bez gadania. Skórzane fotele w delikatnym odcieniu zieleni wyglądały na tak miękkie, że z powodzeniem można by na nich spać. W zabytkowych donicach i wazach stały jakieś egzotyczne rośliny.*

Rzeźbione drzwi lekko chodziły w zawiasach. W sypialni facet ma jeszcze białe skóry na podłogach, widać dywan to za mało. O, jest i gabinet, z olbrzymim dębowym stołem pośrodku pokoju; stoi na nim monitor. Coś tu jednak jest nie tak. Coś każe mu mieć się na baczności. Ten tam najczcigodniejszy Ahmed ibn Salih jest jakiś taki... za porządny. Na czym on ogląda filmy, gdzie słucha muzyki? Niby tego nie wolno, ale przecież wiadomo, że ci wykształceni muzułmanie i tak korzystają z różnego typu rozrywek, gdy nikt nie widzi. Kolaboranci się boją, a tacy - nie. A może trzyma wszystko na komputerze? Nawet hasła sobie nie założył, można sobie pooglądać, co tam ma. Nie, nie ma. Ani muzyki, ani filmów.

Eugène Olivier zaczął kopiować pliki, zły sam na siebie, że traci czas na głupoty. *Co tam kierownictwo chce znaleźć - nie wie, i w ogóle go to nie obchodzi, ale założyłby się, że tego czegoś i tak na pewno nie ma w takim schludnym, zbyt porządnym komputerku.*

A co, jeśli to jest tak zwana zmyła, jak dawniej mówiono? Co, jeśli na tym gigantycznym stole pośród schludnych teczuszek z wydrukami i czasopism naukowych w jednej z kilkunastu przegródek leży sobie jego notebook, pełen nie tak już schludnych i porządných katalogów?

Mimo tych nieprzyjemnych wątpliwości zajmujących jego myśli, Eugène Olivier nie zapomniał o wkładaniu zapisanych dysków do przedniej kieszeni. Jest jeszcze sporo czasu, poza tym, jego zegarek jest wyposażony w urządzenie do odbioru alarmu. Jeśli Ahmedowi ibn Salih nagle przyjdzie do głowy wrócić do domu przed czasem, chłopcy stojący na czatach pod blokiem zdążą dać znać. Można powiedzieć, że jest zupełnie bezpieczny. A gdyby tak poszukać tego notebooka?

Eugène Olivier usiadł na skórzanym obrotowym fotelu, odchylił głowę na wysoki zagłówek, oparł ręce na podłokietnikach i przymknął oczy. *Hmm, jeśli facet jest wysoko postawionym, być może odrobinę leniwym dyrektorem laboratorium badawczego, to gdzie mógłby położyć laptopa tak, żeby nie był na widoku, ale jednak pod ręką? Sądząc po tym, gdzie leży myszka, jest praworęczny. Sięgać lewą ręką jest niewygodnie, to znaczy umieścił go gdzieś na prawo i to w takim miejscu, żeby nie trzeba było podnosić się z fotela. (Jeśli, rzecz jasna, odrzucić takie przyjemne*

założenie, że jego prawdziwe miejsce pracy znajduje się w ogóle w innym miejscu, np. w kuchni albo jeszcze gdzie indziej). Co my tu mamy z prawej strony? Stos książek na stole, a pod spodem pudło z artykułami po angielsku. No tak, nie sposób być na bieżąco z nowinkami naukowymi, jeśli czyta się tylko arabskie czasopisma. Jest tu też kilka,, co też zupełnie zrozumiałe, rosyjskich gazet z załączonym tłumaczeniem, ale nie do wszystkich artykułów, tylko do tych zakreślonych czerwonym markerem. Po angielsku mówimy, po rosyjsku nie, po japońsku... jeszcze jedna teczka, wychodzi na to, że nie... aha! Brulion do pisania, jeszcze jeden... Bingo!

Eugène Olivier nigdy nie miał w zwyczaju rozmawiać sam ze sobą, toteż nawet w chwili radosnego triumfu swojej intuicji wstrzymał zwięźsi okrzyk.

To, co na pierwszy rzut oka wydawało się być jeszcze jednym brulionem, okazało się szukanym notebookiem ukrytym w malinowej teczce. Całkiem dobry komputer paryskiej firmy „Farhad”, choć tak naprawdę nawet największy kretyn wie, że „Farhad” robi tylko projekty obudowy i może jeszcze kilka drobnych aplikacji w klawiaturze. Wsad w stu procentach chiński, co do najmniejszego chipa. Chiny nie sprzedają samego wsadu, dlatego kompy „Farhad” są jakieś półtora raza droższe: klient płaci za cały ten makijaż. Tak czy inaczej interesy firmy kwitną, jako że wśród urzędników i kierowników wyższej rangi, w dobrym tonie jest wspieranie „rodzimej przedsiębiorczości”. Eugène Olivier zawahał się chwilę, wążąc komputer w rękach, jak gdyby chciał ocenić, ile obrzydliwości kryje się w środku. *Nawet jeśli jest jakoś sprytnie zaszyfrowany, to najwyżej nie uda mu się niczego skopiować. Mimo to, jakoś nie ma ochoty go otworzyć. A, niech tam, raz się żyje!*

*Ordinateur*⁵⁸ włączył się natychmiast, ledwo podniosła się klapka. Ładował się bardzo szybko, nie trzeba było wpisywać żadnych haseł, i teraz dopiero było widać, o ile ten model przewyższał stacjonarny. Mignęły ikonki menu logowania, jednak z niewiadomych względów system operacyjny nie pozwolił Eugène’owi Olivierowi na dokonanie wyboru - sam gdzieś kliknął i poleciał dalej.

58 Fr. komputer (przyp. tłum.).

Zaraz potem na ekranie pojawił się jakiś głupi czat. W polu komunikatów wyświetliło się powiadomienie po angielsku, a raczej w tym anglo-arabskim żargonie, który przyjął się w Anglii, że na czat wszedł Obcy. *A niech to, głupio wyszło, najwidoczniej Ahmedowi ibn Salih ten laptop służy tylko do wirtualnych kontaktów. Oczywiście, warto byłoby poczytać, o czym cała ta zgraja sobie dyskutuje, ale teraz lepiej będzie już się zmywać. Wygląda na to, że dane skopiowały się prawidłowo, a cała reszta - to jego bzdurne domysły. Zresztą ten ktoś zaraz sobie pójdzie, nie będzie przecież sam ze sobą gadać.*

„Obcy: Nieproszony Gościu, wejdź” – okienko mignęło wściekle pomarańczowym kolorem. Nie, jednak ciekawość jest silniejsza, zobaczymy, o czym będą rozmawiać. W okienku czata ponownie pojawiło się zaproszenie:

„Obcy: Nieproszony Gościu, wejdź”.

Innego nicku w dalszym ciągu nie było.

„Obcy: Nieproszony Gościu, wiem, że tam jesteś”.

Ktoś tu gra w chowanego? Najwidoczniej komuś się nudzi. Nie ma co tracić czasu na bzdury. Aha! Nie ma okienka dla prywatnych rozmów, bo czat jest tylko na dwie osoby. „Nieproszony Gość” to zapewne nick Ahmeda ibn Salih, a osoba po drugiej stronie dostała sygnał, że czat jest aktywny.

Eugène Olivier chwycił za pokrywę laptopa, żeby zamknąć cały ten głupi czat. *Oby tylko nie zostały żadne ślady!*

„Obcy: Nieproszony Gościu, siedzisz przy moim stole i jeszcze się nie rozłączyłeś. Nie rób tego”.

Laptop spadł Eugène’owi Olivierowi na kolana. Cacko wytrzymało, nie tylko nie spadło na podłogę, ale jeszcze wyrzuciło kolejny pomarańczowy wers.

„Obcy: Nieproszony Gościu, przestań się wygłupiać. Ja nie zgaduję, że tam jesteś, ja wiem”.

Wygląda na to, że faktycznie wie. Jednak nie obyło się bez pozostawienia śladów. Tak czy siak, pliki już ma, a skoro tak, to nie ma się co zabezpieczać.

„Nieproszony Gość wszedł na czat” - oznajmił niebieski napis.

„Nieproszony Gość: Obcy, paszół won". – Eugène Olivier zdawał sobie sprawę z tego, że zachowuje się w tej chwili jak kompletny idiota, ale palce jakoś same przesuwały się po klawiaturze.

„Obcy: Nieproszony Gościu, nie przejmuj się tak, dokąd ja pójde. Ty akurat nie pójdziesz już nigdzie".

I tu się, skarbenku, mylisz. Cokolwiek byś zainstalował na drzwiach, przeliczyłeś się co do okien, sądząc, że sama wysokość załatwia sprawę. Gdyby były na nich czujniki, już dawno by zadziały.

„Obcy: Nieproszony Gościu, zobacz sam".

Coś szcęknęło, lecz nie w laptopie. Wyglądająca na solidną, cienka stalowa krata opadła z miejsca, gdzie umocowano żaluzje. Cisnąwszy notebook na podłogę, Eugène Olivier rzucił się w stronę innych okien - one wszystkie, jak i oba wejścia - główne i tylne, zostały w jednej chwili zakratowane.

Idiota, i to jaki! Cały ten notebook - to alarm z niespodzianką. I to stąd właśnie ktoś steruje drzwiami i oknami. Maleńka wyrafinowana pułapka. Nie na złodzieja, ale na tych, którzy szukają tu informacji.

Cieniutkie gumowe rękawiczki jakby nagle napełniły się wodą. Ciekawe od czego ma takie mokre ręce? Chłodny pot spływał mu po policzkach, włosy na czole stały się wilgotne. Leżący na pokrytej dywanem podłodze notebook dalej wyświetlał wiadomości.

„Obcy: Nieproszony Gościu, muszę z tobą porozmawiać".

O, nie wątpię.

„Nieproszony Gość: spadaj!"

Jaskrawe zdania straciły wszelki sens - zwykle migotanie jakichś tam literek. Kątem oka Eugène Olivier zauważył, że na ekranie pojawiają się nowe komunikaty, ale tylko prześlizgnął się po nich wzrokiem, nawet ich nie czytając, *jeśli czegoś szkoda, to tych plików. A ty, łajdaku jeden, i tak sobie ze mną nie pogadasz, przykro mi bardzo! Zresztą, pokroić mnie na kawaleczki albo przypalać oczy papierosami, jak to macie w zwyczaju, też ci się nie uda.*

Trudno, sam sobie winien. Eugène Olivier wyszedł z przestronnego pokoju i zajął do kuchni.

Kuchenka elektryczna. Szkoda, że nie gazowa. O, no proszę, jedna z szuflad kuchennych też zakratowana. Pewnie tam noże trzyma. Boimy się Ruchu Oporu. A gdybym miał przy sobie pistolet? Namierzyliby z jakiejś kamery i puścili gaz. Ale pistoletu brak. Najprawdopodobniej za jakieś pięć minut spadnie tu cała banda. I to nie ci z ochrony, co stoją na dole, bo już by tu byli; pewnie zaraz podjedzie pod blok samochód z jakimś elitarnym oddziałem policji religijnej. Trzeba działać szybko. Z czego by tu można zrobić danie w pięć minut? O, jest! Eugène Olivier podniósł leciutki toster. Kretyn z ciebie, Ahmed ibn Salih. Chociaż w sumie to nie, nie jesteś kretynem, ty po prostu mnie nie doceniłeś.

Łazienka obłożona była marmurem Sienny, skrzącym się bursztynowym kolorem. Ogromną wannę nafaszerowaną urządzeniami do hydromasażu i umywalki w kolorze szampana obudowano czarnym drewnem. Oj, łajdaki, lubicie luksusy! Gniazdko powinno być tuż obok umywalki.

Na zawieszonym wysoko lustrze ukazała się blada twarz z podkrążonymi oczami. Szare oczy nie wiedzieć czemu zdawały się czarne. Tylko włosy takie jak zawsze - jasne, z wierzchu prawie jak len, nieco ciemniejsze od wewnątrz. Typ normański, tak się chyba wyraził ojciec Lotaire. Woda trysnęła silnym, jasnoniebieskim strumieniem, pieniającym się bąbelkami. *Co teraz porabia Jeanne? To i tak już nie ma znaczenia. Oberwany guzik koszuli w kratę, wiszący na jednej nitce, figlarnie pokręcone puszyste włosy, malutkie usta w kolorze berberysu.*

Zegarek na nadgarstku przenikliwie zapiszczał. A niech to, szybciej! Gorzko tego pożałuje, jeśli teraz nie zdąży.

Nie od razu udało mu się trafić wtyczką do gniazdka. Eugène Olivier, chwyciwszy oburącz toster, wepchnął go do wody. Nic się nie stało. Co jest, zepsuty czy co?! Eugène Olivier zaśmiał się krótko. Rękawiczki!

Zegarek dalej piszczał. Eugène Olivier w pośpiechu ściągał rękawice z rąk.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, zanim osunął się na podłogę, były jakieś przekleństwa w obcym języku, zdaje się, że perskim. Eugène Olivier zobaczył, jak pochyła się nad nim jakiś barczysty, wypięłgnowany

mężczyzna z przystrzyżonymi wąsikami i w rozpaczliwym szale zdał sobie sprawę, że nie zdążył umrzeć. Uderzenia prądu nie było; za to ktoś uderzył go w głowę, w lewą skroń i od tego ciosu strasznie dzwoniło mu w uszach, a świat wokół zawirował.

Czarne błyszczące oczy Ahmeda ibn Salih napotkały jego wzrok i zapłonęły nienawiścią. Arab nagle wyprostował się i zgrzytnął zębami, wrywając kabel z kontaktu, a następnie z całej siły rzucił tosterem o kafelki, które odpowiedziały głuchym brzękiem.

Dobra, to już koniec, wszystko przepadło – pomyślał Eugène Olivier – ale że też jakiś leniwy Arab zdążył tu przylecieć od samych drzwi przez przestronną łazienkę i go uderzyć, jego, żołnierza Maquis?! Ach ty, gnoju, żeby cię tak szlag trafił!

Eugène Olivier powoli stawał na nogi, opierając się plecami o ścianę. *Żeby chociaż mieć coś ostrego, ale nie, bez sensu, przecież tamten na pewno nie jest tu sam.*

– Mogłeś przynajmniej doczytać do końca, gówniarzu – wykrztusił Arab ciężko dysząc. Jego pierś unosiła się teraz jak miech kowalski. – Napisałem przecież, że nie zamierzam ciebie wydawać policji, ani religijnej, ani zwykłej.

– Tak? A ja uwierzyłem na słowo – odgryzł się Eugène Olivier.

– Nie widzisz, że jestem sam? Pomyśl trochę, na co by mi to było? – Ahmed ibn Salih wyjął batystową chusteczkę i zaczął ocierać mocno spoconą twarz. Eugène Olivier, mimo nerwów, z zadowoleniem stwierdził, że jego zręczny cios sporo kosztował uczonego.

Gospodarz wyszedł z łazienki, najspokojniej w świecie obracając się do gościa plecami, przekonany, że ten pospieszy za nim. Czyli co, naprawdę jest sam? Czy to jakaś podpucha? Zobaczmy. Coś za bardzo pewny siebie jesteś, dostojny effendi⁵⁹.

– Nie ma tu podsłuchu – Ahmed ibn Salih usiadł ciężko na skórzanym fotelu. Wysoki wzrost dobrze mu służył, inaczej byłby grubasem. Mięciutkie siedzenie od razu zbliżyło się do podłogi o jakieś piętnaście centymetrów.

59 Arab. tu: uczoney.

– Myślę, że to nie mój problem – Eugène Olivier uśmiechnął się. Od silnego uderzenia wciąż ledwo trzymał się na nogach, ale zdawało się, że Ahmeda ibn Saliha mało to obchodziło, tak jak i to, czy „Nieproszony Gość” będzie tak stał, jak stoi, czy sam znajdzie sobie miejsce, gdzie mógłby spocząć. Nie doczekawszy się i tak już spóźnionego zaproszenia, Eugène Olivier usiadł na kanapie.

– Tak myślisz? Mam na myśli Sophie Sévazmiou. – Arab siedział naprzeciwko, cały czas uważnie przyglądając się mu przenikliwym wzrokiem, przez który przebijała się chłodna niechęć i coś w rodzaju obrzydzenia.

– Kogo? – Serce zabiło mocniej, ale Eugène Olivier wiedział, że twarz go nie zdradzi.

– Słyszałeś. Mam adres. Getto de Pantin, skrzyżowanie Siódmej i jedenastej ulicy.

Eugène'a Obviera znów ogarnęła nienawiść, gwałtowna, niepozwalająca myśleć o niczym innym. Minęły dwa lata odkąd mer Paryża wydał rozporządzenie nakazujące zamianę nazw ulic w gettach na liczby porządkowe. Francuzi, rzecz jasna, w swoim gronie nazywali ulice po dawnemu. Jeśli już wypowiadali numer jako nazwę ulicy, to zawsze z takim obrzydzeniem, aby rozmówca nie miał wątpliwości, co sądzą o całej sprawie. Mówić o numerach ulic z tak czystą obojętnością mógł tylko wróg, a Eugène Olivier rozmawiał z wrogiem pierwszy raz w swoim osiemnastoletnim życiu - patrząc mu prosto w oczy, tonąc w miękkich, skórzanych poduszkach.

Tylko spokojnie, bez nerwów! Czort wie, co tu się dzieje, ale trzeba mieć oczy dookoła głowy i uważnie słuchać. O Panie, żeby tak przyłożyć sobie coś zimnego do czoła albo coś wypić, od razu wzięłyby się w garść, ale przecież nie będzie prosić tego brudasa.

– Myślała pewnie, że to bezpieczne miejsce, ale inni dobrze o nim wiedzą. Tak, tak, getto de Pantin, blok 7/11, mieszkania 5. Sophie Sévazmiou mieszka tam już od tygodnia i zamierza pozostać jeszcze kilka dni.

Teraz już nie w głowie mu były emocje, bo gdy się słucha tak, jak

teraz słuchał Eugène Olivier, oddychanie przestaje być ważne. Skąd on zna jej adres? A może blefuje?

– Kiedy jej o tym powiesz, ona, rzecz jasna, zmieni adres. Zbytek troski, że tak powiem. Można spokojnie tam zostać. Policja religijna nie ma o niczym pojęcia. Chociaż na waszym miejscu byłbym ostrożny z tymi spotkaniami w getcie. Władza jest właśnie w trakcie wdrażania nowego planu. Będą zatrzymywać pod jakimś małoistotnym pretekstem podrostków z co dwudziestej rodziny, ale samą rodzinę zostawią w spokoju. Aresztowanych będą sądzić, a potem wysyłać do więzień dla niewiernych – do Compiègne, na przykład. Myślę, że słyszałeś, jak tam jest. Nie ma w tym przecież nic nadzwyczajnego, że jakiegoś piętnastolatka zatrzyma się pod zarzutem pokazania takiego czy innego gestu w czasie wezwań na modlitwę i wsadzi do paki. Rodzice są gotowi na wiele, byleby choć odrobinę złagodzić dziecku pobyt w Compiègne. Już nawet nie o to chodzi, żeby go wypuścili, wiadomo. Ale żeby móc chociaż przesłać mu tabliczkę czekolady, wybawić od karceru usytuowanego pod wygodką, od seksualnego obsługiwania strażników. Dziesiątki cudzych istnień – to dla nich cena w pełni do przyjęcia. Tak się werbuje donosicieli.

W miarowym, dobrze modulowanym głosie Ahmeda ibn Saliha wyczuć można było wszystko, tylko nie współczucie dla ludzi, zmuszonych do haniebnego i straszego wyboru.

On nie kłamie – szybko zrozumiał Eugène Olivier – *najpewniej mówi prawdę, rzeczywiście ostatnio częściej wyłapują podrostków. Wcześniej jakoś się nad tym nie zastanawiał, jemu akurat w razie wpadki więzienie nie groziło. Do Compiègne wysyłają tylko za drobne wykroczenia. Tu akurat Arab nie kłamie, ale czy wszystko, co mówi, jest prawdą?*

– Dobra. Nie zamierzam się dalej bawić w kotka i myszkę. Czego ode mnie chcesz i po jaką cholere mi to wszystko opowiadasz?

– Rzeczywiście, co za sens rozmawiać o spotkaniach *Maquis* z człowiekiem, który wpadł do mojego domu, żeby ukraść toster? – Ahmed ibn Salih uśmiechnął się, na moment przenosząc wzrok na wetkniętego w szkło miniaturowego żółwika.

Całkiem niezła myśl, a może mu powiedzieć, że jestem złodziejem antyków, którego diabeł podkusił, żeby pograć w gry na jego laptopie? Nie, bez sensu, akurat by mu uwierzył.

– Muszę się spotkać z Sophie Sévazmiou. Tak, wiem, nie masz pojęcia, co to za jedna. Za to ja wiem coś, czego nie wiedzą prawowierni, i milczę. Niech to będzie gwarancją czystości moich intencji.

Co on, kpi czy o drogę pyta?! Żadnemu z tych brudasów Sévazmiou nigdy nie uwierzyłaby na słowo, nie uwierzyłaby w nic, co mówią. Żadnemu z nich nie pozwoli narzucać sobie reguł gry.

– Możesz jej coś przekazać? – Ahmed ibn Salih podniósł się gwałtownie i wyszedł z pokoju. Po swoich ludzi? Do telefonu? Eugène Olivier bezszelestnie prześlizgnął się do drzwi. Słysząc było jedynie niecierpliwie postukiwanie, jakby jedna za drugą wysuwały się szuflady komody.

– To, co zgrałeś, a wygląda na to, że ściągnąłeś sobie cały mój twardy dysk, możesz, oczywiście, przekazać komu chcesz – z drugiego pokoju odezwał się donośnym głosem uczony. – Chociaż myślę, że najbardziej zainteresowana byłaby nim madame Sévazmiou. Z góry uprzedzam, że moje pliki będą dla niej niezbyt zajmujące. Są zupełnie ocenzone.

To powiedziawszy, Ahmed ibn Salih bezszelestnie podszedł do drzwi, stając wprost naprzeciwko Eugène'a Oliviera. W rękę miał celofanowy pokrowiec z jakimś pudełeczkiem w środku. Arab wytrząsnął na dłoń pudełeczko, a właściwie szkatułkę z gruszonego drewna, z nieco wytartym wzorkiem na wysuwanej przykrywce.

– Proszę – Arab wyciągnął pudełeczko w stronę Eugène'a Oliviera.

– Proszę otworzyć – Eugène Olivier zrobił krok w tył.

Kiwnąwszy głową, Ahmed ibn Salih ostrożnie odsunął przykrywkę i zademonstrował zawartość szkatułki, a raczej brak zawartości, jako że była pusta. Następnie, już z własnej woli, pochylił się i powąchał małeńki drewniany przedmiot.

– Zapach jest rzeczywiście dość ostry, ale niegroźny.

Ciemne ciepłe drewno silnie pachniało korzennymi perfumami.

Eugène Olivier z niedowierzaniem obrócił rzecz w dłoniach. Bardzo stare cacko, najprawdopodobniej kiedyś było ozdobione bursztynowym wzorkiem, ale prawie wszystkie kamyczki się ukruszyły. No i co? Oj, nie lubił takich gier w ciemno. Ma przed sobą wroga, bez dwóch zdań, i to wroga, który nawet nie potrafi tego ukryć.

– Możesz to oczywiście wyrzucić na ulicy do najbliższego kosza – Ahmed ibn Salih wyszedł na korytarz, nie pozostawiając wątpliwości, że rozmowę uważa za zakończoną. – Ale na twoim miejscu bym tego nie robił.

O tak, oczywiście, niczego bardziej nie pragnę, jak tylko dowiedzieć się, co byś zrobił na moim miejscu. Najważniejsze, to wiedzieć, co ja mam zrobić na swoim miejscu. Co będzie, jeśli okaże się, że to wszystko to jakaś diabelsko sprytna pułapka? W końcu nic prostszego, jak poświęcić gońca, żeby zdobyć hetmana, a raczej królową. Także dzięki za radę odnośnie do kosza na śmieci, tylko raczej nie najbliższego.

– Wiesz co – Ahmed ibn Salih, idący przodem w stronę przedpokoju, nagle gwałtownie się zatrzymał, jakby zwęszył cudzą myśl, i zawrócił. – Jeśli dziś wieczorem Sophie Sévazmiou rzeczywiście będzie pod tym adresem, to przynęty na haczyk chyba nie są mi potrzebne? Sprawdź sam, będzie tam czy nie?

*

Pod adresem, wskazanym przez Araba, znajdował się malutki sklepik ze starociami, który wypadłoby raczej nazwać rupieciarnią, aby bardziej oddać stan faktyczny. Pod ścianami piętrzyły się obładowane ubraniami wieszaki; same ubrania należały już raczej do minionej epoki. Wprawdzie w dzisiejszych czasach też szyje się damskie bluzki z krótkim rękawem albo na ramiączka - do noszenia po domu - jednak te tutaj były o wiele bardziej wyzywające. Nikomu z muzułmańskich projektantów nie przyszło by do głowy zaprojektować na przykład taką bluzeczkę w kratkę, z wygodnymi kieszeniami, albo tę gładką, beżową. Na półkach stały ciasno jeden obok drugiego fajansowe kufle, niektóre z pociesnymi malunkami przedstawiającymi zwierzęta poubierane w

ludzkie stroje. Ileż to ich powstało na przełomie wieków; prawowierni tłucli, tłucli, a i tak nie dali rady tego wytepić. Były tu też metalowe i rzeźbione ramki do zdjęć, które z uwagi na zakaz fotografowania, straciły rację bytu. Naturalnie, o wiele bardziej rzucały się w oczy rzeczy zupełnie neutralne: obtłuczone wazy, tace i szkatułki. Dlatego też, gdy Sophie obracała w dłoniach podejrzaną przesyłkę, komuś niewtajemniczonemu mogło się wydawać, że po prostu pyta o cenę jednego z wystawionych na sprzedaż przedmiotów. Nawet wyrazem twarzy przypominała człowieka leniwie rozmyślającego nad zakupem jakiegoś drobiazgu..

– Istotnie, znam tę rzecz – Sophie zakołysała się w starym fotelu na biegunach, na którym usiadła, w dalekim kącie zagraconego pokoju. – W tym pudełeczku mój teść trzymał czerwoną mirrę. Myślę, że nawet gdybym zapomniała, te odkruszone bursztyнки i zapach by mi przypomniały. Takie miał dziwactwo, wołał mirrę od kadzidła. No, no, dobrze jest mieć w zanadrzu liścik, który odczytać może tylko adresat, jestem pod wrażeniem. To znaczy, że to wszystko było przygotowywane od dawna.

Eugène Olivier zdusił w sobie ciekawość. Szeregowiec nie powinien zadawać generałowi pytań, nawet jeśli może się wydawać, że ten coś z nim omawia. W rzeczywistości Sophie Sévazmiou po prostu głośno myśli, przecież to niemożliwe, żeby interesowało ją zdanie człowieka, który do południa zdążył już dwa razy zrobić z siebie idiotę. Rekord, i to żeby tylko! Nie udało mu się, po pierwsze, ochronić samego siebie, a co za tym idzie, ściągnął niebezpieczeństwo na całą masę ludzi - to po drugie. Na dodatek nie wiadomo jeszcze, czy trzecia sprawa nie okaże się jego trzecią głupotą i to największą.

– Nie dumaj tak, chłopcze, to dla ciebie za ciężki orzech do zgryzienia. Jak widzisz, to, że cię nie zabili, na nikogo nie ściągnęło nieszczęścia. – Sophie wsunęła szkatułeczkę do kieszeni, a z drugiej wyjęła swoje nieodłączne papierosy.

– Nie byłbym tego taki pewien – Eugène Olivier zdobył się na tyle odwagi, żeby podnieść wzrok.

– Chciałbyś wiedzieć, czy ktoś z moich krewnych z męskiej linii pozostał przy życiu? – Sophie uśmiechnęła się, zaciągając się. – Podaj mi z łaski swojej popielniczkę, zaraz będę strząsać popiół na podłogę, a staruszek George nie zatrudnia pokojówek. Nikt się nie ostał, o ile mi wiadomo. W każdym razie, w Eurabii. Poza tym, wszyscy wiedzą, że szantażem nic się ode mnie nie wyciągnie.

Tego akurat Eugène Olivier nie wiedział, ale pewne przerażające opowieści faktycznie do niego dochodziły. Był kiedyś taki przypadek, muzułmanie coś próbowali, lecz wszyscy zakładnicy zginęli. Pomszczono ich w tak straszny sposób, że kolejnych prób wahhabici już nie podejmowali. Zemsta zajęła prawie rok, ale ostatni z zamieszanych w śmierć tamtych ludzi ciągle jeszcze pozostawał przy życiu. Po prostu odszedł od zmysłów, oczekując, kiedy przyjdzie mu podzielić los poprzedników. Ponoć do dziś chowa się pod szpitalnym łóżkiem na widok każdego nieznajomego sanitariusza. Nawiasem mówiąc, równie dobrze może to być bajeczka, jedna z wielu, które zazwyczaj ciągną się za ludźmi takimi, jak Sophie Sévazmiou.

– To jedyne, co mi przyszło do głowy – wyszeptał samymi ustami. – Jest wrogiem, a co może kombinować wróg, jeśli nie szantaż?

– Zapewne wiele różnych rzeczy – Sophie zakotyssała się w fotelu – wiesz, czemu nie opanowali całej planety? Nie możesz tego pamiętać, ale był taki czas, że mogli.

Eugène Olivier milczał. Zjadało go poczucie winy, było tuż za pazuchą, jak ten lisek, o którym opowiadała mu w dzieciństwie matka, gryzący spartańskiego chłopca. Pozostawało mu tylko cierpieć i nie przyznawać się do winy, przecież nie prosił, by mu wybaczyć albo przyznać rację.

– A może byś tak usiadł na jakąś skrzynkę, zamiast mi majaczyć przed oczami – jak zwykle, nawet najbardziej niewinna uwaga Sophie brzmiała jak mimowolny rozkaz. – Widzisz no, jeszcze za czasów starego świata ci synowie Allacha chełpili się swoją propagandą, jakoby to, w odróżnieniu od chrześcijan, nie potrzebowali pośredników do rozmowy z Najwyższym. To wszystko oczywiście bzdura totalna, ale lepiej ode

mnie wytłumaczy ci to ojciec Lotaire. Nawiasem mówiąc, warto go poprosić, żeby ci o nich opowiedział, wroga trzeba znać. Najbardziej kuriozalne jest to, że jednak w tych bzdurach Jest odrobina prawdy. Żaden z tych dumnych szczęśliwców „rozmawiających bezpośrednio z Allachem” nie potrafi pojąć, czemu innemu szczęśliwcowi Allah równie bezpośrednio mówi coś zupełnie innego. Zwłaszcza jeśli chodzi o jakies konflikty na tle majątkowym.

– Nie potrafią się ze sobą dogadać! – Zapach dzikich rosyjskich papierosów zabijał skutecznie aromat mirry. Ciekawe, co w niej takiego jest, że jej obecność napełnia takim szczęściem? I to nie tylko jego, ile razy już widział odzwierciedlenie porywów jego własnej duszy na twarzach innych ludzi.

– Więc nie dali rady, w przeciwnym razie byłoby już po nas. Teraz też im się nie uda. Ktoś wyjątkowo cwany wymyślił, żeby w rozgrywce przeciw swojemu prawowiernemu bratu w wierze postawić na kafirów⁶⁰. Sam ten Ahmed, czy ten kto za nim stoi, nas nie obchodzi.

No i teraz wszystko jasne – pomyślał Eugène Olivier. – Zrozumiałeś, dupku? Tak, tak, już Sophie Sévazmiou pędzi, wprost leci, żeby tylko się z tobą spotkać. Niedoczekanie twoje, ty psi synu!

– W jakim miejscu ten typek zaproponował spotkanie? – Sophie dogasiła tłący się niedopałek.

Eugène Olivier aż podskoczył, zrzucając na podłogę jakąś skrzyneczkę z taką siłą, że wysypała się z niej całkiem absurdalna zawartość - chińskie wachlarzyki z papieru.

– Pokerzysty to z ciebie, chłopcze, nie będzie – czarne oczy Sophie roześmiały się. – No ale cóż, załóżmy, że chce się posłużyć siłą *Maquis* w ciemno. W tym celu może nam wydać jakiegoś pionka z tej ichniej agentury. Prosta sprawa - mogą od nas potrzebować kilku wyjątkowo udanych egzekucji, żeby jakiś urzędas, który nie zdołał zapewnić bezpieczeństwa ważnym personom, wyleciał z roboty. Dla własnej wygody potrafią bez mrugnienia okiem donosić na siebie nawzajem, na tyle ich już znam,, Ale i my mamy szansę zagrać tymi kartami, jednak

60 Kafir - inaczej giaur, niewierny

nie w jego grze, a w naszej. Poza tym, niby skąd on wie to, czego nie wie policja religijna? Tu akurat brudas nie skłamał, prawowierni nie mają na tyle mocnych dowodów, żeby mogli mnie schwytać i przetrzymywać. Nie podoba mi się to, bardzo mi się to nie podoba. Będziesz musiał effendi zaspokoić moją ciekawość w tej sprawie. No, a oprócz tego... Oprócz tego jest jeszcze jedna dziwna rzecz. Skąd on właściwie zdobył ten przedmiot? Wszystkie osobiste przedmioty księdza Dimitrija Sévazmiosa pozostały w Rosji.

ROZDZIAŁ VI

Cena strachu

Miasteczko Ateny, rok 2021

Gdybyś ty wczoraj był oddany misjom ewangelizacyjnym, to ja dziś nie musiałbym kupować broni". Te słowa syna wciąż brzmiały w uszach ojca Dimitrija. Białe, wykonane z marmuru stopnie piwnicy usłane były płatkami ciemnych róż, przez co zdawały się być jakby skropione krwią. Bezchmurne niebo błyszczało lazurem, którego nie znają chłodniejsze nieboskłony. Młoda kobieta, odłączywszy się od tłumu, stała pośród jasnych krzyży, stłoczonych po obu stronach wąziutkiej dróżki. Stała zupełnie nieruchomo, tylko jej czarne okrycie tańczyło, targane przez wiatr.

Ojciec Dimitrij pomyślał, że pierwszy raz widzi ją w takim stroju. Ręcznie robiona koronka czarnego szala, zarzuconego na związane w antyczny, prosty węzełek włosy, swobodnie opadający, szeroki dół długiej spódnicy, odkrywającej jedynie kostki w czarnych pończochach i przepiękne buciki na niewysokim obcasie, z cieniutkimi rzemykami oplatającymi nogi. W żałobnym, ale i bardzo kobiecym stroju jej uroda zajaśniała.

W tym momencie ta zupełnie niegrecka kobieta wydawała się nie tylko Greczynką, ale najbardziej greckim wcieleniem starożytnej kobiecej boleści, Medeą albo Elektrą. Z pewnością nie żałamywała rąk i nie rwała sobie włosów z głowy, skąd jednak ten lodowaty czarny powiew? Czy jej mąż zdawał sobie sprawę z tego, jaka jest piękna? Wątpliwe. Prawdopodobnie nawet na własny ślub przysłała w adidasach.

Jednak nic pewnego nie można było powiedzieć w tej sprawie.

Pobrali się przecież w sekrecie, do głębi uraziwszy tym dobrą setkę krewnych.

Zazwyczaj jej piękno było dobrze ukryte pod wiatrówkami, męskimi swetrami i nieodłącznymi jeansami. Królewski łuk szyi zasłaniały bezładnie rozpuszczone włosy, twarz schowana była za ogromnymi ciemnymi okularami. A przecież mogłaby, gdyby tylko chciała, błyszczeć w kręgach, do których od urodzenia należał Leonid. Tak, mogłaby i to nawet na przekór swojemu nieznanemu pochodzeniu. Nikt nie wiedział na pewno, czy była Rosjanką czy Żydówką. A ona nie chciała tego wyjaśniać.

Uroczystość dobiegała końca. Mały cmentarzyk był bardzo stary i rodzinny, dlatego nie było potrzeby organizować tradycyjnego konduktu. Procesja szła w stronę willi piechotą, rozpraszając się w drodze powrotnej wśród mogił i cyprysów.

„Czym można by was tu zająć? No dobra, bez pośpiechu. Wy dwaj, zorientujcie się co tam się dzieje z sedesem w narożnej toalecie - zwykle szumi piętnaście minut po każdym spuszczeniu wody. Ty tutaj, idź pozbierać po pokojach puste puszkę, zwłaszcza w sypialni pod łóżkiem powinno ich tam być od groma, i znieś to wszystko na dół do kosza. Worki są w kuchni, pod zlewem! A ty możesz mi tymczasem wyczyścić buty”.

To były ostatnie słowa Leonida Sévazmiosa, zanim podziurawiony kulami opadł na głęboki fotel w ich niewielkim mieszkaniu niedaleko od Kifissou - niezbyt drogim miejscu w Atenach, za to całkiem wygodnym. Mieszkanie, opasane tonącym w kwiatkach i zieleni balkonem, składające się z sypialni, niewielkiego gabinetu, jeszcze mniejszego pokoju przeznaczonych dla gości i jadalni-salonu, również nie było luksusowe, ale zupełnie przytulne, w sam raz dla młodej, bezdzietnej pary. Zamiast kuchni zrobili aneks ze zlewozmywakiem, płytą na dwie fajerki i lodówką, oddzielony matowymi przeszklonymi drzwiami - jedynym źródłem światła dziennego. Mogła się tam swobodnie poruszać tylko jedna osoba. Nie można powiedzieć, żeby te

niedogodności bardzo martwiły młodą gospodynię. Rzadko kiedy jedli kolację w domu, za to często zamawiali z pobliskie) knajpki coś szkodliwego dla figury i żołądka. Nieraz o drugiej w nocy objadali się jakimiś pierogami ze smażonym mięsem, zanurzonych w ostrych przyprawach a i tak byli chudzi i zdrowi.

Sonia jak gdyby na własne oczy widziała twarz Leonida wypowiadającego te słowa, widziała otwarty, pełen nieświadomionej wyższości uśmiech, widziała, jak postawił na gazetnik nogę, ubraną w but ze sznurowadłami, na skórzanej cienkiej podeszwie - mieli przecież iść do teatru na jakąś modną antyczną sztukę.

Jego ostatnie słowa nie były wprawdzie antyczne, ale oddawały całego Leonida - w tej właściwej tylko jemu, wyrachowanej beztrójce. Kuriozalny zbieg okoliczności, co tu dużo mówić. Ale przecież w jego chłopięcej wprost brawurze była dokładna i natychmiastowa rachuba. Gdy nagle zaczęła się psuć elektryczność, a zaraz potem mechaniczna część zawiasów u drzwi bezgłośnie i momentalnie ustąpiła, a do mieszkania z widocznie zamierzonym hukiem wtargnęło czterech z automatami, nawet już nie próbował sprawdzać, czy działa telefon. „Bez sensu”, powiedziałaaby sama Sonia. Tylko że zdawać sobie sprawę, że coś nie ma sensu - to jedno, a odpuścić sobie rozpaczliwą próbę ratowania się - to zupełnie coś innego. Leonid w mig pojął, że wyslizgnąć się nie ma jak. Wyłowił więc z czwórki napastników przywódcę, po czym naubliżał mu nieco bardziej niż pozostałym - i to w ich obecności. Sprowokował po prostu tępego buca do zastrzelenia go długą serią. Tamten walił w gniewie, dopóki mu się nie skończyły naboje. I o to właśnie Leonidowi chodziło - tak się uchronił od tortur. Ostatecznie, kto by chciał, żeby mu przed śmiercią gasili papierosy na genitaliach i wydłubywali oczy pożyczonym z kuchennego kącika otwieraczem do butelek? Błefował więc i w rezultacie wygrał lekką śmierć.

Idąc między białymi krzyżami, była święcie przekonana o jednym - umarł spokojny. Wiedział przecież, że Sonia nie wejdzie do domu, nie zadzwoniwszy wcześniej z ulicy i nie usłyszawszy w słuchawce znajomego głosu. A i ten znajomy głos powinien pewne słowa

powiedzieć, a innych, wprost przeciwnie, nie powinien mówić. Na wpół bawiąc się tym, bo byli wtedy jeszcze bardzo młodzi, wynajdowali dziesiątki wymyślnych środków ostrożności, rozpracowywali dziesiątki sytuacji - zmęczeni inną grą, miłosną, leżąc na czarnym jedwabnym prześcieradle rozciągniętym na materacu z naturalnej gąbki, w nowiutkim łóżku nieco stylizowanym na antyk.

Leonid kochał luksus i Sonia, kiedy nudziło się jej szokować rodzinę męża podartymi džinsami, dawała czasem za wygraną. Nieczęsto, oczywiście, ale w tym dniu, gdy nie odebrał telefonu, przesiedziała trzy godziny w salonie, cierpliwie znosząc fryzjerskie starania, by z jej niepokornie prostych włosów wznieść skomplikowaną fryzurę z lokami.

Wszystkim czterem zamachowcom udało się wtedy ukryć, choć zamiast Soni, doczekali się policji.

Licząc od tamtego dnia, sądzone jej było dowiedzieć się, jakie były ostatnie słowa męża, dopiero po trzech i pół roku. Trzeci z czworga bojowników (dwóch nie udało się wziąć żywcem) zламаł się praktycznie od razu. Rewolwer, ślizgający się po twarzy, znakomicie stymulował jego pamięć. Sonia sprawdzała. Zgadzało się wszystko - wspomniał, że Leonid był w białej koszuli z postawionym kołnierzykiem, ale jeszcze bez muchy. Mówił jeszcze o całej masie wszelkiego rodzaju drobiazgów, świadczących o tym, że nie zmyśla. Skąd by zresztą taka kreatura zmyśliła coś takiego? Kiedy wypowiedział trzy razy bez nowych ubarwień to samo zdanie Sonia, spiesząc się, żeby ta nic nie warta paszczyka, która przekazała jej ostatnie słowa męża, nie zdążyła dodać niczego od siebie, wepchnęła w nią lufę.

Ale nie od razu wystrzeliła. Jakaś dobrą minutę patrzyła na młodą twarz, najprawdopodobniej twarz ich rówieśnika, twarz jakby rozdzieloną na dwoje: pokryte ciemną opalenizną czoło, nos i górna część policzków, a niżej wszystko białe, nawet gęsta szczecina nie mogła skryć tej białości. Bojownik naiwnie rozstał się ze swoją „mudzahedińską” brodą w próżnej nadziei na zatarcie śladu, oszukanie śmierci. Lecz śmierć patrzyła na niego, uśmiechając się kącikami ust, uśmiechając się oczami, w których tańczyły maleńkie iskierki. Śmierć

miała dziewczęcą gęstą grzywkę, włosy zebrane w koński ogon szeroką staromodną spinką, a ubrana była w niebieską dżinsową koszulę. Nie było sensu skomleć, czując ten chłód metalu w ustach. Oblicze śmierci rozplywało się przed nim przez zalewające oczy łzy, najszczerze, obfite, ściekające po policzkach. Nie, nie, błagam, nie! To był ostatni raz, kiedy zabijała ich z jakimikolwiek emocjami.

– Sophie, zaczekaj – ojciec Dimitrij w końcu postanowił naruszyć jej samotność.

Sonia zwolniła kroku, a następnie zatrzymała się. Poprawiła rozwiany wiatrem szal, uśmiechając się samymi tylko ustami, za to spokojnie.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – cicho powiedział ojciec Dimitrij.
– Nie, nie o Leonidzie. Wątpię, czy jest jeszcze cokolwiek, co moglibyśmy sobie o nim powiedzieć. Jestem już starym człowiekiem, i chciałbym z tobą po prostu chwilkę pogadać. W domu nie będzie warunków, mnóstwo ludzi przyszło...

– No to pogadajmy, ojcze – jej spokój był nie do zniesienia.

Byłoby mu lżej, gdyby płakała. *Panie, daj jej, temu biedactwu, dar łez!*

– O czym?

– O Rosji. Chyba dobrze zrozumiałem, Sophie, że zamierzasz teraz wrócić do ojczyzny?

– Być może, na pół roku, nie wiem jeszcze, jak się wszystko ułoży. Ale nie zamierzam mieszkać ani w Rosji, ani w Grecji. Ja w ogóle już nie potrzebuję własnego domu. Nawet, jeśli miałby być wielki jak cały kraj.

– To jedyny powód, dla którego nie chcesz mieszkać w Grecji?

– A jest jeszcze jakiś inny?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Twój mąż skazywał swoich rodaków.

– I nie tylko ich. To co, mam się w związku z tym na Marsa przeprowadzić? Mówią, że tam nie ma powietrza.

– Rodaków skazywał częściej niż innych – ojciec Dimitrij mówił z dziwną zadyszką, tak jakby miał za mało powietrza, co w tej poprzecinanej ostrzami cyprysów pachnącej przestrzeni, na wietrze niosącym słaby posmak soli morskiej, było mało prawdopodobne. –

Nawet ja nie mogę tu teraz pozostać.

– Jak to? Czyżby Grecja nie była „jedynym krajem w tym szalonym świecie, który się zbawi”, ojczec? – młoda kobieta próbowała zmiękczyć głosem intonację. Nie szydziła specjalnie, po prostu nie umiała inaczej.

– Nawet i teraz nie odcinam się od swoich słów – ojciec Dimitrij nie zwrócił uwagi na ironię jej słów. – Grecja siebie zbawi, ale innych nie. A Rosja zbawi innych tylko wtedy, jeśli najpierw zbawi samą siebie. Jakieś piętnaście lat temu, a może więcej, jeździłem przecież po Rosji w składzie wspólnej delegacji cerkwi prawosławnych. Niewiele ci na ten temat wiadomo, Sophie, ale dokonywały się wtedy poważne procesy zjednoczenia. Nie wszystko wyszło tak, jak miało być, ale dużo udało się zrobić. To, rzecz jasna, wzmocniło prawosławny świat. Niemniej jednak, wiele nieprzyjemnych rzeczy poraziło mnie wtedy w Rosji. Ogromny kraj, cerkiewni hierarchowie wyniesieni zbyt wysoko ponad naród. Zamknięte rezydencje, reprezentacyjne samochody, dziesiątki referentów i sekretarzy siedzących przy komputerach i telefonach, filtrujących dostęp zwykłych śmiertelników do władzy. Arcybiskup sprawuje świąteczną liturgię w soborze, widzi tłumy wiernych, wśród nich - młodzież, kobiety z dziećmi na rękach, odwiedza zapełnione studentami seminaria, wizytuje dźwigane z ruin przez przedsiębiorczych zakonników klasztory. Ogląda świeżo wydane w cerkiewnych wydawnictwach książki, czyta kaznodziejskie czasopisma. I zaczyna mu się wydawać, że jest archijerejem⁶¹ prawosławnego kraju. Najbardziej niebezpieczna iluzja, jaka tylko może być! Moje dziecko, patrzyłem wtedy na statystyki. Co za potworne brednie! Tych, którzy uważają się za prawosławnych, było więcej niż wierzących w Boga. Pomyśl tylko, sprowadzili religię do folkloru! Do malowanych pisanek i bab. Procent ludzi, przestrzegających postów, praktycznie się nie zwiększył - jak było za komunistów, w czasie prześladowań, tak pozostało⁶². A duchowni na

61 Archijerej - tytuł wyższego duchownego prawosławnego.

62 Według danych z badań socjologicznych (WCIOM, Analityczne centrum J. Lewady, itp.), przeprowadzanych w Federacji Rosyjskiej pod koniec lat 90. i na początku roku 2000, liczba respondentów nazywających siebie prawosławnymi

parafiach skarżyli się, że największy problem mają z „zachożanami”⁶³. To ludzie, uważający siebie za nawróconych, choć w rzeczywistości trudno tak ich nazwać. Dla „zachożanina” czymś normalnym jest ochrzcić dziecko i nie troszczyć się już potem o jego wychowanie religijne, wziąć ślub w cerkwi, a potem się rozwieść, chodzić na nabożeństwo dwa albo trzy razy do roku. Wielu wierzących mówiło mi wtedy, że niedawno Wielki Tydzień zbiegł się ze świętem 1 maja - tą spuścizną komuny. No i co? Na wszystkich kanałach w telewizji leciały programy rozrywkowe, wygłupiali się jacyś pajace i błazny. Gdzie tu choć odrobina szacunku dla umartwienia prawosławnych? Myślisz, że u nas w Grecji przeszłoby coś takiego? A te kiczowate bale noworoczne w samym środku adwentowego postu? Odłóżmy jednak na bok ten męczący spór o kalendarz. Powiem krótko: chrześcijańskie państwo powinno się dopasować do kalendarza Kościoła, a nie na odwrót! Rosja powinna zrozumieć - w odróżnieniu od Grecji - że jej prawosławna część jest mniejszością w społeczeństwie. A przez to, że jest tam trochę cerkwi, powstaje wielka iluzja prawosławnej dominacji⁶⁴.

- Czemu ojciec cały czas tylko myśli o Rosji? - Sophie z ulgą zauważyła, że cała ta płomienna tyrada świadczy o tym, że jej teść wcale nie podupadł na duchu. Wcześniej obawiała się, że utrata ukochanego syna mogła śmiertelnie porazić jego duszę, pozostawiając ciało, by już tylko wlokło się do własnej mogiły. Dobrze, że tak się nie stało.

- Bo moje myśli jedynie wyprzedzają mnie samego.

- Co ojciec chce przez to powiedzieć?!

przewyższyła liczbę respondentów nazywających siebie wierzącymi w Boga o ok. 20%.

63 Gwarowe w jęz. ros. określenie osób, których łączność z chrześcijaństwem ogranicza się do incydentalnych zachowań kultowych, bez osobistego nawrócenia i bez modlitwy (przyp. red.).

64 Trudno się dziwić temu procesowi biorąc pod uwagę wieloletnią penetrację rosyjskiej Cerkwi prawosławnej przez sowiecką bezpiekę. Dotyczyło to zwłaszcza wyższego duchowieństwa, z patriarchą Moskwy na czele. Już marionetką w rękach KGB był patriarcha Pimen, jednak miary służalstwa dopełnił inny patriarcha Moskwy 1 Wszechrusi - Aleksiej II, który był regularnym agentem KGB o pseudonimie „Drozdów” (przyp. red.J).

– To, co powiedziałem. Przeżyłem śmierć syna. Łzy przemyły mi oczy. Jednak nie przeżyłbym odrzucenia ze strony rodaków. Dużo rozumiałem i wiele mnie to kosztowało, a oni - oni pozostali tacy sami, bez żadnej zmiany. Lepiej więc będzie dla mnie opuścić Grecję, niż wystawiać Najwyższego na próbę z powodu gniewu noszonego w sercu. Znalazłem nowe pole dla działalności misyjnej. Wiem, gdzie jestem potrzebny. Niech książęta Cerkwi bujają sobie w obłokach iluzji. Bóg ich będzie sądził, ale w masie skromnego, średniego duchowieństwa⁶⁵ każdy kapłan się przyda. Wstąpię do zakonu w Rosji, a Dimitrij Sévazmios zniknie na zawsze, razem ze swoją winą.

– Kiedy chce ojciec jechać?

– W przyszłym tygodniu. Kwestie rachunków bankowych i nieruchomości poleciłem załatwić braciom. Myślę, że zrobię tam dobry użytek ze swojego majątku, a krewni zatroszczą się także i o twój los. Zgodnie z testamentem Leonida rozdysponują przeznaczone dla ciebie środki na różnych kontach, tak żebyś mogła pobierać pieniądze w każdych okolicznościach. Nie martw się, nasza rodzina zjadła zęby na finansowych trikach. Wiem, że potrzebujesz tych pieniędzy i nawet domyślałem się na co. Ja ciebie nie oceniam, Sophie, nie mam prawa nikogo osądzać, nie tylko jako chrześcijanin, ale też jako człowiek, który zdążył popełnić w życiu wiele gorzkich pomyłek. Chcę ci tylko powiedzieć jedną rzecz. Dzięki pieniądзом Sévazmiosów twoje możliwości zwiększą się dziesięciokrotnie. Niech Pan sprawi, aby równie wielkie stało się twoje poczucie odpowiedzialności. Wiem, że nie jesteś wierząca, chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Podejrzewam, że przestrzegając zasad, żeby nie zasmucać męża i jego rodziny. Myślę, że było to tylko uzdą dla twojej niepokornej duszy i że teraz zrzucisz to jarzmo i zerwiesz ten cienki płaszczyk religijności, jaki dla nas przywdziałaś. Nie rób takiej miny, dziecko, częścią narodowego charakteru Greków jest realistyczne spojrzenie na życie. Byłbym

⁶⁵ Dla kontrastu chwałą I chlubą tego kościoła są tacy duchowni, jak ojciec Aleksander Mień, zamordowany przez KGB w czasach już po perłastrojce (przyp. red.J).

zadziwiony, gdybym usłyszał, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat choć raz przestąpisz próg cerkwi. Z drugiej strony jednak, nie mam teraz żadnych wątpliwości, że jeszcze zwrócisz się do Boga. Nieprędko to nastąpi, ale przyjdiesz do Niego. Opuść mi wszystko. Wiedz, że modłę się za ciebie.

– Ojciec... Dopiero teraz zrozumiałam, po kim mój mąż był tak niezwykłym, tak szczególnym człowiekiem. Doprawdy, dziedzictwo to wielka rzecz. Niech mi ojciec wybaczy te wnuki, których nie miał przeze mnie, je przede wszystkim.

Skąd on ma rzecz należącą do ojca Dimitrija? – nie wiadomo który już raz pomyślała Sophie, wchodząc do warsztatu samochodowego. Podziemny zakład był niewykończony, podobnie jak i budynek supermarketu znajdujący się nad nim, ale zgodnie z piątkową tradycją muzułmańską nikt dziś tu pracował. Worki cementu, kłęby kabli, goły beton ścian, jakieś nieco fantasmagoryczne zarysy lewarka - w starych filmach takie miejsca były czymś w rodzaju miejskiej sublimacji gęstego lasu. To właśnie w takich miejscach na bohaterów napadały potwory - gangsterzy, przybysze z obcych planet albo monstra. Ile to już lat minęło, od czasu gdy oglądała ostatni normalny film?

– Niezłe miejsce, prawda Sophie? Sporu tu różnych wyjść i jest gdzie rozstawić ludzi na czatach.

Sophie przytaknęła. Wąskie okna pod sufitem, pokryte gęstą warstwą budowlanego pyłu, dawały niezbyt wiele światła, ale gdy młody człowiek odchylił kawałek papy, zakrywający nieukończony podjazd, wszystkie szczegóły spartańskich warunków panujących w pomieszczeniu stały się wyraźnie widoczne. Po robotnikach pozostał tu składany stół, stary zwykły taboret poplamiony farbą i kilka skrzynek po marokańskich pomarańczach.

Słychać było kroki. Do przejścia zbliżał się wysoki człowiek w roboczym kombinezonie - najbardziej odpowiednim do tego miejsca ubraniu. Tylko na pierwszy rzut oka można było go wziąć go za robotnika. Wysokie czoło, wielkie cienie pod zmęczonymi oczami i bladawa twarz świadczyły o tym, że nie parał się pracą fizyczną.

Żołnierski chód i oszczędne ruchy mogły zdezorientować do reszty.

– Już myślałem, że zabłądziłem, ale akurat usłyszałem, jak sprzątacie to przejście – powiedział zamiast przywitania.

– Nie chciałym pana obrazić, ale nie rozumiem, co pan tu robi – zachmurzyła się Sophie. – Chyba niepotrzebnie wspominałam niedawno o tej historii.

– Niech pani da spokój, nie będę przeszkadzał. Posiedzę sobie, posłucham. Co ja tu robię? Cóż, sam chciałbym to wiedzieć. Może wystarczy, jeśli powiem, że nie tylko pani, Sophie, miewa od czasu do czasu przecucia.

Sophie nie zdążyła odpowiedzieć. Zdecydowanym ruch ręki nakazała zebranych zamilknąć. Widać było, że dochodzący z dali odgłos kroków, choć ledwo słyszalny, nie podobał się jej bardzo. Twarz Sophie poszarzała. Człowiek, który w odległości około trzydziestu kroków wyłonił się zza fornirowej skrzyni niezidentyfikowanego urządzenia, był bez wątpienia Arabem. Wysoki, przy kości, jak typowy Arab w średnim wieku, który nie kala się żadną aktywnością fizyczną. Z daleka były widoczne jego kasztanowe faliste włosy i pełne, zmysłowe usta. Ubrany w jasny, letni garnitur, cały był obwieszony złotem - zapinkami, szpilkami, pierścieniami, w których na potęgę skrzyły się rubiny.

– Upewniła się już pani, że nikt nie siedzi mi na ogonie? – przybysz spoczął na zakurzonej skrzynce naprzeciwko Sophie z beztroską człowieka posiadającego więcej niż jedno niedzielne ubranie. – Dobry wieczór, pani Sévazmiou.

– Nie jestem pewna, czy ten wieczór będzie jednakowo dobry dla obu stron – Sophie uśmiechnęła się cierpko. – Przejdźmy do sedna. Czemu mnie pan niepokoi?

– Można by się spierać, kto kogo najpierw zaniepokoił – jej rozmówca uprzejmie skłonił głowę. – Wczoraj miałem rewizję, nie mówiąc już o bezprawnym wtargnięciu.

– Bezprawnym? Domyślam się więc, że jako porządny obywatel postarał się pan o zatrzymanie przestępcy i na wszelki wypadek powiadomił władze?

– Czyżby moją rozmowę z Sophie Sévazmiou utrwalił już kamerzysta?
– Nie, nikt niczego nie zapisuje ani nie kręci. A może jednak... ktoś tu kręci? Z jakiej to racji miałby pan wierzyć mi na słowo?

– Tak czy inaczej, nie ma to już najmniejszego znaczenia. I tak wczoraj ktoś podjął próbę włamania się do mojego komputera. Czy przypadkiem zawartość dysku mojego laptopa nie zainteresowała was dlatego, że jestem dyrektorem paryskiego laboratorium badań jądrowych? – Ahmed ibn Salih uśmiechnął się dwuznacznie.

– No cóż, to nie ja się interesuję tym atomowym paskudztwem – Sophie wpatrywała się w Araba z napięciem, jej oczy wbijały się w twarz rozmówcy jak palce ślepeca... – Jeśli o to chodzi, niech się tam w Moskwie martwią. Albo w Tokio. No, jeszcze jest też Teł-Awiw, chyba bardzo zainteresowany, niech oni się z tym szarpią.

– To nie ona to wymyśliła – jeden z siedmiu przywódców podziemia, dwudziestoczteroletni przystojniak La Rochejaquelein⁶⁶, potrząsnął jasną grzywą. – Pomysł był mój, przynajmniej, że niezbyt udany.

– Nieudany nie tylko dlatego, że zabezpieczyłem się na taką okoliczność – odparował Ahmed ibn Salih. – Musicie wiedzieć, że była to zwykła podpucha. W moim komputerze niczego nie ma, wszystko jest w laboratorium. Ale tu was zaskoczę jeszcze bardziej - tak naprawdę nie ma żadnego laboratorium! Pustka totalna. Coś w rodzaju oszukańczych malunków szkoły holenderskiej, tych, które stawiano na stole, żeby trójwymiarowo imitowały prawdziwe przedmioty.

– W Rosji powiedziano by „wsie potiomkinowskie” – zauważyła Sophie, nie odrywając od wzroku od rozmówcy.

W przeciwieństwie do mężczyzn, zbyt pochłoniętych tą szokującą informacją, nie uszła jej uwagi niedorzeczność sytuacji - mużulmanin wspomina o szkole holenderskiej. Oczywiście, czasy gdy wahhabici

⁶⁶ Pseudonim wzięty od postaci historycznej: Henri'ego de La Rochejaquelein - najmłodszego z dowodzących szuanami w czasach rewolucji francuskiej. Szuanami (od imienia Jeana Chouana) nazywano patriotów-rojalistów, walczących partyzancko w lasach Bretanii. Regularna armia rojalistów (Wielka Armia Katolicka i Królewska) stacjonowała w departamencie Wandei, którego nazwa stała się rzeczownikiem pospolitym.

przetrząsali muzułmańskie nawet dzielnice, darli obrazy i łamali instrumenty muzyczne, należą już do przeszłości. Wśród muzułmańskiej zeuropeizowanej inteligencji, co poniektórzy pozwalają sobie na domowy fortepian albo obrazy „bez postaci”⁶⁷. Mimo wszystko jednak słysząc z ust Araba wspomnienie o malarstwie? Nie, coś tu jest nie tak.

– Nie wierzę! To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe – rzucił ostro La Rochejaquelein.

– Może mi pan wierzyć, a to dlatego, że nie są to dobre wieści

– odrzekł chłodno Ahmed ibn Salih. – Wprost przeciwnie, to bardzo smutna wiadomość.

– Jaśniej proszę.

– Chętnie – Ahmed ibn Salih zrobił pauzę, chcąc zwiększyć już i tak napiętą do granic uwagę Sophie Sévazmiou, La Rochejaqueleina i człowieka w roboczym ubraniu, który do tej pory nie włączał się do rozmowy. – Zacznę jednak od początku. Wiadomo, że jeszcze zanim blok euroislamski przyjął swój obecny kształt, w świecie muzułmańskim prowadzono badania jądrowe. Najpoważniejszą była i jest atomowa baza Pakistanu. Oczywiście trzeba pamiętać, że pakistańscy naukowcy nie kształcili się przecież u siebie w domu.

*No, a jakże, sami ich uczylimy na swoją własną zgubę*⁶⁸ – pomyślała Sophie. – *Nigdy nie mieli własnych mózgów, nie mają talentu do niczego oprócz zabijania. Cały dwudziesty wiek przeżyli jako nafcjar-skie pijawki, niczego nie produkowali, niczego nie wynaleźli.*

– Kiedy kraje nieislamskie opuściły „zieloną kurtynę” – ciągnął dalej Ahmed ibn Salih – sytuacja w Europie pod tym względem stała się nieprzejrzysta. „Państwa-Kafiry” wiedzą, rzecz jasna, że sieć ośrodków naukowo-badawczych w krajach islamskich działa. Mimo to jednak, nawet szeregowy pracownik tej sieci jest w stanie zrozumieć, choć nie od

67 Islam zabrania malowania zwierząt czy ludzi.

68 Warto przypomnieć, że Moskwa uczyła i sponsorowała nie tylko ich. Czarny Wrzesień, Czerwone Brygady, Al. Fatah, IRA, ETA to tylko największe organizacje, o których działalności Rosja nie tylko wiele wiedziała, ale i na które łożyła wielkie sumy (przypr. red.).

razu, że w rzeczywistości broni jądrowej już od dawna nie ma. Urządzenia przecież niszczą bez właściwego dozoru i utrzymania... A biorąc pod uwagę następstwa historycznego Porozumienia z Kioto...

La Rochejaquelein pokiwał tylko głową. Porozumienie z Kioto z 2029 roku, podpisane przez Rosję, Japonię, Chiny, Australię i, niechętnie, przez Amerykę, z drobiazgową dokładnością ustaliło technologie i obszary wiedzy niepodlegające eksportowi do krajów euroislamu i starego muzułmańskiego świata. Tylko dzięki Porozumieniu z Kioto udało się zakonserwować technikę Eurabii na poziomie z roku 2010.

– W porządku, ale co w tym smutnego? A przynajmniej – smutnego dla nas?

– Cierpliwości. Jak już powiedziałem, najbardziej operatywne pozostały ośrodki jądrowe w Pakistanie. Jeszcze do niedawna była nadzieja, że badania wspierające – bo przecież wszystkie laboratoria jądrowe Eurabii to nic innego jak niewykwalifikowani współpracownicy pakistańskiego centrum – nie poszły na marne. Ostatecznie jednak nadzieja ta okazała się płonna. Pakistanowi nie udało się po raz drugi wyprodukować bomby.

– No i? – La Rochejaquelein, do czego Sophie zdążyła przywyknąć, już od młodości szybko tracił cierpliwość.

– Gazawat sam z siebie się nie zatrzyma! – Czarne oczy Ahmeda ibn Saliha przybrały barwę popielatą, jak spalona ziemia. – Aby kontynuować, musieli poczekać na bombę. Ale jeśli bomby, prawdziwej bomby, nie ma i nie będzie, to oznacza, że potrzebna jest...

– Brudna bomba?! – La Rochejaquelein uderzył się dłonią w czoło. – A niech mnie, chodzi o brudną bombę?

– Tak.

– Czy mógłby ktoś wyjaśnić ciemnej babie, co to takiego ta brudna bomba i gdzie się tak ubrudziła? – Sophie, o dziwo, uśmiechnęła się. Nie świdrowała już wzrokiem Araba.

– Właściwie, to nie jest bomba, Sophie – odezwał się cicho mężczyzna w kombinezonie roboczym. W tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że na twarzy dziwnego Araba odmalowała się niechęć. – To po prostu

odpady, produkt rozpadu atomowego. Nie są potrzebne w żadnych rakietach, ani w zwykłych, ani w nośnych. Przenieść kontener i go odkorkować może zwykły dywersant. Kwestia czysto techniczna, czy będzie to człowiek, którego można będzie jeszcze potem wykorzystać, czy samobójca.

– A dywersantów i samobójców mają do dyspozycji całe zastępy, tanio to wychodzi – ciągnął dalej uczony. – Dla islamu nie ma nic tańszego od ludzi.

– Nie jest pan Rosjaninem – Sophie znów podniosła oczy, by napotkać wzrok Ahmeda ibn Salih, ale tym razem było to już zupełnie inne spojrzenie. – Nie jest pan Rosjaninem, chociaż mieszkał pan w Rosji. Proszę się nie obawiać, nie tylko panu dane jest znać cudze sekrety. Nawiasem mówiąc, tylko ktoś posiadający mój nawyk zauważyłby, że kąciki ust leciutko panu drgnęły, gdy mowa była o wsiach potiomkinowskich. Dla Arabów to wyrażenie nie ma żadnego sensu.

– Sophie, to niemożliwe! – teraz i La Rochejaquelein wbił wzrok w rozmówcę. – Twarz...

– A tam, twarz... – Sophie uśmiechnęła się. – To tylko za mojej młodości chirurdzy zostawiali jeszcze blizny za uszami. Dziś już po roku nie da się zauważyć śladów skalpela. Całkowicie bezpieczna sztuczka. Niewiele zresztą było tu do roboty. Kontur warg, oczywiście, troszeczkę kształt oczu, trochę nos. Zastanawia mnie tylko, co panu przyszło do głowy, żeby się zdekonspirować, panie rezydencie? Bomba atomowa nie wszystko wyjaśnia, przynajmniej jak dla mnie.

– To proste. – Człowiek, którego nie sposób już było dalej nazywać Ahmedem ibn Salih, uśmiechnął się do Sophie. – Likwidacja tak potężnej dywersji rekompensuje mi moją wpadkę, a ta jest nieunikniona.

I to jeszcze jak zrekomensuje, z procentem. Stu czterdziestu dywersantów, zwerbowanych, spośród rosyjskich muzułmanów, jednocześnie przedzierających się z radioaktywną zarazą do wodociągów Moskwy, Sankt-Petersburga, Samary, Jekaterynburga, Carycyna, Władywostoku...

Kogoś z nich na pewno złapią, ale rezultat i tak będzie wspaniały. Odbiją ich jednak do „godziny X” i uprzedzający cios będzie równie silny.

– Ale to już moje zmartwienie – Słobodan mówił dalej. – To nie z tego powodu chciałem się z panią zobaczyć. Muszę przyznać, że wydarzenia rozgrywają się w błyskawicznym tempie, jeszcze przedwczoraj nic mi nie było wiadomo o nowej gałęzi dżihadu. Wiedzą przecież, że państwa posiadające broń atomową nie są samobójcami i pierwsze jej nie użyją. W takiej wojnie nie ma przegranych. Niczym nie pogardzą, choćby mieli całą planetę zmienić w pustynię, gdzie chadzają wielbłądy, nie tylko dwugarbne, ale i dwugłowe. Pozostawią tylko maleńkie oazy czystych przestrzeni, na których rozsiądą się ich książątka, najprawdziwsi potomkowie Mahometa z dziada pradziada. Dlatego też ta ofensywa będzie zmasowana, na wszystkie fronty. Wraz z użyciem brudnej bomby, o ile to w ogóle dojdzie do skutku, planowane jest sianie terroru. I to właśnie dotyczy już was wszystkich.

, – Co oni knują? – głos La Rochejaqueleina ochryplł z napięcia.

– Ostateczne rozwiązanie kwestii chrześcijańskiej. Zamierzają zlikwidować wszystkie getta, począwszy od Paryża.

Nastąpiła ciężka chwila milczenia. Te słowa wydawały się zbyt proste, nie mieściły w sobie całego ich straszliwego sensu.

– Rzucają na pięć paryskich gett wszystkie swe siły: policję religijną i ochotniczych pomocników – przemówił w końcu Słobodan.

Przejdą po ulicach jak lawina gówna, szybkoitko „nawracając” tych, którzy się ugną. Potem już tylko obiorą żywcem ze skóry ostatnich wolnych ludzi.

W piwnicy nagle zrobiło się chłodno. Sophie wstrząsnęła ramionami z zimna: na sekundę ulotniła się gdzieś jej zewnętrzna młodość, stało się jasne, że krew słabo już krąży w jej żyłach. La Rochejaquelein bardzo pobladł.

– Wydaje się też, że prawie wszyscy słyszeli o istnieniu euroislamskiej telewizji – mówił dalej Słobodan. – Niewielu jednak wie, że nadaje ona tylko za zieloną kurtyną. Ściągnęli ten pomysł z czasów zimnej wojny ze Związkiem Radzieckim. Tylko że wtedy sygnały radiowe nadawały z

Zachodu informacje ukrywane przed sowieckimi obywatelami, a teraz tamci transmitują głównie filmy propagandowe a'la Trzecia Rzesza. Takie tam agitki o radościach nowych muzułmanów, szczebiot ładnych dziewczyn o tym, jak to fajnie jest nosić hidżab... W wolnym świecie są amatorzy łapania satelitą tych bzdur, tylko po to, żeby się pośmiać. Wyjątkowy ubaw z tego ma, rzecz jasna, młodzież. Ale już niedługo telewizjom nie będzie do śmiechu. Już niedługo będą oglądać transmisje na żywo z prowadzonych pogromów.

– Tak – oczy Sophie były teraz czarne jak lód jeziora Kocyt⁶⁹. – Znam ten ich zwyczaj. Parali się tym już w Czeczenii. Panowało wówczas przekonanie, że filmują wszystkie egzekucje, po to aby im wierzone, gdyż inaczej nie dostaliby okupu. Nasze służby kompletnie nie mogły pojąć, po co te zielone głupki same podsuwają im pod nos poszlaki. Nawet twarzy sobie nie zakrywali, gdy kręcili to, co wyprawiali z ludźmi. Na początku, za Jelcyna, robili to, bo byli bezkarni. Ale potem, kiedy stało się jasne, że są identyfikowani i wyłapywani na podstawie tych durnych kaset... tak sobie wymyślili: muszą się pokazywać, bo inaczej swojej działki haraczu by nie zobaczyli. I tak też po części było, ale nie do końca. Pieniądzy z okupów nie dostawał ten, kto się wyłamywał z powszechnej praktyki. A praktyka powstała tylko dlatego, że oni sami nie potrafili się bez niej obyć. Chełpliwi, histeryczni psychopaci, a do tego wszyscy marzący o aktorstwie.

Oczy Sophie zaszyły mgłą, gdy sięgnęła do zastygłego w czarnym lodzie wspomnienia, jednego z wielu podobnych. Niezbyt utalentowany aktor, za to zdolny biznesmen, dorabiający się na krwi. W eleganckim, jasnoniebieskim szlafroku, w domowych kapciach z krokodylej skóry, on, postrzelony już w nogę, z rozlewającą się po pikowanym jedwabiu ciemną plamą, pełzał po dywanie, płacząc, poniżając się przed dwudziestoletnią dziewczyną. Kajał się i błagał. Czemu by nie, w końcu kamery nie było, nie było też świadków tej hańby, tyle tylko, że w głębi

69 W *Boskiej komedii* Dantego Alighieri Kocyt jest wiecznie zamrożonym jeziorem, w którym zatopieni są ci, którzy zdradzili swoich dobroczyńców (np. Judasz) (przyp. tłum.).

apartamentu piszczała zamknięta w łazience kochanka, podstarzała gwiazda filmowa. Ciekawe, co by się stało, zastanawiała się potem Sonia, gdyby tam jednak była kamera. Czy potrafiłby umrzeć z honorem? Na podobne pytania trzeba odpowiadać szczerze i zachować jeszcze bufor wiarygodności - co najmniej dwadzieścia procent. W końcu ich kryterium moralnym jest pogląd: jeśli mnie nie złapali - to nie jestem złodziejem. Brak im wewnętrznego osądu, brak im prawdziwego sumienia. Liczy się tylko ich popieprzony honor, owo pragnienie zachowania twarzy przed ludźmi, i to za wszelką cenę.

O wszystkich tych psychologicznych niuansach Sonia Grinberg dowiadywała się z książek. Trzeba przyznać, że pod tym względem, była pilną uczennicą. Dopóki nie spotkała Leonida, upajała się swoją rolą samotnego mściciela. Nie udało mu się, rzecz jasna, jej zatrzymać, bo było to niemożliwe, ale za to przeniósł ją na inny poziom, włączył ją w ogólną walkę Ruchu Oporu. Za to go właśnie kochała. Co robić, tak zwyczajnie pokochać po prostu nie potrafiła.

Dłuższy czas wszyscy milczeli, pogrążeni we własnych myślach? Nie było już potrzeby rozprawić o tym, jak kamery rozniosą na cały świat kadry ukazujące nawracanie „niewiernych” ogniem i mieczem. Oczyma wyobraźni widzieli już dyszących żądzą mordu islamskich bojowników, wykrzykujących nad rozszarpanymi ciałami „aszchadu... alla... iljachalljallah...”⁷⁰, przy akompaniamencie pełnego aprobaty rechotu.

– No cóż, ja Panu nie podziękuję. – La Rochejaquelein podniósł się. – W końcu wam, Rosjanom, po prostu nie na rękę jest panika za zieloną kurtyną. Nasze interesy zbiegły się ze sobą, i tyle.

– Nie jestem Rosjaninem, ale dziękować mi rzeczywiście nie ma za co – odparł Słobodan. – Jak już raczył pan zauważyć, dla samego tylko ratowania Francuzów nie kiwnąłbym palcem. Ale teraz powinniśmy działać razem. Mogę się przydać przy opracowywaniu planów działań kontratakujących. Mógłbym też w razie potrzeby udzielić jakiejś dalej idącej pomocy.

⁷⁰ Początek „Szachady” - ustalonej formuły, wygłaszanej również podczas przyjmowania islamu.

– My o tym zadecydujemy – La Rochejaquelein i Sophie wymienili spojrzenia. – Tak czy inaczej: kim pan jest, za co nas pan nienawidzi i jak mamy pana nazywać, choćby dla wygody?

– To Serb – powiedziała z przekonaniem Sophie. – Odpowiedź na drugie pytanie zawiera się w pierwszym, choć jest pan zbyt młody, Henri, żeby pamiętać, co może być przyczyną tej nienawiści.

– Nie do pani, Sophie Sévazmiou – zaprzeczył Słobodan, patrząc spode łba na najbardziej milczącego członka zebrania. – Jest pani Rosjanką i prawosławną.

– Jadę na jednym wózku z katolikami, dlatego też ze względu na szacunek do mnie raczej pan nie obrzucać księdza takimi spojrzeniami. Nie było go jeszcze na świecie, kiedy duchowni katolicycy błogosławili w Bośni Chorwatów, gdy ci szli zabijać⁷¹. Zostawmy emocje na boku i przejdźmy do rzeczy.

– W porządku – twarz Słobodana nieco złagodniała, choć najwidoczniej kosztowało go to trochę wysiłku.

– Może nie wygląda to wszystko tak źle – nie spiesząc się, przemówił La Rochejaquelein. – Katakumby pod Paryżem są przeogromne. Tymczasowo mogą pomieścić wszystkich mieszkańców getta, nawet razem z – tfu!! – tajnymi informatorami policji religijnej. Nie ma już odwrotu. Trzeba tylko sprowadzić tu ludzi. Krok po kroku rozdzielimy to ogromne skupisko ludzi. Jednych rozwiezie się po kraju, innych wyśle się za granicę.

– Ludzie przeważnie nie wierzą w bliskość katastrofy – zaprzeczył ojciec Lotaire. – Mieszkańcy getta przyzwyczaili się już do życia na polu minowym. Wielu, bardzo wielu z nich nie zechce zostawić swoich domów, żeby zejść do podziemia.

– Ksiądz ma rację – powiedziała Sophie z goryczą. – Większość po prostu nie uwierzy w taką rzeźnię. Nie uwierzą, dopóki nie zobaczą zezwierzęconych tłumów na swoich ulicach.

⁷¹ Gwoli rzetelności historycznej i lepszego zrozumienia przez Czytelnika tamtych czasów dodać należy, że i prawosławni duchowni nie uchylali się przed błogosławieniem uzbrojonych oddziałów swoich pobratymców (przyp. red.).

– No to co mamy robić? Ratować swoich, a resztę zostawić jak było na rzeź?

– Powoli, powoli – Sophie przerwała La Rochejaqueleinowi władcym ruchem ręki. – Ile mamy czasu?

– Nie więcej niż tydzień – Słobodan nad czymś się zastanawiał. – Wygląda na to, że zrobią to w święto zajęcia Konstantynopola. Lubią dopasowywać takie okazje do świąt.

– Niewesoło.

– To nie ułatwia wprawdzie całej sprawy, ale chyba chrześcijanie opuszczą getto, prawda? – zwrócił się do ojca Lotaire'a La Rochejaquelein. – Oni to chyba uwierzą w planowaną rzeź?

– Uwierzą, ale nie myślę, by chcieli całkowicie opuścić getto. To znaczy dzieci, kobiety oraz wielu innych postarają się przenieść do podziemia. Ale wielu starszych ludzi na pewno pozostanie. Uznają to za dobrą okazję, żeby dać świadectwo. Ostatecznie ta makabryczna rzeź, która ma nastąpić, to w rzeczywistości jeszcze jeden kamień milowy na drodze do końca świata.

Cisza, która zapadła w tej chwili, wydała się być naelektryzowana wielkim ładunkiem. Myśli czworga ludzi gnały jak szalone, rozbijały się o ślepe uliczki, zataczały koło, miały się, zderzając się ze sobą w swoich nieprzewidzianych trajektoriach.

Stojącym na zewnątrz na czatach Eugene'owi Olivierowi Leveque i Paulowi Bertaud wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu, choć w środku nikt nawet nie zarejestrował jego upływu.

– A tak przy okazji, panie rezydencie, nie przedstawił się nam pan – Sophie podniosła głowę i wszyscy z nieuświadomioną ulgą zauważyli, że w kącikach jej ust zagościł uśmiech.

– No, niech będzie Knieżewić.

– Nie rozumiem, czemu miałyby służyć ta maskarada – Sophie roześmiała się. – Dobrze, niech będzie Knieżewić.

– Ależ Sophie, nie ma pani wstydu – bez cienia wzburzenia zachnął się La Rochejaquelein. – Co pani ma na myśli?

Wydawało się, że Sophie Sévazmiou wcale nie usłyszała tego

niecierpliwego pytania.

– Może zaspokoi pan wreszcie moją ciekawość? – znów patrzyła na Słobodana. – A propos pudełeczka na mirrę.

– Z przyjemnością – Słobodan uśmiechnął się. Teraz rzeczywiście nie można już było nie zauważyć, że jego spojrzenie zmieniało się, gdy patrzył na Sophie. Z jego twarzy zniknął właściwy mu wyraz obojętności.

– Dziesięć lat temu GRU⁷² postanowiło mimo wszystko zakłócić jeromonachowi Dionizemu jego samotność.

– Dziesięć lat temu?!

– Tak, na Sołowkach⁷³ dożył późnej starości. Do tego przy zdrowych zmysłach i dobrej pamięci. Przyjął to z głębokim zrozumieniem. Wtedy to właśnie poprosiłem o jakikolwiek tajny porozumiewawczy znak, żeby w razie potrzeby powiadomić Sophie Sévazmiou. Ojciec jeromonach dał mi wtedy właśnie tę maleńką rzecz, żartując jednocześnie, że pracownicy rozwiędki pomagają mu wykorzeniać grzech zbyt mocnego przywiązania do rzeczy. Oczywiście, dobrze się składa, że na pudełeczku nie ma żadnej chrześcijańskiej symboliki. Z drugiej strony, trochę się wahałem. Przedmioty codziennego użytku zacierają się w pamięci przez tyle lat. Mogła pani po prostu nie rozpoznać tej rzeczy.

– Wykluczone! – Sophie wstrząsnęła głową jak żrebak. – Wiedział, co robi. Kiedyś cisnął we mnie tym pudełkiem i trafił prosto w czoło. Zdaje się, że do tej pory został mi ślad. A kawałki bursztynu jeszcze przez kilka dni wyplątywałam z włosów. Wyzwał mnie od kryminalnych awanturnic i rzucił we mnie pudełeczkiem do mirry. Szczerze mówiąc, nie powiedział „kryminalna awanturnica”, choć to, co powiedział, miało mniej więcej taki sens. Proszę tak na mnie nie patrzeć, Grecy to bardzo ekspresywny naród. Nawet w kościele zachowują się, jakby byli na bazarze. Chodzą po świątyni w czasie liturgii, rozmawiają, witają

⁷² *Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije (Główny Zarząd Wywiadowczy) - sowiecki, potem już tylko rosyjski wywiad wojskowy, odpowiedzialny za wiele dywersyjnych akcji na terenach państw obcych. GRU stale i blisko współpracowało ze służbami: NKWD i KGB (przyp. red.).*

⁷³ Miejsce zsyłki dla więźniów politycznych, część GUŁag-u (przyp. red.).

znajomych. Wy, katolicy, z tą waszą koszarową reglamentacją zachodniego obrządku, nigdy tego nie zrozumiecie – zwróciła się do ojca Lotaire'a. – Ma to swój urok, oczywiście, o ile się nie przesadza.

– Dobrze, Sophie, niech się pani skupi – nie wytrzymał z kolei ojciec Lotaire.

– Rzezi można zapobiec – Sophie spojrzała badawczo na swoich rozmówców. – Co prawda, za cenę takich strat, do jakich doszłoby, gdyby ją przeprowadzono. Tyle, że w tym przypadku zginą nie niewinne ofiary, a żołnierze walczący z bronią w ręku. To powinno na długo ukrócić ich zamiary.

– Co pani proponuje?

Nikt nie zwrócił uwagi, kto był autorem tego pytania.

– Uprzedzający, odstrasżający atak. I to nie mniej potężny.

ROZDZIAŁ VII

Przebudzenie Anette

Seledynowy saab imama Abdullwahida mknął z getta Austerlitz w kierunku Ogrodu Botanicznego. Szofer Abdullah, młody chłopak z konwertytów, lękliwie zerkał z ukosa na „patrona”, jak sam nazywał imama, gdy nikt nie słyszał. Gołym okiem było widać, że imam dawno już nie był w tak złym humorze, tylko patrzeć, jak przyczepi się do jakiejś drobnostki i urwie mu z wypłaty premię.

– Jeszcze jeden korek i mi ciśnienie skoczy. Nie, no pomyśl tylko, Abdullah, w końcu mamy teraz nie jakiś tam tysiąc czterysta piąty rok⁷⁴, kiedy to byle gołodupiec miał własne auto! W ciągu ostatnich dziesięciu lat, liczba prywatnych samochodów, za co chwala Allachowi, zmalała do jednej trzeciej! Skąd więc, pytam się, skąd te wieczne problemy z parkowaniem, ta ciasnota na drogach?!

– Bo cała ta statystyka jest nic nie warta, czcigodny Abdullahidzie! Zależy jak na to patrzeć. Z jednej strony, rzeczywiście, tylko co dziesiąta rodzina ma dziś samochód. Ale z kolei, ile nam przybyło rodzin w ciągu tych dziesięciu lat?

– Ty mnie tu nie pouczaj! Akurat wasze kobiety, Francuzki, mało rodzą! – oburzył się imam. – Myślisz, że nikt nie wie, co wy wyprawiacie? Bierzecie do domu jakąś starą dziewczkę, siostrę albo przyjaciółkę żony, niby na drugą żonę, a prawda jest taka, że ona tylko pomaga w gospodarstwie albo dzieci niańczy! Udajecie, oczy mydlicie uczciwym ludziom! Żadnego przywiązania do normalnego porządku u was nie ma. A ja bym sprawdzał, tak, sprawdzał, czy mężczyzna śpi z

⁷⁴ Według księżycowego kalendarza muzułmańskiego (hidżry), tj. 1985 r.

wszystkimi żonami czy nie! Wziąć by was pod lupę, to zaraz by się wydało, co się w waszych rodzinach wyprawia!

Abdullah przemilczał uwagę. Imam miał bardzo kłótlivy charakter, a on bał się o swoje miejsce pracy. Szczególną zaś cierpliwością wykazywał się po każdym odwiedzeniu getta. Zbyt żywe było jeszcze wspomnienie niedawnych głodnych lat, parszywych papierosów, łachów po starszym bracie, pięciometrowego pokoiczku pod dachem. A co najbardziej przykre, ileż to po sąsiedzku mieszkało wszelakiej maści durniów, których Arabowie próbowali nawracać. Oni zaś wcale tego nie chcieli. Jedni wypowiadali słowa szachady ze łzami, jakby kto im ojca i matkę zabijał, a inni już w ogóle wybierali przeniesienie na łono Abrahama. Za niego z kolei ci z policji religijnej wcale się nie brali, już nawet przestał ich oczekiwać. Czasem zdawało mu się, że już mu tak te najlepsze lata życia przelecą za drutem kolczastym. Z drugiej strony, to znów delikatna sprawa - samemu nie wypada poprosić. To znaczy, oczywiście, można. Ale wdedy tanio się człowiek sprzedaje, oj tanio. Kiedy imam Abdullwahid w końcu pojawił się w ich domu z *Poučeniem dla zwolenników sunny* pod pachą, jego radość była nieklamana. Matka z bratem w milczeniu wychodzili z pokoju, ponurzy, przygnębieni, a on zostawał i słuchał. Słuchał, kiwał, zgadzał się, czasem ledwo powstrzymując promienny, drwiący uśmiezek, zwłaszcza, gdy obliczał sobie z grubsza, o ile więcej zarabiają prawowierni. I w końcu jego historia zakończyła się happy-endem: imam uznał jego nawrócenie za swój osobisty triumf; sam się zatroszczył o obiecującego młodzieńca, biorąc na siebie całą biurokrację. W końcu zrobił go swym osobistym szoferem. Na taką ciepłą posadkę nawet nie każdy Turek mógłby liczyć i żaden Arab by się jej nie powstydził!

– Tak, chociaż i potomkowie proroka też często nie są od was lepsi – gderał dalej imam. – Uczą dzieci zabawiać się tymi tworamii szatana – fortepianami, czy jak je tam zwą, kontrabasami, skrzypcami... Dobrze chociaż, że w mieście nawet jedna sztuka nie została z tych obmierzłych ogromnych instrumentów z dziesiątkami piszczałek! A to by dopiero na nich grali! Pilnowałby lepiej jeden z drugim, czy dziecko na poranną

modlitwę nie zaspalo! Ale po co, namaz nieważny, niech sobie lepiej na pianinkach pobrzdkają! Ktoś powie, odrobinka muzyki bogobojnemu człowiekowi nie zaszkodzi – na weselu czy tak po prostu do kolacji. Ale te wszystkie nuty to jest dzieło szatana, tak, dzieło szatana! Tak, Abdullah, przypomnij mi, żeby wysłać pomocników, niech popalą te wszystkie paczki z nutami w domu tej kafirki, z którą dziś się rozprawiliśmy! Jak nie nakażesz, to rozniosą gdzieś i pochowają, już ja wiem najlepiej, jakie tam kombinatorstwo odchodzi w tym getcie...

Lato zapowiadało się znojne i już teraz popołudniu słońce zaczynało prażyć. Imam był zmęczony wizytą w getcie, zmęczyło go wchodzenie po drabinach do domów, w których już od dawna nikt nie widział żadnej windy, zmęczyło go przebywanie w żalosnych zakurzonych mieszkankach bez klimatyzacji. Gdyby nie to naturalne dla tak wysoko postawionej osoby rozdrażnienie, być może i nie wezwałby bezzwłocznie policji, żeby aresztowała starą nauczycielkę muzyki, żyjącą skromnie z lekcji gry na pianinie w getcie Austerlitz. Nauczycielka, niejaka Marguerite, tfu, też mi imię, Marguerite Teysse, już od dawna była na liście, ale mogła spokojnie przeżyć jeszcze jakieś pięć lat w tej swojej klitce, w końcu zdarzają się takie przypadki bardzo często.

– Z kafirami jednak łatwo się uporać, za to weź tu aresztuj tak po prostu prawowiernego za muzykę! – imam Abdullwahid nie cichł ani na chwilę. Pot ściekał po jego twarzy, spod jaskrawozielonego turbanu błyszczącego brokatem, mimo że w samochodzie włączona była klimatyzacja. – Taki zaraz rejwach się podniesie, że tylko samemu umierać! No i mówiłem, mówiłem, teraz to już utkniemy, słowo daję, utkniemy!

Saab wprawdzie jeszcze całkowicie nie ugrzązł w miejscu, ale wciąż mozolnie włókł się w samochodowym korku. W ten sposób do ulicy Quatrefages można będzie jechać pewnie z godzinę. A imam Abdulwahid chciał już jak najszybciej wejść do starego paryskiego meczetu, chciał zanurzyć się na godzinkę w marmurową parową wannę, a później napić się do woli gorącej miętowej herbaty w Sali Mozaikowej meczetu. Miętowa herbata z miodowymi ciastkami!

Samochód poruszał się teraz wolniej od pieszego, zaś pomiędzy nim, a sąsiednim citroenem odległość wciąż się zwiężała. Jeszcze chwila, i nie będzie można nawet drzwi otworzyć! Imam mimowolnie pozazdrościł grubiutkiemu chłopakowi, sprawnie przeciskającemu się między samochodami na swoim zapierającym dech w piersiach harleyu. *A niech cię szlag! I tak pewnie nie zdążysz przejechać, niegodziwco, i też będziesz musiał tu tkwić!* Ale chłopak już wbił przednie koło między samochody. *Ciekawe, ile ma lat, że rodzice pozwalają mu tak gnać po jezdni, i jeszcze jaki drogi motocykl mu kupili! Sądząc po wzroście, nie ma więcej jak dwanaście! Co to za czasy!* Tymczasem irytujący młodzieniaszek zrównał się z przednimi drzwiczkami samochodu. Podniósł się z siedzenia i nagle uderzył czymś metalowym po poszyciu, prosto nad głową imama! *W dach nowiutkiego Saaba, a to łajdak! Dobrze wie, że go nikt nie złapie, drzwi nie sposób otworzyć szerzej niż na niewielką szczelinę!*

Nieletni impertynent znów usiadł na siodełku: w oknie samochodu mignęła tylko twarz w zbyt ciężkim dla chudej szyi kasku. Coś w linii szyi sprawiło, że imam wbił wzrok w tę twarz, na wpół zasłoniętą odbijającą światło szybką kasku. Jasne, szare oczy napotkały jego wzrok przedzierając się przez barierę kuloodpornego szkła i plastiku. *Dziewka! Dziewka w męskim stroju, z odsloniętą twarzą, w biały dzień!* Dziewczyna powiedziała coś bezgłośnie, coś, co wykrzywiło jej różowawe usta w surowy grymas. *Ale jeśli to nie dwunastoletni chuligan, a dorosła dziewczyna, kafiirka, która miała czelność mknąć w nieprzyzwoitym stroju po Paryżu w biały dzień, to znaczy, że to wcale nie był chuligański wybryk – ta zdumiewająca myśl przemknęła przez głowę imama. Co za dzicz! I co teraz?* Chwilę później Abdullwahid już wiedział. Zrozumiał to, patrząc w ślad za odjeżdżającym w tym strumieniu motocyklem, po którym saaba jeszcze bardziej przycisnęło do citroena, patrząc na oddalające się plecy w skórzaney kurtce, na czerwony tył kasku. Potem wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie.

Gdyby nie prawa fizyki, samochód wbiłby się w latarniany słup. Imam, widząc co się święci, wpadł w panikę i, głośno wrzeszcząc, próbował przeciągnąć Abdullaha na swoje miejsce. Ciasna przestrzeń

przedniej części auta wypełniła się tą dziwną szarpaniną. Otyły Abdullwahid, zdoławszy mimo wszystko oderwać od kierownicy jedną rękę mizernego Abdullaha, spróbował jednocześnie zarzucić jego ciało na siebie i przejść pod nim na siedzenie kierowcy. Udało mu się nawet, upuściwszy turban, precyzyjnie głowę pod jego bok.

Samochód wiał się, uderzając o błotnik stojącego przed nim Chevroleta. Wokół inni kierowcy gniewnie naciskali na klaksony i mechaniczne, przenikliwe dźwięki przynajmniej częściowo zagłuszały niespodziewanie wysokie, jakby bulgoczące wrzaski imama. Po chwili jednak zrobiło się bardzo cicho. Do Abdullaha nie od razu doszło, co się stało. Starania imama, aby zamienić się miejscami ze swoim kierowcą nie okazały się całkiem daremne. Przebiwszy sufit, „przyklejka”, bo tak w młodzieżowym slangu mówiono na tę domowej roboty minę na magnesie, zamiast przez czcigodną głowę Abdullwahida przeszła wzdłuż jego kręgosłupa, przez łędźwie, wyszła zaś gdzieś w okolicy pachwiny, by potem wbić się już w asfalt. Głowa jednak, z tradycyjnymi cienkimi wąsikami i nietradycyjną łysiną, pozostała cała, zupełnie cała. Przez długi jeszcze czas miała bezgłośnie, otwarte usta i wytrzeszczone oczy, aż w końcu szarpnęła się i opadła na kolana przedzierającego się w obłędzie do przeciwnych drzwiczek Abdullaha. Białe, futrzane pokrowce siedzeń, jak wata wchłaniały krew, jednak nie mogło to już zmartwić imama, zawsze tak pieklącego się na punkcie ich czystości. Nic w nim nie dawało już oznak życia. Tylko upierścienione palce wciąż jeszcze zaciskały się w konwulsjach, jakby chciały kogoś chwycić, żeby zajął zamiast nich to niebezpieczne miejsce.

Policzki Jeanne płonęły. Niczego nie musiała się wstydzić, wszystko poszło idealnie, lepiej być nie mogło. Do tego odchodzi z tego miejsca jakby nigdy nic. Kierowca najprawdopodobniej przeżył, ale wątpliwe, czy umie skorzystać z komórki. Jeśli nawet ktoś z sąsiednich samochodów szybko wezwie policję, raczej nie skojarzą wybuchu z przejeżdżającym tędy motocyklem. Nie mówiąc o tym, że zanim policja dostanie się do saaba przez ten korek, zanim zacznie rozpytywać, z pewnością wszyscy już zapomną o niej i jej harleyu.

W dowództwie trzeba by złożyć meldunek. Raczej nie będą zachwyceni. A może lepiej nie przyznawać się nikomu? Tak, jasne, przyniesie siedem „przyklejek” zamiast ośmiu, i powie, że jedną myszy zjadły. Nie, bądźmy poważni, paskudnie jest kłamać swoim. Trzeba będzie zdać z tego sprawę. Oj, niespecjalnie ma na to ochotę. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby się domyślić, że za karę odsuną ją od wszystkich poważnych akcji, każą siedzieć i serwetki haftować. Skręciwszy z ulicy Buffon na Arenes de Lutóce, a tym samym wydostawszy się na wolną przestrzeń, Jeanne dodała gazu. Strumień wiatru z naprzeciwka chłodził rozpaloną twarz. A po pozostałe „przyklejki” i tak trzeba będzie wrócić do getta.

Przecież nie mogła postąpić inaczej, kiedy wbiegłszy po starej drewnianej drabinie na drugie piętro, zastała na placyku, przed opieczętowanymi drzwiami, jedenastoletnią Marie Rosę, z płaczem kołyszającą w ramionach skrzypce, jakby to była lalka, która zachorowała. Mademoiselle Teysse nie była właściwie profesjonalnym wykładowcą, za lepszych czasów muzykowała sama dla siebie, a za prywatne lekcje wzięła się dopiero wtedy, gdy utraciła swoje niewielkie utrzymanie, po tym jak do władzy doszli wahhabici. Za to bardzo polubiła nauczanie. Uczyla gry na fortepianie, na skrzypcach i na gitarze, wyjaśniając z wstydliwym uśmiechem, że „potrafi tak wiele dlatego, że niczego nie potrafi porządnie”.

Spojrząwszy niegdyś na malusieńkie rączki siedmioletniej Jeanne, mademoiselle Teysse, jak sama przyznała wiele lat później, westchnęła i zgodziła się uczyć dziewczynkę tylko dlatego, „żeby u dziecka nie rozwinęło się niskie poczucie wartości własnej”. Jednakże szybko okazało się, że młodziuteńkie, z dołeczkami zamiast kosteczek, rączki, mają ogromną rozpiętość palców. Wkrótce potem mademoiselle Teysse skarżyła się już tylko na niedostateczną pilność uczennicy.

A oto teraz wiozą ją już na cmentarzysko, byle jak cisnąwszy bezbronne ciało w naładowane po brzegi ocynkowane nadwozie prymitywnego karawanu. Jeanne dobrze wiedziała, jak prawowierni obchodzą się z ciałami ofiar. Kilka minut poświęciła na wyciągnięcie od

zanoszącej się płaczem Marie Rose, że rozkaz wydał „zwykły” imam. To był ten, który zawsze tu chodzi, ten, który jeszcze nie zdążył wyjechać z getta, bo poszedł teraz do księgarni.

Mademoiselle akurat poprawiała błąd Marie Rose, kiedy wszedł zielony. Od razu się rozżłościła, zaś na jego zwyczajowe obrzydlistwa odparła, że „będzie uczyć dzieci muzyki, póki żyje”. A tamten odparł swoim ohydny francuskim: „To już niezbyt długo będziesz się tym zajmować, stara idiotko!”. Wyrwał skrzypce Marie Rose, cisnął je na podłogę, uderzył dziecko w twarz, a potem wyjął komórkę i zaczął naciskać przyciski. Mademoiselle szepnęła tylko: „Biegnij do domu, dziecko! Wybacz, że cię nie nauczyłam do końca, ale zapamiętaj sobie: w każdym ponizeniu przychodzi taki moment, kiedy dłużej już nie można wytrzymać”.

Dalej wydarzenia potoczyły się już same. Do tego stopnia same, że Jeanne jakby w ogóle nie ponosiła za nie odpowiedzialności. Trzeba było tylko zakosić zbędne „przyklejki”, usiąść brudasowi na ogonie, a potem poczekać na sprzyjającą okazję.

Jeanne wyhamowała u bramy małego warsztatu samochodowego. Tutaj, u gospodarza, Turka, pracowało dwóch z getta - Paul Germy i Stéphane Durtal. Najpierw zauważyła Germy’ego, grzebiącego pod maską prawdziwie rzadkiego okazu - dwudrzwiowego citroena, zdjętego z linii produkcyjnej jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Germy miał jakieś trzydzieści lat, nosił grube okulary, brzydko pomniejszające oczy, był szczupły, z wąską twarzą i przedwczesnymi zakolami. W ogóle nie przypominał robotnika, którym by zresztą w normalnych czasach nie został. Dwudziestoletni Durtal, jeszcze nie tak zmęczony życiem, krzątał się gdzieś w głębi przy wgnieceniu na błotniku volvo.

Germy pomachał jej na powitanie: najwidoczniej Turka nie było.

- Patrzcie no, ktoś wywłócił konie dziadka, żeby pole orać! - wykrzyknęła Jeanne z zachwytem, skacząc na betonową podłogę. - A mojego konia podkujecie, chłopaki?

- Zlituj się, nie nadażamy dla ciebie przebijac numerów - odburknął

Germy. Tak naprawdę wystarczył jeden, po dziecięcemu zadziorny, berbersowy uśmiech Jeanne, żeby spełnił każde jej życzenie. Germy świetnie zdawał sobie sprawę, że dziewczyna okręca go sobie wokół palca i że takie pomagierstwo kiedyś źle się skończy. Ale nic już na to nie mógł poradzić, będąc jej w duszy bezgranicznie wdzięcznym tylko za to, że z nim rozmawia, żartuje i nim nie gardzi.

Szesnastoletnia gąska, w minionych dziesięcioleciach powiedziano by - dziecko, wciąż potrzebujące opieki i obrony, z łatwością dokonywała rzeczy, do jakich nie był zdolny Paul Germy. Ona walczyła, on płynął z prądem. Nie usprawiedliwiając się, Germy zdawał sobie sprawę, że w pewnym sensie podrostkom łatwiej jest dziś żyć z godnością. Są przecież w dzisiejszych czasach kimś w rodzaju dzieci farmerów z dzikiego zachodu - od kołyski przywykli do bojowych okrzyków Indian za ogrodzeniem. Rosną, przynosząc ojcu naboje na pole kukurydziane, a swój pierwszy strzał oddają, gdy ledwo podnoszą karabin.

Zabić człowieka to dla nich jak splunąć. Żadnej hamletowszczyzny przełomu wieków: decyzje podejmują z marszu. Cóż, jego wychowywali rodzice, urodzeni pod koniec lat siedemdziesiątych, nie można więc było spodziewać się po nim podobnej brawury.

Tymczasem Durtal odprowadzał już harleya do warsztatu.

- A nie dałoby się tak na miejscu zrobić, co Stéphane? - przymilnie dopytywała się Jeanne. - Poczekałabym tutaj.

- Jasne, brudas pewnie chętnie by cię poznał - uśmiechnął się Durtal.

- Musisz się zmywać, będzie tu lada moment, już dzwonił, że jedzie. Także wpadnij jutro rano, wtedy będziemy sami.

- Chwileczkę, a dokąd ona na piechotę będzie szła? - zaniepokoił się Germy. - Jeanne, poczekaj minutkę, zaraz rozejrzę się za szmatami. Zdaje się, że Fatima jakoś na dniach dawała starą paran- dżę na ścierki, jeszcze jej nie pociąłem.

- Dajcie sobie spokój z tymi maskaradami - beztróska odparła Jeanne. - Przenocuję tu w pobliżu, a z rana przybiegnę wcześniej po harleya.

- No, tylko nie wcześniej niż na dziewiątą - sprecyzował Stéphane.

- Dobra! - Jeanne wybiegła na ulicę. Nocleg rzeczywiście był tak blisko, że widziała zapalone światło w oknie za blokami: znajoma sprzątaczką Lucile z antykwariatu nieraz udostępniła jej, wychodząc na noc do getta, kantorek na szczotki i śródkę czystości. Kto by tam włąził po nocy?

Mimo wszystko to trochę przykre, myślała Jeanne, biegnąc po chodniku. Madelaine Méchin jest młodsza od niej ledwie o rok i najspokojniej w świecie chodzi sobie po Paryżu, ile dusza zapagnie. Nic dziwnego, z tymi jej chłopięcymi biodrami! Na czoło przekrzywiona czapka z daszkiem, luźna kurtka i do przodu. Niektórym to się powodzi. Jeanne, oczywiście, świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że sama może być uznana za chłopaka tylko jadąc przodem na motocyklu, i to jeszcze najlepiej z niezłą prędkością.

Cholera jasna! Z naprzeciwwka nadjeżdżał z zółwią prędkością radiowóz, ślimaczył się, żeby siedzący obok kierowcy sierżant mógł sprawdzać, zdaje się, numery domów. A może coś jeszcze? Jeanne nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu odpowiedniej bramy, zauważyła wejście do publicznej toalety. Też może być!

W ogóle Jeanne brzydziła się sprzątaczkami miejskimi, z tymi ich plastikowymi dzbankami zamiast papieru toaletowego. Brrr, paskudztwo, pomyślała już po raz nie wiadomo który, zamykając za sobą drzwi. Za to tutaj przynajmniej jej nie znajdą. W niskiej piwniczce była tylko jedna kobieta. Odłożywszy kolorowe paczki dopiero co zrobionych zakupów, stała plecami do Jeanne, poprawiając przed lustrem usta wiśniową kredką.

Co za sens malować usta, skoro i tak naciągniesz parandzę, uśmiechnęła się Jeanne. Kredka drgnęła w ręce. Oczy kobiety rozszerzyły się. Jeanne stanęła jak wryta, bardziej chyba ze zdziwienia niż ze strachu. Zastygnąwszy na miejscu, patrzyła na swoje odbicie w lustrze: błada do siności, w kowbojce, w wiatrówce i dzinsach, bez nakrycia głowy, bo nawet kask zostawiła Stephane'owi jako zbyt ciężki. Jak mogła o tym zapomnieć, jak mogła wejść do toalety w „męskim”

stroju! Nic dziwnego, że ta kobieta gapi się na nią jak na zjawę, chyba już mniej bałaby się ducha niż takiego haramu, takiego auratu w biały dzień! Nie wierzyła, gdy ludzie mówili, że dzika, bezmyślna głupota zdarza się każdemu przynajmniej raz w życiu. Na ogół w takich przypadkach człowiek jednak ma szczęście i wychodzi z sytuacji bez szwanku. A ci, do których ono się nie uśmiechnęło, najprawdopodobniej nie będą już mogli opowiedzieć o tym, jak właściwie dali się złapać.

Jasnowłosa kobieta z trzęsącą się kredką w rękę i Jeanne nieprzerwanie patrzyły w lustro, jak w szklaną kulę na seansie wróżbiarskim. Jeśli zacznie wrzeszczeć, to jej przywałę, postanowiła Jeanne. Choć zdaje się, że obejdzie się bez tego...

W korytarzyku prowadzącym do toalety dało się słyszeć kroki.

– Powtarzam jeszcze raz, nie podoba mi się to – głos, posługujący się lingua-franca, należał do Turka, a jego chamowato-władcze intonacje zdradzały, że to policjant... – Jakiś gówniarz wchodzi prosto na naszych oczach do wychodka, a w wychodku nikogo nie ma.

– Ty, Ali, nawet odlać się nie możesz, żeby nie zrobić problemu – odezwał się drugi głos, nawiasem mówiąc, różniący się od pierwszego tylko tembrem. – W tej sprawie tu przyszliśmy, czy co?

– Nie zginie ta kawa z kontrabandy. Nie bój się, nie zepsuje się. Zrozum, w wychodku nie ma nawet okien. A może on do damskiego włązł, chuligan albo jeszcze co gorszego?

– No i myślisz, że co powinniśmy zrobić? – Drugi Turek, policjant, zaczął powoli ustępować. Zaraz tu wejdą. Nie było co do tego wątpliwości.

Dopiero teraz Jeanne poczuła zimno, zimno od cebulek włosów do zgiętych kolanek. Wpadła, wpadła, i to jak! O Panie, gdyby choć miała przy sobie rewolwer, ale nie, pamiętała, jak grzeczna dziewczynka, że bez absolutnej konieczności lepiej nie nosić broni w strefie szariatatu!

– A nic, poczekamy trochę, sprawdzimy kobietom dokumenty, jak będą wychodzić, a potem przeszukamy całe pomieszczenie.

Lustro odbijało siniejącą twarz muzułmanki, a zastygła w przestrzeni

poślaczana kredka kobiety wydawała się jakby włożona w rękę manekina.

– A kobietom to niby po co?

– Słyszałem, że w zabójstwo kadiego z szesnastego okręgu akurat był zamieszany chłopak, co założył parandzę. Zaraz potem jak zaczął gnać – od razu było widać, że nie kobieta. Próbowali go zatrzymać, to zrzucił. A tak to nikt by nie poznał.

– Patrz, co to wyprawiają te dzieci szatana! Ej!! – głos, przechodzący w krzyk, napelił się sztuczną surowością. – Jest tam kto na dole?

– Tak, jest, proszę tu nie wchodzić – niespodziewanie spokojnie odezwała się kobieta, odwracając się do Jeanne. Ona również była blada, bardzo blada. Przez kilka chwil obie patrzyły sobie w oczy. Kredka upadła na kafelki z cichym plasknięciem. Kobieta przyłożyła palec do ust.

– To proszę się tam pospieszyć! Sprawdzanie dokumentów!

Jeanne kiwnęła głową: dzięki, jasne, ale to i tak bez sensu.

Kobieta zaczęła nagle gorączkowo przetrząsać swoje torby. Chwyliła jedną paczkę, opakowaną w złoty papier w czerwono-zielone wzorki, zerwała wstążki, rozdzierając papier, po czym wyjęła coś z różowej tkaniny i rozprostowała. W rękach kobiety pojawiła się nowiuteńka parandża, akurat jak na Jeanne.

– Szybciej! – zrywając metkę, kobieta już podawała ubranie zaskoczony dziewczynie.

Nie było czasu, żeby się zastanawiać. Gdy spojrzała przez siateczkę parandży, kobieta, sama jeszcze nie ubrana, zacięcie miętosiła ozdobny papier. Zgniółszy go w niewielką kulę, wyrzuciła opakowanie do kosza i dopiero wtedy sama założyła swoje ubranie.

– Trzymaj! – Kobieta wsunęła Jeanne do ręki jeszcze jeden ze swoich ozdobnych pakunków, a w drugą rękę wczepiła się ze wszystkich sił swoimi lodowatymi palcami.

Tłuści tureccy policjanci (bo czy kiedykolwiek ktoś widział smukłego Turka po trzydziestce?) spojrzeli z odrobiną wyższości na kobietę z niewysoką dziewczyną, obwieszoną bez wątpienia drogimi zakupami.

– Ktoś jeszcze został w toalecie? – zapytał jeden z nich, wyraźnie

otwierając dłoń w oczekiwaniu na dokumenty.

– Nie, to znaczy, ja nie wiem – towarzyszka Jeanne wyciągnęła plastikową kartę.

– A dla dziewczynki? – Policjant skanował małeńki czworokąt kieszonkowym przyrządem.

– Sprawdźcie w bazie danych – powiedziała wyniośle kobieta. – Powinna tam być informacja, że mam czternastoletnią córkę, Iman.

– Mimo wszystko to nie w porządku, szanowna pani. Dziewczyna niedługo za mąż będzie szła, a bez własnych dokumentów chodzi. Dziękuję, proszę przejść.

Wyszedszy na ulicę, kobieta przyspieszyła kroku, ciągnąc Jeanne za rękę do małego sportowego samochodu.

– Oddała mi pani już wielką przysługę – Jeanne, wyswobodziwszy dłoń, próbowała oddać paczkę właścicielce. – Dalej już sobie świetnie poradzę sama.

– Posłuchaj mnie, moje dziecko, widzę, że narozrabiałaś. W mieście było dziś trzy razy więcej policjantów niż zwykle, a ty nie masz dokumentów, prawda? Posiedź kilka godzin w bezpiecznym miejscu.

– To pani nie jest muzulmanką? – Jeanne uśmiechnęła się, zapomniawszy o tym, że nie widać jej uśmiechu.

– Jestem...

Jeanne odskoczyła do tyłu, mimowolnym, ale zdecydowanym ruchem całego ciała.

– Proszę cię.

– Co się takiego stało, że chce mi pani pomóc?

– Jesteś Francuzką.

– Ja – tak. Pani – nie. Pani jest byłą Francuzką.

– Być może – kobieta nie obraziła się. Jeanne oczywiście już dawno mogła dać nogę, ale ciekawość okazała się silniejsza – jej nieodłączna wada, za którą już tyle razy sprawiedliwie dostawała po głowie. Nie, trzeba by się dowiedzieć, skąd się biorą tacy jedyni w swoim rodzaju kolaboranci? Okazja sama się nadarzyła. Ostatecznie, jak to mówią, jeden diabeł, i tak ma przechłapanie.

– No dobra – Jeanne pokornie usadowiła się na przednim siedzeniu.

Westchnąwszy z ulgą, kobieta poderwała samochód z miejsca: policjanci, którzy powinni lada moment wyjść z toalety, najwidoczniej bardzo ją wystraszyli...

Po kilku minutach mknęły już obok Ogrodu Luksemburskiego.

– A tak przy okazji – bardzo niewygodnie mówiło się przez haftowaną siateczkę, która wchodziła do ust. – Jak ma pani na imię?

Kobieta nie od razu odpowiedziała. Wydawało się, że uważnie śledziła drogę. Jej ręce, pewnie poruszające kierownicą, były wyjątkowo szczupłe, z wątłymi, długimi palcami. Manicure na owalnych, w miarę długich paznokciach był cielisty, ledwo dostrzegalny. Tylko pierścionków na palcach miała o wiele za dużo, a wszystkie były ciężkie, z dukatowego złota. Pierścionki nie pasowały do palców, kompletnie nie pasowały.

– Mów mi Anette – w końcu, nie patrząc na Jeanne, odpowiedziała kobieta.

ROZDZIAŁ VIII

Droga w ciemności

Ojciec Lotaire, czy mógłbym ojca choć kawałek odprowadzić? Ksiądz, wyszedłszy z tych samych drzwi, w których przed chwilą stał Eugène Olivier, zerknął na młodego człowieka, jakby go nie poznając. A może go jednak rozpoznał? Zamiast odpowiedzieć, aprobująco skinął głową, jednak tym razem bez swojego serdecznego uśmiechu.

– Niezbyt lubię dzielić z kimś taką nieprzyjemną drogę – powiedział w końcu. – Dziś będę nocować nie u siebie w bunkrze, tylko w metrze.

No cóż, nawet dziecko wie, że nie wolno długo nocować w jednym i tym samym miejscu.

– A na jaką stację ojciec jedzie?

– Place de Clichy.

– A nie wydaje się ojcu, że tam zanocować będzie można dopiero jutro? – zainteresował się Eugène Olivier. – Zanim ojciec dotrze na Clichy, będzie już świtało.

– Jeśli na piechotę, to tak – teraz duchowny spojrzął na swojego towarzysza uważniej, uśmiech pojawił się wreszcie na jego ustach. Eugène Olivier za nic w świecie by się nie przyznał, że z niecierpliwością czekał na ten łagodny, aprobujący uśmiech. – Ale ja zamierzam skorzystać z transportu.

– Z transportu, w opuszczonym metrze? Będzie ojciec jechał kareta zaprzęgniętą w sześć białych koni czy od razu na smoku?

– Wy, ateści, jednak jesteście mimo wszystko romantyczni – odbił piłeczkę duchowny. – Zobaczysz. Ot co, młody Léveque. Możesz mi oczywiście dotrzymać towarzystwa, ale pod warunkiem, że ty też tam

przenocujesz. Nie będę wtedy musiał szukać kogoś innego do pomocy na miejscu.

– Do usług.

Minąwszy na ulicy jeszcze tylko jeden blok, zeszli do stacji Ba- stylia. Tu wmieszali się w barwny tłum robotników z getta, bezrobotnych, wśród których dominowali czarnoskórzy amatorzy siedzenia na zasiłku. Kręciło się tu też wielu tureckich robotników, najbardziej pracowitych mieszkańców strefy szariatu. Paryskie metro jeszcze za swoich najlepszych czasów cieszyło się złą sławą z powodu niewygody i zbyt skomplikowanej trasy. Teraz, gdy czynna była zaledwie połowa linii, zrobiło się już zupełnie obskurne. Wprawdzie nie trzeba tu było obawiać się kontroli dokumentów, za to kieszeni należało pilnować. Żebracy, których całe hordy rozsiadały się w przejściach i pod zardzewiałymi wrakami billboardów, w mgnieniu oka zmieniali się w grabieżców. Brudne dzieciaki, odwołujące się do litości, której, rzecz jasna, nikt nie okazywał, z łatwością poruszały się w tłumie, wyławiając dogodną ofiarę. Nie było dla nich nic prostszego, jak w biegu odciąć komuś torbę.

Znaki wskazywały drogę do działających linii metra, za to liczne wejścia prowadzące do pustych tuneli nie zostały nawet odgrodzone zwykłą taśmą. No cóż, w końcu dobrze sytuowani Paryżanie nie korzystają już z metra. Transport naziemny uważa się obecnie za bardziej dystyngowany.

Przeciskając się razem z ojcem Lotairem przez rozłożony wprost pod nogami „pchli targ”, gdzie bezpośrednio na gazetach wykładano amulety i kontrabandę, Eugène Olivier cały czas łapał się na lękliwej myśli - a co będzie, jak ktoś z tłumu się zorientuje, że to ksiądz? Dureń. Rozpoznać w ojcu Lotaire księdza było równie trudno, co w nim - żołnierza *Maquis*.

Przejechawszy dwa odcinki, wyskoczyli z tłumu na peron i skręcili w czarny rękaw tunelu.

– Ojciec uważa, że to rozsądne, tak łązić po opuszczonych liniach? – Ciemność, która zastąpiła mętne światło latarni, nawet cieszyła oczy, jednak cisza, która nagle zapadła po wydostaniu się z tego ścisku,

wydawała się ogłuszająca. – Przecież ojciec nawet rewolweru nie ma.

– A na co mi on?

– Faktycznie. Przecież księdzu nie wolno zabijać! Ale mimo wszystko mówi się przecież, że ukrywają się tu kryminaliści, złodzieje, dilerzy narkotyków, i kto tam jeszcze.

– A widziałeś ich kiedykolwiek na własne oczy?

– Szczerze mówiąc, nie zdarzyło mi się.

– Dilerzy narkotyków, sutenerzy, złodzieje i zabójcy beztrzesko sobie leniuchują tam, na górze, w strefie szariatatu. Procent tych, którzy wpadają w ręce policji, jest tak niski, że przestępcy nie mają po co zapuszczać się w takie mało komfortowe miejsca. Policja łapie ich akurat tyłu, żeby móc urządzać widowiskowe tortury, typu odrąbywanie rąk złodziejom. A pozostałych po prostu kontroluje. I wszystkich to urządza.

– Wygląda na to, że policja religijna jest bardziej pracowita.

– Oni mają inne zadania – ojciec Lotaire wyjął coś z kieszeni kombinezonu. Rozległo się kilka cichych trzasków, a następnie w czarną paszczę rozpostartych przed nimi sklepień wpadło jasne pasmo światła.

– Każda metropolia, nawet najbardziej nienormalna, musi podtrzymywać swoją złożoną równowagę, żeby istnieć. Jeśli się ją naruszy, powstaje śmiertelny huragan.

Wokół narastała wilgoć. Po drodze czekało ich jeszcze przejście przez podkłady kolejowe, których obecność, z racji wszechobecnej ciemności można było jedynie wyczuć pod stopami.

– Chciałbym tak przy okazji spytać, proszę księdza, o co chodzi z tymi bredniami, które opowiadają muzułmanie, jakoby to byli lepsi od chrześcijan, bo niby „spotykają się z Bogiem bezpośrednio”? Oczywiście, pomijając, że to bzdura od początku do końca?

– Brawo, Eugène Olivier. Dla ciebie, materialisty, wszystko to, w co wierzą muzułmanie, to bzdura. Jeśli jednak doszło już do ciebie, że warto spróbować zrozumieć, jak to wygląda z ich punktu widzenia i ze strony tych, którzy wierzą inaczej, to znaczy, że dorastasz. Człowiek, który замуrował się w ścianach swojego światopoglądu, staje się

ograniczony. Nawet będąc materialistą – ojciec Lotaire delikatnie się uśmiechnął – zyskasz nad nimi przewagę, jeśli spróbujesz zrozumieć ich wnętrze, i do tego oczami konserwatywnego chrześcijanina.

– Rozumiem, ale nie zasłużyłem na pochwałę; to Sophie Sévaz- miou poradziła mi, żebym o to księdza zapytał. W każdym razie, gdzie tu jest pies pogrzebany?

– Raczej gdzie tu jest atut – ojciec Lotaire znów się uśmiechnął.

– bo mówimy o grze znaczonymi kartami, w której asy wyciąga się z rękawa. Ta ich „rozmowa z Allachem, która rzekomo w odróżnieniu od chrześcijańskiej modlitwy odbywa się bez żadnych pośredników”

– to wielka lipa, pozbawiony sensu pompatyczny frazes. Niestety, wielu ludzi dało się nabrać na te szumne komunały! Zaczniemy od początku. Zwracać się do Boga bezpośrednio może najzwyczajniej w świecie każdy chrześcijanin; ba – wręcz powinien to robić. I nie jest to zarezerwowane dla nikogo szczególnego. Zwrócenie się chrześcijanina do Boga nazywamy modlitwą i Bóg tych modlitw wysłuchuje według swojej woli. Ale muzułmanie mają na myśli zupełnie inny dialog! Według nich człowiek zwraca się do Boga i natychmiast, jakby z automatu, otrzymuje odpowiedź. Ale tak na chłopski rozum, pomyśl, czy w tym jest jakiś sens? Czy Bóg – owa niepojęta dla nas Istota – jest na nasze usługi? Co więcej, czy rozum człowieka zawsze jest w stanie właściwie przyjąć to, co ma dla niego Bóg? Najczęściej, to nie Bóg nie odpowiada zwykłym śmiertelnikom, tylko owi śmiertelnicy nie są w stanie zrozumieć lub zaakceptować Prawdy. Zdarzają się niezwykli, jakby to powiedzieć, wytrenowani śmiertelnicy, jeśli taka metafora do ciebie trafia. Wiodą nieprzerwany bój ze swoją grzeszną naturą, wszystkie ich zamiary, wszystkie ich skłonności są ukierunkowane na dojście do Prawdy. Nazywamy ich świętymi. I tak, święci czasem otrzymują odpowiedź. Mają objawienia i widzenia, dane są im rzeczy dla nas niedostępne⁷⁵. Muzułmanie z kolei sądzą, że każdy z nich jest

⁷⁵ Doktryna elitaryzmu, stojąca u podstaw teologii ludzkiego pośrednictwa, to z pewnością jądro lefebystowskiego rozumienia kontaktu wierzącego z Bogiem (przypr. red.).

zdolny do „dialogu bez pośredników”; wystarczy tylko, że taki grzesznik, trawiony różnymi namiętnościami, przeczyta swoją modlitwę.

– To znaczy, że najpierw coś tam pomruczą pod nosem, a potem dowolną myśl, jaka ich nawiedza, uznają za odpowiedź z góry? – spytał Eugène Olivier.

– W najlepszym razie. – wtrącił pospiesznie ojciec Lotaire. – Pół biedy, jeśli sprawy mają się tak, jak mówisz. Nie zapominaj tylko, że jest jeszcze pewna istota, nadzwyczaj zainteresowana dialogiem z niewyćwiczonymi stworzeniami.

– Chodzi o diabła?

– Oczywiście. Ale to jeszcze nie wszystko. Przeczą sami sobie; mają przecież wielu takich, którzy jakieś tam funkcje między nimi a tym, którego nazywają Allahem, wypełniają. Bo na cóż byliby im potrzebni ci wszyscy imamowie, mułlowie, szejkwowie, skoro jakoby nie potrzebują pośredników?

– To znaczy, że wszystkie te ich przechwałki, jacy to oni są od nas lepsi, to kompletna bzdura? Faktycznie, mają swoich pośredników!

Ojciec Lotaire udał, że nie zauważył tego „oni” i „my”.

– To jest bzdura! – odparł. – Muzułmańskiego imama można by właściwie porównać tylko z jakimś samozwańczym kaznodzieją, ale nie z wyświęconym księdzem. Widzisz, Eugène Olivier, chrześcijaństwo, prawdziwe chrześcijaństwo, to religia mistyczna. A w islamie mistyki nigdy nie było.

– Więc jak nazwać to wszystko?

– Magia, jak powiedziałoby dziecko. W islamie po prostu nie ma takich funkcji, dla których w Kościele katolickim wyświęca się księży.

– Chodzi o przemianę chleba w Ciało i wina w Krew?

– Tak, to przede wszystkim. Wiesz, młody Léveque, z jedną bzdurną myślą łatwo można się rozprawić. Jednak, kiedy w jednym stwierdzeniu znajdzie się kilka niedorzeczności, nałożonych jedna na drugą, to możesz się tylko domyślać, jak ciężko to dokładnie objaśnić. Ot, sama ta fraza – „muzułmanie rozmawiają z Bogiem bez pośredników” – zawiera w sobie kilka warstw nonsensu. Ale jeszcze raz powtarzam, mimo

całkowitego braku treści, ta pompacyjna formułka zrobiła zawrotną karierę w czasach, gdy jeszcze zadawali sobie trud, żeby kogoś do siebie przekonać słowami. Brednie, powtarzane wiele razy z pełnym przekonaniem, mają większą moc rażenia niż jakiegokolwiek zakłęcia.

– Nigdy bym nie pomyślał, że takie interesujące rzeczy im po głowie chodzą. Zawsze sądziłem, że szkoda zachodu, żeby zastanawiać się, o czym oni tam sobie myślą.

Promień latarki w rękach ojca Lotaire'a to skracał się, napotykał na pobliskie przeszkody, to wydłużał, odsłaniając szersze przestrzenie. W podziemiach metra było jak zawsze duszno i wilgotno.

– Prawdę mówiąc, ich obraz świata jest mimo wszystko bliższy rzeczywistości niż twój.

– No, wie ksiądz co...

– Z pewnymi zastrzeżeniami, rzecz jasna – ksiądz jakby nie zauważył oburzenia swojego rozmówcy.

– Kadi, którego na dniach wysadziłem w powietrze, wierzył, że zaraz po śmierci czeka go seks z siedemdziesięcioma dwiema hurysami.

– Głowy bym za to nie dał, ale najprawdopodobniej jego oczekiwania zostały spełnione.

Eugène Olivier roześmiał się.

– Myślisz, że żartuję? – Eugène Olivier poznał po głosie księdza, że ten rzeczywiście mówił poważnie. – Wiesz, kim są hurysy?

– Zapierające dech w piersiach ślicznotki, których się brud nie ima.

– Dodaj jeszcze, że nie miesiączkują, nie starzeją się i nie zachodzą w ciążę. W żadnym z poważnych islamskich źródeł nie napisano, żeby hurysami stawały się po śmierci prawowierne kobiety muzułmańskie. Niektórzy islamscy kaznodzieje późniejszej epoki próbowali je pod to dopasować, ale nic nie wyszło z tak naginanej interpretacji. Hurysy od początku były hurysami. Dodaj do tego nieustanną zdolność do odbywania stosunku.

– Brudne, prostackie bajania i tyle.

– Po czasach średniowiecza, kiedy znajomość islamu była jeszcze słaba,

pozostały nam dość szczegółowe opisy demonów, zwanych sukkubami i inkubami. Inkubami nie musimy się teraz, chwała Bogu, zajmować. Inaczej rzecz się ma z sukkubem. To demon w żeńskiej postaci, który dąży do cielesnego związku z mężczyzną. Powtarzam - demon w żeńskiej postaci, a nie kobieta. A taki cielesny związek z demonem zawsze wyjdzie śmiertelnikowi bokiem... Jak tylko taka czarnooka ślicznotka go chwyci, zacznie mu dogadzać, ile dusza zapragnie, potem odda go drugiej, a jeśli nie starczy mu sił na tę zabawę, będzie musiał jeść specjalne mięso tamtejszych byków, mocno zwiększające męską siłę, i to szybko, bo tu już trzecia piękność zaciera ręce... I tak - wiecznie, cały czas, bez ustanku, straszliwe spółkowanie z nieludzkimi stworzeniami, choćbyś błagał, choćbyś krzyczał. Ostatecznie, czy nie tego właśnie chciał? Uważał to za nagrodę? Starał się na nią zasłużyć? To niech teraz bierze, chwytą całymi garściami!

- Ojciec *naprawdę* w to wierzy? - Eugène Olivier potknął się o rozbity podkład kolejowy, ale zdołał utrzymać równowagę.

- Wszystko, z czym teraz mamy do czynienia, było już dawno temu opisywane i opowiadane. Nic nowego pod słońcem albo raczej pod księżycem. A propos księżyca. Uważasz to za przypadek, że my mamy kalendarz solarny, a oni - lunarny? Księżyc, w odróżnieniu od życiodajnego słońca, jest martwym ciałem. Wszyscy czciciele diabła, od wieków kłaniali się księżycowi.

- Uważa ojciec, że *oni* kłaniają się diabłu? - Eugène Olivier aż gwizdnął, choć dźwięk ten bardzo nieprzyjemnie zabrzmiał w czarnej jak węgiel ciemnicy.

- Nie mogę tak twierdzić, jeśli oni sami się do tego nie przyznają - z naciskiem odpowiedział ojciec Lotaire. - Ale jako chrześcijański duchowny nie mogę nie zwracać uwagi na to, co powinno wzbudzać mój niepokój. Jeżeli słyszę, że w raju człowiek spotyka stworzenia, w zupełności zgadzające się z opisem sukkubów, powinienem zapytać siebie - czy to aby na pewno raj? Bardziej to przypomina piekło. Jeśli księżyc przedstawia się jako ważny zwornik jakiejś religii, jakże mogę nie wspomnieć o tym, że z kultem księżyca związany jest satanizm?

– A ja sobie nie wyobrażam, jak można na serio wierzyć w szatana, w piekło, nawet, szczerze mówiąc, w raj. Moim zdaniem to wariaci, fanatycy, co mają nierówno pod sufitem, a na przykład ksiądz... Przepraszam za szczerłość, ale nie chciałbym księdza oszukiwać.

– Nie ma sprawy. Gdzie to się podziało? Jest! Teraz pojedziemy komfortem.

Światło latarki ukazało stojący wśród ciemności wózek z długą dźwignią.

– Ależ luksus! Drezyna na chodzie! Istotnie, imponujący ma ksiądz środek transportu,

– Przeniesimy ją na główne tory – duchowny przymocował latarkę do kombinezonu, oswobodziwszy w ten sposób ręce. – Poczekaj, przestawię strzałkę. Iiiii... raz!

– Uff! – Eugène Olivier wskoczył na wążutki peron. – Ciekawe, jak by ojciec tam dotarł, gdyby poszedł sam? Na piechotę?

– Nie, a dlaczego? Dotarłbym tam takim samym sposobem jak teraz.

– Chce ksiądz powiedzieć, że hurysa to rzeczywiście prawdziwy sukkub? – Eugène Olivier stwierdził, że ojciec Lotaire najprawdopodobniej traktuje te mity poważnie.

– Chcę powiedzieć, że ogólnie rzecz biorąc, diabeł dość często spełnia swoje obietnice – ostro odpowiedział duchowny. – Powie ci – będziesz miał możliwość odbywania stosunków z siedemdziesięcioma dwiema czarnookimi pięknosciami. „No to super” – myśli sobie człowiek, ale już do głowy mu nie przyjdzie, żeby zapytać: a czy to będzie dla mnie dobre? Ale gdy jedno z dwunastu wrót tego niezwykłego miejsca otworzy się dla niego, będzie już za późno. Za późno, by wołać o pomoc.

– Dałby ksiądz radę popchnąć drezynę samemu? – z niedowierzaniem zapytał Eugène Olivier.

– Ile razy tak już robiłem. Jeszcze w seminarium kładli duży nacisk na sport. Nie pierwszy raz już się przekonuję, jak to się potem przydaje.

Drezyna po cichutku zaczęła ruszać.

– No dobrze, to co tam chciałeś powiedzieć o tym moim kuku na

muniu?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Co to za różnica, jeśli dla określenia mnie wybierzesz bardziej delikatne wyrażenie niż w stosunku do muzułmanów?

– Racja. Ojciec Lotaire, a ojciec nie... nie żartuje sobie? Ja rozumiem, że ojciec bardzo jest oddany odprawianiu mszy świętej i że dopóki ojciec żyje, nie pozwoli takim i owakim zabronić jej odprawiania. Rozumiem nawet, że chrześcijaństwo to na tyle ważna część naszej kultury, że warto za nie umrzeć. Ale wszystkie te historie... jakiegoś diabły, demony, anioły, raj, piekło... Myślałem, że nawet księża już dawno uznali to za symbole.

– Pokolenia katolickich duchownych, którzy uważali diabła za figurę retoryczną, odeszły do przeszłości! – Ostro, w przerwach między naciskaniem dźwigni napędowej, odpowiedział ojciec Lotai- re. – Myślę, że smażą się w tym samym piekle, które również uważali za figurę retoryczną! To przez nich Kościół rzymskokatolicki upadł, po czym przestał istnieć. To właśnie oni stwierdzili, jak w jakiejś głupiej anegdocie, „i wy macie rację, i wy macie rację, i wy też, na swój sposób, macie rację”. Ten kretyński pogląd, że wszystkie narody zmierzają do Boga, tylko każdy inną drogą, doprowadził do tego, że nie było już po co jeździć na misje ewangelizacyjne! A bez świadomości tego, kto jest jedynym źródłem prawdy, Kościół Chrystusa staje się martwy. Przez całe stulecia Kościół wiernie stał na straży depozytu wiary. Dopiero w XX wieku został zalany liberalizmem, i ustąpił, wycofał się ze swego stanowiska, ogłaszając: „każda religia jest równouprawnioną drogą do Boga”. Na tym skończył się katolicyzm, a zaczął się neokatolicyzm, to znaczy z lekka teatralizowane i humanistyczne miejsce, gdzie prowadzi się jałowe dyskusje. Wiesz, jak nas uczyli w seminarium? Jeśli Najświętszy Sakrament upadnie na podłogę, ksiądz powinien najpierw upaść na kolana, wylizać kamień w tym miejscu, a potem wziąć specjalne dłuto i skuć na proszek warstwę, której dotknęła hostia. Potem ten kamienny proszek też trzeba zebrać, słowem, wiele innych czynności trzeba było przy tym wykonać... Wszystko to byłoby czystym nonsensem, gdyby nie jeden szczegół. Człowiek powinien wierzyć, że

ma do czynienia z Ciałem Pańskim. A jeśli uważa, że opłatek po przeistoczeniu to tylko „jakby” Ciało Chrystusa, symboliczne Ciało Chrystusa, to może go po prostu podnieść i włożyć do kieszeni, a potem spokojnie chodzić po tym miejscu, jak to robili już siedemdziesiąt lat temu neokatolicy. Toteż gdy prawdziwy wróg, uważający za prawdę tylko siebie samego, a ugodowych liberalnych katolików – po cichu – za durniów, stanął u bram, nikomu nie spieszyło się, by umierać. I w rezultacie umarł Kościół rzymskokatolicki.

– Nie tak zupełnie nikomu. Mój dziadek... On był... Wszyscy w naszej rodzinie byli ministrantami w Notre Dame. Został zabity, kiedy wahhabici przyszli zająć katedrę. Ksiądz uciekł, a dziadek pozostał i zginął za Notre Dame.

– To znaczy, że jesteś wnukiem męczennika? Masz szczęście, twój dziadek wstawia się za tobą.

– Ale on był przecież właśnie takim neokatolikiem, jak to ojciec określił. Chodził też na krótkie, niełacińskie msze, i na pewno przyjmował komunię świętą na rękę.

– Jest męczennikiem, a reszta jest bez znaczenia. Zrozum, to nie zwykli wierni decydują o tym, jak się obchodzić z komunią świętą, jak powinna wyglądać msza święta. Nieprawidłowo nauczonemu Pan odpuści. Cała odpowiedzialność spoczywa na duchowieństwie. Widzisz, Pan dał twojemu dziadkowi dar męstwa, a księdzu nie. A i tak takich jak twój dziadek była garstka. Neokatolicyzm zniszczył wiarę. Nie dość nabożne obchodzenie się z Najświętszym Sakramentem, brak postów itd. Zbyt wiele było tu pokus, także dla zwykłych wiernych.

Drezyzna mknęła w ciemności, cieniutki promień światła prześlizgiwał się po ścianach zbyt szybko, by można było cokolwiek zobaczyć.

– Chwileczkę, ojczcie Lotaire! – Eugène Olivier nagle doznał olśnienia.

– Ile ksiądz ma lat?

– Trzydzieści trzy.

– To jakim sposobem mógł ksiądz uczyć się w seminarium?

Duchowny roześmiał się, rytmicznie poruszając dźwignią.

– O, zdążyłem oficjalnie postudiować cały rok! I to tylko dlatego,

rzecz jasna, że seminarium nie było neokatolickie, bo te pozamykali dwa lata wcześniej. A ja zdążyłem załapać się do seminarium we Flavigny. Fantastyczne miejsce, tamtejszy klasztor pamiętał jeszcze czasy Karola Młota⁷⁶. Wyobraź sobie, mieszkałem wśród ścian, które stały tam, gdy Francja nie była jeszcze nawet „najstarszą córą Kościoła” a dopiero pracowała sobie na ten tytuł! Nawet kamienie to pamiętały, czułem to. Lat miałem wtedy tyle co ty, w tym wieku ma się bardzo wyostrzony głos wewnętrzny. Pod koniec XX wieku, co zrozumiałe, zabytkowy klasztor stał się nikomu niepotrzebny. Mury wystawiono na sprzedaż. I kilkoro duchowych dzieci Monsignore Marcela Lefebvre’a kupiło je dla Bractwa św. Piusa Dziesiątego. Tak samo jak mury seminarium w Ecône w Szwajcarii. Wcześniej studenci z trzech niższych lat seminarium gnieździli się we Flavigny, a w Ecône uczyli się starsi seminarzyści. Ale to później zmieniło się i we Flavigny można już było ukończyć pełne studia.

Ojciec Lotaire umilkł, przypomniawszy sobie nagle jeden ze swoich powrotów do domu na święta wielkanocne. Miał już wtedy błogosławieństwo na noszenie sutanny. W pokoju, zwykłym, ale w pewnym sensie już obcym, siedział na łóżku sfatygowany pluszowy miś, z którym zasypiał przez całe dzieciństwo. No tak, do tego zdolna była tylko jego mama: miś był ubrany w nowiutką sutannę z koloratką! Lotaire najpierw przymknął drzwi, a potem wziął misia na ręce. Tak, bracie, nieźle się przez ten czas postarzeliśmy.

O Panie, jak on był dumny z tej swojej pierwszej, strasznie niewygodnej sutanny, sięgającej aż do podłogi! Szczególnie niewygodnie było grać w niej w piłkę nożną. Koledzy z trzeciego roku złośliwie straszili, że w czasie letnich wakacji, kiedy wspólnie wybiorą się w Alpy, również i wspinaczkę trzeba będzie odbywać „w mundurze”.

„Albo to będzie wasze jedyne ubranie, albo nigdy nie będziecie w nim sobą” – powtarzał stareńki opat Florian, pamiętający jeszcze samego Lefebvre’a.

⁷⁶Karol Młot - majordomus królestwa Francji, rozbił Arabów pod Poitiers w 732 r. Bitwa ta zatrzymała pierwszą falę ekspansji na Europę.

Żadnych ustępstw wobec ducha czasów! Życie toczyło się powolnym, średniowiecznym torem. Żadnych komórek, internet tylko w bibliotece. Maluteńka klitka, niewiarygodnie ponura, pomijając już zabytkowość budynku, bardziej przypominała pokój w bezgwiazdkowym hotelu niż celę. Właściwie nie było czterech ścian, tylko dwie. W jednej z nich okienko, w drugiej - drzwi. Stół, krzesło, łóżko, szafa i malutka miednica w kącie. Kapać się można było tylko pod prysznicem w łazience na korytarzu, zamiast szlafroka - ta sama sutanna na gołe ciało. Nie można było trzymać niczego do jedzenia. Nawet najmniejszej puszczeni kawy albo paczki herbaty. Philippe'owi Kenber'owi, jego koledze z roku, lekarz zalecił częste picie herbaty. Dostał oficjalne pozwolenie..., ale nie na wzięcie do celi czajnika! Pozwolenie na wchodzenie do kuchni, kiedy zechce, i parzenie tam sobie herbaty do woli.

W celi było tak ciasno, że dwoje ludzi przebywających w niej jednocześnie nieustannie popychałoby się łokciami. Ale dwoje ludzi nie mogło przebywać w celi jednocześnie. Jeśli kolega chciałby poszperać w twoich książkach, oczywiście, możesz go zaprosić. Otworzysz mu drzwi, wpuścisz do środka i poczekasz, stojąc w otwartych drzwiach, aż znajdzie to, czego mu trzeba. Jeśli będzie się dłużej zastanawiał, możesz, rzecz jasna, sam sobie gdzieś pójść. Ale wejść do środka ci nie wolno. Ktoś, kto wymyślił zasady zakonnego życia, które dały początek późniejszym zasadom seminarium, miał rozum na karku, bez dwóch zdań.

- Nie ma takiej dyscypliny, której nie moglibyście opanować dzięki książkom - powtarzał w kółko tenże opat Florian. - Sześć lat seminarium potrzebne jest nie tylko do zdobycia wiedzy.

Rzecz jasna, opat troszkę przesadzał. Była jedna taka dyscyplina, w której książki na niewiele się zdawały. Liturgia stosowana.

Pojawiwszy się w tej salce po raz pierwszy, Lotaire uznał wtedy, że najprawdopodobniej trafił do kaplicy wewnętrznej. Nie wiedzieć czemu, zamykano ją na siedem zamków, pieczętowano na siedem pieczęci, a już uchowaj Boże wpuszczać tu świeckich! Komnata Sinobrodęgo, co

najmniej. A w środku co? Ołtarz, tabernakulum, świece, wszystko, co potrzebne do liturgii. Falsywny ołtarz. Nieprawdziwy kielich mszalny. Atrapa kaplicy, słowem - sala treningowa.

Kadzielnica wyżej! Kadzielnica niżej! Nie tam, na początku w dół! Za szeroki zamach robisz! Jeszcze raz!

„Oremus”!⁷⁷

Nie! Od początku!

„Oremus”!

Od nowa!

„Oremus”!

I tak po dwadzieścia razy z rzędu.

Całej reszty i tak musiał się douczać potem z książek: liturgika teoretyczna i homiletyka, teologia dogmatyczna i moralna, łacina, starogrecki alfabet. Ale żadne książki nie oddadzą gestu rąk, zamachu kadzielicą, nie wyprostują pleców, nie wyrównają kroku.

Jakże dobrze się stało, że był w jego życiu chociaż ten jeden rok; żołnierski, koszarowy rok, kiedy cała siła woli koncentruje się na tym, żeby wyrzec się samego siebie. Jakaż to była monotonna, ciężka proza życia - codzienność strażników Świętego Graala. Romantyzmu wystarcza nie na długo. Mówili, że co roku do Flavigny wstępuje piętnastu-dwudziestu ludzi, a Ecône kończy pięciu - dziesięciu.

Dzień rozpoczął się przed świtem od mszy świętej. W czasie posiłków czytano pisma Świętych Ojców. Na piętnaście minut przed końcem obiadu rektor dawał znak, żeby zakończyć czytanie. Oznaczało to, że można sobie teraz pogadać przy szklance wina. Ale te piętnaście minut to nie jedyny czas na pogaduchy w ciągu dnia. Od razu po obiedzie była godzina poświęcona na spacer po klasztornym ogrodzie. Raz czy dwa można oczywiście w milczeniu poprzehadzać się alejami w samotności. Ale jeśli będziesz spacerować sam każdego dnia, szybko wezwie cię moderator. „Ksiądz powinien być otwarty na ludzi. To jest czas na kontakty towarzyskie”, powie ten sam opat Florian, którego, nawiasem mówiąc, zabito pięć lat temu w Pikardii.

⁷⁷ Łac. Módlmy się.

Za to po odmówieniu komplety, tak gdzieś o dziewiątej wieczorem, nie można się już z nikim spotykać. Zapada „wielka cisza”, aż do rana. Rozmowy były wtedy zabronione. W Wielkim Poście nieraz ogłaszało się całe dnie „wielkiej ciszy”, nawet podczas kuchennego dyżuru trzeba pokazywać na migi: obracasz w dłoni ziemniak, drugą ręką ściskając niewidzialny nożyk - nie wiesz, gdzie jest? W odpowiedzi kiwnięcie głowy - tam, w tej skrzynce.

Nie, to nie były koszary. W koszarach nikogo nie obchodzi twoje życie wewnętrzne, do tego spędzasz wolny czas sam albo z ulubionym kolegą, co w seminarium bynajmniej nie jest mile widziane.

Duma, przekształcana w dobro: jestem wybrany, jeden z niewielu. Gorycz, zatruwająca bieg dnia: zbyt mało nas, tych wybranych. Od pięciu do dziesięciu księży kończących szkołę - i to na całą Europę! A nieraz trzeba przecież dzielić się z Azją, co za każdym razem powoduje niezadowolenie. Co robić?! „0 szóstej rano sprawuję mszę świętą w Saint-Quentin - skarżył się pewien stareńki opat. - Potem wskakuję do samochodu, to i tak dobrze, bo konno bym chyba nie dał rady, pędzę jak rajdowiec, drugą mszę odprawiam już w Gizie. Stamtąd lecę do Laon i jeśli z Bożą pomocą zdołam chociażby rozpocząć liturgię przed południem, to duży sukces. W Laon jem już śniadanie, choć, szczerze mówiąc, z Gizy do Laon bez filiżanki kawy ciężko wytrzymać za kierownicą... Pamiętajcie tylko, młodzieży, żeby przy takim katorżniczym trybie życia nie pocieszać się świadomością, jak potrzebny jest ten trud. To nie wiernych mamy jakiś ogromny nadmiar, ale to nas jest za mało! Liczba katolików jest zastraszająco mała, a nas, ich pasterzy, jeszcze mniejsza”⁷⁸.

Cóż, Lotaire był na to przygotowany. Był przygotowany na wiele boleści, z tych, o których uprzedzał opat... Panie, jak on się nazywał?... Opat Beulef! Był przygotowany na to, że najprawdopodobniej będzie odprawiał msze w jakimś starym spichlerzu, na to, że po drodze do tego spichlerza będzie przechodził obok jakiegoś przepięknego barokowego kościółka, przekształconego w centrum turystyczne z muzeum i sklepem

⁷⁸ Autorka pisząc o katolikach, myśli o lefebrystach (przypr. red.).

z pamiątkami, albo, co jeszcze gorsze, obok jakiejś pseudogotyckiej albo klasycystycznej świątyni „pozbawionej wartości historycznej czy architektonicznej” i „ze względu na potrzeby miejscowej ludności” oddanej na meczet⁷⁹. Przygotowywano go na to i Lotaire sądził, że jest gotów. Ale na to, co przerwało jego studia, przygotować się nie mógł nikt.

Wojska rządowe otoczyły Flavigny podczas mszy świętej, dlatego też nikt tego nie zauważył. Zresztą, co by to zmieniło, jeśli mieszkańcy seminarium zobaczyliby coś, zanim żołnierze rozbiegli się po celach, korytarzach i salach? Teoretycznie mogli się zabarykadować i przesiedzieć kilka godzin w oblężeniu. Ale jaki miałoby to sens? Prasa by nie zareagowała. No, może zjechałoby się wierni, rozbiliby tu obóz - z dziećmi, z krzyżami, z ikonami. Nie daj Boże, jeszcze ktoś by ucierpiał. Flavigny zostało zlikwidowane rozporządzeniem francuskiego rządu, a do jego zamknięcia oddelegowano wojsko, składające się w dwóch trzecich z muzułmanów⁸⁰, w jednej trzeciej zaś z niewierzących Francuzów. Ci ostatni, nie kryjąc swego rozbawienia, gapili się na obleczonych w sutanny seminarzystów i wykładowców, jak na jakiegoś egzotyczne eksponaty.

Kiedy wykładowcy pospiesznie składali utensylia liturgiczne, starając się nie dopuścić, by wpadły one w niewyświęcone ręce, jeden z diakonów wysłał Lotaire'a po puste kartony i linę. Przypomniał sobie, że spory zapas powinien być w składziku na pierwszym piętrze -

⁷⁹To już nie fantastyka, chociaż jak do tej pory przypadki oddawania budynków kościelnych na meczety zdarzały się tylko w Niemczech. Mimo wszystko jednak obecnie francuskie władze wołają, żeby kościoły były wyburzane, niż oddawane katolikom-tradycjonalistom. Wszystkie zabytkowe budynki, które należą obecnie do tradycjonalistów we Francji, zostały przez nich wykupione za ogromne pieniądze z ich ofiar.

⁸⁰ Dane pochodzące z Niemiec „W szeregach Bundeswehry służbę odbywają tysiące muzułmanów” - ogłosił w wywiadzie dla radia „Deutschlandfunk” (25 marca 2004 r.) podpułkownik Udo Schnitker, przedstawiciel ministerstwa obrony RFN. Ich dokładna liczba jest niewiadoma, szacuje się, że w przyszłości liczba muzułmanów-żołnierzy będzie wzrastać.

trzy dni temu osobiście rozpakowywał dostarczone tam paczki papieru do drukarki, brulionów i długopisów - Lotaire popędził na górę po schodach. Drzwi do „kaplicy treningowej” otwarte były na oścież. Urzędowali tam już dwaj chłopacy, bez wątplenia byli to Francuzi. Jeden z nich, rozsiadłszy się na podłodze, chęptał coś z „kielicha” - pusta butelka wałała się tuż obok. Drugi z ciekawością obracał w dłoniach „tabernakulum”, wyrwane z „ołtarza treningowego”. Lotaire, wszedłszy do sali, sam jeszcze nie wiedząc po co, nie zdołał powstrzymać się od śmiechu. Pewnie sobie myślą, że właśnie zbeczęścili kaplicę. Ciekawe, czy diabli wrzucą ich za to na średnio gorącą patelnię z powodu rozminięcia się intencji z rezultatem?

- A ty z czego się śmiesz? - zdziwił się żołnierz, niechętnie podnosząc się na nogi. - Te, opat, bierze cię?

- Jeszcze nie jestem opatem - Lotaire z zadowoleniem wycelował pięść w słabo rozwiniętą szczękę wojskowego - za to ty już jesteś idiotą.

Jakoś strasznie mało mu było tego jednego roku w Flavigny, a dokładniej, roku i jednego miesiąca.

- Tutaj musimy zejść i przesunąć zwrotnicę - duchowny przestał naciskać dźwignią. Eugène Olivier sam bardzo dobrze orientował się w podziemiach metra, należało jednak uczciwie przyznać, że ojcu Lotaire'owi wychodziło to niezgorzej. Wkrótce podążyli dalej drogą w ciemności. Jednak nigdy jeszcze Eugène Olivier Léveque nie czuł się tak nieswojo w bezpiecznym i pewnym mroku podziemia. Być może właśnie dlatego zajmował się teraz tym, czego nigdy nie robił w całym swoim życiu: wyobrażał sobie, że jest muzułmaninem. Nawet nie współczesnym, a jednym z tamtych, z szachidów. Na początku wieku było ich bardzo wielu, wówczas dopiero ustanawiali swoje panowanie nad połową świata. Oto i on, z bandą jemu podobnych, wpada z miotaczem ognia do przedszkola, w samym środku jakiegoś tam głupawego święta, niech będzie tłusty czwartek, kiedy to maluchy z przejęciem packają sobie nawzajem buźki akwarelami, tańczą w kółeczku i objadają się pączkami. I nagle te dzieciąt/,ki stają się zakładnikami, już można ogłaszać, że za każdego rannego powstańca

będą ich zabijać, dajmy na to, po troje, w zależności od liczby, jaką udało się złapać. Będą stawiać warunki, za których niewypełnienie też zaczną zabijać. Na przykład, żeby zlikwidowali zakaz noszenia hidżabu. (Zresztą, wtedy i tak się tego doczekali. Po dwóch albo trzech przypadkach wzięcia zakładników nasi dziadowie i babki sami zażądali tego od państwa, tzn. żeby zaprzestać wystawiania na ryzyko ich dzieci. A muzułmanki niech sobie chodzą do szkoły w czym chcą...) Na początku groźby, potem, żeby bardziej przstraszyć, zastrzela pierwsze dziecko, na oczach innych, obawiających się już nawet płakać. A zrobione polaroidem zdjęcie bezbronných zwłok malucha zgodnie z planem wypuszczą razem z zakładnikiem, którego dla kaprysu pozostawia przy życiu. Wiedzą jednak, że jakkolwiek umowę będzie można uznać za nieważną, kiedy wszyscy zakładnicy zostaną oswobodzeni albo zabici. Mają tylko jeden cel - zastraszyć i złamać. Dlatego też większość z nich jest gotowa umrzeć. Nawet jeśli jest to tylko skutek działania napojów energetyzujących, którymi się nafaszerowali, ale w większym lub mniejszym stopniu są gotowi. Taki zabryzgany niewinną krwią dzwoni do domu, gdzieś tam do Emiratów, żegna się z matką, ogłasza, że wyrusza na spotkanie z Allachem. Ta wypowiada nad nim wszelkiej maści błogosławieństwa, informując go przy okazji, że sprosiła już gości na jego „ślub z czarnookimi niebieskimi dziewczycami”. A on, w końcu, pada wśród ciał swoich ofiar.

A potem? Jest w ogóle jakieś „potem”? Dobra, jest czy nie ma, nieważne. Najważniejsze, że on sam wierzy w to, że jest. I w cóż to takiego on wierzy? Oto otwierają się przed nim wrota, wiodące do miejsca, gdzie płyną cztery rzeki. Jedna z mleka, druga z miodu, trzecia z wody i czwarta, między innymi z wina. Czy naprawdę warto było zabijać dzieci za darmowy miód? Niech sobie tam myśli, że było warto. Trudno to sobie jednak wyobrazić. Teraz wychodzą mu na spotkanie te czarnookie, cały tłum, wszystkie jednakowo piękne, wszystkie pragną oddać się razem z nim uciechom miłosnym... Będą w ogóle ze sobą rozmawiać, czy od razu przejdą, jakby tu powiedzieć, do rzeczy? A czy one w ogóle umieją mówić? I o czym? Przecież to nie ludzie. To tylko

seks, tylko szkarłatne usta, białe ręce, zbyt białe, białe jak śmierć, bladoksiężycowe, zręczne, chwytne ręce... One nie żyją, to znaczy, są martwe... Och!

Eugène Olivier potrząsnął głową, strząsając z siebie paskudną wizję diabelskiego raju.

– No i jesteśmy na miejscu – powiedział ojciec Lotaire.

ROZDZIAŁ IX

Dom konwertyty

W oknach samochodu mignęła stacja „Cluny”.

– Tutaj obok było kiedyś muzeum średniowiecza – nieco stłumionym głosem powiedziała Anette. – Chodziłam do niego z babcią, kiedy byłam całkiem mała, miałam wtedy może jakieś cztery latka. Był tam taki gobelin, „Dama z jednorożcem”. Do dziś go pamiętam. Potem go oczywiście spalili. Wiesz co, powiemy w domu, że jesteś moją daleką krewną z getta. A na imię masz, powiedzmy... Nicole. Zawsze podobało mi się to imię, gdyby nie... Nieważne, zresztą.

– Na imię mam Jeanne. – Trudno jednak było rozmawiać bez kontaktu wzrokowego. Ponadto nieprzyzwyczajonej do chodzenia w „płaszczu przeciwdeszczowym” dziewczynce robiło się duszno. Oczywiście, kiedyś zdarzało się jej zakładać na siebie podobne wory, ale zdążyła już zapomnieć, jak bardzo są niewygodne. – Myślę, że nie ma potrzeby wymyślać innego imienia, nie jestem przecież z getta.

– To gdzie ty mieszkasz? – w głosie kobiety wyczuwało się niedowierzanie i zaskoczenie.

– Nigdzie – Jeanne skrzywiła się, zapominając, że przecież tego nie widać.

– Ale to niemożliwe!

– Możliwe, możliwe, jak najbardziej. Już od czterech lat nigdzie nie mieszkam. Mało to w Paryżu dobrych ludzi, u których można przenocować albo zostawić rzeczy?

Anette nie odpowiedziała. Gęsta tkanina parandzy skutecznie skrywała jej reakcje na słowa Jeanne. Samochód wjechał za ogrodzenie starannie utrzymanego ogrodu otaczającego pałacyk, jakich wiele wybudowano w

XVII i XVIII wieku. Jeanne mimowolnie zauważyła, że przegapiła w tym roku kwitnienie kasztanowców. Przecież jeszcze przedwczoraj nie kwitły.

– Wejdz, dziecinko – Anette zostawiła samochód na podjeździe, jak zwykł to robić człowiek, przyzwyczajony do obecności służących.

Od bardzo dawna już nikt nie mówił do Jeanne „dziecinko”, i to do tego jeszcze tak zupełnie szczerze.

Do jakiegoż to dziwnego domu weszły! Jeanne zdarzało się nieraz widzieć okna zasłonięte od zewnątrz, ale nigdy od środka. Szkoda było tych wysokich okien w kamiennych futrynach, zaczynających się prawie od podłogi, które kiedyś obficie zalewały pokoje słonecznymi promieniami. Jakież to wspaniałe widok musiał rozpościerać się na niewielki park z tymi kwitnącymi kasztanowcami! Teraz najwidoczniej ktoś chciał, aby policja religijna nie mogła się tu dopatrzeć niczego złego. Od wewnątrz kamienne ościeżnice dawno zniknęły pod naporem remontu kapitalnego - zdawało się więc, że jest to piwnica, która poprzez sufit wychynęła ponad ziemię. Do podziemi Jeanne była już od dawna przyzwyczajona, wiadomo, ale żeby tak specjalnie odgradzać się od światła! Nawet w getcie okienka wesoło błyszczą czystym szkłem, a gospodynie od policji religijnej odgradzają się jedynie firankami.

Była to rzeczywiście elegancka piwnica - nawet w przedpokoju znajdowały się dywany, drapowania, cała masa jakichś metalowych ozdóbek. Rzeźbione schody na górę, rzeźbione drzwi, rzeźbione łuki wewnątrz mieszkania.

Jeanne nie od razu zwróciła uwagę na starszą kobietę, która otworzyła im drzwi. Tamta zjawiała się zupełnie niezauważenie i od razu podeszła do jedwabnego drapowania.

– O, pani Assette z gościem, jak miło! – Starucha była przy kości, a jej słodkawy głos kłócił się z ostrymi rysami twarzy, drapieżnie nakreślonym łukiem brwi, złowieszczym spojrzeniem czarnych jak smoła oczu, haczykowatym nosem i wąskimi, zaciętymi wargami. Nie była Francuzką, co do tego nie mogło być wątpliwości, nawet gdyby mówiła po francusku, a nie w tym obrzydliwym lingua- -franca.

– Przynieś zakupy z samochodu – rzuciła krótko Anette, prowadząc Jeanne w głąb domu. – Tak, Zuraido, ta dziewczynka to córka mojej kuzynki Berthy, tej co mieszka... no, wiesz gdzie...

– Czyżby pani sama jeździła w takie miejsce?! – Służąca aż klasnęła w ręce.

– Oczywiście, że nie – odparła z rozdrażnieniem, starając się ukryć zdenerwowanie. – Dziewczynkę przywiózł mój krewny, który ma pozwolenie na poruszanie się po Paryżu. No, co z tobą Zuraido, ruszaj się!

Starucha obrzuciła Jeanne badawczym spojrzeniem, które zatrzymało się, na parandzy, jak kula na kamizelce kuloodpornej. Co chciała zobaczyć, oprócz niewysokiego wzrostu? Nie było wątpliwości, że będzie czekać na stosowną chwilę, żeby się jej przyjrzeć.

Przeszedłszy do dużego pokoju, w którym, sądząc po wystroju, zaczynała się część domu wydzielona dla kobiet, Anette vel Assette, niedbale rzuciła parandzę na łóżko. Zanim Jeanne zdążyła pójść w jej ślady, rozległ się dźwięk maleńkich dzwoneczków i z wewnętrznych pokoiów wybiegła dziewczynka, na oko mniej niż piętnastoletnia.

– Ojejku, mamó, ta dziewczynka ma taką samą parandzę, jaką chciałam, żebyś mi kupiła! – wykrzyknęła, rzucając się do Anette.

– O widzisz, właśnie ten kolor jest teraz w modzie!

– Nie taką samą, tylko twoją – Jeanne wyskoczyła z parandzy.

– Uff! Rzeczywiście, też mi różnica, jakiego koloru jest to paskudztwo!

– To moja córka Iman – spokojnie powiedziała Anette. – Iman, nasz gość ma na imię Jeanne. Zaprowadź ją do siebie, a ja każę wam przynieść coś dobrego do jedzenia.

Iman ledwie kiwnęła ze zrozumieniem, do szczętu oszołomiona. Nie odzywając się do siebie, dziewczynki przeszły do dwóch, połączonych łukiem, pokoiów, które najwidoczniej należały do Iman.

Jeanne usiadła na miękkiej skórzanej pufie. Nie odczuwała ani skrępowania, ani niepokoju wynikającego z tej dziwnej sytuacji, w której się znalazła. Wprost przeciwnie, ogarnęło ją niepojęte uczucie, że ma prawo wejść do tego domu, ma prawo dowiedzieć się prawdy o jego

gospodarzach. Milczenie przeciągało się.

Iman nie usiadła, a jedynie z gracją oparła się kolanem o skórzane siedzenie. Spojrzenie jej coraz to bardziej rozszerzających się oczu przenikało tajemniczego gościa na wylot.

Jeanne nie pozostawała jej dłużna. W przeciwieństwie do niej, Iman była idealnie zbudowana, choć dobrze by jej zrobiło, gdyby zrzuciła z pięć zbędnych kilogramów. Opięte legginsami uda i pośladki były pulchniutkie, a i goły brzusek trudno byłoby nazwać zapadłym. Miała na sobie coś z różowego jedwabiu z cekinami, co bardziej przypominało przedłużony stanik, niż krótką bluzeczkę. Bransoletki z dzwoneczkami na nadgarstkach, spinki i szpileczki w upiętych do tyłu włosach. Będąc młodszą od Jeanne o rok czy dwa, Iman była tego samego wzrostu co ona i wyglądała na to, że z czasem ją przegoni, choć prawdopodobnie nie z racji swojej budowy ciała, a dzięki prawidłowemu odżywianiu w dzieciństwie. Pokój idealnie pasował do swojej właścicielki. Nad zagłówkiem zaścielonego jedwabną wiśniową kapą łóżka znajdowała się różowa atlasowa przesłona, zupełnie niepraktyczna, za to bardzo dekoracyjna, cała we wstążkach i falbanach. Przedmioty służące dziewczynce do zabawy wały się wszędzie - na dywanach, łóżeczkach, stolikach. Koralki we wszystkich kolorach tęczy w przezroczystych pudełeczkach - i to w takich ilościach, że wydawały się kaszą z bajkowej kuchni jakiejś czarodziejki, mulina i jedwab, bębenek, kanwa, dziecięce zestawy różnego rodzaju mozaik. Tylko lalek nie było, ale ich przecież być nie mogło. Za to wszędzie narozstawiano słodycze, a tych w pokoju być nie powinno - tak przynajmniej uważali rodzice Jeanne, której nieraz się oberwało za coś podobnego. Tutaj najwidoczniej było to oczywiste, żeby pod ręką leżały pudełeczka z rachatlukum i chałwą, cukierki, orzeszki, blachy ciast, patery z owocami.

- Pokazać ci coś? - z kapryśną miną zapytała Iman, przeciągając się z kocią gracją. - Jak chcesz, możemy sobie pooglądać moje ozdoby.

- To pokaż - uśmiechnęła się Jeanne.

Iman natychmiast wyciągnęła jakąś ogromną, wytłaczaną szkatułę, usiadła na podłodze obok Jeanne i zabrała się do wyjmowania

zawartości. Jakże dziwnie, mimo wszystko, było na nią patrzeć! Niebieskie oczy - kropka w kropkę takie jak u Gaelle Muossoltin, okrągły podbródek - żywcem zdjęty z Madeleine Mechin. Jednak w odróżnieniu od przyjaciółek Jeanne, w każdym jej ruchu była jakaś niesamowita opieszłość, każdy gest i ton głosu owiany był aurą próżniactwa.

- Bransoletki dostałam od taty na trzynaste urodziny - Iman, która otworzyła już wieczko swojego puzdra, odpięła brzękadelka z dzwoneczkami, a następnie włożyła na jedną rękę niewiarygodnie ciężką obręcz, w drobny symetryczny wzorek. - Są dwie, widzisz? Tak w ogóle to tata zamówił je w Ósmym okręgu, w tamtym butikiu trzeba składać zamówienia z dwumiesięcznym wyprzedzeniem. No, ale nie będę zakładać obu. Ten bursztyn kupiliśmy z mamą, co prawda tylko w „Galerii Lafayette”, ale i tak mi się podoba! Za to bransoletki są oczywiście ekskluzywne. Chyba jednak założę obie! Zobacz, ładne, co?

Jeanne spojrzała bez zachwyty na kształtne białe ręce, dźwigające złote narośla, jak pień brzozy hubę.

- Chyba mięśnie nimi trenujesz, co? W końcu hantli nie wolno wam używać.

Jeanne znów przypomniała się Gaelle. W odróżnieniu od niej samej i Madeleine, Gaelle Moussoltin lubiła i potrafiła ładnie się ubrać. „O, Gaelle, to prawdziwa paryżanka” - wzdychała mademoiselle Teyssse, cierpliwie wysłuchując jej pouczeń, że „toaleta powinna zawierać tylko jeden prowokujący szczegół, albo dekolt z długą spódnicą, albo mini z golfem po szyję, gdyż w innym przypadku na tak ubraną kobietę jest odpowiednie określenie! Prawda?” Albo że brylanty „nie żyją” w złocie lub że w ogóle to „złoto jest gorsze od srebra”. Z czasem Moussoltinom pozostało już niewiele złota, jak i brylantów, ale jakże niesamowicie prezentował się jej jedyny szafir opleciony cieniutką, złotą nitką, z odległości kilku metrów prawie niezauważalną, tak jakby kamień tylko przysiadł na palcu, żeby odpocząć, gotowy w każdej chwili odlecieć. Z bliska przypominał oko ze złotymi rzęsami i rzeczywiście patrzył na człowieka. A może ożywał w ten sposób tylko na ręce Gaelle?

– A co to są hantle? – Iman zmarszczyła czoło.

– Takie ciężarki, które się podnosi, żeby wzmocnić ręce – westchnęła Jeanne.

– Przecież to sport. A sport to haram.

– Toteż mówię, że twoich bransoletek można używać, żeby po kryjomu uprawiać sport.

– To znaczy, że ci się nie podobają? – nadała się Iman.

– Moim zdaniem są koszarne.

Urażona Iman zatrzasnęła wieko szkatułki. W powietrzu zawisła nieprzyjemna cisza i żadna z dziewcząt nie miała pomysłu, czym ją wypełnić.

– Chcesz słonecznika? – Iman wyciągnęła w stronę Jeanne połyskujące pudełeczko, które akurat wpadło jej pod ręce.

– Dzięki, nie lubię.

– A jakie słodczyce lubisz? – zapytała Iman już odrobinę pewniej, wchodząc w rolę gościnniej gospodyni.

– Bo ja wiem – Jeanne wzruszyła ramionami. – Lubię na przykład karmelki z zagęszczonym kalwadosem.

Cały słój takich cukierków był u starego mounsier de Lescure, ministranta katakumbowej wspólnoty. Bardzo je oszczędzał, toteż Jeanne nigdy nie dostała więcej niż dwa naraz. Białe cukierki w żółciutkich papierkach z portrecikiem Wilhelma Zdobywcy, kiedyś przezroczyste, teraz zmętniały od środka. Jednak słodka goryczka ich bursztynowego nadzienia rozchodziła się po podniebieniu z taką samą intensywnością, jak zawsze.

– Kalwados – to miejsce, gdzie jest La Manche – najwidoczniej lekko urażony ton głosu był charakterystyczną cechą Iman. – Co mają do tego cukierki?

– Kalwados to też wódka jabłkowa, którą kiedyś robili w tym miejscu.

– Wódka?! – Iman jakby ukuła się igiełką jednego ze swoich licznych rękodzieł. – Próbowalas wódki? Naprawdę? I nie dostałas batem?

– Żeby mi spuścić lanie, najpierw trzeba by mnie złapać – Jeanne miała już serdecznie dosyć tej rozmowy. Swój honor trzeba mieć.

– Posłuchaj – Iman znacząco wybałuszyła oczy – przecież nie jestem dzieckiem, dobrze wiem, że jesteś z getta. Ale to niemożliwe, żebyś była zupełną kafirką, mimo wszystko chyba jesteś *nawrócona*, prawda? Czy nie?

– A jak ci się zdaje? Ale tak przy okazji, to nie ja jestem kafirką, tylko ty – saracenką.

Assette tymczasem kręciła się po kuchni, nie zauważając dezaprobujących spojrzeń kucharki. Podnosząc pokrywki garnków i patelni, zaglądając do piekarników i grilli, próbowała zgadnąć, które z przygotowanych na obiad dań mogłoby mimo wszystko smakować tej dziewczynce, która tak nieoczekiwanie przekroczyła próg ich domu. Zdawała sobie sprawę, że trochę przesadziła: kryjówka wcale nie była aż tak bardzo potrzebna Jeanne, widać było, że poradziłaby sobie i bez Anette. To ona sama, nie wiedzieć czemu, za punkt honoru przyjęła sobie, by dziewczynka spędziła choć trochę czasu w jej domu; miała szaloną ochotę ją ugościć. Wyglądało to na szaleństwo, ale Assette wydawało się, że jeśli tylko Jeanne zje choć kawałek z tego, co jej poda, to na duszy zrobi się lżej, choć odrobinę stłumi się to nieznośne poczucie winy.

Nie opuszczało ono ani na chwilę Assette od czasu, kiedy tak złękła się swojej przyjaciółki Zeïnab. Oczywiście, Zeïnab zawsze była dla niej tylko pretensjonalną kretynką. Ale to przecież nie w nowej epoce, nie za islamu wymyślono, że żony powinny pomagać mężom, przyjaźniąc się z małżonkami ich partnerów w interesach. Tak było zawsze, takie są zasady gry. Życie, które poza swoimi przyjemnymi stronami, jakimi są: prowadzenie domu i wychowanie dzieci, przewidywało również uciążliwe obowiązki, jak wymuszona przyjaźń z kretynką Zeïnab, nadal toczyło się swoim torem. Czemu jednak nagle wszystko wydało się jej tak obce? Czemu poczuła się jak w dziecięcym koszmarze, jakby zabłądziła w lesie z potworami, kiedy bezusta bela materiału obok niej zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć wśród huku rozpryskującego się szkła i ryku syren? Jakby to nie była Zeïnab w swojej parandzy, a jakaś zjawa, monstrum, z czymś dziwnym zamiast twarzy, czymś straszniejszym od

opadających rysów trędownatego, co kryło się pod tą tkaniną.

Próbowała uspokoić się, używając racjonalnych argumentów: niewątpliwie nagła, niespodziewana śmierć kadi Malika to przecież olbrzymi stres, nawet jeśli ten kadi jej osobiście zawsze wydawał się wyjątkowo antypatyczny. Ale „to coś” wcale jej nie opuszczało. Dopiero pojawienie się owej dziewczynki, Jeanne, przyniosło jej niewielką ulgę, chciała więc ją zatrzymać choćby jeszcze na chwilę...

– A kto to są ci saraceni? – akurat jeśli chodzi o zadawanie pytań, Iman nie sposób było zarzucić lenistwa.

– Wyznawcy Mahometa. Tak was jeszcze nazywali w czasach, kiedy Karol Młot wybił waszych w pień.

– Karol Młot był rozbójnikiem, najgorszym z kafirów!!! – nozdrza Iman rozdęły się ze złości i nagle, jakkolwiek dziwne by się to wydawało, stała się podobna i do Gaëlle Moussoltin, i do Madeleine Méchin, i do Geneviève Bussy. – Smaży się w piekle! To był parszywy drań!

– To był twój przodek, kretynko! – Jeanne nie nadstawiła drugiego policzka, bynajmniej nie dla zachowania pozorów przyzwoitości. Po prostu dawało się jej we znaki zmęczenie tym zbyt barwnym dniem, w którym mieszały się ze sobą gniewny ból i ryzyko pościgu, mściwy triumf i strach. Do tego jeszcze ten dziwny dom. Nawet Jeanne, wiecznie kipiąca energią, dość już miała wrażeń, jak na jeden dzień. Poza tym, rozżłoszczona, kłócąca się Iman podobała się jej o wiele bardziej, niż wtedy, gdy szczebiotała nad swoimi kiczowatymi błyskotkami.

– No i co z tego! Nie liczy się, jakie człowiek ma pochodzenie, ważne, żeby wyznawał prawdziwą wiarę.

– Tak, tak, cały czas Arabom wciskaliście, że to nie ma znaczenia.

– No... oni są mimo wszystko potomkami Proroka, w sensie... wśród Arabów są jego potomkowie – niepewnie zaoponowała Iman.

– A my jesteśmy potomkami tego, kto tych potomków „Proroka” tłukł w walce na śmierć i życie – Jeanne westchnęła. – Twój przodek pewnie by hurtem poszedł do klasztoru, gdyby wiedzieli, kim będziesz.

– Ale prawda i tak jest najważniejsza!

– No właśnie. Tylko skąd ty możesz wiedzieć, co jest prawdą. Przecież ty jesteś chodzącą lalką. Ubierają cię, karmią, pielęgnują, nakładli ci bzdur do głowy i zakazali ich dotykać. Teraz słuchasz rodziców, a potem będziesz słuchać męża i urodzisz dzieci. Potem się zestarzejesz, nie wyłażąc z domu, i umrzesz. A potem nic cię już nie czeka. W ogóle nic. Pustka.

– To tylko ty tak myślisz! – Iman na przemian robiła się czerwona i biała ze złości, ale w jej oczach czały się już myśli, próbujące odeprzeć atak.

– Bzdura, a właśnie, że nie! – Jeanne roześmiała się, zadowolona, że ptaszek dał się złapać w prostą pułapkę. – Wprost przeciwnie. Uważam, że masz nieśmiertelną duszę, i że twoja dusza pójdzie do piekła, dlatego że to dusza odstępczyni od wiary, dusza służąca prześladowcom Pana, Jezusa Chrystusa. A to, że po śmierci nic więcej cię nie czeka, to, że rozplyniesz się w nicości – tak uważasz ty sama. To ty sama myślisz, że twoje życie zakończy się wraz ze śmiercią ciała.

– Co za bzdury! Wcale nie uważam, że moje życie zakończy się ze śmiercią ciała, to chyba oczywiste.

– Jesteś muzułmanką?

– Jestem!

– To znaczy, że właśnie tak powinnaś myśleć. Nie inaczej.

– Po prostu wy, kafirzy, niczego nie rozumiecie! – rozjaśniła się Iman.

– Muzułmańska dziewczynka wie, że jeśli będzie się modlić pięć razy dziennie, jeśli odbędzie hadż, jeśli...

– Uważaj, bo ci palców zabraknie.

– ...to pójdzie do raju – zakończyła triumfalnie Iman.

– Chwilunia. Wasz raj zdaje się jest męski. Muzułmańska kobieta nie ma duszy. Jak pies albo te twoje rybki w akwarium – Jeanne kiwnięciem wskazała na drogie szklane naczynie z malutkimi fontannami i koralowcami na dnie. – Widzisz, mam o tobie lepsze zdanie niż ty sama.

– Nieprawda! Imam Chapelieu mówi...

– A tam, kit ci wciska ten twój imam Chapelieu. Przy tym specjalnie

się nie narobi – ostatecznie macie te swoje mózgi średnio wytrenowane, jak...

– Jak śmiesz tak mówić o imamie.

Jeanne już chciała wypalić, że przy najbliższej okazji spróbuje jeszcze i imama Chapelieu posłać w ślady imama Abdulwahida, ale ugryzła się w język. Ogarnął ją nagle straszny, wielki żal z powodu tego żalosego cieplarnianego kwiatka, zasadzonego po to, by swym zapachem zachwycał męskie powonienie.

Z dalszej części domu rozległ się płacz dziecka.

– To Aziza, moja siostra – wyjaśniła Iman, nie wiedząc czemu wdychając. – Niedługo skończy dwa latka.

Jeanne nagle uderzyła jeszcze jedna osobliwość tego domu. Najwidoczniej Iman ma tylko jedną siostrę, a jej ojciec - jedną żonę. Trzy kobiety nie potrzebują aż tak wiele służących. Poza tym, te luksusowe pokoje przeznaczone do próżnowania wręcz prosiły się o to, by było w nich dużo kobiet, kobiet rozkazujących i kobiet na rozkazy, intrygantek, obsmarowujących siebie nawzajem przed innymi, walczących między sobą o uwagę mężczyzny i władzę nad sobą podobnymi. Pozbawione tego pozoru aktywnego życia, jaskrawe wnętrza ziały pustką. Jacy wy jednak żałośni jesteście, konwertyci! Czy to warto przebierać się za Arabów, skoro i tak utknęliście gdzieś w połowie drogi między nimi a Francuzami!

– Ponoć kafirzy dopuszczają się różnych obrzydlistw – ciągnęła dalej Iman, choć już nieco ciszej, jakby wyczuła zmianę nastroju Jeanne. – Powiedz, to prawda, że nie macie podziału na czystą i nieczystą rękę?

– A na cholere nam taki podział?

– No nie, to ty naprawdę i jesz, i podcierasz się tą samą ręką? – Iman skuliła się.

– Nie, mam wręcz jeszcze mniej kontaktu z gównem – Jeanne z obrzydzeniem odzęgnęła się od pomysłu Iman. – Jest taka rzecz, która się nazywa papier toaletowy. Nawiasem mówiąc, bardzo przydatny wynalazek ludzkości. W getcie de Pantin pewien staruszek bardzo się wzbogacił na handlu tym towarem.

To, że połowa zysków, jakie pomysłowy monsieur Truchot czerpał z makulatury i szmat, szła na łapówki dla arabskich urzędników, aby ulżyć jego towarzyszom w nieszczęściu, Jeanne, oczywiście, przemilczała. W ogóle wiele rzeczy w getcie robi się obecnie metodą na poły chałupniczą, istnieje całe mnóstwo takich „fabryk”, przerobionych ze starego garażu albo piwnicy. Obroty są wprawdzie groszowe, ale trud się zwraca, ludzie zresztą też wolą kupować u swoich, a nie u wroga.

Filizanki czekolady i paszteciki podskakiwały na tacy Assette, która od dłuższej już chwili stała pod drzwiami, przysłuchując się rozmowie. Oszalała, naprawdę oszalała! Jak mogła w ogóle dopuścić to obce, niebezpieczne dziecko do swojego, czyż nie cieszyła ją zawsze myśl, że Iman nie będzie dorastać w tej męczącej dwoistości, pod znakiem której upłynęło jej własne dzieciństwo? Mała nigdy się nie dowie, jak boli pełne pogardy spojrzenie babki, która zamurowała się w czterech ścianach na złość „darmozjadom żyjącym na koszt przygłupów”. No, wierzy w tego Allacha, ale przecież to coś w rodzaju bajki o Czerwonym Kapturku! Potem z tego wyrośnie, zrozumie, że żadnego Allacha nie ma, przecież to praktyczna, mądra dziewczynka. Jednak przestrzegać reguł gry oczywiście będzie. Skoro wlałeś między wrony, musisz krakać tak jak one. Jeśli wszystkie dobra ziemskie są rozdzielane z rąk fanatyków, to cóż, można i fanatykom trochę powtórzyć. Najważniejsza jest rodzina, dobro rodziny, psychiczny spokój Iman, a potem i Azizy. Wszystko było już tak proste i poukładane, więc co ona teraz wyprawia?

Rodzice tej Jeanne na pewno byli nieodpowiedzialnymi egoistami, którzy poświęcili przyszłość dziecka dla fanaberii o pięknej nazwie „historyczne i religijne wartości narodu"! Jaki Europejczyk, jaki Francuz poważnie traktuje religię? Tak, pewnie byli z siebie dumni, pozerzy. A biedne dziecko wzięło ten historyczny mit o Chrystusie na serio i wyrosło na taką samą nawiedzoną jak ci Arabowie, tyle że w drugą stronę.

Dziewczynki już się nie uratuje, nie wyciągnie się jej z tego. Trzeba przerwać jej rozmowę z Iman, tę zupełnie niepotrzebną rozmowę; jakby tego było mało, jeszcze Zuraida się tu pałęta z uszami na baczność.

Teraz trzeba będzie się wtrącić, zmienić temat, nakarmić dzieci. A później ta dziewczynka sobie pójdzie i chyba tak będzie lepiej dla wszystkich.

Tylko czemu ma wrażenie, że gdy zamkną się za nią drzwi, w domu zrobi się martwo, jak w ciele bez duszy?

– Nie, ja mówię poważnie – upierała się Iman. – Przecież lepiej jest dotykać brudne jedną ręką, a czyste – drugą! Nie sądzisz, że inaczej to byłoby obrzydlistwo?

– O matko, co za bzdury – westchnęła Jeanne. – Nasze ręce, tak jak i myśli, nieustannie dotykają brudnych i czystych rzeczy. Tylko idiota uważa, że jest sterylnie czysty w tym grzesznym świecie tylko dlatego, że lewą ręką się podciera, a prawą je. Dotykałaś brudu – to umyj ręce, miałaś brudne myśli – oczyść duszę. A cała reszta to brednie.

– Ale czemu ty się cały czas tak brzydtko wyrażasz?

– Musisz mi wybaczyć, w pałacu się nie wychowałam. Powiedz mi lepiej, czemu trzymacie służącą, tę staruchę, przecież ona nie jest Francuzką, prawda?

– Zuraida? No ba, pewnie że nie jest Francuzką. Mama mówi, że krzywo patrzą, jeśli wszyscy w domu są Francuzami.

– Pewnie zgłodniałyście, dziewczynki? – Assette uznała, że pora zainterweniować.

– Trudno u was zgłodnieć, w pokojach macie jak w spiżarni – odpowiedziała Jeanne, uśmiechając się swoim berbersowym, szerokim uśmiechem. Ostatecznie, ci konwertyci nie są winni temu, że tacy z ich słabeusze. Przynajmniej jedzenie w tym domu jest normalne, gorąca czekolada na mleku, to jest coś.

Okazało się, że była porządnie głodna. Ręka powędrowała w stronę filiżanki i zamarła w bezruchu, zanim z twarzy Assette zdążył zniknąć radosny uśmiech.

Dziecięcy płacz już od dłuższego czasu przeplatał się z dobiegającą gdzieś z sąsiedniego pokoju monotonna piosenką w lingua-franca. Ale dopiero teraz do Jeanne nagle dotarło, o czym jest pieśń.

*Jeśli w domu akurat
na czas płaci się zakat⁸¹,
odpoczywaj we śnie
i ciemności się nie bój!*

intonował niemłody, piskliwy głos.

*Baju-baju-baju-baj
szybciej, szybciej zasypiaj!
Jeśli zaś ktoś chciwy był,
część dochodu zataił,
wtedy bój się oczka zmrużyć,
w puch poduszki się zanurzyć
Baju-baju-baju-baj
szybciej, szybciej zasypiaj!
Szejtan zły ciemnością włada,
kto do domu się zakrada?
Kto straszniejszy jest od dzina
kiedy zbliżać się zaczyna?
Baju-baju-baju-baj
szybciej, szybciej zasypiaj!
Zaraz Trzypalca Starucha
chwyci dziecinę za ucho!
W ciemną noc uwiedzie,
Mama dziecka nie znajdzie!
Baju-baju-baju-baj
szybciej, szybciej zasypiaj!*

– To tylko Zuraida usypia malutką – Assette zaczerwieniła się. –
Częstuj się, Jeanne, proszę. Wszystko w porządku?

– Dziękuję, najadłam się już, że pęknę – Jeanne podniosła się
gwałtownie z miękkiej puffy. Kręciło jej się trochę w głowie. Jak w ogóle

81 Zakat - muzułmański podatek religijny.

dała radę spędzić tyle czasu w tych dusznych pokojach bez okien, przesyconych zapachem słodkich perfum? Przecież tu nie ma czym oddychać! – Muszę już iść.

– Poczekaj, dziecko, dokąd chcesz iść o tej porze? Ktoś cię czymś uraził?

– Nie, wszystko w porządku – Jeanne zdecydowanym krokiem szła w stronę drzwi. Assette podążyła za nią; Iman, nic nie rozumiejąc, w roztargnieniu zastygła na miejscu.

– Zapomniałaś założyć parandzę!

– Nie jest moja. Proszę ją oddać córce.

– Jeanne, nie powinnaś wychodzić na miasto bez parandży! To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne, zdajesz sobie chyba z tego sprawę?

– Mniej więcej.

– Dobrze, zaczekaj chwilę, odwiozę cię teraz gdzie chcesz, tylko, na Boga, nie wychodź tak na ulicę! – Assette w rozpaczę chwyciła dziewczynkę za ramiona.

– Na jakiego Boga? Na Allacha? – Jeanne wyswobodziła się ostrym ruchem.

Okazało się, że na zewnątrz zdążyło się już schłodzić, czego nie sposób było zauważyć, siedząc za zabitymi oknami. Niebo pokryło się sinymi chmurami, zupełnie niepodobnymi do wiosennych. Pierwsze krople deszczu zaczęły opadać na ścieżkę między kasztanami, po której Jeanne biegła do bramy.

– Jeanne! Jeanne! Gdybyś czegoś potrzebowała, przychodź tutaj, słyszysz?!

Odpowiedzi nie było. Anette, czując niespodziewaną słabość, złapała się za futrynę drzwi. W ciągu trzydziestu jeden lat swojego życia nigdy nie doświadczyła tak zupełnej, absolutnej wręcz, rozpacz. Dziewczynka nie przyjdzie tu już więcej; nie przyjdzie tu już nigdy!

Teraz lało już jak z cebra. No cóż, to nawet lepiej, w deszczu ludzie zwracają mniejszą uwagę na innych.

Włosy i dżinsy Jeanne zmokły od razu, materiał wiatrówki wytrzymał kilka minut dłużej, zanim i on zaczął przepuszczać wodę. Zdrajcom nie

wolno wybaczać, nie wolno, nawet jeśli mają piękne dobre ręce i potrafią powiedzieć „dziecinko” bez złośliwości. Nawet jeśli sami dobrze wiedzą, że są zdrajcami. Zdrajcom nie wolno wybaczać, nawet jeśli mają oczy jak Madeleine i podbródek jak Gaele, i nawet jeśli nie są ani trochę świadomi swojego odstępstwa. Jeanne biegła w strugach ulewnego deszczu do Lucile, do zatęchłej, ale nie tak dusznej od kłamstw jak tamten dom, malutkiej kłitki na chemię gospodarczą. Do kryjówki, którą zapewniał jej swój, zaufany człowiek.

A nad Paryżem zawisło nieprzerwane, rozlegające się ze wszech stron wezwanie na modlitwę muezzinów; przenikliwie, monotonnie wibrujące, jakby ktoś żywcem obdzierał ze skóry olbrzymie prosię.

ROZDZIAŁ X

Bajka o Starym Królu

W masie szarego betonu błysnęła wodna tafla, lśniąca jak ogromna czarna żrenica.

– Zgubiliśmy drogę, niepotrzebnie skręciliśmy w Rome! – krzyknął zirytowany Eugène Olivier, wyskakując z drezyny. – Akurat Rome nam w ogóle do szczęścia nie potrzebne, chyba tylko by nazbierać trochę robali na kolację. Tam cały peron jest zalany, nie przejedziemy.

– No tak, tu jest ujście wód gruntowych – odpowiedział ojciec Lotaire, ani trochę nie rozdrażniony. – A my je właśnie teraz spuścimy.

– Jak to, „spuścimy”?

– Pewnie nieraz już widziałeś to podziemne jezioro, ale wątpię, czy się domyśliłeś, że nie powstało samoistnie. To sztuczny zalew. Znałem nawet inżyniera, który go tu wykonał. Teraz musimy tylko znaleźć sznureczek do wyciągania korka z tej wanny.

Ojciec Lotaire stąpał ostrożnie wzdłuż ściany, dokładnie oświetlając jej występy latarką.

Zdumiony Eugène Olivier pomyślał, że wahhabici absolutnie nie są w stanie pozbawić Paryżan bezpiecznych kryjówek. Jest ich tak wiele, że nawet on, zajmujący się partyzantką od małego, nie wiedział na przykład o schronach, które wykopano w XX wieku z obawy przed wojną atomową. Około jednej trzeciej sieci metra Arabowie zostawili odłogiem z czystego lenistwa, ale przecież nawet i bez tego jest gdzie się schować. Zablokowali jedynie piękne wejście do katakumb na Denfert-Rochereau, łudząc się, że tym sposobem wyłączyli z użytkowania wielokilometrową Drogę Szkieletów, tak jak gdyby nie można było

wejść do tej ogromnej sieci kanalizacyjnej z dziesięciu innych miejsc. Paryż znika pod ziemią w nieprawdopodobnie krętych labiryntach, których żadne wojska nie są w stanie przeczesać. Wychodzi na to, że są bezradni; nie mają innego wyboru, jak tylko pogodzić z naszym istnieniem. Ale przecież mogliby mieć znacznie prostszy sposób na eksterminację, wobec którego nawet katakumby Paryża, podziemne miasteczka pod lasami Bretanii i krasowe pieczary na nic by się nie zdały. Jeśli te pomioty półksiężycy wzięłyby pod absolutną kontrolę całe życie na powierzchni w świetle dnia, to po jakimś czasie byłyby to nasz koniec. Jaki jest więc sens przechowywać pod ziemią składy broni, chronione szkieleciami przodków, jeśli w samym mieście nie byłoby już gdzie się spotkać?

Rozmyślenia Eugène'a Obviera przerwał ogłuszający dźwięk zapadającej się wody. Nawet w świetle latarki było widać, jak czarna tafla wzburzyła się, tworząc ogromny lej.

Urzeczeni tym widokiem dwaj mężczyźni stali przez jakiś czas w milczeniu, obserwując, jak w błyskawicznym tempie spłyca się podziemne „jezioro”.

– Trzeba będzie zamoczyć nogi, jeśli nie chcemy czekać jakichś dwóch godzin, aż peron zupełnie wyłoni się spod wody. Na szczęście będzie się gdzie później ogrzać.

Nawierzchni peronu nie sposób było dojrzeć spod warstwy brudu i wodorostów. Woda jeszcze pokrywała przejście płytką warstwą, lecz księdzu spieszo było już zejść na „dno”. Stąpając z obrzydzeniem po śmierdzącym mule, Eugène Olivier ruszył jego śladem.

Minąwszy peron, doszli do niewielkiego przejścia, w którym majaczyły prowadzące do góry stopnie. Najprawdopodobniej znajdowało się tu kiedyś pomieszczenie służbowe.

– Woda zwykle całkowicie zakrywa wejście – powiedział ksiądz. – Ostrożnie, tu jest bardzo ślisko.

Od razu było widać, że to relatywnie niewielkie biuro, mające około sześćdziesięciu metrów kwadratowych z podwieszonym sufitem, nie było zalewane razem z peronem. Na podłodze pokrytej linoleum pełno

było skrzynek, paczek i jakichś przedmiotów poowijanych w różne szmaty i taśmy.

– Tu znajduje się główny kościelny magazyn – powiedział ojciec Lotaire, próbując wytoczyć z kąta coś, co wyglądem i rozmiarem przypominało niewielką lodówkę.

– W bunkrze jest o wiele bardziej komfortowo.

– I o wiele łatwiej też tam się dostać, nie zapominaj o tym. To niezbyt dobra kryjówka, choć jak dotąd Bóg był dla nas łaskawy. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. No, a teraz włączymy prąd, a potem będzie już można uruchomić reflektor. Napiłbym się gorącej herbaty, a ty, młodzieńcze?

Zafascynowany tym, co zobaczył, Eugène Olivier utkwiał wzrok w przykrytym stertą papierzyśk żelastwie.

– Bez urazy, proszę księdza, co to za złom?

– Mógłbym ci oczywiście powiedzieć, jak to się nazywa, ale wątpię, czy kiedykolwiek o tym słyszałeś. Na obrzeżach miasta wała się cała masa takich staroci. Kiedy znaleźliśmy tę rzecz, kurzyła się beczynnie już od siedemdziesięciu lat. A mimo to jest jeszcze na chodzie, całkiem dobry sprzęt. Nazywa się to generator. Co, nic ci to nie mówi? – Ojciec Lotaire leciutko się roześmiał, szukając czegoś wśród skrzynek. – Powiem prościej, jest to słabiutkie miejscowe źródło prądu, na olej napędowy. Są też podobne na benzynę. Świetnie, jest ropa! Potrzyмай no latarkę, wiejemy ją.

– Wygląda jak wielka konserwa, którą ktoś otwierał młotkiem. – mruknął Eugène Olivier. – Ojciec pewnie ma w zwyczaju udowodniać grzesznikom, że cuda się zdarzają. W każdym razie, jeśli ten przedmiot rozrusza jakąś tam lampkę elektryczną, nie mówiąc już o włączeniu ogrzewania, to uznam to za cud.

– No cóż, skoro tak bardzo pragniesz cudu – ojciec Lotaire przechylił kanister z olejem napędowym. – Z pomocą tej, jak raczyłeś się wyrazić, konserwy, zaraz zrobimy porządek na całej stacji. Trzeba ją oświetlić i osuszyć, mamy tu sporo do roboty.

– A jak to działa?

– Zaraz zobaczysz – ojciec Lotaire zaczął mocnymi, urywanymi

szarpnięciami, pociągać za linkę, jakby odpalał motorówkę.

Po chwili żelastwo zaczęło głośno furkotać. Nie był to może zbyt przyjemny dźwięk, jednak świadczył chyba o tym, że urządzenie działa. Istotnie, po chwili pod sufitem rozjarzyły się gołe żarówki. W tym oslepiającym dla nawykłego do ciemności oka świetle okazało się, że linoleum na podłodze jest zielone, a ściany są wyłożone białymi kafelkami.

– Idź, zobacz, czy na peronie też się świeci.

Eugène Olivier zbiegł po schodkach: dopiero co zalany wodą peron w ciemnościach wydawał się obrzydliwy. Teraz, oświetlony dziesiątkami lamp, stał się nieomalże przytulny.

– Świeci się!

– Z takiego generatora korzystałem jeszcze w dzieciństwie. – ojciec Lotaire wyciągnął na środek pokoju kominek elektryczny. – Odkąd sięgam pamięcią, na naszym zamku był dokładnie taki sam.

– Do zamku chyba jednak bardziej pasowałyby świece.

– Świece też były, pewnie, że tak. 0 pierwszej w nocy, kiedy generator gaś, nie było już sensu prztykać włącznikami. Chcąc, nie chcąc, trzeba było sobie zapalić świecę. Najgorsze w tym wszystkim było to, że tamto urządzenie miało pewien fatalny zwyczaj: gaśło zwykle wówczas, gdy byłem w najciekawszym momencie w czasie wieczornej lektury jakiejś książki. Rodzice zabraniali mi czytać dalej przy świecach. – Ojciec Lotaire uśmiechnął się, ocierając chusteczką do nosa brudne ręce. – A wszystko dlatego, że odcięli nas od prądu zainstalowanego we wsi. Postarał się o to pewien miejscowy bogacz, właściciel sieci sklepów „Wszystko dla zwierząt domowych”. Niewiarygodnie się zżymał na to, że tak malownicza budowla znajduje się w rękach biedaków, którzy nie są nawet w stanie odremontować jej do standardu pięciogwiazdkowych apartamentów. Cały czas snuł sobie wizje, jakie to solarium zrobiłby sobie w baszcie naszego zamku i jaką kręgielnię w naszym rozarium. Starał się więc jak tylko mógł, by na co dzień robić nam różne świństwa, tylko po to, by moja mama, w końcu umęczona, sprzedała mu zamek. Pewnego pięknego dnia po prostu przecięli nam kabel od prądu. Jednak

nieszczęsny monsieur Grandier nie wiedział, że od dziesiątków pokoleń świetnie radziliśmy sobie w tych murach bez żadnej elektryczności. Wstawiliśmy więc generator; nasi przodkowie nawet i tego nie mieli. Co prawda, z powodu jego kapryśnej pracy nie można było podłączyć lodówki, ale od czego jest piwnica? Tak więc wredne plany owego hotelarza spełzły na niczym. Potem zresztą, wiadomo, na naszym kontynencie rozpętała się taka burza, że nawet monsieur Grandier nie miał już głowy do cudzych zamków.

– Czy ja wiem – uśmiechnął się Eugène Olivier. – Zdaje się, że chyba dołączył do kolaborantów.

– Tak, a przynajmniej do getta się nie przeprowadził – westchnął ojciec Lotaire, napełniając plastikowym wiadrzem czajnik.

Na staromodnym stole, za którym najprawdopodobniej siedział kiedyś przy telefonie dyżurny stacji, pojawiły się blaszanki z serem i biskoptami. Eugène Olivier przez grzeczność zignorował to, że duchowny, przez dobrą minutę modląc się nad tym niewymyślnym żarciem, wypowiadał słowa: *Oculi omnium in tesperant Domine...*⁸² i tak dalej.

– Przynajmniej tyle. W końcu przecież ten facet urodził się jakoś w połowie lat osiemdziesiątych. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki kult ciała rozwinął się w tamtych czasach. Wiesz, moja matka opowiadała mi o jednym ze swoich najbardziej szokujących dziecięcych wspomnień. I nie był to ani atak terrorystyczny, ani porwanie zakładników. Taki raczej mało znaczący epizod. Na początku 2003 r. – nawet rok dobrze zapamiętała – organizowano szeroko reklamowany konkurs kulinarny. Taki popularny show, jakich wtedy było wiele. Telewizja, gazety, czasopisma, fotografie, elitarna publiczność, a w centrum tego wszystkiego znakomici kucharze rywalizujący o to, kto stworzy najbardziej wymyślny sos do piersi wołowej albo najładniej zapiecze szparagi w przekładanym cieście.

Eugène Olivier przysłuchiwał się opowiadaniu z pewnym roztargnieniem. Plastikowy kubeczek ogrzewał mu palce, a z grzejnika

82 Łac. *Wszystkie ocz [spoglądają] na Ciebie z ufnością Panie* (przyp. aut.).

płynęło ciepło. Biszkopty z camembertem z puszki były zadziwiająco smaczne. Nie wiedział, co prawda, jak duży jest ich zapas i na ilu ludzi musi starczyć tego jedzenia. Chętnie sam by pochłonął wszystko, co zostało wyłożone na stół. A jeszcze chętniej poszedłby na taki konkurs gotowania. Tam, niewątpliwie, można było degustować wszystkiego, ile tylko dusza zapragnie. Grzech pomyśleć.

– Nawet i ja sam nie miałbym teraz nic przeciwko temu, żeby pojawić się na podobnej imprezie – uśmiechnął się ksiądz, otwierając kolejną okrągłą puszkę. – A propos, nie krępuj się, jedzenia jest dość nawet dla wszystkich, którzy zbiorą się tu jutro. Niedaleko stąd znajdują się stare wojskowe spiżarnie, o których saraceni nigdy się nie dowiedzieli. Wyniesiemy z nich jutro kolejnych kilka skrzynek. Wróćmy jednak do rzeczy. Okazało się, że uczestnicy konkursu bynajmniej nie ograniczyli się do degustacji pączków z kremem. Postanowili wystąpić z petycją do papieża, aby wykluczył obzarstwo z grzechów głównych... I naprawdę ją wysłali! Aż wstyd powiedzieć, iluż to obecnych tam przedstawicieli francuskiej elity ją podpisało!

– Co za debilizm, ksiądz wybaczy! – nie wytrzymał Eugène Olivier. – W końcu grzechy główne to jest chrześcijańska bajka, tak? Jeśli komuś to nie pasuje, to chyba nikt nikogo na siłę do chrześcijan nie pcha!

– W tym właśnie rzecz. Ten epizod świetnie dokumentuje powstanie niezwyklego dziwoląga zwanego nowoczesnym katolikiem czy neokatolikiem – twarz ojca Lotaire straciła nagle swój młody wygląd. – Oczywiście, nikt im nie bronił stać się ateistami i mieć przekonanie, że obzarstwo nie jest grzechem tylko chrześcijańską fanaberią. Rzecz w tym, że oni chcieli dalej być katolikami i jednocześnie hołdować swemu brzuchowi. Widocznie pozostawanie w Kościele katolickim miało dla nich duże znaczenie. Może z powodu ślubów, które w Kościele mają zupełnie inny wymiar niż świeckie procedury w urzędach stanu cywilnego. Może z powodu chrzcin czy Pierwszych Komunii. Być może nie chcieli tracić takich uroczystości. Doszli więc do wniosku, że jeśli oni, królowie życia, chcą dalej być katolikami, to czemu by Kościół nie miał skorygować swego nauczania, by im to ułatwić. Przecież wszystko

jest dla ludzi - taka była dewiza demokratycznych społeczeństw pierwszego ćwierćwiecza XXI wieku. A skoro doczekali się tylu kompromisów ze strony Kościoła po prostu wierzyli, że i teraz aktualny papież pójdzie im na rękę. Byli w końcu śmietanką narodu francuskiego.

Eugène'owi Olivierowi nagle odechciało się jeść. Wyniesiony z domu zwyczaj, by nigdy nic nie zostawiać na talerzu (choćby i talerza akurat brakowało) sprawił, że w dalszym ciągu przeżuwał biskupoty, choć one w jednej chwili straciły swój smak.

- Ale to jeszcze nie koniec tej historii - ojciec Lotaire poruszył kilka razy sznureczkiem torebki z herbatą, aby napój zrobił się mocniejszy. - Wiosną tego samego roku jeden z honorowych członków jury tego konkursu, właściciel znanej sieci restauracji, odebrał sobie życie. Jak myślisz, co było przyczyną? *jego restauracje spadły w rankingu o trzy oczka*⁸³. Po prostu we wszystkich przewodnikach po modnych miejscach zaczęto go wymieniać trzy linijki niżej niż zawsze. Pomyśl tylko, młody Léveque! Popełnił samobójstwo!!! Okropny grzech!

Eugène Olivier w milczeniu przełykał ostatni kawałek biskupoty. Sam wcale nie uważał, by działał bezprawnie, kiedy kilka dni temu próbował się zabić, ale mimo wszystko cieszył się, że ojciec Lotaire o tym nic nie wie.

- To jeden z tych grzechów, których nie da się już w żaden sposób naprawić. Uwierz mi... nieraz było mi bardzo ciężko stawać w obliczu samobójstwa. Wiadomo, że Bóg nie zezwala na to, by dosięgły nas doświadczenia, które by przekraczały nasze siły. Ale, z drugiej strony, jak trudno jest wyrokować w sprawach innych ludzi, gdy nigdy nie byliśmy na ich miejscu! Jakże trudno byłoby, na przykład, potępić matkę, która po utracie dziecka popełniła samobójstwo. Proszę cię, spróbuj się w to zagłębić, to naprawdę ważne. Tamten facet nie został przecież bankrutem. Tym bardziej nie groził mu głód, a na przełomie wieków głód, i to prawdziwy, skrobał swoją kościstą łapą w wiele okien. Nie

83 Te fakty można znaleźć w archiwach wiadomości z początku 2003 r. (przyj. aut.).

stracił ukochanego człowieka, nie stracił dobrego imienia. Po prostu stał się mniej modny, na czym ucierpiała jego próżność. Być może wyobrażał sobie, jak znajomi zaczynają szeptać po kątach. I to był już dla niego wystarczający powód, żeby podeptać drogocenny Boży dar – życie! Czy należy się dziwić, że wpadłszy w taką ruinę, przegraliśmy nasz kraj, utraciliśmy naszą przepiękną Francję – najstarszą córę Kościoła!

Zdumiony niespodziewanym wzburzeniem duchownego Eugène Olivier milczał w przygnębieniu. W pokoju zrobiło się tymczasem zupełnie ciepło, nawet oddychać było łatwiej: wilgoć ustępowała.

– Moja mama miała wtedy zaledwie szesnaście lat – ciągnął dalej ojciec Lotaire spokojniejszym już głosem. – Potrafiła jednak zrozumieć, na czym polegał tragizm całej tej historii. Uczyła się na jednej z pensji lefebrystów. Tamtejszym wykładowcom, rzecz jasna, też zdarzały się jakieś drobne wybryki, ale w porównaniu z państwowymi szkołami placówki lefebrystów wydawały się wręcz oazami zdrowego rozsądku.

– Proszę księdza, a mamy coś jeszcze do roboty? – zapytał Eugène Olivier, czując, że jeśli ksiądz powie dziś jeszcze chociaż jedną rzecz, która każe mu zastanawiać się nad stosunkiem ludzi do religii, to jego mózg naprawdę odmówi mu posłuszeństwa.

Generator terkotał, przypominając trochę świerszcza za piecykiem. Wtem z peronu dobiegł ich odgłos kroków, a chwilę potem słychać było skrzypienie stopni drabiny. Z pewnością nie był to ktoś obcy.

– Kiedy na stacji wyschnie podłoga, trzeba będzie zbudować więcej ławek z tych desek tutaj – z werwą odpowiedział ojciec Lotaire. – Zamiast podpór użyjemy pustych kanistrów, które można by przymocować do desek taśmami. O, już pan jest, monsieur de Lescure!

– Nie jestem sam, proszę ojca – odezwał się przybysz. Eugène Olivier poznał go od razu po zebranych w koński ogon śnieżnobiałych włosach. Widział tego starca w kaplicy, w bunkrze.

W ślad za nim wślizgnął się do pomieszczenia, cichutko jak mysz, malutki cień. Eugène'owi Olivierowi, który zdążył się już ogrzać pod reflektorem, nagle zrobiło się zimno. Valérie! Strach było patrzeć, jak od mokrego brudu poczerniały jej drobne stopy ciągle broczące krwią. Ale

coś jeszcze bardziej przejmującego, o czym już zdążył zapomnieć, kryło się w niej samej.

– Dziadek Vincent powiedział, że jak się tu z nim schowam, to dostanę cukierka – powiedziała swoim srebrzystym głósiem. – Nawet dwa. Ale ja nie lubię, jak ktoś mnie przynosi na rękach przez brud. Brudu jest za dużo, jest wszędzie. Trzeba po nim samemu chodzić, więc poszłam sama.

– Wiem, że nie powinno jej tu być, ale jakoś bałam się zostawić małą na ulicy – przyciszonym głosem wyjaśnił ojcu Lotaire'owi starzec. – Co prawda, bardzo się jej boją, ale nienawidzą jej jeszcze bardziej.

Valérie stanęła tuż przed Eugènem Olivierem, i chłopiec ze zdumieniem zauważył to, na co ostatnim razem zupełnie nie zwrócił uwagi. Splątane, niemyte włosy dziewczynki, jej męski T-shirt, który już dawno stracił swój pierwotny kolor i brudne ciało – wszystko to powinno raczej śmierdzieć. Jednak nie wyczuwało się od niej żadnego brzydkiego zapachu. W zamian za to Valérie roztaczała wokół siebie tę ledwo wyczuwalną woń, jaką wydają kwiaty, uznawane za „niepachnące” - lilie wodne i tulipany. Wilgotnawy zapach świeżości.

– Dzień dobry, wnuku męczennika – powiedziała, otworzywszy szeroko swoje ogromne oczy w błękitnym kolorze. Z rany na dłoni, którą swym zwyczajowym gestem odgarnęła opadający na twarz lok, drobnymi kroplami sączyła się szkarłatna krew. Jej zaschnięte bure potoki wiły się wzdłuż rąk aż po łokcie.

Eugène Olivier z przykrością pomyślał, że Jeanne na pewno miałyby w zanadrzu jakiś prezent dla dziewczynki. A on, jak na złość, nie miał w kieszeni ani czekoladki, ani kolorowej piłeczki, ani kawałeczka jaskrawego plastiku.

– Nie reagujesz na to wezwanie, to znaczy, że jeszcze nie zrozumiałeś – Valérie wydeła wargi. – Ślepiec.

– Może i ma pan rację, monsieur de Lescure – zamyślił się ojciec Lotaire. – Może i tak. Przy okazji, pan pozwoli, że przedstawię: Eugène Olivier Léveque. Monsieur de Lescure pełni w naszej wspólnocie tę samą funkcję, co twój dziadek w katedrze Notre Dame. Jest

ministrantem.

– A na co dzień jestem księgarzem – starzec uśmiechnął się ciepło. – Mam mały sklepik w getcie Défanse. Służy mi on też za przykrywkę dla tajnych kompletów z łaciny, które prowadzę dla młodzieży. Jeśli miałby pan kiedyś ochotę, to zapraszam. Każdy tam wie, jak mnie znaleźć.

– Wątpię, czy nasz młody przyjaciel zdąży się wiele nauczyć, nawet gdyby zaczął już teraz – z goryczą odparł ojciec Lotaire.

– Weź swój cukierek, Valérie – starając się odwrócić uwagę dziewczynki od rozmowy, starzec zwrócił się do ojca Lotaire'a i omiół go przenikliwym spojrzeniem wyblakłych niebieskich oczu. – Proszę księdza, czyżby było już aż tak źle? Ksiądz wygląda teraz jak cień. Już od progu zauważyłem, że ksiądz jest napięty jak struna, i jeszcze chwila, a zacznie grać.

Dziwne, niby czemu ten de Lescure tak myśli – przemknęło przez głowę Eugène'owi Olivierowi. Jemu akurat ksiądz wydawał się taki, jak zwykle. No może... Może był dziś troszkę bardziej gadatliwy niż zwykle. O czym oni właściwie rozmawiali przez trzy godziny z Arabem, który prosił ich o spotkanie? Pytać nie wypada, żołnierze nie zadają pytań.

– Nawet jeszcze gorzej – ojciec Lotaire uśmiechnął się – *Status quo* przestaje istnieć. W tej chwili naszym jedynym celem jest wprowadzenie własnych poprawek do tej zmiany.

– Chcę mieć nowy różaniec – wtrąciła się Valérie lekko sepleniąc z powodu cukierka jaki trzymała w ustach. – „Zadki” mi go zabrały i rozgniotły obcasami. Pobiegłam za nimi, bo się rozzłościłam. Uciekły. Ale różaniec został zupełnie podeptany i nie da się go naprawić. Bardzo smaczny cukierek, dziadku Vincent.

– Zaraz przyniosę ci pudło z różańcami, to sama sobie jakiś wybierzesz – odpowiedział stary ministrant, choć jego głos był tak pusty, jak głos człowieka, który nie myśli o tym, co mówi.

Odszedł w kąt i po chwili przyniósł stamtąd duże pudło, które postawił przed Valérie. Dziewczynka uniosła wieczko i aż westchnęła z zachwytu, zupełnie jakby zobaczyła nowe zabawki. W kartonie było całe

mnóstwo woreczków przewiązanych wstążeczkami, fute- ralików i pęków szkaplerzy. W jednej chwili straciła jakiekolwiek zainteresowanie otoczeniem i zaczęła po jednym wyciągać nowiutkie różańce - jedno z jasnego, inne ciemnego drewna, jedno na jedwabnych sznurkach, drugie spojone metalowymi ogniwami, jeszcze inne z kolorowego szkła, z plastiku, z okrągłymi lub owalnymi koralikami - duże i małe. Wizerunki ukrzyżowania na różańcach też były różne - drewniane z rysunkiem i drewniane z inkrustacją, metalowe.

- Czerwoniutkie, jak koralowce, nie, nie chcę, nie chcę czarnego - mruzczała cichutko. - Drewnianego nie chcę, chcę przezroczysty, jak bursztynki.

- Proszę się napić gorącej czekolady, monsieur de Lescure. Tylko mleka musi pan sobie sam poszukać, gdzieś tam był z pewnością cały worek tego proszku. Ale jest też herbata. Jutro będzie ciężki dzień, trzeba wzmocnić siły i odpocząć.

- Nieważne, wypiję czekoladę na wodzie. Wszystko lepsze od herbaty, w końcu to nie jest francuski napój. Dużo będzie ludzi, proszę księdza?

- Naszych tak ze dwustu, a z Ruchu Oporu jakieś dwa razy tyle.

- Sporo.

A więc to dlatego trzeba tu wszystko suszyć i naprędce sklecić ławeczki z desek i kanistrów! Tylko czemu bojownicy Ruchu Oporu mieliby urządzać jakąś wspólną naradę z wierzącymi?

Eugène Olivier długo nie mógł zasnąć, mimo iż jego śpiwór, był zrobiony, według zapewnień de Lescure'a: z *edredonowego puchu, a alpinisci używali kiedyś takich do spania bezpośrednio na lodzie*. Było rzeczywiście ciepło, rzeczywiście międko, ale wystarczyło przymknąć powieki, a już przed oczami leżały się wszelkie obrzydlistwa: hurysy-sukkuby wpijające się w niego szkarłatnymi ustami i przygniatające go swymi nabrzmiałymi piersiami. Dobierały się do niego lodowatymi, czepliwymi palcami, od których dotyku wzdrygał się na całym ciele i budził przerażony. Dawno już ucichło jednostajne, uspokajające turkotanie generatora i w podziemiu zapanowała teraz głucha cisza i ciemność.

Gdy obudził się już po raz trzeci lub czwarty, z ulgą usłyszał ciche głosy. W końcu jakieś normalne, *żywe* dźwięki, może teraz uda się w końcu zasnąć, pomyślał, czując, że jego ciało się rozluźnia. Kto i o czym rozmawiał, nie było tak ważne, jak świadomość, że nie jest już dłużej opatulony tą czarną, nieprzeniknioną watą mroku. Jego świadomość zdążyła jednak zarejestrować cichą wymianę zdań. Rozmowa toczyła się między księdzem a Valérie.

– Małe dziewczynki powinny już spać o tej porze – w głosie ojca Lotaire’a słychać było troskę i życzliwość. – Śpij już, Valérie.

– Opowiedz mi bajkę – odpowiedziało dziecko tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– No dobrze – westchnął ojciec Lotaire. – Tylko nie za długą, zgoda?

– Ale też nie za krótką.

– Dobrze. Chcesz, to opowiem ci moją ulubioną bajkę z dzieciństwa? Moja mama często opowiadała mi ją przed snem, kiedy byłem mały. Powinna ci się spodobać...

Głosy powoli zanikały i Eugène Olivier zapadł w końcu w spokojny sen.

ROZDZIAŁ XI

Dom konwertyty (ciąg dalszy)

Kochanie, co to za dziewczynka z getta była u nas w domu? Ile razy mam ci powtarzać, że starucha donosi?!

– Przepraszam, ale sam mi nie pozwalasz jej zwolnić. Sto razy już chciałam to zrobić.

– Czy naprawdę myślisz, że inna będzie lepsza? Dobrze wiesz, że służba w domach konwertytów jest ich drugą pensją. Pierwszą wypłacają im w Oddziale Pierwszym.

Assette skuliła się. Oddział Pierwszy albo inaczej Oddział Policji Religijnej zajmował się kontrolą przestrzegania szariatu i znajdował się w każdej poważniejszej instytucji. Nie znaczy to, że małe prywatne firmy były wolne od kontroli; po prostu wszędzie tam, gdzie urzędnicy uważali, że zbyt drogo byłoby opłacać dwa lub trzy etaty, powstawały osobne Oddziały. Każdy taki oddział miał pod kontrolą od trzech do dziesięciu przedsiębiorstw.

Kassim, który nie zdążył jeszcze przebrać się w swoje domowe ubranie, stał przed żoną w niebieskim mundurze kapitana wojsk wewnętrznych. Przystojny, trzydziestosiedmioletni mężczyzna, jeden z tych, którym do twarzy z wczesną siwizną. Mężczyznom do twarzy jest w siwych włosach, o ile są młodzi i wysportowani - takiego zdania była Assette od dnia, kiedy po raz pierwszy zauważyła srebrzysty blask w zadbanych włosach męża. W dzisiejszych czasach tylko wojskowi mogą się pochwalić rozwiniętą muskulaturą: teoretycznie sport jest zakazany, ale jak tu zabronić żołnierzowi treningu zawodowego!

Wśród zbyt leniwych na ćwiczeniach fizycznych współpracowników - Arabów i Turków - Kassim cieszył się pod tym względem sławą wzorowego oficera, zawsze gotowy zapisać się na dodatkowe zajęcia ze strzelania, biegów i zapasów. W rzeczywistości zastępowało mu to sport, do którego przywykł od dziecka, choć sam nigdy tego w ten sposób nie nazywał, a i Assette też taktownie milczała. Było to częścią gry, w którą oboje grali z takim zaangażowaniem, jakby zależało od niej wszelka pomyślność, a może i przetrwanie rodziny. Oczywiście, kiedy Kassim dostanie awans, trzeba będzie poświęcić sprawność fizyczną dla kariery. Jednak przeniesienie do ministerstwa wciąż się odkładało, i to pewnie nie bez winy Oddziału Pierwszego.

Prawowierny z jedną żoną (!), co tu dużo mówić - podejrzana sprawa. Ale co zrobić? Niezamożnych i niezamężnych przyjaciółek jest jak na lekarstwo, zapotrzebowanie znacznie przewyższa podaż. Jak dotąd nie udało się im niczego sensownego zaaranżować. Assette była, rzecz jasna, wdzięczna Kassimowi za to, że ten wciąż wymiguje się od wzięcia drugiej żony i w związku z tym nie pomijała najmniejszej okazji, aby okazać mężowi swoją wielką za to wdzięczność. Jednak ów zdrowy rozsądek paryżanki kazał się jej domyślać, że ta sytuacja nie wynika wyłącznie z jego dozwolonej i ślepej ku niej miłości. Miała silne podejrzenia, że w kwestii owych trzygodzinnych ślubów z prostytutkami, jej mąż raczej nie był lepszy od innych oficerów⁸⁴.

⁸⁴Zgodnie z Koranem [werset 4:24] i prawem szariatu, mężczyzna może mieć legalnie cztery żony na podstawie małżeństwa zarejestrowanego w sądzie, lecz nie wolno mu mieć pozamażeńskich związków seksualnych. Jednak prawo szariatu zezwala mu także na dwa inne typy małżeństwa: *urfl* - niezarejestrowane w sądzie, ale legalne małżeństwo, zawierane zwykle potajemnie w obecności świadków oraz *mu-taa* (małżeństwo dla przyjemności) - polegające na podpisaniu tymczasowego kontraktu ślubnego dla usankcjonowania nawet jednej nocy z inną kobietą. W domach publicznych klient może od ręki zawrzeć małżeństwo *urfl* z prostytutką. Wystarczy, by wypowiedział trzykrotnie do tej kobiety formułę: „Rozwodzę się z tobą” (także telefonicznie lub SMS-em; zob. przyp. 14), aby nastąpił legalny rozwód. Dzięki temu może mieć nieograniczoną ilość kochanek bez grzechu i bez prawnych konsekwencji. Małżeństwa tymczasowe, zawierane wyłącznie dla seksualnej przyjemności, są praktykowane zarówno przez szytów, jak i sunnitów.

Jednak mężczyźni z natury są ostrożni, jeśli chodzi o wzięcie sobie na stałe kolejnej żony. Wprowadzić do swego domu całkowicie obcą osobą, dzielić z nią łóżko, rozmawiać, widzieć ją każdego dnia, zmienić domowe zwyczaje, dostosowując się do niej - och, niewielu z konwertów zdecydowało się na coś takiego. Tym bardziej, że między dwiema francuskimi żonami iskrzyłoby przez cały czas. Tak czy inaczej, w takiej sytuacji nie można by już więcej czuć się swobodnie we własnym domu, nie wspominając już o obecności służących, którzy są szpiclami na służbie Oddziału Pierwszego. A mężczyzna bardzo ceni sobie spokój domowego ogniska. I choć angielskie powiedzenie głosi: „Mój dom moją twierdzą” to i Francuzi chętnie się pod nim podpisują.

Oczywiście, gdyby taki brak dostosowania się do nowych obyczajów stanowił zagrożenie dla życia, a nie dla kariery, to Kassim natychmiast naprawiłby swój błąd. Trzeba być ostrożnym i znać granice nonkonformizmu. Jedno odchylenie od powszechnie przyjętych norm, przy odpowiednio podkreślonych staraniach o wypełnianie wszystkich innych, jeszcze jakoś ujdzie. Nawet do ministerstwa Kassim ma szansę, wcześniej czy później, dostać się jako monogamista. Jednak gdyby popełnił dwa lub trzy błędy, to byłoby już przeciąganie struny. Zawsze potrzebne jest wyczucie, bo nieraz dwa poważniejsze potknięcia mogą zaważyć na losie człowieka bardziej niż cztery drobne pomyłki. Zaiste, trudne były niepisane reguły tej gry, którą prowadzili obydwójce każdego dnia.

Tylko dlaczego użyła czasu przeszłego „prowadzili”, pomyślała rozdrażniona Anette. Prowadzimy tę grę teraz i będziemy ją prowadzić dalej. Czemu od czasu spotkania z ową niepokorną i naiwną dziewczynką cały czas myśli o sobie w czasie przeszłym? Nonsens!

– Ta dziewczynka nie była z getta, kochanie.

– Dziewczynka z Ruchu Oporu? Makisarka w naszym domu?! – Kassim zacisnął zęby – Assette, jesteś chora, bredzisz, nie mogę uwierzyć, że byłabyś zdolna do takiej głupoty!

– Mówiłam ci już, że gdybym nie przyszła jej z pomocą, dziewczynka wpadłaby w ręce policji. Wiesz, co oni robią z makisarami. Kochanie,

gdyby los potoczył się inaczej, na jej miejscu mogłaby być nasza córka.

– I dlatego teraz próbujesz kusić los w taki sposób, żeby nasza córka też znalazła się na celowniku? Przecież wiesz, przecież dobrze wiesz, że stąpamy po kruchym lodzie. To ja wyłażę ze skóry, by moja rodzina żyła bezpiecznie i dostatnio, a moja własna żona dołki kopie pod nami! Pomyśleć tylko, że pomogłaś kafirce z *Maquis*! Czy ty myślisz, że oni ci za to podziękują? Myślisz, że powiedzą „dziękuję” za to, że wszystkich nas wystawiłaś? Zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, jak oni nas nienawidzą, ci fanatycy?! Bardziej chyba niż rodowitych prawowiernych! Mnie, oficera rządowych wojsk wewnętrznych, mogą w każdej chwili sprzątnąć tak jak kadiego Malika, przez którego, nawiasem mówiąc, ci krętarce z Oddziału Pierwszego będą kolejny miesiąc przedłużać moje przeniesienie. Ale nie to teraz jest najważniejsze. Assette, co ty wyprawiasz? Pytam cię, czy dociera do ciebie, że ten twój „dobry uczynek” – jak to w ogóle śmiesznie brzmi – wcale im nie przeszkodzi, by i mnie podłożyć bombę?! Tak przy okazji, dziś wysadzili w powietrze imama Abdulwahida. Nie rozumiesz, że ci, z którymi się związałaś, mogą mnie załatwić przy pierwszej okazji!?

– Obawiam się, że masz rację – Assette była spokojna. – Najprawdopodobniej jest tak, jak mówisz.

Kassim widział przed sobą obcą kobietę. Była ubrana w znaną mu, malinową sukienkę - długą, zebraną w pasie miękkimi zakładkami, z prawdziwego jedwabiu. Miała na sobie znane mu domowe pantofle z miękkiej, pięknie wyprawionej krokodylej skóry, które sam jej kupił na urodziny. Ale kobieta nagle stała się jakaś obca. Co więcej, wydawała mu się o wiele piękniejsza od jego żony.

– Powinnaś się leczyć – syknął przez zaciśnięte zęby, jakby odpędzając się od dziwnego diabelstwa. Robisz się podobna do swojej świrniętej babki, która przez dziesięć lat siedziała w domu!

– Skoro mowa o przodkach, to ty w żadnym wypadku nie przypominasz swojego dziadka. Mam na myśli tego starszego, ze strony ojca. On przecież też był oficerem, nieprawdaż, kochanie?

Takiego ciosu poniżej pasa, wypomnienia mu pilnie strzeżonej

tajemnicy rodzinnej, nigdy nie spodziewałby się po Assette. W rodzinie od lat nikt, nawet sam do siebie, nie wspominał o tym, że dziadek został skazany na pięć lat więzienia. Strach było nawet o tym pomyśleć. Pod koniec wieku dziadek znalazł się w epicentrum działań wojennych przeciwko Serbom, którym to w tajemnicy przekazywał informacje o przemieszczaniu się pododdziałów AOK i o planach bombardowań NATO⁸⁵. To i tak pół biedy, że nie był płatnym szpiegiem, ale w każdym razie to wojenny przestępca, a co najgorsze - przestępca, który wziął stronę brudnych kafirów w ich walce przeciw prawowiernym. Wtedy, oczywiście, prawowierni nie byli u władzy w Europie, dlatego też skończyło się na zwykłym więzieniu. Ale gdyby te fakty wyszły teraz na jaw, najlepsze, na co mógłby liczyć Kassim, to dożywotnie zesłanie do jakiegoś zapadłego garnizonu w Pikardii.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś - martwym głosem przemówił Kassim - rzeczywiście, twój mąż ma poważniejsze powody niż ty, żeby wstydzić się swoich przodków.

- Kochanie, a czy nie przyszło ci do głowy, że twój dziad wstydziłby się dziś ciebie bardziej niż ty jego?! Pomyśl, co czułby, gdyby mógł cię teraz widzieć? Może właśnie dlatego naruszał swój wojskowy obowiązek, bo nie chciał, żeby jego prawnuczkę nazwali kiedyś Iman?! - Teraz Anette już prawie krzyczała. Jej twarzą wstrząsały konwulsje, dławiące ją od środka, jak ciasto ugniatane rękami kucharki. - Może życzyłby sobie, żeby jego prawnuczkę nazwali Nicole? Nicole, tak jak ja zawsze chciałam, tylko bałam się powiedzieć! Nicole! Nicole!!

Kassim doskoczył do żony. Chwycił ją jedną ręką za ramię, a drugą wymierzył jej policzek - mocno, ale bez złości, tylko po to, by przerwać atak hysterii żony.

Napięte jak struna ciało Assette nagle się rozluźniło; zachwiała się, jakby szukając oparcia, chwyciła męża obiema rękami za szyję i, ukrywszy twarz na jego piersi, cicho zapłakała.

- Wybacz, kochany, wybacz, ja wiem, że i bez tego jest ci ciężko! Być

85 Jest to realny epizod. Francuska elita wojskowa, w odróżnieniu od rządu i społeczeństwa, w dużym stopniu nie pochwałała działań przeciwko Serbii (przyp. aut.).

może ja rzeczywiście jestem chora, być może faktycznie geny mojej babki się we mnie odezwały, nie wiem, nie wiem, co mi jest!

– Uspokój się, skarbie – Kassim mocniej przytulił żonę. – Myślę, że po prostu doznałaś szoku, kiedy stałaś się świadkiem śmierci kadi Malika. Nieboszczyk był wprawdzie obrzydliwym typem, ale to i tak żadna przyjemność zobaczyć coś tak okropnego z bliska... Koszmar, przeżyć coś takiego, zwłaszcza dla kobiety. Do tego jeszcze ta biedulka Zeïnab była twoją przyjaciółką... Teraz to już, wiadomo, będzie musiała zapomnieć o koleżankach, no ale tobie jest oczywiście jej żal...

– Nie wiem... nic już nie wiem – Assette otarła łzy. – Jeszcze by tego brakowało, aby służące zauważyły na mojej twarzy ślady łez. Zaraz doprowadzę się do porządku i każę podawać do stołu.

– Nie spiesz się, kochanie. Niech podadzą... za jakieś piętnaście minut.
– Pocałowałwszy żonę w policzek, Kassim wyszedł z pokoju.

Stary sługa Ali, ceniony przez Kassima przede wszystkim za to, że nie posługiwał się ani francuskim, ani nawet lingua franca, czekał już na niego z domowym ubraniem. Odprawivszy lokaja zmęczonym ruchem ręki, Kassim powstał przez jakiś czas przed lustrem, trzymając w ręku jasną koszulę za kolana, krótką czerwoną kamizelkę i krótkawe spodnie. Jacyś tam niepiśmienni czarnoskórzy mogą sobie łązić w koszulkach na krótki rękaw i džinsach, takich samych, jakie nosił po domu jego ojciec. Co zrobić, stanowisko zobowiązuje. Oficer wojsk wewnętrznych to nie jakiś tam umorusany nierób, siedzący na zasiłku. Ale jakoś tak, mimo wszystko, nie chce mu się zakładać tego paskudztwa - arabskiej czy afgańskiej produkcji, kto to wie, gdzie wymyślili taki kretyński fason. Ale dlaczego „paskudztwo”, dlaczego „kretyński”?! Przecież to bardzo porządna odzież, wysokiej jakości, zero syntetycznych tkanin.

Kassim ze zmęczeniem przyłożył rękę do czoła: *psychoza to jednak nie grypa, nie można się zarazić przez kontakt z chorym. A może w pewnym sensie to jest zaraźliwe? Też wymyśliła, Nicole, jego córka - Nicole! A może małej należało dać na imię Geneviève? Brednie!* Coś jednak nie grało mu w duszy. *Może dlatego, że Assette, zawsze taka mądra i opanowana, tak brutalnie rozjątrzyła rodzinną ranę? Czy może on czuje się tak podle z*

powodu żony? Co jej właściwie jest?

Kassim stracił chęć na obiad. Podszedł do drzwi, upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu i przekręcił klucz w zamku. Inny klucz, od szuflady sekretarzyka, leżał wśród wyrobów jubilerskich w malutkim futeraliku z kodem. Na pozór jeszcze jedno pudełeczko na zapinki.

Z sekretnej szuflady Kassim wyjął szklaną rurkę z białym proszkiem, poobracał przez chwilę w dłoniach. *Może przesadza z tą ostrożnością, ale ostatecznie to nie haram. Wielu ludzi się tak zabawia od czasu do czasu. W tym niektórzy z jego kierownictwa.* Wyrwał z bloczka żółtą karteczkę, zwinął ją w rulonik i wysypał do środka trochę proszku. *To nie haram. Oby tylko nie wpadł w nałóg. Oby tylko nie przerzucił się na coś bardziej zabronionego.*

Odchyliwszy głowę na oparcie miękkiego fotela, Kassim wciągnął kokainę. Ręce i nogi zrobiły się nieruchome i miękkie jak z waty, jakby ktoś wyjął z nich kości. Gdzieś w mózgu zabulgotały wesołe, łaskoczące bąbelki, podobne do tych z szampana, którego próbował, gdy miał jakieś dwadzieścia lat. Tylko jaki szampan mógłby równać się temu cudownemu proszkowi, z tą wesołą śnieżną zamiecią w głowie?

Kiedy zszedł na obiad, cała rodzina czekała już w komplecie przy stole. Malutka Aziza, w za dużym śliniaczku, dumnie zasiadała na swoim wysokim krzeselku. Assette miała nieco czerwone oczy. Usta umalowała wodoodporną szminką, w sam raz nadającą się do spożywania posiłków, przypudrowała się, podkreśliła różem wystające kości policzkowe.

– Bismillah...

Naciskając skorupkę ostrygi małym nożem, Kassim od razu zrozumiał, że narkotyczny kaif⁸⁶ wyparował jakoś zbyt szybko. W przeciwnym razie nawet by nie zauważył, że wszystko jest jakieś dziwne. Żywe *speciale-de-claire* sumiennie wiły się pod kroplami cytryny, ale nie wiedzieć dlaczego wydawały się jakieś nie dość soczyste. Iman, wbrew swojemu zwyczajowi, nie nadymała ust i nie żądała, by pominąwszy zakąski i gorące dania, podać jej od razu lody. Nie chichotała, wzdrygając się od szelestu mięczaków. Była jakaś apatyczna i zjadła, co

86 Kaif - odlot, haj.

leżało na talerzu. A przecież dziewczynka ma już czternaście lat, w głowie zaświtała mu nagle straszna myśl. Jeszcze rok-dwa, i przyjdzie się z nią rozstać, już teraz trzeba by się rozejrzeć za jakąś dobrą partią.

Paskudna sprawa, dość chowania głowy w piasek. Jeszcze dziesięć lat temu śluby pomiędzy rodzinami konwertytów były normalną sprawą, ale teraz zaczęto na to krzywo patrzeć. O, bardzo krzywo! Wątpliwe, czy uda się wydać Iman za jakiegoś porządnego francuskiego chłopaka. Do tego szejk Iusuf ostatnio znów mu napomknął, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wziąć sobie czwartą żonę... Kassim wymawiał się wiekiem córki, mając nadzieję, że starca za kilka lat szlag trafi. A jeśli nie? Miałyby oddać swój kochany kwiatuś pod całkowitą władzę megierystaruchy i zanurzyć po uszy w błoto intryg dwóch innych dorosłych nałożnic szejka, a przede wszystkim - choć trudno o tym pomyśleć bez obrzydzenia - oddać w ręce lubieżnego, toczonego wszelkimi możliwymi chorobami starca? A spróbuj nie oddać, urażony wpływowy szejk może tak namieszać, że po skromnym oficerze nie zostanie nawet mokra plama. Cała nadzieja w tym, że przedtem kopnie w kalendarz, ale jeśli nie... będzie musiał mu ją mu dać. Jakież to zaszczyt, w końcu to potomek Proroka. I temu właśnie potomkowi Proroka, który, o czym wszyscy wiedzą, zabawia się na boku z chłopcami, miałyby własnymi rękami oddać SWOJE dziecko?

Do głowy przychodziły mu już najbardziej obrzydliwe obrazy. Pewnie każe jej robić i to, i tamto, przecież nie ulituje się nad nią, bo niby czemu? Dla tych kreatur czystość nie jest sprawą moralną, ale wyłącznie prawną formalnością. Myślą tylko o tym, jak by tu dostać niewinne dziecko w swoje szpony i żadnemu z nich nawet nie przyjdzie do głowy, by liczyć się z uczuciami małej istoty, nie mówiąc już o jej nieświadomości i czystości.

- Co ci jest, mój drogi?

Kassim zdał sobie sprawę, że jęczy.

- Przepraszam, głowa mnie rozboleła. Tak jakoś nagle.

- Dam ci aspirynę! - Assette pospiesznie wybiegła z jadalni.

A przecież Assette na pewno się o to nie martwi - odprowadzając żonę

wzrokiem, pomyślał Kassim. Nie zastanawia się nad tym dlatego, że sama jest szczęśliwa w małżeństwie i myśli, że małżeństwo jej córki będzie wyglądało podobnie. Całe szczęście, że Iman przynajmniej wyrosła na zdrową dziewczynkę, która nie została okaleczona. Ale co czeka Azizę? Dobrze, że makisarzy załatwili imama Abdulwahida, zagorzałego zwolennika „obrzezania faraonów”, póki dziewczynki są jeszcze małe. Ile to już razy występował z wykładami na ten temat, ile to artykułów nabazgrał do czasopism! Całe szczęście, że wahhabickie władze mają ciągle jeszcze bałagan w tej sprawie. W Emiratach i Egipcie praktykuje się bowiem wszystkie trzy rodzaje żeńskiego obrzezania⁸⁷, w tym i to najbardziej obrzydliwe, ale w Iranie, na przykład, nigdy tego nie robiono. Jako że Europę zamieszkują teraz potomkowie emigrantów z tego rejonu prawowiernego świata, na wiele spraw, w tym i na obrzezanie kobiet, wciąż nie ma jeszcze ostatecznej ogólnej reguły. Jednakże działacze typu nieboszczyka Abdulwahida dążą do unifikacji wszystkich zasad - i to zawsze według najbardziej radykalnego wzorca. Dzięki makisarom na jakiś czas zapomni się o „obrzezaniu faraonów”, ale przecież nie będzie to trwało wiecznie. Na miejsce Abdulwahida wlezie jakaś nowa gadzina, dlatego że unifikacja według najbardziej radykalnych norm życia społecznego, to oczywista tendencja, i nie ma sensu udawać, że jej nie ma. Ale niech no by tylko Aziza podrosła! Niech no by tylko szejk Iusuf wykitował na czas!

Co tu się właściwie dzieje? Przecież jeszcze jakieś trzy godziny temu wydawało się, że to dzień jak co dzień, nawet ze swoimi zwyczajnymi, drobnymi nieprzyjemnościami. A potem ta histeryczka Assette, potem te dziwne objawy po kokainie, a teraz te czarne, obrzydliwe myśli. „Jeśli raz ustąpisz, nie będzie już odwrotu”. Co to za dziwne zdanie? Kto je powiedział i kiedy? Tak... to jednak prawda! Ale kto powiedział, że on w ogóle czegoś się wyrzekł i jest czemuś winny? Wszyscy jego przodkowie służyli w wojsku. On też od dziecka chciał zostać wojskowym. W miarę

⁸⁷Nie chcąc omawiać tu obrzydliwych szczegółów, autorka odsyła czytelnika do książki *Miłość i seks w islamie*, wydanej w 2004 r. przez wydawnictwo „Ansar” (przyt. aut.).

jak dorastał, zmieniała się religia. No i co? Religia to tylko gadżet, który w rzeczywistości nie ma żadnego znaczenia. Kraj pozostał na swoim miejscu, tak samo jak ludność, nawet jeśli przepełniona falami migracji, nawet wróg pozostał ten sam - choćby ta Rosja. Za życia jego pradziada zimna wojna z nią o mały włos nie przeszła w prawdziwie gorącą, co i teraz jest także możliwe. Nic się nie zmieniło. Po prostu spełnia swój obowiązek.

Tak, ale jaką przyszłość przygotowuje dla swoich dzieci? On nie jest taki jak oni, Assette nie jest taka, jak ich kobiety. Ale dzieci, dzieci rozplyną się w nich, jak łyżeczka kawy rozpuszczalnej we wrzątku. Jego wnuki staną się Arabami. Jeśli raz ustąpisz, nie będzie już odwrotu.

W rękach Assette, która właśnie weszła do pokoju, oprócz szklanki z musującą tabletką, tkwiła słuchawka telefonu.

- Wyłączyłeś komórkę.

- No tak.

- Dlatego dzwonią na domowy - Assette, podając słuchawkę, zakryła dłonią mikrofon. - Zdaje się, że wzywają cię pilnie z powrotem na służbę.

ROZDZIAŁ XII

Droga szkieletów

Światła harleya wyłuskiwały z ciemności oplecione białawą pajęczyną ludzkie szczątki.

Sześć milionów szkieletów, ciekawe, czy ktoś to naprawdę liczył, mruknęła zirytowana Jeanne, puszczając manetkę gazu. Takie tu wyboje, że można salto zrobić. Jak się tak dłużej nad tym zastanowić, to jazda na motocyklu po tak ogromnym cmentarzu jest kompletnie bez sensu, ale nie ma innego wyjścia. Mam nadzieję, drodzy przodkowie, że nie macie mi tego za złe. Na waszym miejscu byłoby mi przyjemnie popatrzeć sobie na taki porządny motor, a zresztą... nie jestem przecież obca.

Przez większą część drogi Jeanne zmuszona była jechać z minimalną prędkością. Za dawnych lat, kiedy rodzice Jeanne byli jeszcze dziećmi, jeździły tu całe wycieczki turystów. Wtedy oczywiście drogi były równiejsze. Za to w czasach wzmożonego ruchu turystycznego wszyscy wiedzieli o licznych odgałęzieniach katakumb. Teraz znali to jedynie archeologowie z *Maquis*, i to nie bez przyczyny. Wcześniej plany katakumb sprzedawano w każdym kiosku, drukowano je w setkach albumów, ulotek, przewodników. Wszystko to dzisiaj znajduje się w rękach saracenów, a ci prędzej czy później wezmą się za katakumby na poważnie. Nie zatopią ich, bo to za duży teren i ogromna powierzchnia Paryża mogłaby się zapaść. Są jednak inne możliwości: mogą zacząć zalewać betonem kluczowe podziemne korytarze, wprowadzić tam swoje patrole albo po prostu wpuścić do nich gaz. Toteż niezwykle ważne jest, że istnieją tunele, o których prawowierni nie wiedzą. Zostały one

odkryte już po epoce turystyki i łączą korytarze cementarzysk z kolektorami kanalizacyjnymi. Stamtąd idą dalej do zamkniętych już linii metra. Są też miejsca, o których mało kto ma w ogóle jakiegokolwiek pojęcie. Do takiej właśnie kryjówki teraz zmierzała.

Po raz kolejny w przeciągu czterdziestu minut drogi Jeanne musiała ponownie zsiąść z motocykla, by ustawić go na wąską koleinę. Niby to harley light, a ciężki jak kłoc. Och!

Nagle harley zrobił się niespodziewanie trzy razy lżejszy.

– Już z daleka poznałem po tych trzaskach, że wierzchem na miotle jedzie mała zuchwała czarownica o imieniu Sainteville! Niech no się tylko wydostaną na powietrze, to zaraz zrobię z tobą porządek!

– Niby za co?

Henri La Rochejaquelein bardzo często rozmawiał z Jeanne jak z chłopakiem, kimś w rodzaju młodszego brata. Kiedyś jej się to podobało, ale ostatnio zaczęło ją to drażnić, sama nie rozumiała dlaczego.

– A nie wiesz?

– Nieee...

Opuściwszy tylne koło na ziemię, La Rochejaquelein chwycił Jeanne za kołnierz kurtki i klepnął ją dłonią poniżej talii, zbyt mocno, aby można było potraktować to jako żart.

– Moja mama zwichnęła sobie w ten sposób palce – Jeanne wyrwała się z uścisku drugiej ręki, która nie trzymała jej zbyt mocno. – Mnie tam nic nie było, a ona przez cały tydzień miała dwa palce sine i opuchnięte. A ciebie nie boli?

W ciemnościach słysząc było, jak La Rochejaquelein krztusi się w usilnych próbach, by się nie roześmiać.

– Śmiej się nadzieję, ty mały łobuzie, że mam ręce nieco silniejsze niż twoja mama.

– Moja pupa też od tamtej pory porządnie stwardniała – odparła krótko Jeanne. – Ale i tak się cieszę, że nie jesteś ranny, La Rochejaquelein.

Latarka, którą La Rochejaquelein trzymał wyłączoną, aby nie zdradzić

swojej obecności, zanim nie rozpozna, kto jedzie tunelem, rozbłysła jaskrawym światłem. Jego przebranie nie ukazało się jednak w ciemności, widać było tylko twarz i lniący lok na wysokim czole.

– A teraz koniec żartów. Na co ty sobie pozwalasz? Kto załatwił imama, może mi powiesz, że to nie ty?

– To znaczy, że kadiego można było wysadzić, a imam to co, święta krowa? – z doświadczenia Jeanne wiedziała, że najlepszą obroną jest atak.

– Kadi został zlikwidowany dlatego, że tak postanowili mądrzy dorośli ludzie, którzy umieją przewidywać dalszy bieg wypadków. I w takim momencie, który uznali za najbardziej stosowny. Myślę, że nie muszę dalej rozwijać tego tematu, prawda? Posłuchaj, Jeanne Sainteville, uprzedzam cię, jako twój dowódca: jeszcze jedna taka akcja i osobiście wyznaczę cię na osobę odpowiedzialną za zbiory pierwiosnków w lasach pod Fougeres. Co, znudziło ci się bycie żołnierzem? Najgorsze jest to, że nie trzeba ci nawet wyjaśniać, jak głupio postąpiłaś. Przecież sama świetnie zdajesz sobie z tego sprawę, tylko nie chcesz się przyznać.

– No głupio mi, La Rochejaquelein, naprawdę mi głupio. Ale to był przecież taki wstrętny łajdak.

– Temu nikt nie przeczy, staruch był łajdakiem, jakich mało. Miał na koncie, oprócz morza niewinnej krwi, zniszczenie największej kolekcji skrzypiec Amati. Do podobnych przedsięwzięć organizował sobie oddziały małolotów z „socyjalnych” rodzin. „Młodzi miurydzi” czy jak tam się oni nazywali. I energii na te świństwa miał tyle, jakby czort nosił go na baranach. Ale to cię w ogóle nie usprawiedliwia.

– Już więcej nie będę.

– To znaczy, dajesz słowo?

– Oj, no nie można tak człowieka przypierać do ściany!

– Tak, i to właśnie do tej ściany, obejrzyj się – La Rochejaquelein skierował światło latarki na wyciosany ze szerniałego kamienia krzyż, celtycki, wpisujący się w kwadrat. Przez maleńkie okienko, znajdujące się pod nim, nie przeszłaby ludzka głowa.

– Przecież to cęła pustelnika – powiedziała Jeanne, mimowolnie

zniżając głos do szeptu. – Podawali mu tu tylko chleb i wodę. Zdaje się, że to było jakieś półtora tysiąca lat temu, co? Ciekawe, co to był za człowiek, kim był przedtem, czemu się tu odgradził od wszystkich...

– Rządzili nami wtedy Merowingowie, kudłaci królowie z krwią magów – La Rochejaquelein odpowiedział równie cicho. – Wiesz, czemu nie strzygli sobie włosów?

– No pewnie, w ich włosach tkwiła magiczna moc – Jeanne, jak zaczarowana wpatrywała się w jakby wysmarowany węglem otwór. – Pamiętasz, jak Chlotar postąpił z wnukami Chlodomera?

– Przypomnij mi – La Rochejaquelein sam się sobie dziwił, czemu oddaje się rozmowom o dawnych czasach, skoro i bez tego roboty jest dość.

– Sługa Chlotara położył przed Chrodechildą dwie rzeczy - miecz i nożyce. A synalek powiedział: „Droga mamusiu, co mam robić z moimi bratankami – ostrzyć im włosy czy odrąbać głowy?”

– No tak! Wtedy Chrodechildą w gniewie krzyknęła: „Powiedz mojemu synowi, że wolę widzieć moich wnuków martwych niż ostrzyżonych!”. Myślę, że jednak nie wierzyła, że Chlotar naprawdę będzie do tego zdolny.

– Akurat tam nie wierzyła. Kto jak kto, ale starucha Chrodechil- da już nie takie rzeczy widziała w swoim życiu. Po prostu naprawdę wołała to drugie. Co by to był za Merowing bez magicznej mocy? Ona więc po prostu wskazała na priorytety. A Chlotarowi było naprawdę wszystko jedno, czy bratankom obciąć włosy, czy porąbać ich mieczem, co też zresztą zrobił. Wiele było też innych historii związanych z włosami za czasów Merowingów, bardzo wiele. Ildico udusiła Atty- lę warkoczem, żeby dał jej spokój. Wiadomo, że do jego sypialni z nożem by jej nie wpuścili, ale przecież dusiła włosami, a nie rękami. A na pewno dziewczyny w tamtych czasach i ręce miały silne. Musiało to mieć jakiś inny sens, słowo daję! – Promień latarki prześlizgnął się po głowie Jeanne i włosy dziewczyny pojaśniały nad jej głową jak delikatna aureola. – Ale najbardziej podobało mi się opowiadanie, jak święta Radegunda chwyciła w kościele za nożyce. Gdy mąż wbiegł tam za nią,

to ona rzuciła mu pod nogi swe warkoczki krzycząc: „Masz, gadzino, to twoje! Cała reszta należy do Boga! W ogóle strasznie lubię Radegundę.

*Widziałam kobiety, wlezione w niewolę.
Ich ręce skrepowane, włosy rozrzucone.
Jedna we krwi męża boso brodzić musi,
inna o ciało brata nagle się potyka.
Każda płacze za swoim, a ja - za wszystkimi.
I za rodzicami, którzy już odeszli,
i za tymi, którzy rzeź straszną przeżyli.
Łzy obeschły. Jęki ucichły. Tęsknota nie odeszła.*

*Słyszę wiatr - czy niesie on mi jakieś wieści?
Nic, nawet krewnych cienie do mnie nie przychodzą.
Rozwarła się przepaść między mną a nimi.
Gdzież oni są? Pytam się wiatru, obłoki nagabuję.
Niechby, choć ptak przyniósł mi te wieści!
Ach, gdyby nie ślub, który uczyniłam,
to bym do nich ruszyła, po burzliwych falach.
Żeglarze by drżeli, lecz nie ja - ja wcale!
Gdyby statek się rozbił - płynęłabym na desce!
Nie stałoby deski - wplaw bym się rzuciła!*

– No proszę, znasz na pamięć!

– To są właśnie wiersze świętej Radegundy⁸⁸ – wyjaśniła Jeanne, a następnie przeżegnała się na widok krucyfiksów zawieszonych nad celą. – A może ten, kto się tu modlił, ją znał? Wyobrażasz sobie, tutaj mógł mieszkać znajomy świętej Radegundy! Nawiasem mówiąc, wielu zainspirowała do wielkich czynów. To co, lecimy dalej? A ty na piechotę? To może cię podwiozę? Bo inaczej to ci chyba godzinę zajmie,

⁸⁸ Jeanne trochę się myli. Wiersz napisał na podstawie opowiadania świętej Radegundy poeta Wenancjusz Portunat. Następnie, pod wpływem tej niezwykłej kobiety, poeta sam wstąpił do zakonu (przyp. aut.).

żeby się tam dostać.

– Jeszcze tego by brakowało, żeby mnie dziewczyny podwoziły – La Rochejaquelein potrząsnął długimi włosami, jakby strzepując czar przeszłości.

– No dobrze, to już siadaj sam.

Propozycja została przedstawiona niedbałym tonem, jednak w rzeczywistości takiego zaszczytu dostępowali jedynie nieliczni. Tymczasem La Rochejaquelein wahał się.

– Pamiętaj, obiecałeś, tak?

– No, obiecałam – Jeanne zmarszczyła brwi.

Znów kruche kości, za którymi nie widać było ścian, splotły się w koronkowy łuk. Gdzieniedzie mającymi pozostałości po nagrobkach, łańskie litery, z których miejscami można było coś odczytać, jako że La Rochejaquelein jechał o wiele wolniej niż Jeanne, której niezadowolone sapanie czuł teraz na szyi. Po kilku minutach znów trzeba było przyhamować.

Następna koleina była zastawiona wysoką płytą, prawie w całości zachowaną, z tylko jednym odłamanym rogiem. Zachowała się też nieudolnie wykonana płaskorzeźba, przedstawiająca gołębia krążącego nad kielichem.

– Trudno jej nie zauważyć albo nie zapamiętać – La Rochejaquelein oparł się o płytę ramieniem. – Stąd już droga prowadzi do drugiego magazynu.

Jeanne kierowała światłem latarki. Z zewnątrz nisza wydawała się wykopana w ziemi i bardzo stara, jednak okazało się, że w dalszej jej części ściany są betonowe. W tej chwili znajdowali się już w szerokim korytarzu, przypominającym bunkier.

– Tak w ogóle, to ja jestem tu pierwszy raz. – Jeanne wskoczyła na siodło za plecami La Rochejaqueleina.

– Czyli jest nadzieja, że wszystko leży na swoim miejscu – uśmiechnął się, ruszając z miejsca.

Teraz jechali już dużo szybciej. Droga nie zajęła im nawet pięciu minut. Przed rozsuwanymi metalowymi wrotami, pomalowanymi

niebieską farbą, La Rochejaquelein włączył zawieszony pod sufitem reflektor, najwidoczniej działający na baterie. Pomieszczenie magazynu, jednego z tych, które zachowały się z dawnych lat, zastawione było równymi stosami skrzynek.

– Nijak nie mogę pojąć, co podkusiło ministerstwo wojny, żeby w czasie pokoju urządzać magazyny wojskowe pod miastem – wzruszył ramionami La Rochejaquelein. – No cóż, zapytać o to nie ma już kogo. Jeanne, a tak właściwie to dokąd ty pędziłaś? Przecież za pięć godzin masz być nie tutaj, a na stacji Romy.

– To co? Przecież mogłabym jeszcze ze sto razy podskoczyć do getta Defense i z powrotem. Monsieur de Lescure obiecał, że zostawi mi świętą książkę, Gijoma Tirskiego. Znasz monsieur de Lescure’a, prawda?

– Z widzenia. Znałem lepiej jego syna, Etienne’a. Był przecież jednym z tych, którzy stali niegdyś na czele Ruchu Oporu. Nie miałem jeszcze siedemnastu lat, kiedy go zabili. Jego dwaj starsi bracia zginęli jeszcze w czasach przewrotu. A do getta akurat teraz nie warto już wracać, dobrze, że na ciebie wpadłem, przydasz mi się do pomocy.

– Jasne, chętnie pomogę. A czemu nie warto wpadać do getta? Szukają mnie?

– Nie, nie, nie ciebie, dowiesz się w swoim czasie. No dobrze, zobaczmy, co my tu mamy.

Ostrożnie poruszając się wzdłuż równych rzędów skrzynek, La Rochejaquelein uważnie studiował naklejone na nich kartki z oznaczeniami.

– A tu co? Urządzenia do rozbijania min! Dwa... cztery... osiem sztuk! Puszki z dżemem truskawkowym... tych by się więcej przydało. A propos konfitur, Sainteville, zapamiętaj: to się nazywa „prowiant”. Dobra, idziemy dalej. Karabiny maszynowe! No, no, jest ich tu z dziesięć razy więcej, niż potrzebujemy. Oznaczmy to jako numer jeden. Jak by to zrobić? Mam! – Wyjawszy z kieszeni swojego przebrania fosforyzujący marker, La Rochejaquelein zamasyżuje namalował na boku skrzynki błyszczącą lilię. Obok dorysował rzymską jedynekę,

zabronioną przez wahabitów, których celem było wykorzenienie wszelkich aspektów kultury europejskiej. (Partyzanci i mieszkańcy katakumb, na znak protestu sami z siebie postanowili ich używać na co dzień).

– Dziś występuję w roli Kopciuszka przebijającego mak – uśmiechnął się. – Potem przyślę tu naszych po ładunek, ale mało kto ma rozeznanie w tych etykietkach. Głowiąc się nad każdą skrzynką to dnia by zabrakło. Zapamiętaj przynamniej to jedno, że tak się oznacza broń palną.

Jeanne i bez tego pilnie wszystko obserwowała.

– Górna linijka, to ogólnie broń palna, dolna: jej rodzaj. Tutaj masz karabiny snajperskie. Widzisz u góry są takie same znaki, jak tam, gdzie są karabiny maszynowe. Pytanie, czy to jest w ogóle potrzebne? Mnie się wydaje, że nawet bardzo. Samo w sobie bardzo pożyteczna rzecz. OK, jakieś pięćdziesiąt sztuk nie zaszkodzi.

La Rochejaquelein namalował na skrzynce tę samą zamaszystą lilię, ale tym razem napisał obok niej czwórkę, a w nawiasie zaznaczył pięćdziesiąt.

– To znaczy – brać w czwartej kolejności, pięćdziesiąt sztuk. Dobrze, a co dalej? O, tu mamy, co nam potrzeba, ręczne miotacze granatów!

– La Rochejaquelein, kochany, milusi, najlepszy-najlepsiejszy – Jeanne złożyła w modlitewnym geście swoje małe, zwodniczo wzruszające dłonie z dołeczkami zamiast kostek. Dołeczki pojawiły się też w jej policzkach. Bardziej przypominała teraz pięcioletnią dziewczynkę, przymilnie wypraszającą u babci pozwolenie na przymierzenie starego kapelusza ze strusim piórem. – Bo zaraz pękne. Powiedz mi w końcu, co to za afera się szykuje?! Na co potrzeba tyle broni naraz? No proszę...

– Sam jeszcze nie wiem dokładnie – La Rochejaquelein nie był w stanie powstrzymać się od śmiechu – ale coś się szykuje. Za kilka godzin oboje się dowiemy tyle samo. A na razie chodź dalej oglądać.

– Raz, dwa, trzy, szukasz ty! – krzyknęła zirytowana Jeanne, natychmiast tracąc podobieństwo do małego niewiniątka. – Dobra, już nic nie mówię! Nic!! Nic!!

– Karabiny maszynowe dużego kalibru, wydaje się tylko na receptę

lekarza.

– Co?

– A nic, nic. To oczywiście, przyda się w pierwszej kolejności. Chcesz batonika z orzechami?

– No ba! Z laskowymi czy arachidowymi?

– Mam i taki, i taki. Wybierz sobie.

Jeanne chwyciła czekoladkę z orzechami laskowymi. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu i szeleścili papierkami, usiadłszy obok siebie na skrzynce z nabojami.

– Wiesz, już dawno chciałam cię o to zapytać... Jak nie chcesz, to nie mów. Ty naprawdę nazywasz się La Rochejaquelein?

– Naprawdę mam na imię Henri – uśmiechnął się La Rochejaquelein.

– W bazach danych Europolu prawdopodobnie nie figuruję jako La Rochejaquelein. To było moje przezwisko w dzieciństwie. Było nas trzech kumpli, moim bohaterem był La Rochejaquelein, kolegi – Cadoudal, a trzeciego – Charette. Ale tylko do mnie przyłgnęła ta ksywka, bo akurat miałem tak samo na imię. Z całej trójki zostałem teraz tylko ja.

La Rochejaquelein spochmurniał. Akurat teraz nie miał ochoty opowiadać o śmierci tego, którego bohaterem był George Cadoudal. Tak, całkiem nieźle znali historię Wandei, w ogóle byli dość odcytani, ale mimo wszystko w wieku dwunastu-trzynastu lat byli jeszcze tylko dziećmi. Jeszcze się bawili w bohaterów komiksów i w „Gwiazdne wojny”. Było w tym coś niesamowitego. Mieli też swoją grupę „graffitowców”. To było łobuzerstwo, kompletne wariactwo, ale jakże wesołe! Żaden drut kolczasty ani betonowe ściany nie stanowiły dla chłopców przeszkody. Zawsze udawało im się znaleźć jakąś dziurę, przez którą dorosły by się nie przecisnął. Uzbrojeni w drogocenne markery i puszki farb anilinowych przedzierali się pod osłoną nocy do strefy szarlatu, by tam, na ścianach i płotach, na oknach zabitych dechami malować wojowników z laserowymi mieczami, księżniczki w wymyślnych sukniach. Malowali też różne stworzenia, jak żywe. Zespoły graffitowców prześcigały się w brawurze, a wczesnym rankiem

zdjęci trwogą robotnicy niszczyli ślady „nieprawomyślnych” psot⁸⁹.

Trzeba było wierzyć kolegom na słowo, gdy opowiadali o swoich wyczynach. Nikt nie łgał. Prowadzono punktację, skrupulatnie zapisywano wszystko - rozmiary pomalowanej powierzchni, trudność wykonania, stopień ryzyka. Członkowie zwycięskiej drużyny przez miesiąc byli traktowani jak gwiazdy, aż do wyników nowej klasyfikacji. Noel, ten, który najbardziej lubił Cadoudala, dał się złapać, kiedy tworzył niewiarygodnie brawurową grafikę: na drzwiach radiowozu malował portret zielonogłowego Yody. Rozwścieczeni taką bezczelnością policjanci zakatowali chłopca na miejscu. Bili długo gumowymi pałkami, a umieją przecież tak bić, by nie zabić od razu. Stłukli go na miazgę. Henri widział ciało przyjaciela, które specjalnie oddali rodzicom. Gorycz i poczucie winy nigdy nie odeszły, choć sam nie mógł zrozumieć, jaką ponosi za to odpowiedzialność. Być może po prostu czuł się winny, że to przyjaciel wpadł, a nie on. I nawet to, że pięć lat później każdy z tych policjantów poniósł karę za śmierć Noela, nie zmniejszyło tej goryczy.

- Dobrze, odpoczęliśmy już? - La Rochejaquelein ocknął się. - To do roboty.

⁸⁹ Koran zabrania odworowywania istot ludzkich lub zwierząt. Z tego powodu w arabskiej kulturze, sztuce i architekturze rozwinęły się ogromnie: wzornictwo i ornamentyka geometryczna.

ROZDZIAŁ XIII

Podziemna narada

Brakowało prądu. Trzeba było odłączyć połowę żarówek z sufitu - co drugą - dlatego też peron wyglądał, jakby był pomalowany w paski.

Ludzie zaczęli się schodzić pojedynczo lub niewielkimi grupami. Peron stopniowo zapełniał się kolorowym tłumem. Wydawało się, że to pasażerowie metra stojący tu w oczekiwaniu na pociąg, który ma zabrać ich z tej stacji. Paryżanie minionej epoki pewnie wyglądali podobnie, pomyślał Eugène Olivier. Tymczasem niedaleko, na peronach czynnych stacji, tłoczył się zupełnie inny tłum. Przechadzały się tam kobiety owinięte w całuny, przypominające trupy powstałe z grobów, mającymi też fezki i zielone męskie nakrycia głowy. Tutaj natomiast widać było świeże twarze dziewcząt, szlachetne twarze kobiet i gładko wygolone podbródki mężczyzn. (Od dłuższego już czasu, odkąd wahhabici doszli do władzy, brodaty Francuz oznaczał kolaboranta). Jakoś tak nagle wszystkim się przypomniało, że i Karol Wielki się golił.

Wszyscy obecni byli Francuzami, i to nie lipnymi, ale prawdziwymi. Także i ta śliczna młoda Murzynka w długiej plisowanej czarnej spódnicy, z takim wdziękiem otulająca swoje cienkie ramiona czarnym koronkowym szalem. Na szyi miała zawieszony spory krzyż, zbyt ciężki dla niej - pewnie pamiątka po babci. Eugène Olivier kilka razy już widział tę dziewczynę w getcie de Pantin i dobrze ją zapamiętał - w końcu w getcie rzadko widywało się Murzynów. Chyba że wyznawców voodoo, ale tacy trzymali się zwykle razem. Wtedy jeszcze nie miał pojęcia, że czarnoskóra piękność jest chrześcijanką. Nawet więcej - nie przypuszczał nawet, że istnieją jeszcze jacyś chrześcijanie.

Dziewczyna, rozpoznając Eugène'a Oliviera, uśmiechnęła się do niego przelotnie. Chłopiec śledził wzrokiem jej ruchy, gdy ostrożnie przeciskając się między ławkami, stąpała po mokrej podłodze w zupełnie nienadających się do tego celu pantofelkach. Szła najprawdopodobniej w stronę przyjaciółek, z których jedna machała do niej z daleką ręką.

– To jest Michelle. Wspaniała dziewczyna, zamierza wstąpić do klasztoru, do zakonu karmelitanek. W Pirenejach bowiem ocalał jeden Karmel, już ostatni. Wyobrażasz sobie, jej przodkowie byli w Gabonie duchowymi dziećmi samego Monsignore! Oczywiście, z czasów, kiedy był tylko zwykłym misjonarzem.

Serce stanęło mu nagle w piersi i na chwilę odebrało mu dech. Obok Eugène Oliviera stała rozpromieniona Jeanne. Wyglądała na zupełnie zadowoloną z życia, z siebie, albo ze wszystkiego naraz.

– Cześć – Eugène Olivier z irytacją poczuł, że oblewa się rumieńcem. Ileż to razy przez cały ten czas wyobrażał sobie spotkanie z Jeanne, a teraz nie wiedział, gdzie ma oczy podziąć. – Nie sądziłem, że cię tu spotkam.

– A to niby dlaczego? – zdziwiła się dziewczyna. – Wszyscy porządni ludzie się tu zbierają, a mnie miałyby nie być? Za co ta ekskomunika?

– Nie, nie, ja nie w tym sensie, po prostu zapomniałem, że możesz tu być – zapaść się pod ziemię raczej nie mógł już głębiej. Idiota, co za idiota z niego! Wstydział się powiedzieć, że to na spotkanie z nią cały czas czekał, i zamiast tego palnął, że właściwie nic do niej nie ma. Właśnie tak ona sobie teraz pomyśli i zapomni o nim na amen. Co go w ogóle podkusiło, żeby to roztrząsać, czekał na nią czy nie czekał... Trzeba było od razu niedbale rzucić jakieś interesujące spostrzeżenie, tak jak to on sobie wyobrażał... Tylko gdzie, jak na złość, podziały się te wszystkie po sto razy dobierane interesujące tematy do rozmowy z dziewczyną?! W głowie pustka.

– Wiesz w ogóle, co to dziś będzie? – Wygląda na to, że przynajmniej się nie obraziła.

– Chyba nikt tego do końca nie wie. Nawet Sévazmiou, Brisse-ville i La Rochejaquelein – Eugène Olivier wiedział, że cała trójka dowodząca

paryskim oddziałem *Maquis* powinna gdzieś tu być, na tym peronie, ale jak do tej pory widział tylko Philippe-André'a Brisseville'a, jak zwykle trupiobladego, z powodu chorych płuc. Wyglądał jak pięćdziesięciolatek, choć miał dopiero trzydzieści pięć. Eugène Olivier z pewnością nie słyszał starej historii, o tym, jak to wahhabici próbowali wykryć jego obecność w jednym z licznych domowych schowków, rozpylając trujący gaz. Na szczęście w schowku miał schowaną butelkę z wodą, którą Brisseville po troszeczku nasącał chusteczkę, by ochronić nos i usta. Pomogło mu to powstrzymać krzyk bólu i przeczekać polowanie. Jednak na zawsze pozostał już kaleką i nie mógł przeżyć miesiąca bez triamcynolonu, który wstrzykiwał sobie w niewiarygodnie dużych dawkach. Najgorsze było to, że makisarzy nie mieli regularnych dostaw leków. Co się działo z Brissevillem w okresach takich wymuszonych przerw, tak naprawdę wiedziała pewnie tylko jego żona Marie.

– Ej, ty, zobacz! – Jeanne szturchnęła Eugène'a Obwiera łokciem. – Czy to nie Sophie Sévazmiou? Po co ona z jakimś brudasem gada?!

Eugène Olivier podniósł oczy. Sophie Sévazmiou siedziała na najwyższym stopniu schodów, niegdyś prowadzących na miasto. Kilka stopni niżej stał przed nią Ahmed ibn Salih, bez wątpienia on, nie można było go pomylić z nikim innym.

– A on? Po co go oni tu przyprowadzili? – ciągnęła dalej zaskoczona Jeanne. – Oczywiście, nie jest powiedziane, że wyjdzie stąd w jednym kawałku. Przecież to brudas, spójrz tylko na niego, już ja znam na wylot te ich przekłete mordy!

– To nie jest jakiś zwykły brudas, ten facet jest stuknięty – Eugène Olivier, mówiąc to, nie odrywał oczu od Sophie, rozmawiającej z Arabem. Na jej ustach gościł uśmiech, ten, którego z niczym innym nie dało się pomylić – przyjacielski, otwarty, aprobujący. Może mieć tysiąc powodów, żeby rozmawiać z Arabem, i nawet pozwolić mu się tu pojawić, w końcu to Sophie Sévazmiou. Nie może mieć jednak żadnego powodu, żeby uśmiechać się do niego jak do swojego. To nie jest gra, są takie rzeczy, których nie sposób ukryć, choćby się człowiek nie wiadomo jak starał. Kiedy ona uśmiecha się w taki sposób, właściwie

samymi tylko kącikami ust, w jej oczach igrają wesołe iskierki. Sophie tymczasem sięgała po papierosa ze swojej nieodłącznej paczki „Bielmorkanał”.

*

– Trudno zrzucić maskę, która przyrosła nie tyle od zewnątrz, co od środka. Bardzo trudno, Sophie – Słobodan w prostej płóciennej kurtce i brązowej koszuli z miękkim kołnierzykiem w ogóle nie przypominał teraz Araba. Jednak to nie brak wschodniego kiczowatego przepychu w ubraniu był tego powodem. Wyraz jego twarzy dziwnym sposobem kłócił się z jej rysami. – Mimo wszystko chciałbym jednak panią o coś zapytać... Nie wiem jednak, od czego zacząć.

– Zaczął pan od tego, że wymówił moje imię po ludzku – Sophie Sévazmiou uśmiechnęła się. – Czasem jest niewypowiedzianie miło to usłyszeć, chociażby dla odmiany. A może w ogóle przejdziemy na rosyjski? Po rosyjsku wszelkie pytania łatwiej się zadaje, jak przy wódce.

– Lubię jałowcówkę – Słobodan mówił po rosyjsku bez akcentu, odrobinę napiętym, pozbawionym modulacji głosem. – Tfu, jakie to dziwne uczucie. Sto lat chyba nie mówiłem w tym języku, nawet we śnie. Sophie, czemu pani jest tutaj?

– Tutaj w metrze? Czy tu, w Paryżu? – oczy Sophie śmiały się.

– Wie pani, o co mi chodzi, przecież widzę. Tych, którzy pozbawili panią dzieciństwa, cała Europa nazywała „powstańcami”, „bojownikami o wolność”. Wzbraniali się przed nazwaniem tych walecznych pogromców ciężarnych kobiet i dzieci terrorystami. Udostępniali im kryjówki i wyhodowali całe fermy tych żmij.

Nie tylko Eugène Olivier patrzył na to z niedowierzaniem. Wielu z makisarów, nie kryjąc zdumienia, popatrywało na Sophie Sévazmiou, rozmawiającą w jakimś dziwnym języku z kompletnie niepa- sującym do tego miejsca Arabem.

– W Rosji też tego tałatajstwa nie brakowało – uśmiechnąwszy się na widok jego zdziwienia, powiedziała Sophie. – Zapewne nie wie pan, że był w Rosji jeden taki obrońca uciśnionych, Kuznie- ców. Spotkałam go

raz w dzieciństwie, ale wtedy mało jeszcze wiedziałam, było to zaraz po porwaniu. Gdybym wtedy wiedziała, co za jeden, przysięgam, oczy bym mu wydlubała, nikt by mnie nie powstrzymał. Na początku dziewięćdziesiątego piątego roku, to już powinien pan kojarzyć, podczas szturm na Groźny, ten zdrajca przedostał się do żołnierzy. Krzyczał: „Jestem Adam Kuzniecowa, obrońca praw człowieka, złóżcie broń, a wróćcie bezpiecznie do domu, daję słowo honoru!⁹⁰ Po co wam ta wojna, czemu chcecie być okupantami, ginąć tu za niesłuszną sprawę!” Proszę pomyśleć, Słobo, komu on to mówił? Dziewiętnastoletnim chłopcom, choć tu już nawet nie chodzi o wiek. Myślę, że my nawet w wieku szesnastu lat nie przełknęlibyśmy czegoś takiego. A oni byli zieloni, całkiem zieloni. Bez doświadczenia życiowego, bez ideologii, kończyli przecież szkołę, kiedy upadało sowieckie imperium. Nawet jeśli któryś z nich studiował, a nie zbijał bąki, to co mógł wyczytać o Jermołowie z podręczników z czasów pierestrojki? I uwierzyli, złożyli broń. Jak można było nie uwierzyć takiemu dobremu wujaszkowi? Najbardziej smutne jest to, że już kilka miesięcy później taki numer by w życiu nie przeszedł.

– Wszystkich zabili? – Slobodan był zły na siebie, że dołożył drow do tego czarnego ognia, pobłyskującego teraz w oczach kobiety. Lepiej było nie ruszać tej rany, ostatecznie nie miał do tego prawa.

– Żeby tylko! – z bólem odpowiedziała Sophie. – Żeby tylko, Słobo! Boże, co oni z nimi robili! Gwałcili, odcinali uszy, nosy, wykłuwali oczy, odrzynali genitalia. I wszystko to przy akompaniamencie śmiechu, w atmosferze afgańskiej gry w futbol na koniach żywym baranem⁹¹.

⁹⁰ Fakty wzięte z filmu dokumentalnego *Czczeński potrzask*, Ren TV, 2004 r. (przyp. aut.).

⁹¹ Poglądy przedstawiane przez Sophie są jednostronne i w zupełnie innym kontekście sytuacyjnym niż aktualna sytuacja w Paryżu. Oczywiście zabijanie i torturowanie jeńców jest wyjątkową formą zdziczenia. Warto jednak przypomnieć, że takie same obyczaje praktykowała w Czeczenii Armia Czerwona. I nie była to nowa forma walki. Już w latach 1944-45 Stalin, oskarżając Czeczenów o kolaborację z Hitlerem, wymordował trzecią część ich narodu. Sophie jednak, ze względu na

– Wiem, jakie są te ich zwyczaje – na policzkach Słobodana wystąpiły nabrzmiałe mięśnie. – Urodziłem się w Kosowie.

– Domyśliłam się. Gdzie zamordowano większość chłopców, nie wie nikt. Wielu z nich zwrócono jednak później władzom federalnym. W ramach, że się tak wyrażę, akcji odstraszałej. Niektórzy zmarli w męczarniach, inni długo jeszcze dogorywali w szpitalach psychiatrycznych. Sam pan rozumie, Kuzniecowski akurat „chłopcy o krwawych oczach”⁹² potem się nie ukazywali! Chociaż zdechł w osobliwy sposób. Szedł sobie wieczorem po willowej dzielnicy. Z naprzeciwnika nadszedł młody chłopak, oko zasłonięte przepaską, bez ucha. I wokół żywej duszy. Na to obrońca praw człowieka zapiszczał jak baba. Najpierw cofnął się z krzykiem „To nie moja wina, mnie samemu obiecali, to nie moja wina!!” a potem w tył zwrot i w nogi... Znalaziono go już na schodach peronu. Tak gnał, że serce mu nie wytrzymało. A chłopak, jak się okazało, był górnikiem, miał nieszczęśliwy wypadek. Nawet nie skojarzył, co to za dziad przed nim dał dyla i czemu. Śmieszne. Ale to było długo potem, jakieś piętnaście lat później. Także łajdactwa, które ich popierało, było dość i w Rosji, Słobo.

– To prawda. Tylko że całe to świństwo było opłacane tu, w Europie. No, i oczywiście w Stanach, wiadomo. Jedni wierzyli, inni mieli to gdzieś. Wie pani, ilu amerykańskich żołnierzy nasi wzięli do niewoli w czasie wojny? Trzech! I tak, że w ogóle dali radę kogokolwiek złapać, biorąc pod uwagę, jak strachliwie prowadzili tę wojnę. Oj, co to się za lament wtedy podniósł, Ameryka wystroiła się w żółte wstążeczki aż po szyję! Nasi dali wtedy ciała i zwrócili im tych „bohaterów”. A wie pani, co ja bym zrobił?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Zapewne dałby pan każdemu w prezencie malutki kawałeczek ółowiu.

– Pudło! – Słobodan roześmiał się. – Nie zabijałbym gówniarzy, to

krzywdy, jakich doznała w dzieciństwie, nawet nie kusi się na obiektywne spojrzenie, że każde zło jest złem, bez względu na stronę, która je praktykuje (przyp. red.).

92 Aluzja do *Borysa Godunowa* A. Puszkina (przyp. tłum.).

przecież nie Albańczycy. Nie, ja zrobiłbym coś innego. Przystawiłbym do nich straż i kazał sprzątać zwały gruzu pozostałe po bombach, które podkładali. Kazałbym im własnymi rękami wyciągać spod ruin każde nadpalone ciało serbskiego dziecka. A potem bym ich wypuścił. Może chociaż u jednego z nich przebudziłyby się sumienie. Może choć jeden usłyszałby głos sumienia.

– Ale w Europie byli też ci, którzy nie bali się mówić prawdy. Nawet wśród działaczy społecznych.

– Na palcach jednej ręki można ich policzyć, Sophie, przecież czytałem o pani w książce dokumentującej sprawę Dudzachowa. Okup za panią był przeznaczony właśnie do jego prywatnej kieszeni. Wiem, że tutaj, w Europie, najpierw w Sztokholmie, potem w Londynie, pani, wtedy nastolatka, usilnie starała się, żeby panią wysłuchano. Bez większego skutku. Niech pani powie, czy można wybaczyć Europejczykom to wspieranie islamskiego zła w Czeczenii, tylko po to, żeby rozwalić Rosję?

– Obawiam się, że to niemożliwe – Sophie uśmiechnęła się.

– Ale pani... pani im wybaczyła.

– Wybaczyłam? – zdziwiła się Sophie, wyjmując z paczki nieodłącznego papierosa. – Nie wiem nawet, jakoś nie zastanawiam się nad tym. Jestem teraz w tym miejscu po prostu dlatego, że jestem tu potrzebna.

– Jest pani fantastyczną kobietą, Sophie. Ja bym tak nie potrafił, nie wybaczyłem Europejczykom, każdego dnia o tym pamiętam. Nic mnie nie obchodzi ich nieszczęście, sami sobie nawarzyli tego piwa.

– Proszę mi się teraz nie wykręcać. Chyba nie chce się pan stąd zmyć przed tą zawieruchą?

– Zostanę. Ale nie dla nich, po prostu zbyt długo już żyję w przebraniu. Mam straszną ochotę wziąć do ręki karabin i skierować go w stronę muzułmanów. Nawet sobie pani nie wyobraża, ile okropnych pragnień nagromadziło się w mojej duszy przez te lata naznaczone hipokryzją.

– A ja to niby żyłam jak królowa, niczego sobie nie odmawiałam, tak?

Jakże mogłabym sobie coś takiego wyobrazić?

Roześmiali się, zupełnie jakby byli młodymi ludźmi, patrząc sobie w oczy.

– No, ale nie trzeba siebie demonizować. Jestem pewien, że przez ostatnie pół wieku ćwiczyła pani nie tylko strzelanie. Czyż nie współpracowała pani z mężem, wpływając na kształt panoramy informacyjnej? Ostatecznie, zdążył zrobić bardzo wiele.

– Tak, ale zaczęło się to jeszcze na długo przede mną – uśmiechnęła się Sophie. – Na długo zanim się poznaliśmy. Najlepszym przyjacielem męża na filologii - bo wtedy jeszcze zamierzał poświęcić życie twórczości Eurypidesa - już na pierwszym roku został pański rodak, Wiesiełan Jankovic. Jako prawosławny, Leonid oczywiście już wcześniej wiedział dużo o takich rzeczach, o jakich Europejczykom się nie śniło. Mimo to przyjaźń ta otworzyła mu oczy na wiele spraw. Wakacje, co rozumiałe, już od czasów szkolnych spędzał w Europie, i to nie tylko w modnych kurortach. Młodzież najbardziej lubi gadać o globalnych problemach światowego porządku, to cecha wieku, która u większości ginie potem bez śladu. Bardzo szybko zaczęło go drażnić w jego licznych angielskich, francuskich i niemieckich przyjaciółach i przyjaciółkach, że wystarczyłoby, aby temat zszedł na Bałkany, a wszystkie te niebywale inteligentne indywidualności nagle stawały się identyczne, jak kurczaki z inkubatorów. Żelazny zestaw liberalnych stereotypów, któremu towarzyszyła głęboka ignorancja w kwestii faktów. Na początku Leonid całe noce przegadał na obozach sportowych i dyskotekach, przekonując o konflikcie cywilizacji. Szybko pojął, że wszystkich się nie przekona. A on czegoś takiego nie lubił. I tak to właśnie zrodziła się, na przerwach między zajęciami, choć lepiej byłoby powiedzieć: w przerwie między filologicznym nieróbstwem, idea założenia własnego wydawnictwa. Tak powstało wydawnictwo literatury faktu „Elektra”.

– Dobrze pamiętam te książki na tanim papierze, w miękkich okładkach. Logo przedstawiało dziewczynę w łachmanach. Często natrafiałem na takie wydania.

– Nic dziwnego. W ciągu ośmiu lat istnienia wydawnictwa wyszło

wiele sensownych pozycji. Od razu przyjęto, że książki będą wydawane nie tylko w greckim, ale i kilku innych językach europejskich. Wydawano je po francusku, niemiecku, po angielsku oczywiście też, chociaż już po pierwszym roku działalności, zabroniono ich sprzedaży we Francji, a rok później również w Wielkiej Brytanii i Niemczech. Po hiszpańsku książki z „Elektry” zaczęły wychodzić już po tym, jak oficjalnie tego zabroniono; był to tak zwany zakaz prewencyjny. Też mi strata! Kto chciał, z łatwością mógł się w nie zaopatrzyć w Atenach. Kwitła u nas „turystyka księgarska”, jak żartowali sobie wtedy pracownicy wydawnictwa. No, a kto poszedł do pracy w takim wydawnictwie? Kto tam zaniósł rękopisy, dokumenty, analizy? Skąd autorzy wyciągali dokumenty, skąd czerpali wiedzę do swoich analiz? Szybko, bardzo szybko „Elektra” stała się magnesem dla wielu dynamicznych młodych ludzi. A cała reszta sama się dokonała.

Otwarty został inny fundusz pr/.y wydawnictwie, który wysyłał tu i ówdzie studentów medycyny, słowem, najpierw oficjalna działalność, a potem i niezupełnie oficjalna. Wszystko równolegle.

– Mimo wszystko nie było to zbyt bezpieczne. Każdy kij ma dwa końce.

– Otóż to. Z jednej strony: bez wydawniczej działalności „Elektry” nigdy nie powstałoby takie nagromadzenie wspaniałych ludzi w jednym miejscu, z drugiej: takie wydawnictwo było aż nazbyt jasną przykrywką. Liberałowie odgadywali zarysy tego, co się pod nią skrywało, nie zadając sobie nawet trudu, by znaleźć dowody. Szczerze mówiąc, mieli rację. No, a my poznaliśmy się, kiedy to wszystko już działało.

Sophie uśmiechnęła się samymi tylko oczami, wspomniawszy, jak to wtedy ledwo zdążyła zarzucić ręcznik na głowę i wyskoczyła spod prysznicę otworzyć drzwi. Nie bała się, przecież to tylko młoda kobieta i do tego niezbyt punktualna, umawiały się na drugą, a jest za dziesięć. Ale zamiast młodej kobiety na progu stał chłopak.

„Sophie Grinberg?” – uśmiechnął się białymi zębami, jakby nie zauważając ręcznika i szlafroka.

„Stać, nie ruszać się!” – Sonia odskoczyła w tył. Tfu, rewolwer został w

pokoju, w walizce. – Czekam na kobietę”.

„Czekała pani na Milanę Mladic – mimo wszystko pozostał w drzwiach. – Ja też miałem nadzieję, że dziś będzie pracować nad pani materiałami. Ale zamiast tego rodzi. Dobrze, że chociaż zadzwoniła przed pójściem do szpitala. Czterdzieści minut temu. Pozwoli pani, że mimo wszystko się przedstawię. Leonid Sévazmios, wiodący niewolnik z galery wydawnictwa «Elektra»”.

„Proszę wejść” – ręcznik opadł na ramiona i Sophie niedbale potrząsnęła chłodnymi sopolkami włosów. Niezbyt jej się spodobał, ubrany był jak «major» - tak nazywano takich ludzi, kiedy chodziła do szkoły. Trudno wyjaśnić, co to oznaczało. Można powiedzieć, że «major» to ktoś, o kim się wie, że zimą na pewno będzie nosił kaszmirowy płaszcz. Ten tutaj też, jak w banku, ma taki w szafie. Poza tym, był mocno opalony, czarnooki, ciemnowłosy. Sonię za to zawsze ciągnęło do blondynów, ostatecznie mogli się jej też podobać rudzi albo ciemni blondyni, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego: czy to kwestia gustu czy jakaś nieświadomiona samoobrona psychiki. Do tego wydawał się jej zbyt wesoły, zbyt rozpromieniony. Nie, Leonid Sévazmios na pierwszy rzut oka nie zrobił na niej dobrego wrażenia, jednak wszystko to, co o nim wiedziała, trzeba było to uczciwie przyznać, świadczyło na jego korzyść. A uczciwość była wtedy dla Soni słowem najważniejszym, niemalże fetyszem.

„Zaraz przyjdę! – krzyknęła już z łazienki, wskakując w dżinsowy kombinezon. – Napije się pan herbaty?”

„Nie! – odkrzyknął z pokoju gość. – Piję tylko wędzoną «Lap- sang Souchoung» firmy «Newby», a wątpię, czy pani ją ma! Na pewno ma pani tylko jakiś «Pickwick» w torebkach, i to dobrze, jeśli bez bergamotki. Kawy też nie chcę. Nie umie jej pani parzyć. Kobiety w ogóle nie umieją parzyć kawy”.

„Wydaje mi się, że nie wyrażałam chęci zaparzenia panu kawy – Sonia wyjęła z szuflady stołu wcześniej nagrany płytę CD. – Tu jest wszystko, co może się przydać. Moje zeznania, których nie pozwolono mi odczytać podczas rozprawy. Odmowa wydania wizy do USA, gdzie

dalecy krewni ojca chcieli załatwić mi klinikę rehabilitacji psychologicznej. Władze amerykańskie uznały jednak wjazd trzynastoletniego dziecka, które ucierpiało od czeczeńskich separatystów, za niepożądany. Świadczenia lekarzy, no, o tym, jak mnie okaleczono". Ostatnie zdanie wypowiedziała niedbale, zawsze mówiła tylko w taki sposób, uprzedzając możliwą reakcję współczucia.

„Ten materiał aż pali mi się w rękach – Leonid nagle spowaźniał. – Czytała pani, jakie bachanalia odchodzą w gazetach? Zwłaszcza w angielskich, «Po dziesięciu latach ręka Kremla znów wyciągnięta nad czeczeńskim powstańcem». Słabo, co? Znam jeszcze zabawniejsze, mogę przesłać mailem".

„Czytałam to wszystko".

„No tak, powinienem był się domyślić, oczywiście. Śledziła pani to wszystko. Nieźle, książczyna o jego dokonaniach będzie pięknym gwoździem do trumny. A co do wydania - postaramy się jak najszybciej, nawet bez oglądania się na świnię, jaką mi osobiście podłożyło dziecko Milany. Tylko wie pani co, Sophie... Zróbmy tak: jak tylko książka się ukaże, natychmiast dam pani znać. Tamci prowadzą przecież śledztwo, będą brać się za wszystkich, którzy mieli z biednym nieboszczykiem jakieś osobiste porachunki. Lepiej, żeby pani nie było wtedy w Europie. To przecież idioci, skończeni idioci".

„No, jeśli wezmą się za mnie, to nie będzie to taki kompletny idiotyzm. Przecież to właśnie ja go zabiłam".

Mimo upływu lat Sonia nie zdołała pojąć, czemu to po raz pierwszy i ostatni w życiu popisała się tak zjawiskowym przejawem głupoty. Dobrze już wiedziała, że nawet sprawdzonym ludziom, wzbudzającym absolutne zaufanie, należy mówić tylko to, czego wymaga sprawa. Ponadto lekkomyślne oblicze Leonida nie współgrało z informacjami, które miała na jego temat, co powodowało nieprzyjemne uczucie ambiwalencji. Nie miała przecież nawet absolutnego zaufania do niego. Czemu więc to zrobiła? Przeczucie? Nie, nie wierzyła w mistykę.

Zapadła niezręczna cisza. Leonid patrzył na nią spokojnie i badawczo, a jego oczy, orzechowe z miodowym odcieniem, powoli ciemniały.

„Jak to napisano w jednej z waszych rosyjskich ksiązek – przemówił w końcu. – «Królowo, a czy trzeba było się samej trudzić?»⁹³ Nawiasem mówiąc, czytałem to we francuskim przekładzie, mówiono mi, że jest najlepszy”.

„Nie cierpię Bułhakowa – zachmurzyła się Sonia. – W jego książkach zamiast wojskowych występują jacyś urodzeni emeryci. Kraj trzeba ratować, a ci siedzą i wzdychają – ach, jak to miło w domu pić herbatkę pod abazurem!”

– „Pickwick» w torebkach. A propos, jeśli mogłaby mi pani coś zaproponować, to szklankę wody mineralnej. Najlepiej gazowanej, nie znoszę tego «ą... ę..., ach, ja pijam tylko niegazowaną!»”

„Niech pan uważa, zaraz panu wyleję na głowę tę szklaneczkę gazowanej” – roześmiała się Sonia.

„No cóż, to nieco zrównuje nasze pozycje – z powagą odpowiedział Leonid. – Tak przy okazji, musi pani mieć mocne włosy. Tylko kobiety z mocnymi włosami nie uznają suszarek, pozostałe nie mają nic do stracenia. Chociaż jak na razie to tylko moje spekulacje, w tej chwili akurat to, co ma pani na głowie, przypomina mysie ogony. A propos mokrego żywiołu. Czy, zgodnie z waszą rosyjską tradycją, przed «likwidacją» zagoniła pani Dudzachowa do wychodka?”

„Wychodek był zajęty; siedziała tam Agnes Blectomb. Ta akurat może mnie rozpoznać. Co oznacza, że rzeczywiście, nie mam zamiaru zatrzymywać się obecnie w Europie. Poopalam się trochę nad Morzem Martwym”.

„Ale też pani niemądra, przecież nie powiedziałem tego, żeby panią obrazić. Co, nie dało rady obejść się bez świadków?”

„Chciałam, żeby została świadkiem. Skazałam ją na to. Zamiast Trybunału w Strasburgu, wie pan. Ktoś w końcu musi wydawać wyroki”.

„Co za brednie! Patrzcie ją, skazała na bycie świadkiem! Normalni ludzie obchodzą się bez świadków, źli ludzie świadków zabijają. Ale w życiu by mi do głowy nie przyszło, że jest jeszcze trzecia opcja, i to

93 M. Bułhakow, *Biała gwardia* (przyp. tłum.).

jeszcze tak głupia do tego".

„Dostała to, na co zasłużyła. A nie zasłużyła na śmierć”.

„Gdzie w tym głupim przewodniku są lotniska? – Leonid kartkował książkę, drugą ręką przyciskając do ucha słuchawkę telefonu.

– No co tak pani stoi, proszę się zbierać! Zaraz sam panią wsadzę do samolotu, nawet nie nad Morze Martwe, ale do Australii albo Katmandu. No, a jak pani stoi z pieniędzmi?”

Soni nagle zrobiło się jakoś lekko na duszy, tak jakby przez długi czas taszczyła strasznie ciężką torbę, a ktoś nagle podskoczył, i nie pytając o pozwolenie, chwycił za drugie ucho.

„Da pan radę beze mnie włączyć do książki moje dokumenty?”

– spytała, choć tak naprawdę pytała o coś zupełnie innego: nie uznała pan, że to nie do pogodzenia z zapewnieniem mi tego głupiego bezpieczeństwa?

„Oczywiście, zawsze można przecież dogadać szczegóły mailowo – odłożył słuchawkę i z niespodziewaniem dotknął jej ręki. – Z książką wszystko będzie w porządku, Sophie”.

– „Elektra”, nawiasem mówiąc, funkcjonowała też po śmierci Leonida. Chociaż coraz trudniej było wydawać książki, pod naciskiem muzułmańskich diaspor władze tworzyły coraz to nowe przeszkody. No dobrze, Słobo, dokończymy tę rozmowę kiedy indziej, jeśli jeszcze będzie okazja. Proszę zobaczyć, ludzie się już schodzą.

Było już jasne, że improwizowanych ławek, o które zatroszczyli się dzień wcześniej Eugène Olivier i ojciec Lotaire, jest o wiele za mało. Wielu ludzi, podobnie jak Sophie, siadało po prostu na schodach.

– Och ty, no w końcu! Paul! Paul Germy! – krzyknęła Jeanne, zanurkowawszy w tłum.

Eugène Olivier odczuł dziwny żal: Jeanne wymknęła się akurat wtedy, kiedy z powodu niezrozumiałego zachowania Sophie Sévaz- miou zrobiło mu się tak strasznie i smutno na duszy. Co tutaj robi ten Arab?

– Cześć, chciałam ci podziękować – Jeanne udało się przedostać do Germy, choć lawirowanie wśród gęstniejącego tłumu nie było już łatwe. – Prosiłam, żebyś tylko numery zmienił, a ty sprawdziłeś chyba każdą

śrubkę.

– A tam, drobiazg – odparł wesoło Germy. Pojawienie się tutaj, na zebraniu *Maquis*, drogo go kosztowało. Ale będzie co ma być, nie żałował tego. – Gnasz na tym motorze jak szalona. Lepiej dmuchać na zimne.

– Otóż to! – Jeanne zniknęła, dając nurka pod czyimś łokciem.

Pośrodku peronu, tam, gdzie oświetlenie było mocniejsze, kilku ludzi wyjmowało z kartonowych futerałów i drewnianych skrzynek elementy składowe trybuny. Sophie wraz ze swoim dziwnym towarzyszem, Brisseville i ojciec Lotaire, szli właśnie w ich kierunku.

Niektórzy makisarzy, zwłaszcza młodzież, patrzyli na ojca Lotaire z nie mniejszym zdziwieniem, niż inni - na Ahmeda ibn Salih. Tym razem ksiądz był ubrany nie w przeznaczone do wyjść na miasto „robocze” przebranie, ale w strój galowy: w sutannę, sięgającą czarnym kielichem peronu, koloratkę i bilet z czarnym pomponem.

– Zaczyna się! – Eugène Olivier rozpromienił się. Jeanne znów stała obok niego.

– Bardzo proszę o ciszę! – La Rochejaquelein, którego Eugène Olivier wcześniej nie widział wśród zgromadzonych, wlaźł na sam szczyt chwiejącej się konstrukcji. – Jest tu nas ponad pięćset pięćdziesiąt osób i jeśli przemawiających nie będzie słyhać, to wyjdzie na to, że spotkaliśmy się tu w tak wielkiej liczbie na nic. Mikrofonów tu niestety nie ma.

Na krótką chwilę tłum zaszeleścił jeszcze silniej, jakby pod tchnieniem wiatru. Bardzo szybko jednak zamieszanie ustało i w podziemiu zrobiło się dość cicho.

– Chciałabym uciąć wszelkie insynuacje! – Sophie podniosła rękę. – Żadnych Arabów tu nie ma. Ten człowiek to nasz tymczasowy sojusznik z Rosji, Słobodan Knieżewić.

– No, to masz swojego stukniętego faceta – szepnęła Jeanne na ucho Eugène’owi Olivierowi. Jej oczy zrobiły się całkiem okrągłe. – Z Rosji! To tam, gdzie saracenów trzymają w rezerwatach?

– O rezerwatach nic nie wiem – odszepnęła Eugène Olivier. – Ale u

władzy na pewno tam ich nie ma. Rosja to dla brudasów Dar al-habr⁹⁴, albo, jak piszą w gazetach, „państwo-kafir”.

Trochę lżej mu się zrobiło na duszy. Czyli to nie żaden Ahmed ani Salih, a normalny rosyjski szpieg. Tylko czemu w takim razie patrzył mu w oczy z taką złością?

– Są tu dziś z nami ludzie ze wspólnot chrześcijańskich – kontynuował La Rochejaquelein. – Ich przywódcą jest ojciec Lotaire, proszę mi wybaczyć, jeśli coś upraszczam, ale jeśli dobrze rozumiem, to ksiądz podejmuje w ich imieniu wszelkie decyzje?

– Tymczasowo – odpowiedział duchowny. – Tylko tymczasowo. Tego lata miały się odbyć wybory biskupa Paryża. Ale, z tego, co rozumiem, oczekiwanie na jego wyznaczenie nie wchodzi w grę.

– Raczej nie. Nie mamy już ani jednego dnia, być może czas liczy się już w godzinach. I tak, wiemy z dobrych źródeł, że w Paryżu nastąpią zmiany. Dotyczą one w równym stopniu i nas, i katakumbników - ich chyba nawet bardziej. – La Rochejaquelein zamilkł na chwilę i Eugène Olivier poczuł w całym ciele, że teraz właśnie powiedzą to najważniejsze. – Władze postanowiły położyć kres istnieniu getta.

Cisza, którą dopiero co pilnie utrzymywano, runęła i tłum zawrzał. Nie trzeba było dodatkowych wyjaśnień, wszystko było aż nadto oczywiste.

– Spokojnie, przyjaciele! – Brisseville’owi ciężko było mówić głośniej, posiłkował się więc prowizorycznym megafonem z puszki po kawie.

Czyżby to była prawda, kołatało się po głowie Eugène’owi Olivierowi, czyżby to była prawda? Tak, to prawda, odpowiadał dziwny chłód w piersiach.

– Jeśli nie mamy już nic do stracenia, to znaczy, że możemy też coś zyskać. Nadszedł czas, by pokazać im, że póki co, nie są jeszcze jedynymi gospodarzami tego miasta.

Ktoś podniósł rękę na znak, że chciałby przemówić.

– Jeśli macie na myśli powstanie, to czy ma ono jakikolwiek sens? –

94 Dar al-habr - „kraj wojny”, arabski termin oznaczający kraje niemuzułmańskie. Obiekt do zawojowania.

przemawiającego z goryczą chłopaka Eugène Olivier znał tylko z widzenia. – Nie, Brisseville, nie jestem przeciw, myślę, że nikt nie jest. Bez getta podziemie i tak nie da rady funkcjonować. Nie rozumiem tylko, co niby moglibyśmy zyskać, oprócz śmierci?

– Być może, kiedy zawierucha się rozpocznie, uda nam się wyprowadzić z miasta podziemiami tych, którzy są w getcie – teraz głos zabrał La Rochejaquelein. – Samo powstanie co najwyżej wepchnęłoby mieszkańców w rzeźnię. Do ewakuacji ludności cywilnej sformujemy pięć oddziałów. W czasie, gdy pozostali...

– Ale gdzie?! Skąd wyjdziemy? – wykrzyknął ktoś z krańca peronu.

– W Paryżu jest tylko jedno miejsce, w którym można się utrzymać w miarę długo z niewielkimi stratami – dźwięczny głos La Rochejaqueleina z łatwością unosił się nad tłumem. – Tylko jedno, ale za to jakby specjalnie skonstruowane dla tego celu. Jest też najłatwiejsze do przejścia, nie trzeba będzie bić się o każdy dom. No i raczej saraceni nie będą nam się specjalnie pałętać pod nogami. Nie ma tam przecież prawie w ogóle domów mieszkalnych, same urzędy. Jeśli powstanie rozpoczęłoby się nocą, wystarczyłoby tylko przebić się przez straż. Mam na myśli, rzecz jasna, Cité.

– Do tego wystarczy wznieść jakieś dziewięć niewielkich barykad – młodzieńczym głosem wykrzyknął de Lescure. – Ale sama stacja Cité to niezbyt dobry wybór, bo jest czynna. Część żołnierzy trzeba by spuścić do tuneli, żeby zabezpieczali odwrót.

– Myślaliśmy już o tym – Henri La Rochejaquelein nie bez zdziwienia spojrzął z ukosa na starego katakumbnika. – Wystarczy na ewakuację getta, jako że wszystkie wojska zostaną stąd wyprowadzone na wyspę Cité, po to, żeby utrzymać kilka przylegających do stacji peronów i, żeby wytrzymać do...

– Do czego? – zadźwięczał ostro głos ojca Lotaire'a. – Idziecie na bezsensowną śmierć, przyjaciele.

– Ksiądz jest przeciwko powstaniu? Czy naprawdę chciałby ksiądz, żebyśmy zostawili ludzi z getta na pewną śmierć, jak barany na rzeź?! Wy, chrześcijanie, możecie przyjąć śmierć w imię waszej wiary, ale warto

pamiętać o tym, że w getcie chrześcijan nie ma zbyt wielu. – Nawet w mdłym świetle widać było, jak twarz La Rochejaqueleina pobladła od gniewu. – My, makisarzy, możemy w każdej chwili uciec z Paryża! Ale niechrześcijanie, proszę Francuzi z getta, ich matki, żony, dzieci; w imię czego ci mieliby umierać?

– Nie mówię, żeby ich rzucać na pastwę saracenów – rzucił ostro ojciec Lotaire. – Właśnie przyszedł mi do głowy inny plan. Proszę mi wierzyć, że jest lepszy od przedstawionego przed chwilą.

– Jakież to?

– Uciekajcie natychmiast, dopiero co pan powiedział, że możecie to zrobić. Zabierzcie stąd tych chłopców i dziewczyny, których tak ciągnie do broni, na prowincję. Im dalej, tym lepiej... A getto zostawcie nam. Nam, chrześcijanom. Pamiętam, sam mówiłem całkiem niedawno, że trudno będzie ewakuować ludzi z getta dlatego, że człowiekowi z natury trudno jest uwierzyć w katastrofę. Jeśli jednak pójdziemy po domach zanim zrobią to zabójcy, Pan Zastępów da nam siłę przekonywania, tę nadprzyrodzoną, a nie słabą, ludzką. Zostawcie nam tylko ewakuatorów.

Eugene'owi Olivierowi zdało się, że ktoś pokolorował ludzkie twarze dwoma różnymi kolorami, jak sygnalizator świetlny. Te, na których rozbłysło zielone „tak”, były niewątpliwie twarzami kata- kumbników, a te, w których zapaliło się zdecydowane czerwone „nie”, należały do żołnierzy Ruchu Oporu.

– Proszę się rozejrzeć, proszę księdza – najwidoczniej La Rochejaquelein odniósł podobne wrażenie. – To byłby świetny plan... gdyby nie to, że my też jesteśmy paryżanami.

Ojciec Lotaire posłusznie rozejrzał się po otaczających go ludziach. Jego twarz momentalnie pociemniała.

– W pewnym sensie ksiądz ma rację – Sophie, przez tak długi czas zachowująca milczenie, wskoczyła na wierzchnią skrzynkę obok La Rochejaqueleina. – Nasz plan rzeczywiście nie jest dobry.

– Przecież to jest pani plan, Sophie! – Brisseville zaniósł się kaszlem – był tak zdziwiony, że aż trudno mu było oddychać. – Czy to nie pani go

opracowywała?!

– Tak, ja. Ale teraz widzę jego słabe strony.

– I proponuje pani teraz, żeby go zarzucić?

– Nie, dlaczego? – Sophie beztrąsko wstrząsnęła ciężką czupryną, jakby nie zdając sobie sprawy, że oczy kilkuset osób wpatrują się w nią z napięciem, jak zaczarowane. – Proponuję nanieść na niego poprawki. W poprawionej wersji będzie znacznie lepszy niż plan ojca Lotaire'a.

– To znaczy? Proszę wyjaśnić, Sophie, teraz nie ma czasu na zabawę w gadywanki, zresztą to do pani niepodobne.

– Na to, aby saracenom porządnie spadło morale, jedno powstanie to za mało – teraz dźwięczny, acz niepozabawiony chryпки palacza głós Sophie z łątwością wypełnił przestrzeń. – Potrzebne jest nawet niewielkie, ale zdecydowane zwycięstwo krzyża nad półksiężycem. Proszę księdza, co by ksiądz powiedział na to, żeby odprawić w Notre Dame jakąś mszę?

– Jakąś, dobrze powiedziane, Sophie – ciepły uśmiech w głosie ojca Lotaire'a nie współgrał z jego momentalnie zmizerniałą twarzą. – Nie rozumie pani chyba, że to niemożliwe.

– Możliwe.

– Żeby odprawić mszę, trzeba by najpierw na nowo poświęcić świątynię. Myślę, że może nawet zdążyłbym to zrobić. Ale powstanie nie będzie przecież trwało zbyt długo. A co dalej, Sophie? Skazać katedrę na jeszcze jedno zbezczeszczenie? Czy można pójść na coś takiego, wiedząc, że takie następstwa będą nieuchronne?

– Drogi ojcze Lotaire, one nie są nieuchronne. Proszę mnie wysłuchać! Możemy z grubsza oszacować, jak długo damy radę utrzymać Cite. Możemy też wcześniej obliczyć, ilu ludzi damy radę pokonać i kiedy odstąpimy. Jednak niezależnie od tego, kiedy się poddamy, poddać się musimy. A to znaczy, że tamci będą śmieli twierdzić, że zdławili bunt.

– Sophie, czy to warto wodę sitem nosić – niecierpliwie przerwał La Rochejaquelein. – Pamięta pani, co sama powtarzała? „Bunt nie może

nigdy zakończyć się sukcesem, bo jeśli zwycięży, to inaczej zwie się”⁹⁵. I od razu stawialiśmy na to, że powstanie będzie dla nich przede wszystkim dużym szokiem. Niczego więcej nie osiągniemy. Co ma do tego krzyż i msza, z całym szacunkiem dla naszych katakumbników?

– Spokojnie, Henri. Po prostu teraz już wiem, co mi tak długo chodziło po głowie, ale jakoś nie chciało zaskoczyć. Najwidoczniej się starzeję, dziesięć lat temu od razu bym sobie skojarzyła. Bunt może zakończyć się sukcesem, jeśli cel postawiony jest w następujący sposób: nie utrzymać się przez jakiś tam czas, ale utrzymać się do jakiegoś wydarzenia. Do czegoś nieodwracalnego. A wtedy można już nawet się poddać. Jeśli Cité to serce Paryża, to Notre Dame jest sercem Cité. Właśnie na Notre Dame trzeba skoncentrować cały plan powstania. To co, proszę księdza, zgadza się ksiądz na mszę, po której saraceni, mimo najszerszych chęci, nie dadzą rady ponownie zbezczścić świątyni?

– Pani chyba straciła rozum – ojciec Lotaire podniósł się. – Nic bardziej nieprawdopodobnego nie mogłoby się zrodzić w ludzkim umyśle. Ale wygląda na to, że szaleństwo jest zaraźliwe. Zgadzam się, chociaż pod pewnymi warunkami.

– No widzisz, Sophie, teraz już rozumiesz?! – Valérie, wyslizgnąwszy się z półmroku na oświetloną pięć brudnego betonu, nagle objęła Sophie obiema rękami i uściśnęła ją mocno, jak to mają w zwyczaju robić dzieci w przyptywie wdzięczności za nową zabawkę. Eugène Olivier i Jeanne wymienili się spojrzeniami, zakłopotani i odrobinę wystraszeni. Przebłysk zrozumienia mignął na twarzy de Lescure'a. Przepiękna czarnulka Michelle przesuwając ręką po szyi, w poszukiwaniu krzyżyka - na ślepo, bo nie mogła oderwać oczu od Valérie.

– Przypomnijcie sobie chociażby, jak to wcześniej makisarzy walczyli z boschami⁹⁶ – słowa Sophie niosły się po rozgłośniej sali. – Macie przecież

95 *MameDK He Mootcem Komumbcaydaneu/B npomueHOM CAynae ezo 3oeym imane* - dokonany przez S.J.Marszaka przekład epigramu Johna Harringtona *Treason cloth never prosper, what's the reason? For if it prosper, none dare call it Treason* (przyp. tłum.).

96 Pogardliwe określenie niemieckich okupantów, funkcjonujące wśród Francuzów tamtego pokolenia (przyp. red.).

chłopską naturę, Francuzi. Jeśli już naprawdę nie da się odbić wrogom swojej ziemi, lepiej zasypać ją solą. Jeśli wróg zajął twoją stodołę, lepiej ją spalić. Może już wystarczy ich gospodarowania naszą własnością?!

– Och!! –Jeanne aż przysiadła. Jej szept wydał się wyostrzonemu słuchowi Eugène Obviera prawdziwym krzykiem. – A więc to po to był potrzebny plastit-n! Ona to już wszystko wcześniej zaplanowała, słowo daje, że wcześniej!

Tym razem nie obchodziła go już chyba nawet Jeanne. Malerki stateczek Cité, dziesiątki stuleci stacjonujący na Sekwanie, połączone z miastem linami mostów. Wszystkiego dziewięć barykad, jak powiedział de Lescure. Barykady będą na mostach. Lepszego miejsca nie można by znaleźć, żeby utrzymać się do czasu, kiedy stateczek wewnątrz stateczku, Notre Dame, nie wzięci w powietrze.

Lepsze to, niż gdyby miała pozostać meczetem Al-Frankoni!

Sophie Sévazmiou ma rację, po tysiącokroć rację, jedna msza, ale ta msza warta jest Paryża⁹⁷! Dziwne, wcześniej nie wiedział, co to za ból. Może ma coś z sercem? Nigdy w życiu go nie bolało.

– A wtedy sam wybuch w katedrze da sygnał do odwrotu! – wykrzyknął La Rochejaquelëin, jakby usłyszał myśli Eugène'a Obviera. – To fantastycznie zsynchronizuje ze sobą wydarzenia.

Słowa w końcu zostały wypowiedziane.

Co ciekawe, przeciwników planu nie było. Wydawało się, że do współczesnego podziemia metra bez słowa weszły cienie z wykopanych tuż obok, na francuskiej ziemi, wiekowych cmentarzyisk i krypt, cienie przodków. Wznosiliśmy świątynie nie dla wroga, dla chwały, a nie pohańbienia chrześcijaństwa - szumiący. Zbyt długo myśleliście, że kościół to tylko genialne dzieło architektów. To dlatego właśnie już nie będzie architektów, którzy mogliby się równać z naszymi. Oczyszcście Boży przybytek chociaż w taki sposób, jeśli już nie mogliście inaczej. Jeśli nasza krew płynie w waszych żyłach, jeśli jesteście kośćmi z naszych

97 Aluzja do zawołania króla Henryka IV „Paryż wart jest mszy!”, obrazującego determinację tego gorliwego protestanta, który dla zjednoczenia kraju i zdobycia korony przeszedł na katolicyzm (przyp. red.)

kości, zróbcie to!

– Notre Dame stała przez wieki – rzucił z goryczą jeszcze jeden pragnący zabrać głos makisar, około czterdziestki. – To nie żaden tam dwudziestowieczny drapacz chmur. Co to powinien być za wybuch, żeby rzeczywiście nic po nim nie zostało? Nawet jeśli w magazynach znajdzie się dość materiałów wybuchowych, jak długo potrwa ich dostarczanie, a potem zakładanie? A jeśli ściany mimo wszystko wytrzymają, to całe przedsięwzięcie weźmie w łeb.

– Potrzeba będzie od piętnastu do trzydziestu kilogramów, nie więcej – teraz rękę podniósł podobny do na wpół obdartego latawca, zgrzybiały staruszek-katakumbnik. – To będzie zależało od tego, jaką siłę ma sam materiał. Nie zapominajcie, kochani, że to gotyk, i powiedzmy sobie, że nie najbardziej wyrafinowany. Jak by to wyjaśnić? Szkło kuloodporne rzeczywiście odbija kule, ale są miejsca, które można skruszyć w pył zaledwie jednym uderzeniem. Jeśli by nasi architekci nie znali podobnych sekretów, gotyk nigdy nie wzbiłby się w niebiosa...

– Trzeba by wiedzieć dokładnie, gdzie są takie miejsca – zachmurzył się La Rochejaquelein.

– No to monsieur Peyran nam je pokaże – odpowiedziała wesoło Sophie. – Jest przecież architektem. Ma pan chyba plany Notre Dame, monsieur Peyran?

– Oczywiście, madame Sévazmiou, najdokładniejsze, jakie są – pokiwał głową staruszek.

– Na wzięcie Cité będziemy potrzebowali jakieś cztery godziny. Około pięć na zaminowanie katedry i na mszę. Odwrót również będzie odbywał się w kilku etapach, jako że kiedy jedni będą się zwiajać, inni będą ich osłaniać. Utrzymamy wyspę przez nie mniej niż dwanaście godzin. – La Rochejaquelein objął spojrzeniem dziesiątki zwróconych ku niemu twarzy. – Krew będzie się lała strumieniami i szukała ujścia w Sekwanie, aż Sekwana się podniesie. Każdy, kto nie czuje się na tyle szalony, żeby uczestniczyć w tym przedsięwzięciu, może opuścić Paryż w tej chwili. Nikt nie będzie go za to potępiał.

Nikt z obecnych nie zareagował na ten apel. Tylko ojciec Lotaire,

odstąpiwszy od trybuny, o czymś cicho rozmawiał z dziesięciorgiem parafian, którzy otoczyli go kołem.

– Ci, którzy zostają, otrzymają bezpośrednie rozkazy od dowódców pododdziałów. Dowódcy pododdziałów pozostaną tu, żeby odbyć naradę taktyczną.

– Jeszcze jedno – krzyknął z dołu ojciec Lotaire. – Nasi ochotnicy nie są jeszcze przydzieleni do pododdziałów.

– Ale przecież wy, katakumbnicy, nie bierzecie broni do ręki – zdumiał się Philippe-André Brisseville.

– Dla mszy w katedrze Notre Dame weźmiemy i broń do rąk – odpowiedział ojciec Lotaire.

ROZDZIAŁ XIV

Barykady

Ledwo udało mu się zaparkować: początkowo koła wjechały na chodnik za daleko. Podczas drugiego podejścia nieźle porysował błotnik o niepozorną ciężarówkę z logo sieci pralni. Niedobrze, kierowca może zapamiętać, dlaczego właściciel szykownego Ferrari nie zrobił awantury. Oczywiście, sam był sobie winien, ale przecież w takich sytuacjach niewinny jest zawsze ten, kto ma władzę.

Kassim rozejrzał się dyskretnie: w kabinie ciężarówki nie było nikogo, w pobliżu również. Zataczając się jak upalony słońcem, bo w końcu o prawowiernym nie można powiedzieć, że zatacza się jak pijany, Kassim trzasnął drzwiczkami, zupełnie zapominając, że w środku walają się na widoku aktówka, odtwarzacz CD, drogi parasol.

Wślizgnąwszy się w niewielki dziedziniec, cały poprzegradzany suszącymi się na sznurkach prześcieradłami, Kassim wszedł w sąsiednią uliczkę, uchylając się przed kontaktem z mokrymi ręcznikami. Trzeba wybrać takie miejsce, z którego w ogóle nie będzie widać jego samochodu. Nie daj Bóg, jeszcze by ktoś numer zauważył.

Ze zgrozą przypomniał sobie, że nie zatroszczył się o sprzątnięcie rzeczy z siedzenia. Dla niego akurat nie warte były nawet splunięcia. Jeśli jednak złodziejaszki wybiją okno, wyda się podejrzanym, czemu nie nadał sprawie biegu. A jeśli to zrobi, pojawią się niepotrzebne pytania: a gdzie do tego doszło? Przecież zdecydowanie nie ma tu nic do roboty, tu, w Marais. Mogą skojarzyć niewygodne fakty. Może lepiej wrócić do auta i schować te rzeczy pod siedzenie? Co to, on już naprawdę własnego cienia się boi?

Kassim bystro rozejrzał się na boki. Jego uwagę przykuł mały sklepik, jakich wiele w podobnych biednych blokach: pół-spożywczy, pół-apteka i drobnica przemysłowa. Właśnie tego mu było trzeba.

Jak można się było spodziewać, w sklepiku siedziała tylko jego właścicielka, ogromna tłuściocha w czarnej parandzy, w skupieniu przeliczająca za ladą opakowania szkolnych flamastrów.

– Przepraszam najmocniej, chanum⁹⁸ – zagaił po turecku, wiedząc, że w osiedlach takich jak to, nie rozumieją nawet lingua-franca, a po arabsku tylko się modlą. – Zepsuła mi się komórka. Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

Żeby być bardziej wiarygodnym, wyjął z kieszeni wyłączony telefon i, chmurząc się z niezadowoleniem, potrząsnął nim w dłoni. Właścicielka zakrzętnęła się, jednocześnie podłechtana możliwością wyświadczenia przysługi wysoko postawionemu, przystojnemu oficerowi i rozczarowana, że ten nie chciał niczego kupić. Po chwili już biegła z wewnętrznego pomieszczenia ze słuchawką w dłoni.

Przyszło mu długo czekać, nie mniej niż dziesięć sygnałów. Niezbyt to zaniepokoiło Kassima, ostatecznie próbował się właśnie dodzwonić do niemalże identycznego sklepiku, przepełnionego absurdalną mieszaniną zapachów, zbyt gęstą jak na tak ciasne pomieszczenie. Były w niej aromaty cynamonu, goździków, kminku, gumowy zapach taniego proszku do prania, wstrętny odór przypadkowo rozgniecionej ampułki amoniaku, ziarna kawy, gryzące się z mdłą wodą kolońską i wręcz zatechły kurz. Kassimowi wydawało się, że jego powonienie wyławia nie tylko wszystkie zapachy dookoła, ale i te, które znajdują się po drugiej stronie słuchawki.

– Halo? – starczy głos zabrzmiał niespodziewanie głośno.

Można było najspokojniej w świecie rozmawiać po francusku, nikt nie będzie wiedział, o co chodzi. I nikt nie śmie zadać sobie pytania, w jakim języku wypada rozmawiać oficerowi wojsk wewnętrznych. Telefonów w getcie nikt nie podsłuchuje, więc tego też nie należy się obawiać. Nikogo nie obchodzi, o czym myśli było,

98 Tureck. pani.

wcześniej czy później przeznaczone na ubój. Za to telefony urzędników państwowych - to już całkiem inna sprawa.

- Przepraszam bardzo, monsieur, z tej strony znajomy pańskiego sąsiada z góry, monsieur Antoine'a Thibaulta. Czy byłby pan tak uprzejmy, żeby poprosić go do telefonu?

- Dobrze - słychać było, jak zastukały po skrzypiących schodach niepewne kroki.

Oczekiwanie trwało długo, bardzo długo, i Kassimowi wydawało się, że wystarczy przejść do sąsiedniej kłitki, a już znajdzie się w tamtym sklepie. Nawet by to wolał, rozmawiać przez telefon jest jakoś tak trudniej.

- Thibault przy telefonie.

Kassim nie od razu dał radę się odezwać.

- Halo?

- ...Antoine... - nagle zaschło mu w gardle. - Tu twój kuzyn. Twój kuzyn ze strony matki.

Mimo wszystko nie zdecydował się na podanie swojego nazwiska. Głupstwo, Antoine powinien zgadnąć, nawet jeśli nie pozna po głosie. Może nie rozpoznać, kiedy widzieli się ostatni raz, Iman miała roczek. Odpowiedzi nie było przez długi czas.

- Trochę to niespodziewane, co? - w głosie kuzyna słychać było ponurą ironię.

- Antoine, nie mogę długo rozmawiać... - jękając się, tłumaczył Kassim. - Słuchaj, powiedz mi, proszę, jedną rzecz. Masz kartę do wyjazdów z miasta?

- W tym roku nie brałem, a co?

- Mógłbyś to zrobić? Mógłbyś pojechać z rodziną do krewnych w Compiègne? Jeśli nie masz pieniędzy, to prześlę.

Tak, można by to zrobić, przemknęło mu przez głowę. Przelewów drobnych sum nikt nie zapisuje. A wyjazd do Compiègne dla czterech osób, na który rodzina z getta musiałaby odkładać pieniądze jakies dobre pół roku, to dla niego akurat bardzo drobna suma.

Jak oni w ogóle mogą żyć w taki sposób - w dwóch sąsiadujących ze

sobą pokoikach nad sklepikiem, bez swojego telefonu, z miniaturowym prysznicem we wnęce kuchennej?! Przetarty dziesiątkami tysięcy kroków laminat, kruszące się kafelki, zdekompletowane meble z XX wieku...

– Powiedz mi no, drogi kuzynie, skąd u ciebie taka nagła troska o mój letni wypoczynek?

– Toto, nie szydź sobie! – Kassim otarł pot z czoła. Czy aby właścicielka zbyt bacznie mu się nie przygląda, czort tam wie, trudno poznać przez te szmatki... Nie, nie, znów pokuśtykała jak kaczka do części gospodarczej, skąd pachniało gotującym się kuskusem. – Ja nie żartuję, słyszysz? Mam mało czasu!

– W porządku. Pieniądzy nie trzeba, mam trochę odłożone. Chciałem sobie kupić starego forda. Czy rzeczywiście warto zrezygnować z tego zakupu na rzecz wycieczki do Compiègne?

– Warto, i to ogromnie, Antoine. Wyjeżdżaj, jak tylko wyrobisz dokumenty.

– Dobrze, zrozumiałem. Mogę mieć nieprzyjemności, prawda?

Nie tylko ty, pomyślał Kassim z jakimś niejasnym smutkiem. Ale tego nie trzeba mówić, jeśli mieszkańcy getta odpłyną z Paryża, to źródła tego przecieku będą pilnie szukać. Będą szukać i niewątpliwie znajdą.

– Tak, możesz mieć nieprzyjemności.

– No cóż... – Antoine zaciął się. – Dziękuję. Za trzy tygodnie będziemy w Compiègne.

– Nie za trzy tygodnie, a jak tylko wyrobisz dokumenty.

– No tak – Antoine Thibault chrząknął w słuchawkę. – Tylko, że urzędnicy ostatnio jakby się wściekli. Wyobraź sobie tylko, akurat dziś rano wywiesili nowe zasady – po byle parszywą karteczkę trzeba teraz stać bez mała miesiąc! A co jeszcze lepsze – stare karty są od dzisiaj nieważne, wszystko wyrabiaj od początku! No ale jeśli trzeba, to dam w łapę, zrobią za dwa tygodnie. Dać?

– A gdzie tam... nie ma po co.

– No i dobrze, i bez tego mnie to uderzy po kieszeni. I ile tam mamy w Compiègne siedzieć?

– Najlepiej jak najdłużej. Więcej nie mogę nic powiedzieć.

Przepraszam.

– W porządku, Babar – głos Antoine stał się cieplejszy. – Jak rodzina, wszystko u nich w porządku?

– Dziękuję, żona i dziewczynki zdrowe. To tyle, nie mogę dłużej rozmawiać – Kassim uciął temat i rzucił słuchawkę na drewnianą ladę, jakby parzyła go w dłoń. Wyszedł ze sklepu, zapominając, że zamierzał coś kupić, żeby udobruchać właścicielkę. Tyle ryzyka na nic. Na darmo bał się własnego cienia, wymyślając jakieś bezsensowne środki ostrożności, na darmo męczył się upokarzającą świadomością, że on, wojskowy w szóstym pokoleniu, jest tchórzem, tchórzem trzęsącym się jak osika, gorzej niż pierwsza lepsza szmata w cywilu.

Wychodzi na to, że już się wzięły do roboty te diabelskie zielone czapy. Plan likwidacji getta dopiero co zaczął być opracowywany, nawet doba nie minęła, jak on sam się o nim dowiedział, a te przeklęte abdulwahidy już pociągnęły za odpowiednie sznurki. A żeby ich szlag, żeby ich szlag! Czy zrobiłoby im to aż tak wielką różnicę, gdyby pozwolili mu uratować jednego tylko Antoine'a z żoną i chłopcami, przecież to dla nich żadna różnica, żadna! A dla niego, Kassima, to byłoby już coś. O ile lżej by mu było, gdyby zdołał uratować chociaż Antoine'a... I nawet nie dlatego, że łączy ich wspólne dzieciństwo, więzy krwi, chociaż to też, ale po prostu Antoine był jedynym człowiekiem, którego mógł uprzedzić...

Nie, jeśli chodzi o kwestie praktyczne, decyzja była absolutnie słuszna. Getto to niezbędny warunek istnienia *Maquis*. Jeśli słowo „maquis” kiedykolwiek oznaczało gąszcz, to korzeniem tego gąszczy jest getto. Jako wojskowy nie może tego nie dostrzegać i, rzecz jasna, wypełni rozkaz.

Ale przecież z drugiej strony - ileż tam jest młodzieży, która sama wprawdzie jest pozarządzana najgłupszymi przesądami rodziców, ale nie trzymają się ich już tak mocno. Z kolei ich dzieci, one mogłyby już normalnie włączyć się do społeczeństwa - im więcej pokoleń, tym dalej od fanatyzmu. Dziś wielu nie jest jeszcze gotowych, ale już jutro będą mieli dość funkcjonowania na marginesie życia. Tylko że tym razem

żadnego jutra nie będzie. Ten, kto nie nawróci się w ostatnich dniach na siłę, będzie skazany. Antoine, czyżbyś naprawdę był takim głupcem, przecież masz synów! Ilu ludzi zginie dlatego, że przesady wciąż jeszcze są silne, a tym na górze nie chce się już czekać, aż znikną.

Makisarzy, wszystkiemu winni są makisarzy! Gdyby nie oni, gdyby nie ich rozprawy z wybitnymi islamskimi działaczami, getto zmniejszałoby się po cichutku z każdym rokiem i nikt nie urządziłby rzeźni! Makisarzy, wszystkiemu winni są makisarzy.

Kiedy to właściwie siadł za kierownicę? Okazuje się, że jedzie już od jakiegoś czasu. A przecież kompletnie nie pamięta, jak wsiadł do własnego samochodu.

Kassim nie zwracał uwagi na to, co działo się przed przednią szybą. Jechał dokądś tam, mechanicznie patrząc przed siebie, jak na ekran zakazanego telewizora. Na ekranie leciał film - zieleńta się łączka do gry w krokiet. Biegli po niej do domu z frontonami dwaj chłopcy - nagrali się już do oporu i byli głodni... Już są w jadalni, słoneczne promienie z wysokich okien skaczą po woskowanym parkiecie, drzwi na balkon są otwarte, przy każdym nakryciu - wąska kryształowa kompotierka z różą herbacianą, kryształ też odbija światło... Ciocia Odile w białej, letniej sukience, tak bardzo podobna do mamy.

„Kochanie, przecież uprzedzałem!” – wujek Dominique chmurzy się z niezadowoleniem, gestem zatrzymując talerz, który prawie już dotknął obrusu. Na białej porcelanie z cieniutkim niebieskim szlaczkiem na krawędziach, wśród posypanych zieleniną maślanych kawałków smażonych ziemniaków rozłożył się rumiany antrykot z półprzezroczystymi brzeżkami.

„Oj, zapomniałam! – po twarzy cioci przebiega cień. – Przepraszam, kochanie, już zmieniam na kotleta”.

Ciocia pospiesznie zabiera dziecku talerz spod samego nosa. Dlaczego niby on powinien jeść kotleta, skoro wszystkim podano antrykot? Siedzi obrażony, patrząc, jak Toto z werwą manewruje nożem i widelcem. Kotlet rzeczywiście po chwili się pojawia, więc chłopiec niechętnie zabiera się za niego, roztargniony i obrażony.

„Wiesz przecież, że Léon wysłał do nas dziecko z pewnymi zastrzeżeniami, nie mamy prawa się do tego mieszać, kochanie. Trzeba być bardziej uważnym”.

„Słuchaj, czy to rzeczywiście jest aż tak poważna sprawa?” – ciocia Odile zerka z ukosa na dzieci, jakby pochłonięte jedzeniem. Kuzyn istotnie był zbyt głodny, aby przez najbliższe dziesięć minut zwracać uwagę na rozmowy dorosłych, a on... Gotowy kotlet z kartonu, z takich, jakie trzyma się na zapas w zamrażarce, pospiesznie podgrzany w mikrofalówce, ani trochę nie wzbudza jego apetytu. Do tego ma jakieś smutne przeczucie, że rozmowa wujka i cioci w pewnym stopniu jest dla niego ważna, gdyby jeszcze tylko mógł zrozumieć, o czym jest mowa.

„Niestety, najzupełniej poważna – odpowiada półgłosem wujek. – W końcu zawsze był utalentowanym karierowiczem, nasz Léon. Nie mogę i teraz nie docenić jego przezorności”.

„Ale to jakiś absurd, komedia. Nie mogę tego wziąć na serio, naprawdę, nie mogę”. To nic nie zmienia. Sprawa jest bardzo poważna, Odile, tak samo jak i to, że spędzamy w tym domu ostatnie lato. No cóż, w odróżnieniu ode mnie Léon nie chce rozliczać się z prawa 1976r.” To oczywiście przykre, płacić rachunki własnych dziadów, ja rozumiem...”

„Ja wolałabym pozbawić się domku za miastem, niż brać udział w takiej farsie...”

„Obawiam się, że nasze straty nie ograniczą się do tego domu, Odile. Przynajmniej raz jestem nie mniej dalekowzroczny niż Léon. Widzisz, jeśli raz się ustąpi, nie ma już odwrotu”.

Kassim gwałtownie zahamował, ledwo zdążywszy zareagować na światła sygnalizacji. To stąd ta fraza! Jakże zadziwiająca jest pamięć dziecka!

No i na czym niby polegała twoja dalekowzroczność, wujku Dominique? Na tym, że twoje wnuki żyją w nędzy, pozbawione wszystkiego, co my z Antoinem mieliśmy w dzieciństwie: bez domku za miastem, gier internetowych, polo, krokieta, tenisa?

Z drugiej strony, moje dzieci też nie mają ani polo, ani tenisa, i za żadne

pieniądze nie mogą im dać możliwości pogrania w gry animowane.

Jeśli się raz ustąpi, nie ma już odwrotu.

Przynajmniej wnuki mojego ojca nie zginą w tym tygodniu!

Nie zginą. Ale prawnuki mojego ojca tak czy siak już nie będą jego prawnukami. Ani moimi wnukami. Będą cudze.

Nie ma wygranych. Wszystko jest bez sensu. Żadna kokaina nie pomoże. Jest wojskowym, musi wypełniać rozkazy.

Kassim zdał sobie, sprawę, że jedzie przez Pola Elizejskie, akurat obok miejsca, gdzie niedawno zginął kadi Malik. Pasaż handlowy, który ucierpiał na skutek wybuchu, był oczywiście zamknięty. Chodnik pod nim otoczyli siatką, tureccy robotnicy leniwie zbijają resztki ⁹⁹ elewacji. A przecież wystarczy tu tylko oszkląć i zamienić płytę, ale nawet jeszcze nie zaczęli.

Trzeba zadzwonić do Assette, przecież jej obiecał. Żona ma jak zwykle zszargane nerwy, wczoraj jakby przeczuła, że wzywali go z powodu jakiegoś tam dzikiego obrzydlistwa. O nic nie zapytała, ale ten pełen napięcia i poczucia winy dziwny wzrok...

Kassim zdusił przekleństwo: komórka, wyłączona dla większej wiarygodności, nie działa już od ponad godziny. Trzeba wziąć się w garść, roztargnienie to strasznie paskudna cecha.

Zdawało mu się, że trel telefonu rozległ się w tej samej chwili, w której nacisnął na przycisk. A przecież to ze służby. Po co to go tak dręczyć ostatnio, jakby nie wiedzieli, że dziś jedzie na służbę prosto z obiadu! Przecież wie, że ma tam przyjechać.

– Wszystkim oficerom nakazuje się natychmiast wrócić do swoich jednostek! Niezależnie od zwykłego rozkładu dnia! Gotowość bojowa! Natychmiast wyjeżdżać!

Uff, telefon nie był do niego! Puścili na sieć publiczną jeden tekst. Co też mogło się wydarzyć?

Rozłączywszy się, Kassim wybrał numer swojego kolegi z pododdziału, Aliego Khabiba.

⁹⁹ Tak zwane prawo „do łączenia rodzin” - prawo każdego emigranta do sprowadzania krewnych z byłych kolonii francuskich.

– Są jakieś poprawki do planu 11-22? Miałem coś z baterią, dopiero teraz usłyszałem, właśnie z Elizejskich wracam.

– Nie, zdaje się raczej, że plan 11-22 na razie zawieszamy!

Kamień z serca. O co by tam nie chodziło, przynajmniej likwidacja getta odłoży się w czasie. Aż wierzyć się nie chce, uff!

– A teraz co?

– Bzdura jakaś tam. Działania wojenne w mieście.

W istocie, bzdura. Chyba Rosjanie nie zrobili nalotu na Paryż?

Kassim gnał już po Rivoli. Teraz lepiej będzie skrócić w Nowy Most, pomyślał, zwalniając z powodu zbyt wielkiej liczby ludzi, którzy wylali się z chodników na jezdnię, jak kawa na spodeczek z przepełnionej filizanki.

– Przejazdu nie ma! Przejazdu nie ma! – Czarnoskóry policjant rzucił się w jego stronę, przecinając mu drogę. – Zawracać!

Kassim bez słowa wystawił przez okno plastikową legitymację.

– I tak nie może pan przejechać przez Nowy Most, panie oficerze! – policjant zasalutował.

– A co, zawałił się, czy co! – wściekł się Kassim.

– Niech pan sam spojrzy.

Takiego wypadku drogowego Kassim chyba nigdy przedtem nie widział. Wielki autobus, jeden z tych, w jakich rozwożą do podmiejskich osiedli uczniów po zajęciach w medresie¹⁰⁰, leżał w poprzek mostu nawet nie na boku, a kołami do góry. Na lewo od niego leżał przekrzywiony dnem do góry samochód, z prawej strony zaś piętrzyła się ciężarówka z pustą przyczepą. Ciekawe, jak mogli się tak zderzyć, żeby całkiem zablokować most? Nie, niemożliwe, to po prostu niemożliwe.

– Sprytne cholerstwo, przecież tam ich nie ma, tam, w samochodach – wyszczerzył się policjant.

– Kogo nie ma?!

– A to pan nie wie, panie oficerze? Makisarów.

100 Medresa - teologiczna szkoła muzułmańska (przyp. tłum.J.)

– Ten trik nazywa się perybolos¹⁰¹ – La Rochejaquelein, oparłszy się o worek z cementem, wyjął niewiarygodnie wymiętoszoną paczkę „Gauloises” i zaczął ją przeszukiwać w nadziei na znalezienie choć jednego całego papierosa. – Paskudna sprawa, stać obok czegokolwiek, co ma bak z benzyną. A my w ten sposób siedzimy sobie jak u Pana Boga za piecem. Wejdą między samochody i sama wiesz, co się stanie. Jeśli sami niechcący przebijemy bak to tragedii nie będzie, najwyżej buchnie ściana ognia. Najlepsza jest pusta przestrzeń między dwiema barykadami. Podprowadzają sprzęt, żeby rozebrać zasieki...

Jeanne zachichotała. Szczerze mówiąc, nie mogła się już doczekać, kiedy w końcu saraceni wpadną w pułapkę.

– La Rochejaquelein, a nie lepiej by było po prostu wysadzić mosty? – Eugène Olivier już od kilku godzin nie mógł się doczekać, żeby zadać to pytanie, a okoliczność w końcu wydała mu się odpowiednia.

– A pomyśl no sam, Léveque – La Rochejaquelein z zadowoleniem wyjął z paczki papierosa – z lekka pokruszonego, ale nie złamanego. – Po pierwsze, pozostawiając mosty, sami im pokazujemy, w którą stronę mają się wlec. Dopóki mosty są całe, wiadomo, że nie zaczną atakować na wodzie. Jeśli jednak już ich do tego zmusimy, wtedy to oni będą decydować, gdzie uderzyć. Ale to było tylko „po pierwsze”. Jest jeszcze „po drugie”. – Na cholere mają wiedzieć przed czasem, ile mamy wszelkich materiałów wybuchowych! – Im mniej poważna wyda im się cała operacja, tym dłużej się utrzymamy.

Eugène Olivier kiwnął głową. Worek cementu pod boki wydawał się zadziwiająco miękki, oczy same się zamykały. Cisza przed burzą zapraszała go do snu. Mimo wszystko noc była bezsenna.

Szturm na Cité rozpoczął się przed świtem. Począwszy od szóstej wieczorem uzbrojone oddziały powstańców zaczęły się powoli zbierać w podziemiach wokół wyspowej stacji metra. Muzułmańscy pasażerowie, beztrwosko wychodząc na peron Cité i niespokojnie popychając się w

101 W starożytnej architekturze - mur oddzielający świątynię od przestrzeni świeckiej (przyj. tłum.).

wagonach w poszukiwaniu miejsc siedzących, szeleścili wieczornymi gazetami i paczkami chipsów, nie wyobrażając sobie nawet, jak blisko nich jest już bezlitosna dusza zbezczeszczonego miasta.

Pasażerów, którzy wysiadali w Cité, prawie nie było. Tam przede wszystkim wsiadano. Wsiadali ci, którzy chcieli jechać na Cluny, na Concorde, na Maubert-Mutualité, słowem - do wszystkich bogatych i biednych osiedli mieszkaniowych Paryża. Około ósmej płynący pod ziemią tłum przerzedził się, rozbił się na niewielkie strumyczki, złożone z pojedynczych spóźnialskich. Gdy zbliżała się dziesiąta, Murzyni w pomarańczowych kombinezonach wypchnęli już na peron maszyny do mycia podłóg, ani trochę nie zważając na niewygodę, jaką fundują ostatnim pasażerom.

Samochody, w większości limuzyny z usługowymi kierowcami, wywoziły tymczasem swoich dostojnych właścicieli przez Nowy Most, Mały Most i przez Żelazny Most, niegdyś zwany Mostem św. Ludwika. Mieszkańcy Pól Elizejskich i Wersalu również spieszyli do swych domów.

Około północy, kiedy przezroczysta majowa noc okryła już z lekka miasto, stacja Cité została zamknięta. Wyspa była opustoszała - od kwitnącego parku na wschodnim przylądku, tam gdzie wcześniej stał pomnik ku czci zabitych przez faszystów Francuzów, aż po zabudowany olbrzymim kolosem Pałacu Sprawiedliwości zachodni swój kraniec. Oczywiście, światło świeciło się w pojedynczych oknach i Pałacu Sprawiedliwości, i w Concergerie, jak również w długim betonowym budynku francuskiego wydziału Europolu, wybudowanym na miejscu Sainte Chapelle. Mimo to Cite wydawało się pogrążone w ciemności. Notre Damę wzbijała się ku zasłoniętemu pierzastymi obłokami niebu jak ociosana wiatrem skała. W dawnym skarbcu katedry, który obecnie służył imamowi za apartament, również paliło się światło.

Czarnoskóry Mustafa, leniwie wyjmował z koszy worki ze śmieciami i wrzucał je do kontenera na kółkach. Na jego szerokich wargach jaśniał uśmiech zadowolenia. Co chwila dotykał ręką zewnętrznej kieszeni kombinezonu, w którym leżało byle jakie, na wpół wypisane, pióro

kulkowe. Dziś wyprowadził z równowagi kierownika, próbując podpisać odbiór wypłaty tęym ołówkiem kreślarskim. „Co to za ludzie, na Allacha! – wzburzył się kierownik. – Masz tu długopis, matole, możesz nie oddawać!”. Mustafa czekał na to ze cztery miesiące, i już myślał, że wszystko na nic. Dostojny Shariff-Ali to prawdziwa sknera, nawet paczki zapalek nie da. No, a teraz dał się złapać, dureń. Dziś w nocy Mustafa wpadnie do Marais, do pewnej bardzo poważnej starej kobiety, która pracuje jako guede loa¹⁰² cmentarzy i zgliszcz, grabarzy i żądy. Jej to właśnie odda dobrowolny dar czcigodnego kierownika. A potem już tamten się nie wywinie - będzie musiał podwyższyć Mustafie pensję o trzydzieści euro, nie mniej, a i jeszcze dać mu potem swoją córkę za żonę. W razie oporu będzie miał do czynienia z samym baronem Sobotnim. Sobotniego łatwo poznać w tłumie. Nosi czarny garnitur z wąskim czarnym krawatem, czarne okulary, pali papierosy i lubi zartować. A je ów baron Sobotni za trzech - bez problemu wrąbie dziesięć pit nadzianych baraniną i tyle samo porcji kuskusu. Można doczekać się w życiu wszystkiego, co najlepsze, jeśli zamiast piątku będzie się czcić barona Sobotniego. W końcu u jego gorliwego wyznawcy nie bez powodu rośnie sobie drzewo na tylnym podwórzu i nie dla ozdoby stoją przecież na półkach puste gliniane miseczki!¹⁰³ Powiadają, że dawniej, za katolików, było gorzej - ich księża w koloniach za takie rzeczy surowo karali. No, ale gdzie ich teraz szukać. Czarni ludzie są mądrzejsi od wszystkich, wszystkich spokojnie przeczekają...

Gdyby nie to, że Mustafa czcił barona Sobotniego, wystrzegąby się pracy w metrze. Różne rzeczy opowiadają o opuszczonych stacjach. Mówią, że przecinają się one z podziemnymi cmentarzyskami, gdzie leżą białe, niezdatne do czarów, kości. Tych kości strzegą białe duchy, one służą martwym, którzy kiedyś władali tym miastem. Białe duchy przenikają też do starej nitki metra, chodzą sobie po nich, kiedy chcą.

102 W religii voodoo - duch śmierci (przyp. tłum.).

103 Wymieniono tu realia zachodnioafrykańskiego kultu voo doo, którego wyznawcą jest bohater.

Ale jego, Mustafę, obroni baron Sobotni, od wszelkich białych duchów go obroni...

Wrzuciwszy worek do kontenera, Mustafa wyprostował się. A co to tam za szum w tunelu? A-a-a-a!!

Biała zjawa miała długie, srebrzyste włosy, odgarnięte na plecy, a w rękach trzymała karabin maszynowy. Ale na co zjawie karabin? To musi być mara, bez dwóch zdań! I tupać nogami duchy też nie potrafią, a tymczasem w ciemnościach niósł się głośny tupot. Jeszcze jedna zjawa, też chyba z karabinem, jeszcze, jeszcze...

Mustafa upuścił worek i upadł, silnie uderzając dłońmi o beton. Szybko jednak stanął na nogi i puścił się pędem w kierunku schodów, drąc się wniebogłosy. Gdyby nie przyszło mu do głowy tak się wydierać, pozwoliliby mu ujść z życiem. Ale nie można przecież było wypuścić na początku operacji takiej żywej syreny na ulicę. Rozległ się strzał. Mustafa nie zdążył nawet śmiertelnie się obrazić na barona Sobotniego.

Eugène Olivier schował rewolwer do kabury.

Przy wyjściu z metra oddziały awangardy podzieliły się, zgodnie z planem, na dwie części. Jedna połowa najszybciej jak tylko pozwalało na to ciężkie uzbrojenie, biegła, żeby zająć Pałac Sprawiedliwości i Concergerie, druga rzuciła się do odcinania mostów.

Także i ariegarda, którą dowodził Brisseville, rozdzielona była na dwie części. Należało przenieść na peron Cité ciężkie uzbrojenie, to, którego nie wolno było ruszać przed zajęciem wyspy..Trzeba było też stworzyć podziemną linię obrony w tunelach działających stacji, trzech: Châtelet, Saint-Michel i Pont Neuf.

I na wszystko, na wszystko to mieli w zapasie nie więcej niż cztery godziny. Brisseville zagryzł wargi, pospiesznie ułamując wierzch ampulki z adrenaliną. To sposób prapradziadków, żeby wstrzykiwać sobie adrenalinę, aby łatwiej przetrwać godziny ciężkich walk. Żeby tylko tych godzin wystarczyło, a potem niech się dzieje, co chce, być może w ten sposób za jednym zamachem skończą się raz na zawsze moje problemy z lekami, pomyślał.

Kilka przestronnych pokoi na pierwszym piętrze Pałacu Sprawiedliwości, od strony fasady, było jasno oświetlonych, chociaż w sekretariacie nikogo nie było. Szejk Said al-Masri, spacerując w samotności po wyłożonym czarnym dębem gabinecie, zdążył już zwalić na podłogę obrotowe krzesło i doniczkę z miniaturowym drzewkiem bonsai. Nie miał kto tego podnieść, a wzywać szofera z dołu mu się nie chciało. Waląły mu się więc pod nogami przewrócone przedmioty, o które zdążył się już uderzyć, i kawałeczki ceramiki. Jego buty wtarły w grubego dywan rozsypaną ziemię.

Zazwyczaj poruszał się powoli, z dystygowaną niespiesznością, właściwą stanowisku i solidnej budowie ciała. Zdenerwowanie czyniło go niezgrabnym.

Dziesiątki wydruków walało się po blatach. Ekran komputera słabo migotał. Szejk Said nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni próbował samodzielnie porządkować dokumenty. Ale jeśli chodzi o referat, który próbował w tej chwili napisać, nie mógł dowierzać nawet najbardziej zaufanemu z referentów.

Fiasko. Bezsensowne, nie do pomyślenia, niemożliwe fiasko. Agent z Moskwy doniósł mu właśnie, że jego sieć dywersji, tak starannie przygotowywana, została zdemaskowana i całkowicie unieszkodliwiona, wręcz wyrwana z korzeniami. Po przekazaniu mu tej wiadomości informator przestał się odzywać. Od wielu już godzin szejk Said nie wie co to sen, jedzenie i modlitwa, próbując dowiedzieć się, co właściwie zaszło. Czyżby to była prawda? Na to wygląda.

Dymisja, dymisja, i to w najlepszym przypadku. Dobrze zrobi, jeśli od razu sam się do niej poda. Ale jak, jak mogło dojść do czegoś takiego?! To się przecież nie mieści w głowie! Znajdzie się w szufladach biurka coś na ciśnienie? Wzywać lekarza nie będzie, nie ma powodu, aby zawczasu dostarczać powodu do plotek... No, ale tabletkę można by...

Drzwi otworzyły się zupełnie bezgłośnie, dlatego szejk nie mógł ich usłyszeć. Odczuł jednak na plecach lekkie kołysanie powietrza, niezauważalny obrót dobrze naoliwionych zawiasów. Wprawdzie nie spodziewał się wchodzącego, ale też ani trochę się nie zdziwił. Jakby nie

patrzeć, dyrektor laboratorium jądrowego nie był tu kimś obcym.

– Pan do mnie, effendi? Kto pana powiadomił?

– A jakie to ma teraz znaczenie – odpowiedział ciężko Ahmed ibn Salih.

I dobrze. Wychodzi na to, że wszystko wie. Szejk Said, odczuwszy nagle zmęczenie, opadł na fotel.

– Tak sobie myślę, że bardziej ciekawiłoby pana, kto powiadomił Moskwę. – Ahmed ibn Salih stał w drzwiach, nie spiesząc się jednak z ich zamknięciem. Wręcz przytrzymał je dłonią.

– Co?! – Szejk Said zakrztusił się powietrzem, rozkaszał się. – Wie pan już, gdzie nastąpił przeciek informacji?!

– Takie całkowite i wyczerpujące przecieki informacji się nie zdarzają – wargi Ahmeda ibn Salih skrzywiły się w złowieszczym uśmiechu. – Taki charakter ma tylko celowy i zaplanowany przekaz. Inaczej mówiąc, mógł to być tylko rezultat działalności głęboko zakonspirowanego szpiega. Bardzo głęboko zakonspirowanego, znanego panu osobiście.

– Kto?! – Serce szejka łomotało teraz gdzieś w żyłach, jak młot po kowadle. Kariera tak czy siak już przepadła, ale jakaż to będzie ogromna pociecha, jeśli ten syn szejtana dostanie za swoje. Och, sam by własnymi zębami mu gardło przegryzł... Tylko by... – Żyje jeszcze, nie zdążył ze sobą skończyć? Effendi, na Allacha, proszę mi powiedzieć, że on jeszcze żyje!

– Żyje i ma się świetnie.

– A to mnie pan ucieszył, o ile można mnie jeszcze w tej chwili czymkolwiek ucieszyć, niech pana Allah błogosławi. Ale *kto* to jest?

– *Ja*.

Słobodan odczuł nagle błogą lekkość, w której można wszystko: płynąć, nie martwiąc się o powietrze do oddychania w wodnych głębinach, rozkoszując się wodorostami i koralowcami, latać jak ptak nad miastami, przechodzić przez ściany... Ile to już lat zabraniał sobie nawet marzyć o tym, żeby rzucić im prawdę w oczy...

Szejkowi Saidowi zdało się, że tamten bredzi, odchodzi od zmysłów, zresztą nic dziwnego, po takich przykrościach. Ahmed ibn Salih

otworzył drzwi na oścież. Do gabinetu weszła niemłoda kobieta, ubrana jak kafirka. Ale przecież to nie do pomyślenia, nie do pomyślenia, żeby do roboczego gabinetu wysoko postawionego urzędnika bezczelnie wchodziła kafirka w czarnych džinsach, z włosami nie tylko odsłoniętymi, ale jeszcze do tego rozpuszczonymi na ramionach.

– Nie przesłyszałeś się, sukinsynu – rzuciła z jakąś niedbałą wesołością.
– On rzeczywiście jest rosyjskim szpiegiem, do tego jeszcze Serbem. No, a teraz domyśl się, kim ja jestem. Mała podpowiedź: jaką piosenką kołyszą do snu twoich wnuków?

Rozpaczliwie próbując się obudzić, szejk rzucił się do przycisku alarmu. Nedorzeczna logika koszmaru trwała nadal - nikt mu w tym nie przeszkodził. A może - świadomość jakby na chwilę mu wróciła - alarm został rozbrojony?! Nie, wszystko w porządku, działa, czerwona lampka zamigała, że sygnał został puszczone.

Szejk uderzał gwałtownie przycisk raz po raz, podczas gdy tamci dwoje spokojnie go obserwowali.

– Nie ma kto odebrać, niestety – wyjaśniła kobieta. – Ochrona już się gania z czarnookimi hurysami na całego.

– *Sévazmiou!*

– No, dotarło w końcu. Poprosiłam naszego przyjaciela z Serbii, żeby mi pokazał, kto obmyślał plan zatrucia naszych wodociągów. Patrząc kolejny raz zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, żeby za ogromne, niezliczone nieszczęścia odpowiedzialne były takie miernoty? Kiedy góra urodzi mysz, można to pojąć choćby na logikę. Ale jeśli trafia się na odwrót - tego akurat, mój rozum nigdy nie ogarnie. Obawiam się, że cała złowieszcza historia rodu ludzkiego ostatnich kilkuset lat to nieprzerwane rodzenie gór przez myszy i szczury.... Na szczęście widzę przed sobą szczura, który nie zdążył niczego urodzić.

– Jak... jak się tu dostaliście, jak tu weszliście, kafirzy? Gdzie ochrona? Gdzie policja? – Rozpaczliwe pragnienie szejka, żeby zrozumieć choć odrobinę z tego, co się działo, wyparło nawet strach.

– Jak to? Nikt ci nie powiedział? Na zewnątrz odbywa się właśnie Dziewiąta Wyprawa Krzyżowa – z jakimś łobuzerskim uśmiechem

odparła Sophie. – Troszkę długo się z nią zbieraliśmy, ale lepiej raz a dobrze, prawda? Euroislam już nie ma, a wkrótce nie będzie też i islamu. Dobra, Słobo, proszę z nim kończyć, sam pan zobaczy, że to wcale nie tak wspaniałe uczucie, jak się panu wydawało.

Szejk Said ze szklącymi się oczami stał, rytmicznie kołysząc się w przód i w tył, jakby nie zdając sobie sprawy z zagrożenia. Nawet nie próbował się ratować.

Słobodan wyciągnął rewolwer.

Co najdziwniejsze - nie zaistniała jednak między nimi ta bliskość, którą rozpala nienawiść. Wydaje się, że mogliby przejść przez siebie nawzajem, poruszając się każdy w przestrzeni swojego snu. Ale sen Słobodana był jasny i lekki. Sen szejka Saida, tymczasem, był nieprawdopodobnym, aż do zimnego potu, koszmarem.

Jednak kiedy ciało szejka runęło głową na dywan - między przewróconym taboretami i kawałkami ceramicznej doniczki - Słobodan obudził się. Z dziwnym poczuciem rozczarowania popatrzył na zastygłą w tym złowrogim niedowierzaniu twarz z niewielką dziurką nad lewą brwią. W rzeczywistości nie przypominało to w niczym tego, o czym marzył przez tyle lat. Tak, niewielkie obrzydzenie, jakby dotknął gołą ręką karalucha, i lekki chłodek na sercu.

– Soniu, nie wydaje się pani, że troszeczkę pani podkoloryzowała? – Słobodan mówił teraz po rosyjsku swobodnie i lekko, jakby nie miał nigdy wieloletniej przerwy. – Dziewiąta Wyprawa Krzyżowa?

– Oj tam, w pokera pan nigdy nie grał? Odrobinka blefu czasem pomaga ładnie postawić kropkę nad „i”. Dobra, Pałac Sprawiedliwości jest już nasz, za to w pobliżu Concergerie jeszcze strzelają. Słyszysz pan?

Wystrzały rzeczywiście rozlegały się w ciemności za oknami, słabo, nie głośniej od świerszczy, jako że nowoczesne ramy z podwójnymi szybami bardzo dobrze wytłumiały hałas.

ROZDZIAŁ XV

Barykady (ciąg dalszy)

Wolę nie myśleć, co będzie, jak zrobią nalot – majowy ranek był chłodny, więc Jeanne postawiła kołnierzyk wiatrówki. Jej policzki i koniuszek nosa poróżowiały, zmęczone siwe oczy były niesamowicie senne. – A jeśli przedostaną się do Notre Dame?

– Nie zrobią nalotu i nie przedostaną się tu – odpowiedział z przekonaniem Eugène Olivier. – Cité jest jak jarmark pełen ludzi. Jak się w niego uderzy, to zawsze w coś tam się trafi. Mało to brudasy mają swoich dóbr w Concergerie, w Pałacu Sprawiedliwości i gdzie tam jeszcze? Coś ty, nie użyją nawet artylerii, dopóki się nie upewnią, że my też ją mamy. Garstka powstańców nie jest warta tak wielkich strat, przecież tak czy siak wykurzą nas stąd w ciągu doby... Gdyby wiedzieli to, co my wiemy, pewnie rzuciliby na nas wszystkie swoje siły, ale nie ma szans, żeby dowiedzieli się przed czasem.

– Racja. Dobrze, że chociaż Notre Dame znów stanie się prawdziwie katedrą Notre Dame – rozjaśniła się Jeanne. – Myślę, że gdyby katedra była człowiekiem, to chciałaby umrzeć dla jednego takiego dnia. Ja na jej miejscu bym chciała.

Minąwszy Pałac Sprawiedliwości, szli sobie beztrąsko dalej, z kałasznikowami przewieszonymi przez ramię. Lekki wiaterek targał puszyste włosy Jeanne, a oni spacerowali sobie po samym centrum francuskiego islamu, i to w biały dzień! *Chociażby dla tej chwili nie żał byłoby mi umrzeć i dziesięć razy*, pomyślał Eugène Olivier. *Czy warto*

wobec tego żałować katedry? Jeanne ma rację. Katedra na pewno czułaby to samo, gdyby była człowiekiem. Więcej! Ona i teraz to czuje, to niemożliwe, żeby jej kamienie były tak całkiem martwe.

W pobliżu budynku Europolu piętrzyła się bateria skrzynek ze stingerami; wśród krzątających się dookoła makisarów Eugène Olivier spostrzegł kilkoro swoich znajomych, w tym Maurice'a Lodera, wiecznie ponurego, nawet w taki poranek jak ten. W ubiegłym roku, kiedy to ich rodzinę wziął na celownik miejscowy imam, stracił w getcie matkę. Wtedy to właśnie wstąpił do *Maquis*, wcześniej wstrzymywał się z tą decyzją właśnie ze względu na matkę. Sam cudem ocalał tamtego dnia, dzień wcześniej trafiając do miejscowego szpitala z zapaleniem wyrostka. Zdaje się, że miał młodszego brata, ten też oczywiście przepadł. Pewności Eugène Olivier nie miał, ale rozpytywać nie wypadało, tutaj każdy miał swoje rodzinne tragedie, nie było człowieka, który by ich nie doświadczył.

Eugène Olivier pomachał do niego. Maurice nie zauważył, pilnie słuchając jakichś instrukcji.

– Przyjemnie tu, jak latem w kurorcie – rzuciła Jeanne. – Jak myślisz, Eugène, długo będziemy się tu tak opalać?

– Jakies dwie godziny, nie mniej – odparł po namyśle. – Na razie siedzą cicho, wiadomo, są zdezorientowani. Wygląda na to, że po prostu otoczyli przedpole, a teraz będą się godzinami naradzać, co tu z nami zrobić.

– Msza powinna się rozpocząć przed południem, a jest już wpół do dziewiątej. Wiesz, mam taką nadzieję, że wcale nie tak wielu naszych zginie, może nawet spokojnie pójdziemy sobie na tę mszę w Notre Dame. Och, żeby tylko saraceni nie rozpoczęli szturm przed pierwszą!

Jakie to teraz wydaje się łatwe - rozmawiać z nią i być tak blisko. Co to był za durny pomysł, żeby wcześniej sobie układać, co jej powie, wystarczy po prostu być sobą. Mógłby tak iść z nią całą wieczność, ale oto już na spotkanie wybiega im George Pernaud, starszy w pododdziale.

– A ty czego bąki zbijasz, Léveque?

– Ja? La Rochejaquelein kazał mi przecież patrolować drugą linię

barykad.

– Zdejmujemy teraz połowę ludzi z barykad, nie słyszałeś, co się stało? Gliniarze, którzy ocaleli, zaczęli się akurat w katedrze, a ściślej mówiąc, w mieszkaniu imama. Ostrzeliwiają przedpola, również z dachu.

– Szlag by to trafił!

– Zgadza się. Leć teraz do oddziału Rogera Bertaud, są na prawo od głównego wejścia. A ty, Sainteville, zostań przy barykadach. Masz tu komórkę. Umiesz się obsługiwać?

– Fajna – Jeanne chwyciła w locie telefon. – Zabrałeś gliniarzowi?

– No pewnie. PIN-u tam niby nie ma, ale na wszelki wypadek jej nie wyłączaj. Jak zobaczysz, że szykują się do szturm, dzwoń do La Rochejaqueleina, zapisałem tam jego numer jako pierwszy.

– Nie ma sprawy! – odrzyknęła Jeanne, mknąc już w podskokach do Nowego Mostu i jednocześnie podrzucając w dłoniach nową zabawkę.

– Ej, ty tam, nie szpanuj tak, dobra?! – nie wytrzymał i krzyknął w ślad za nią Pernaud. – Utrapienie z tą dziewczuchą

Eugène Olivier kiwnął ponuro, nie dodając na głos, że z takim „utrapieniem”, żadne dodatkowe szczęście nie byłoby wcale potrzebne, a już na pewno nie jemu.

*

– No, zróbcie coś w końcu!!! Jak to, nie da się zmieścić tych barykad?! Kto w ogóle do tego dopuścił?! Spuście desant, podprowadźcie flotę, cokolwiek!... Nie widzicie, że te kafiry zaraz wezmą nas szturmem?! Ruszać mi się tam, ogłuchliście czy co?!

– Robimy, co się da, najczcigodniejszy Mowsar-Ali. Ale nie chciałby pan chyba ucierpieć na skutek naszych nieprzemyślanych działań?

– Na skutek waszego nieróbstwa też nie chciałbym ucierpieć! Nie mogę ucierpieć w żadnym przypadku, rozumiecie?! Nie jestem byle kim, jestem imamem meczetu Al-Frankoni! Zdajecie sobie w ogóle sprawę, co wam grozi, jeśli nie zapewnicie mi bezpieczeństwa?!

– Robimy, co w naszej mocy. W razie jakichkolwiek zmian sytuacji, proszę nas informować na bieżąco.

Kassim z ulgą odłożył słuchawkę. Piskliwy głos imama dźwięczał mu jeszcze w głowie, jakby to była hucząca echem jaskinia.

Sztab, naprędce urządzony w Centrum Upowszechniania Umożliwiającej Literatury, które wielu z konwertytów z przyzwyczajenia wciąż nazywało między sobą „Sklep Szekspir i Spółka”, znajdował się całkiem blisko Małego Mostu. Cel był na wyciągnięcie ręki, a mimo to niemożliwy do osiągnięcia. Żeby nie wiadomo jak głośno wył w hysterii czcigodny imam, którego słyszać było teraz nawet i bez telefonu, to i tak marny jego los.

Dwaj młodzi porucznicy, korzystając z przerwy między kolejną serią narad, pili kawę z termosu, rozsiadłszy się bez specjalnej czci na kartonowych paczkach ubogacających książek. Wygląda na to, że póki co żaden muzułmański nauczyciel tu nie wkroczy, pewnie już słyszeli o Mowsarze-Alim. Okoliczności wprawdzie nie są najszcześniejsze, ale i tak miło jest poczuć się, choćby raz od wielkiego dzwonu, jak prawdziwa władza.

Tymczasem pod drzwiami smętnie snuł się posłaniec, to wyjmując z kieszeni źle dopasowanego munduru paczkę papierosów, to wkładając ją tam z powrotem, lękliwie oglądając się na oficerów. Kassim oglądał wczoraj akta osobowe tego nowego. Jak mu tam? Abdullah, zdaje się. Był szoferem Abdulwahida, a teraz wcisnęli go tutaj. Nowo nawrócony, z getta. Patrzcie go, boczy się, niezadowolony, że trafił z ciepłutkiej posadki wprost do piekła. Trzeba przyznać, że rzeczywiście, co jak co, ale gównem nie utonie. Rodzina pewnie w komplecie na cmentarzu, z głowy Abdulwahida nie został nawet strzęp, a ten pewnie i szturm przeżyje.

A ja? Czyżbym był lepszy od tej żalostnej kreatury? Próbowałem przecież uratować Antoine'a, och, gdyby tylko teraz dowództwo zapomniało o getcie... Gdyby nie to szalone powstanie, być może Antoine byłby dziś tam, gdzie rodzina tego tchórza Abdullaha. Ale Antoine nie ma do mnie żalu, słysząc było po głosie, że mimo wszystko nie znenawidził mnie. Wątpliwe, czy krewni tej gnidy, kiedy wieźli ich na cmentarz, a jego - do strefy szariackiej, mimo wszystko mu

przebaczyli. Tak naprawdę wszystko da się wytłumaczyć. Kiedy w wieku dwunastu lat przechodziłem na islam, rodzice Toto dopiero co zaczęli bankrutować. Wtedy nie oznaczało to jeszcze wyboru pomiędzy życiem a śmiercią.

Ale ja i teraz jestem temu przeciwny - po co od razu zabijać całą nienawróconą część rodziny? Spójrzmy prawdzie w oczy; na takich warunkach wyboru dokonuje tylko szumowina. Gdyby nie to, nasze szeregi zasilalaby teraz normalna, porządna młodzież, wybierając po prostu lepszą perspektywę, tak jak to było w moim pokoleniu. Dziś już nie przychodzi tu normalna młodzież - teraz nawracają się tylko jacyś niedorobieni, w rodzaju tego Abdullaha. Śruba jest przykręcana cały czas, bez przerwy. Zostawią teraz getto w spokoju czy nie - dla normalnej francuskiej młodzieży tak czy inaczej nie będzie przyszłości.

Jest jeszcze jedna mała różnica. Za czasów mojej młodości nie wymagano „świadczenia krwią”. Niech tam nawet mój brat mną gardzi, trudno, ale ten tutaj najprawdopodobniej swoich braci powyrzy- nał. Tak by wynikało z akt, bo tu piszą, że z całej rodziny przeszedł na islam on jeden.

A żeby ich tak wszystkich szlag trafił! Do tego jeszcze tamten w meczecie pewnie już się złał w gacie.

- A ty czego żeś się tej futryny uczepił! - z rozdrażnieniem krzyknął Kassim. - Biegnij mi po papierosy, byle jakie mogą być. A spróbuj mi tylko nie przynieść!

*

Imam Mowsar-Ali w rozpaczę wsłuchiwał się w krótkie, urywane sygnały telefonu. Ich dźwięk drażnił go jak nigdy, bał się jednak odłożyć słuchawkę, aby nie zerwać w ten sposób więzi łączącej go z normalnym, uporządkowanym światem.

Nie można jednak w nieskończoność stać jak słup ze słuchawką w dłoni, zwłaszcza jeśli w tak irytujący sposób gapią się na człowieka policjanci, zwykli i religijni, którzy zgromadzili się wokół niego. Gdyby imam zechciał się dowiedzieć, kogo teraz przypomina, w ich oczach

mógłby się przejrzeć jak w lustrze. Jednak najczcigodniejszy Mowsar-Ali był w tej chwili tak zatroskany o bezpieczeństwo swojej arcyważnej osoby, że nie miał głowy do głupot. W końcu rzucił słuchawką i wyszedł bez słowa z pokoju. W swoim gabinecie imam opadł bez sił na kanapę. Miękka skórzana poduszka siedzenia przyjemnie skrzypnęła pod naciskiem jego ciała. *Zjakż to troską o komfort wysoko postawionej osobistości urządzane byty te pokoje; jakże to jego żony mocno się starały, kłócąc się między sobą i z dekoratorami wewnątrz, targując się z robotnikami i dostawcami!*

Dawniej, w chrześcijańskiej erze tego budynku, znajdowała się tu wystawa eksponatów muzealnych. Ogólnie jest to bardzo wygodne miejsce; do głównego pomieszczenia można dostać się przez wewnętrzny korytarz, co przy złej pogodzie jest wspaniałym udogodnieniem. Kilka pokoiów trzeba było przebudować; jego poprzednik, zgrzybiały staruszek, żył tu w ciasnocie z jedną tylko żoną. Mimo że nie było to bezwzględnie konieczne, bo dzieci z dwóch starszych żon dawno już dorosły, imam Mowsar-Ali chciał wszystko urządzić na bogato. Kto by przypuszczał, kto by wtedy pomyślał, że najbardziej prestiżowe apartamenty w samym sercu miasta pewnego pięknego dnia staną się niebezpiecznym dla życia miejscem, pułapką, która zatrzasnęła się nad nim wraz z blokadą mostów!

Czego to on nie robił, walcząc o przeniesienie go tu ze Starego Meczetu, jakich tylko znajomości nie uruchamiał! I to wszystko dla tego dnia?! Na co mu była ta ambicja?! Siedziałby sobie teraz w jakimś małym meczecie przy ulicy Quatrefages i miałby święty spokój, a tu ktoś inny błagałby przez telefon tych pętałów z wojsk wewnętrznych, żeby żwawiej ruszali! Niech no tylko to wszystko się uspokoi, to już on się za nich weźmie - „robimy wszystko co w naszej mocy”, akurat!

Niech no tylko to wszystko się uspokoi! A jeśli nie?...

Umęczony nerwowymi rozmyślaniami Mowsar-Ali przeszedł do części dla kobiet. Po drodze natknął się na swoją trzecią żonę, Chadiszę, bawiącą się na dywanie klockami z rocznym Aslanbkiem. Na widok męża jej twarz (i bez tego wystraszona) przybrała typowy wyraz zaszczucia. Drażniło to Mowsara-Ali nawet wtedy, gdy był w dobrym

humorze, a co dopiero dziś. Z trzecią żoną, co imam nieraz przyznawał sam przed sobą, niezbyt mu się poszczęściło. Okazało się, że podniósł do godności żony imama kobietę, która w ogóle na to nie zasługiwała. Nie miał z niej ani pożytku, ani zadowolenia. *Dziecko, trzeba to przyznać, urodziła mocne i zdrowe, znów chłopca, ale przecież i bez Aslanbeka miał pięciu synów. Ten był już szósty. Na dodatek wszystko, czego się w młodości nasłuchał o seksualnym temperamencie Skandynawek okazało się kompletną bzdurą. Każdy by się wkurzył. Wiadomo przecież, że pierwszy, a często i drugi ślub, męczyzna zawiera jeszcze w młodych latach dla wzmocnienia swojej pozycji. Ale potem już może sobie pozwolić na coś ekstra, należy mu się przecież. Chciał mieć dziewczynę nie tylko świeżą, piętnastoletnią, ale i żywą, zwinną. Młodsza żona zawsze dostaje najwięcej prezentów, ale czy nie powinna tego sumiennie odpracować? Ostatecznie, czy nie jest to w jej własnym interesie, żeby umieć dogodzić mężowi? A ta... szkoda gadać. W łóżku - totalna kłoda, brakuje tylko jeszcze, żeby na głos pochlipywała. Myślałby kto, że ją gwałcą¹⁰⁴.*

Kuśtykając w stronę zbudowanej przez mamę wieżyczki, malec potknął się, ale mimo że nie uderzył się i nie zapłakał, dalszą drogę wolał już odbyć na czworakach. Jakaś niespokojna myśl sprawiła, że imam wbił wzrok w jego jasną główkę.

Zbyt beztrosko sobie tu żyli, a teraz, gdy zebrały się nad nimi czarne chmury, nie ma już jak się bronić. Jego dziadowie w mig by wpadli na pomysł, skąd wziąć zakładników. Najlepiej takich, o, właśnie takich malutkich. Nie musi ich być wielu, byleby jednego zabić na oczach kafirów dla postrachu, a o pozostałych jeszcze się potargować. A przecież Aslanbek przypomina kafirskie dziecko, zwłaszcza z daleka, na czole nie ma przecież wypisane, że to syn prawowitnych. Myśl, myśl dalej... nikt się przecież nie zatroszczy o twoje bezpieczeństwo lepiej niż ty sam.

A gdyby tak nakazać policjantom, niech ogłoszą kafirom, że niby są

104 Autorka odsyła tu czytelnika do krótkometrażowego filmu *Submission*, który niedawno wszedł na ekrany holenderskich kin. Autorka filmu, była mużułmanka Hirsi Ali, opowiada o sytuacji kobiet w mużułmańskiej rodzinie. Reżyser filmu, Theo van Gogh, został zamordowany 2 listopada 2004 r. (przyp. tłum).

zakładnicy, kilkoro dzieci z getta. I żeby pokazali im Aslanbeka. Niech pozwolą wyjść z Cite imamowi z rodziną, no... z eskortą. Ale przecież w każdym przypadku trzeba będzie pozostawić syna w ich rękach, jak też oni zareagują na takie zagranie? On, gdyby ktoś zrobił z niego takiego głupca, już na pewno rozwaliliby szczeniakowi głowę o najbliższą ścianę. Ale może wyjść i gorzej, w takich sytuacjach nie da się nigdy przewidzieć, do czego trzeba będzie się posunąć... Może sam będzie musiał odstrzelić dzieciaka. Ech, żeby były w tym domu chociażby jakieś dzieci służących, ale nie ma!

Dobra, myśl dalej... Szósty syn z żony pochodzącej z mało wpływowej rodziny. Nawet jeśli trzeba będzie nim zaryzykować, i to mocno zaryzykować, to co się takiego stanie? W szachach też trzeba nieraz oddać gońca, żeby zachować króla. Dzieci to święta własność ojca, a czy z niego jest już taka ciapa, żeby nie pokazać, kiedy trzeba, odpowiedniej siły woli? Przecież jego czcigodni przodkowie w twarz by mu splunęli, gdyby okazał taką słabość!¹⁰⁵

Przodkowie... Jak nigdy, szybkie myśli imama zwróciły się do przeszłości. Wysoko zaszła jego rodzina w ciągu ostatniego półwiecza, choć nie wywodzą się z potomków Proroka. Są głównie Czeceńcami. Za Basajewa byli zaledwie mało ważnymi pionkami. Urosli w znaczenie, kiedy na początku wieku oddali ogółem pięć córek do obozów szkoleniowych dla szachidek. Nie było z tego nie wiadomo jakich pieniędzy, ale legło to u podstaw ich dobrobytu. Wszystko, jak chciał Allach. No a potem już im się poszczęściło, żeby znaleźć się po odpowiedniej stronie zielonej kurtyny w ślad za przeniesionym wcześniej kapitałem. Tam już, jako krewni bogobojnych dziewczyc, spokrewnili się przez korzystne małżeństwa z arabskimi rodzinami. O tak, daleko zaszli. Ale gdyby nie te szachidki, to on, Mowsar-Ali siedziałby teraz w Czeczenii, wśród tych odszczepieńców, którzy pozwalają córkom pracować w telewizji i w teatrze, tfu... szmaty, do tego w ogóle jeszcze żyją wprost obok niewiernych! Albo byłby tutaj, w krajach euroislamskich, biednym robotnikiem. Nie ma ich co żałować.

¹⁰⁵ Pisząc tę książkę, wczoraj, 11 października wieczorem, usłyszałam informację: „Terrorysty na Północnym Kaukazie próbowali użyć własnych żon i dzieci jako żywych tarcz” (przyt. aut.).

Niech to, co było źródłem ich wywyższenia, teraz ich ratuje.

– Słuchaj no, baranie jeden!

Imam stanął jak wryty i przeniósł wzrok na żonę. Trzecia żona chwyciwszy w jedną rękę ciężki, zabytkowy dziadek do orzechów, drugą pochwyciła dziecko z dywanu. Zamachnęła się, grożąc mężowi, od którego odskoczyła dalej.

– Spróbuj tylko podejść do mojego dziecka, to zabiję, Allah mi świadkiem, że zabiję!

– Odbiło ci, kobieto? Myślisz, że z kim rozmawiasz? I co to takiego, w ogóle, twoje dziecko? Co tu jest twojego?

– Nie zmieniaj tematu, łajdaku! – Chadisza nie przestawała wymachiwać swoją nędzną bronią. – Coś ty tam sobie knuł w tym zakutym łbie, kiedy patrzyłeś na małego?! Co za obrzydlistwo wymyśliłeś? Przecież czytam w twojej wstrętnej gębie jak w otwartej książce!

– Patrzcie ją, jak się odzywa, bezwstydnica! – Mowsar-Ali rozjuszył się.

– Tylko poczekaj, już ty mi za to zapłacisz, jak kafirów pobijają!

– A może jeszcze kafirzy ciebie samego zabiją wcześniej, niech im Allah błogosławi, jeśli tak!

Pomimo niesłychanej bezczelności żony, gniew nagle się ulotnił. Przecież mogą to zrobić, i to jeszcze jak. *Nie... trzeba myśleć, trzeba szukać wyjścia. Z tą zadżumioną Dunką rzeczywiście rozprawi się tylko w przypadku, jeśli, przede wszystkim, sam ocaleje. Można oczywiście mimo wszystko odebrać jej dziecko, nie samemu, zabić nie zabije, ale już kasać i drapać będzie jak tygrysyca, chociaż i tak pomocnicy ją obezwładnią. Ale to potrwa i trzeba będzie się pomęczyć. Skąd jednak wziąć drugie dziecko, przecież do getta nie pojedzie... gdyby dało radę dostać się tam, to ci przekłęci makisarzy tyle by go widzieli!*

Ach, durnoto ty, całkiem już rozum odebrało! Mowsar-Ali klepnął się dłonią w czoło. Przecież to proste jak drut! Zupełnie zapominając o żonie, pobiegł z powrotem do przedpokoju, do najbliższego telefonu. Oczywiście, oczywiście, zwróciwszy jego uwagę na młodszego syna, Allah odpowiedział mu najkorzystniejszy wariant z możliwych! Niech posłą

autobusy do najbliższego getta, niech przywiozą setkę, nie, kilkaset, wszystkie dzieci, jakie tam znajdą! Niech je ustawią wzdłuż bulwarów wokół całego Cité i zaczną zabijać! Makisarzy mają mnóstwo krewnych w getcie, to oczywiste, że pierwsze, co zrobią, to zgodzą się na wypuszczenie z wyspy imam z jego otoczeniem, a potem... to już nieważne, co będzie potem, to już go nie będzie dotyczyć, będzie już wtedy w willi za miastem, w Vieux Moulin, nad brzegiem stawu!

Mowsar-Ali, spiesząc się, wybrał numer ostatniego połączenia. Słuchawkę podniósł ten sam wstrętny kapitan.

– Panie oficerze! Proszę słuchać mnie uważnie!

– Słucham. Czy nastąpiły zmiany?

– Nie w tym rzecz! Trzeba pilnie, słyszy pan, pilnie...

Imam rzucił słuchawką. Jeszcze awaria linii jest tu potrzebna, kiedy każda minuta jest na wagę złota. Sygnału nie było.

– Hej, Ibrahim, przynieś mi tu zaraz radiotelefon! Zdaje się, że walał się tam gdzieś w moim gabinecie!

Młody pomocnik policji religijnej szukał niedługo, ale kiedy wszedł ze słuchawką w rękach, jego twarz była jeszcze bardziej wystraszona.

– Wydaje się, że łączność jest zerwana, proszę pana. Wygląda na to, że makisarzy maczali w tym palce.

– Durnie! Dzieci szajtana! Niech mi kto da komórkę, czy to tak trudno pomyśleć?!

– Przecież jesteśmy tylko miejską policją, najczcigodniejszy – odezwał się ponuro tęgi chłop w mundurze. – Wolno nam mieć po jednej komórce na pięciu ludzi, w końcu to nie jest tania rzecz.

– No i co z tego?! – Drogocenne sekundy topniały jak lody na spiekocie. – Przecież was tu jest około piętnastu, cymbały!

– No tak, niby tak – policjant patrzył na niego z jakimś niedostatecznym uszanowaniem – tylko że akurat żaden z nas nie ma komórki.

Zwariować idzie z nimi!

– Ibrahim, znajdź mi w takim razie moją komórkę, też powinna być w gabinecie, biegiem!!

– Proszę pana, przecież wczoraj nakazał pan wysłać ją do serwisu, bo jest jeszcze na gwarancji. To odwiozłem. Ale czegoś tam nie mieli na składzie. Bardzo przepraszali, obiecywali dostarczyć dziś do domu, tak na dziewiątą rano... No i...

Imam Mowsar-Ali ciężko osunął się na podłogę i, ukrywszy twarz w dłoniach, cieniutko zaszlochał.

Sztab powstańców urządził się w budynku Europolu. Brisseville natychmiast ściągnął dwóch z barykad dwóch chłopaków, Malezieux i Garaud, żeby wyczyścili dane z wszystkich komputerów. Nie była to jakaś wyższa konieczność, jednak nie wzbudziło to też zdumienia. „Co wolno wojewodzie, to nie tobie narodzie” – skomentowała to zarządzenie Sophie Sévazmiou.

– Halo! La Rochejaquelein! – Henri podniósł słuchawkę. – Tak, Laval, co tam u was się dzieje?

Pierre Laval akurat dowodził grupą ewakuatorów w największym getcie - de Pantin.

– Lepiej być nie mogło, na całe getto zostało nie więcej niż pięciu policjantów! Do ludzi dotarło w końcu, co się dzieje i teraz idzie już w miarę gładko, jak na razie spuściliśmy pod ziemię ponad czterystu. Najgorsze, że kobiety pakują do tobołów od groma pamiątek - jakieś zdjęcia, książki, zastawa po prababci... Można to zrozumieć, oczywiście... tylko, że och...

„Och” to będzie potem, mimowolnie pomyślał La Rochejaquelein. Trzeba będzie jakoś pomieścić w katakumbach ponad dziesięć tysięcy ludzi, a potem przetrząsnąć ich mniejszymi grupami z Paryża.

– A w Austerlitz co?

– A też wszystko w porządku. Dobra, rozłączam się, niby to bezpieczna linia, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

– Dziesięć po dziesiątej – ojciec Lotaire gryzł wargi. – Sophie, ile będziecie potrzebowali czasu na zaminowanie katedry?

– Jeśli będzie przy tym pracowało jakichś pięciu ludzi - uwiniemy się w mniej niż godzinę. Ale ponad dwie godziny potrzebujemy na to, żeby ich stamtąd wybić. I to w najlepszym przypadku, mocno się trzymają,

sukinsyny.

– Nam też jest potrzebna co najmniej godzina, żeby zobaczyć, co jest z ołtarzem, poświęcić go na nowo... Nie zmieścimy się w czasie kanonicznym, Sophie!

– A co to znaczy, proszę księdza, czas kanoniczny?– nie wytrzymał Brisseville – chyba nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Neokatolicy odprawiali mszę o jakiegokolwiek porze doby, kiedy chcieli – ponuro odparł ojciec Lotaire. – Stało się to łatwe, jako że skrócili post liturgiczny. Zgodnie z kanonami trydenckimi ksiądz nie powinien jeść ani pić przed mszą.

– A jak długo?

– Od północy.

– To znaczy, że ksiądz...

– Oj tam, głupstwo, ja jestem przyzwyczajony. Proszę mnie źle nie zrozumieć, mogę chociażby do wieczora wytrzymać bez wody, jak to zresztą się u nas robi w Wielką Sobotę. Ale zaczynać mszy po południu tak czy inaczej nie mogę, czy piłem czy nie, nieważne. Nie mogę i koniec.

– No dobrze, póki co nie ma się czym przejmować – Sophie podniosła się z właściwą sobie młodzieńczą zwinnością i uniosła ramię okna z matowym szkłem. Młody kasztanowiec stojący tuż za oknem ugiął się pod ciężarem swoich jasnoróżowych kwiecistych piramidek. – Do dziesiątej rano nie straciliśmy ani jednego człowieka. Trzeba powiedzieć, że bywały o wiele gorsze dni. Utrzymać wyspę przez dobę - to dla nas maksimum, ale oni z kolei nie wiedzą, co planujemy. Powinni uważać dobę za nasze minimum, inaczej im całkiem szajba odbije, jak się dowiedzą, po co zorganizowaliśmy to powstanie. Co pan powie, Henri?

– Powiem, że nie chciałbym szturmować katedry. Zabili okna czym popadło, łatwo nie będzie tego zdjąć, a cała przestrzeń wokół budowli jest pusta, nie ma nic. Nawet drzewa dawno wyrąbali, by na ich miejsce posadzić te swoje głupie kwiatuszki, jakby to przewidzieli, kanalie. Żadnej osłony! Zbyt wielu ludzi polegnie, ale z drugiej strony, kto mógł wiedzieć, że przyjdzie brać na początku nie Pałac Sprawiedliwości,

nawet nie Europol, a samą katedrę!

– Po co teraz rwać sobie włosy z głowy? Wszyscy się ze mną zgadzają, że przy najmniejszych stratach weźmiemy ich rano?

– Straty i tak będą, nawet jeśli mniejsze, niż się spodziewamy

– zmarszczył brwi La Rochejaquelein. – Ale mimo wszystko nieswojo się czuję z tym, że jeden z tych łajdaków, ten, który rozsiadł się na dachu, ma prawdopodobnie karabin snajperski. Czego tam, Léveque?

– Chłopakom udało się przegryźć ogon telefonom – wesoło zameldował Eugène Olivier. – Przydałoby się jeszcze, rzecz jasna, wiedzieć, jak się tam u nich sprawy mają z komórkami. Ale łączności telefonicznej w każdym razie już nie mają.

– Zuchy! Napij się soku, tu jest ich cała lodówka. I chłopakom też zanieś coś chłodnego do picia.

– Nie odmówię – Eugène Olivier zanurzył się we wnętrze ogromnej chłodziarki. – Super, jest pomidorowy!

– No to co z tym karabinem? – Brisseville zakaszła ciężko, pochrypując.

– Ręki nie dałbym sobie uciąć – ciągnął dalej La Rochejaquelein.

– Ale coś mi się zdaje, że ich snajper ma SB-04 na podczerwień. Nieźle cacko, ciężko w Rosji nad nim pracowali. Ale skąd policjant miałby taką luksusową rzecz?

– Przecież to nie musi być koniecznie glina – uśmiechnęła się Sophie.

– Nie wszystkich przecież wybiliśmy, ktoś tam z Europolu mógł przedostać się do katedry, zresztą w ogóle nie ma wątpliwości, że w Cité chowa się po kątach dziesięciu lub dwudziestu nieźle uzbrojonych ludzi. Nie zauważyliśmy tego jedynie dlatego, że tamci nie chcą się ujawnić przed szturmem.

– Bez dwóch zdań – Brisseville cały czas kaszłała, zakrwawiając chusteczkę do nosa.

– OK, niech sobie ten ich snajper ma karabin z celownikiem na podczerwień. Tak czy inaczej, nocne straty są nie do porównania z dziennymi. To co, napije się ksiądz herbaty?

– Dziękuję, Sophie – ojciec Lotaire nie zdołał powstrzymać się od

śmiechu. – Zawsze umie pani wyjątkowo wdzięcznie ubrać coś w słowa. A ja rzeczywiście nie jestem na tyle wybredny, żeby odmówić nawet tego, proszę mi wybaczyć, napoju, który pani popija od pół godziny.

– Chociaż pachnie rybą smażoną w nafcie – podchwycił La Rochejaquelein.

– Nie mogłam przewidzieć, że trafię w środowisko smakoszy – Sophie wyciągnęła ze stosu jeszcze jeden kubeczek i zaczęła nalewać herbatę zaparzoną w czajniku elektrycznym. – To prawdziwy „Lapsang Souchong” walało mi się po kieszeniach pół paczki. A może ja niepotrzebnie wodzę ojca na pokuszenie, co, ojczec Lotaire? Proszę się nie krępować, jeśli ksiądz woli sok.

– Nie, gorący napar jest lepszy, choćby to był tylko lulek – ojciec Lotaire z nieskrywanym zadowoleniem przyjął kubeczek.

– Léveque, przekaz Bertaud, że katedrę będziemy oswobadzać nocą.

– Dobra.

Eugène Olivier wyszedł, obładowany lodowatymi opakowaniami.

– Aha, czyli plażujemy sobie do nocy – Roger Bertaud najwyraźniej nie był zachwycony zmianą planów. – jak na Lazurowym Wybrzeżu. Jedno tylko chciałbym wiedzieć - co będzie najpierw. My pójdziemy szturmować katedrę czy tamci ruszą szturmować Cité? Można by przyjmować zakłady. Tak czy siak nie ma nic do roboty. Chyba, że leżaki by tu poustawiać...

– Tutaj nie warto – Eugène Olivier wciąż rozmyślał o karabinie z noktowizorem. – Wiesz może, gdzie się tamten brudas usadowił?

– Jak to gdzie, na galerii, na środku, prosto nad rozetą.

Eugène Olivier postawił sobie za punkt honoru unieszkodliwić snajpera. Można, oczywiście, przesuwac się od absydy po ścianach, ciekawe, czy brudas zobaczy coś stamtąd? Gdyby to człowiek wiedział... Ale przecież całkiem przywrzec do kamienia nie będzie można, trzeba będzie i tak drzwi wyłamać. Tamten może wtedy kogoś trafić. Co by tu wymyślić?

Już dawno nie widział Notre Dame z tak bliskiej odległości. Dwie wieże, iglicami wzbijające się w niebiosa, krąg olbrzymiej rozety, troje

drzwi, z zamalowanymi wapnem śladami zniszczonych rzeźb. A przecież pamięta ich nazwy: o ta, z lewej, portal Matki Bożej, w centrum - portal Sądu Ostatecznego, a ostatni - portal św. Anny. Tylko, niestety, nie ma kogo zapytać, po co drzwiom nazwy i czemu takie, a nie inne. A propos, jak to, nie ma kogo, a ojciec Lotaire? Trzeba będzie do niego podejść, kiedy będzie mniej zajęty.

Jeszcze odrobinę cierpliwości, Notre Dame. Teraz musisz znosić męki długiej choroby, a potem będzie tylko lekkość i jasność, śmierć przychodzi, by wyzwolić od cierpień. Wytrzymaj jeszcze troszeczkę.

- Ech ty, spojrzij no, Léveque, tylko spojrzij! - Roger aż przysiadł, głośno uderzając dłońmi o kolana. - To ci dopiero bystrzak z naszego La Rochejaqueleina! Wszystko dokładnie przewidział!

Po bezchmurnym niebie krążyły jak ważki czarne śmigła helikopterów, jeszcze zupełnie malutkie, ale nieubłaganie rosnące w oczach.

- Chcą spuszczać desant! A niech mnie, desant!

*

- Desant!! Lecą tu wojskowe helikoptery, zaraz wysadzą desant! - Ibrahim wbiegł do malutkiego gabinetu, gdzie schował się imam Mowsar-Ali, nie chcąc nikogo ani widzieć, ani słyszeć.

- Co?! - Mowsar-Ali podskoczył na fotelu. - Skąd ty, zakuty łbie, możesz wiedzieć, że spuszczaają desant?! A jak z naprzeciwka zaczną strzelać albo bomb jakiś nazzrucają i to jeszcze prosto na nas?! Skądżeś to wytrzasnął, mów!

- Tak oficer powiedział! Oficer powiedział, będzie, znaczy się, spuszczenie desantu!

No, w końcu! Mogli od razu o tym pomyśleć, ale już trudno. Chwała Allahowi! Teraz muszą jeszcze tylko przesiedzieć tu, w zamknięciu i bezpieczeństwie, jeszcze godzinę albo dwie, słowem, dopóki nie unieszkodliwią wszystkich makisarów. Mowsar-Ali westchnął z ulgą. Zdaje się, że w ciągu tego dnia schudł jakieś pięć kilogramów, nawet do sauny nie trzeba chodzić.

*

Maurice Loder wyciągnął ze skrzynki stingera. Paul Germy stał już w kolejce, aby pójść za jego przykładem.

Słobodan, który z początku nie uważał, by jego obecność w sztabie była niezbędna, przygotowywał się do walki niezwykle sprawnie, z taką oszczędnością ruchów, jakby ostatnie dziesięć lat spędził na wojnie.

Ogromna ważka z czarnozielonym brzuchem nagle podskoczyła jak żabka, a po chwili już jej nie było. Po prostu znikła, trudno było nawet jakoś powiązać zniknięcie gigantycznego owada z jakimś średnio głośnym trzaskiem, który je poprzedził.

– A co, nie spodziewały się brudasy, nie wiedziały, w jakie my tu packi jesteście uzbrojeni? – z radością szeptała Jeanne, obserwując, jak rozsypują się helikoptery, jak idzie w diabelskie tany olbrzymi wodny lej na miejscu ich upadku, między mostami.

„Żeby tylko odłamki w nikogo nie trafiły, przecież to śmierć na miejscu – pomyślał ojciec Lotaire. – Chociaż dwa helikoptery, zdaje się, wpadły do Sekwany, jestem prawie pewien”.

– Znow mamy malutki *time-out* – ironicznie podkreślając amerykańizm, powiedział La Rochejaqueleinowi Brisseville. – Nawet jeśli zdążyli przygotować się do szturmu, czeka ich niespodzianka. Będą musieli lepiej się uzbroić.

ROZDZIAŁ XVI

Zacisze

Mała Valérie nie na darmo się tak nazłościła – mówił ojciec Lotaire, idąc w swojej czarnej sutannie razem z Sophie i de Lescurem między kwitnącymi kasztanami. – Zbyt wiele czasu zajęło nam rozwiązanie tego zadania. Odpowiedź była aż nazbyt prosta. Jeśli nie możesz ochronić świątyni, lepiej własnymi rękami ją zniszczyć, niż zostawić na pohańbienie.

– No cóż, mądrych nie sieją – uśmiechnęła się Sophie.

Nagle ojciec Lotaire ze zdumieniem zauważył, że oczy Sophie Sévazmiou w ogóle nie są czarne, mimo że wcześniej był o tym przekonany. Czarne były tylko źrenice, wcale nie większe niż u normalnych ludzi. Czemuż to zawsze wydawało mu się, że Sophie ma tęczęwkę prawie tego samego koloru co źrenicę? Tęczęwka po wewnętrznej stronie jest bardziej szara, a na zewnątrz wpada w mocno ciemną zieleń. Wychodzi na to, że czarny płomień, strzelający jak lawa, to tylko samo spojrzenie, to tylko wyraz tych rozpalonych oczu.

– No i co, Sophie, nie miałyby pani ochoty przejść się troszkę po Cité ze mną i monsieur de Lescurem? – zapytał ojciec Lotaire. – Chcielibyśmy coś z panią omówić. Pamięta pani przecież, mówiłem na samym początku, że postawię pewne warunki?

– Tak, pamiętam.

– Problem w tym, Sophie, że Notre Dame to aż nazbyt wielka i nazbyt święta świątynia.

– Mówi ojciec rzeczy dość oczywiste – głos Sophie stał się napięty-

– A pani od razu się domyśliła, że nie bez powodu.

– Tak, mam jakieś idiotyczne przecucia. Proszę mówić wprost.

– Zgodziłem się z tym, że może zdarzyć się i tak, że trzeba będzie zburzyć Notre Dame. Katedrę Notre Dame...

– Zaraz mi ksiądz powie, że wysadziwszy Notre Dame w powietrze, nie można już samemu dalej żyć? – Sophie podniosła głowę.

– Jak to nie można? – z goryczą zaproponował ojciec Lotaire. – Też mi coś! I jeszcze próbuje pani przypisać mi taką niedorzeczność! Święty Piotr zdradził Zbawiciela, zaparkłszy się Go trzykrotnie – a jednak żył dalej! Notre Dame to nie Zbawiciel, a ledwie jedna z tysięcy przepięknych świętyń na naszym grzesznym świecie. Czy można w ogóle porównać ciężar, który został mi dany, z ciężarem apostoła?

– Skoro tak, to w czym problem? Czegoś nie rozumiałam? Do czego ksiądz zmierza? Nie chce ksiądz opuszczać katedry, tak?

– Tak – ojciec Lotaire skłonił głowę w jakimś chłopięcym uporze.

– Co to za brednie? Ojciec sam sobie przeczy.

– Tak. Sophie, ja od razu, zanim jeszcze pani to wtedy powiedziała, zrozumiałem, że ta jedna, jedyna liturgia warta jest tej akcji. Ale od razu odczułem też coś innego – wiedząc, że wyleci w powietrze, nie dam rady z niej wyjść. Po prostu nie dam rady, nogi odmówią mi posłuszeństwa. Jak Bóg da, to zdążę odprawić mszę, a ludzie, którzy będą w niej uczestniczyć, będą mieli czas, by opuścić Cite przez podziemia. Ja zostanę, żeby się modlić, modlić się do końca.

– Ojciec jest chrześcijaninem, a samobójstwo jest u was zakazane! – rzuciła ostro Sophie.

– Być może jestem w błędzie, ale mimo wszystko mam nadzieję, że Pan nie poczyna mi za samobójstwo tego, że będę modlić się w katedrze skazanej na zagładę. Pan jest też miłosierny wobec naszej niemocy. A może da mi w jakiś sposób możliwość ocalenia? Jednakże, jeśli okaże się, że oddam swą duszę na potępienie z powodu słabości - mój błąd i to ja poniosę za niego odpowiedzialność. Sophie, we Francji są katedry piękniejsze od Notre Dame, co tu dużo mówić. Ona jest nieco przycięzka, zbyt obciążona dziedzictwem stylu romańskiego, ale bez jego surowej prostoty. A katedra w Reims jest jeszcze bardziej niepozorna.

Ale to właśnie w ścianach tych dwóch katedr czuje się oddech kraju, który jest przecież najstarszą córą Kościoła. Sophie, Notre Dame nie wolno zostawić w biedzie. Jeśli nie można zapobiec nieszczęściu, trzeba zostać z katedrą, do końca.

- A żołnierz nie porzuca swojego oficera - powiedział cicho de Lescure. Sophie domyśliła się, że przedłuży on w ten sposób swój spór z ojcem Lotairem. - Miejsce ministranta jest obok księdza, do końca. Dusza naszego narodu zawsze była feudalna - kiedy jeszcze nasz naród miał żywą duszę. Ja też nie mogę... No i, poza tym, po prostu, najzwyczajniej w świecie, jestem już za stary.

- To wychodzi na to, że ja jestem młodziuteńka - odchrząknęła Sophie.

- Tylko proszę teraz mi tu głupot nie gadać - ojciec Lotaire uprzedzająco podniósł rękę.

- Proszę się nie martwić. Tak czy inaczej, wysadzić księdza w powietrze będę ja. Czy wysadzenie Notre Dame, w takim układzie, jaki tu mamy, będzie grzechem czy nie?

- I grzech, i nie grzech.

- Z „nie grzechem” rozumiem, ale jeśli chodzi o grzech - czyż nie będzie to grzech ciężki? Zbyt ciężki, by włożyć go na barki młodego chłopaka, który ma przed sobą jeszcze całe życie. To ja podłożę ładunki, wezmę tylko kilku ludzi do prac pomocniczych. Ale cała moralna odpowiedzialność za ten wybuch spadnie tylko na mnie. Tak, widzę, co chce ksiądz powiedzieć - wymyśliłam to dopiero, gdy dowiedziałam się o księdza decyzji. Ale w rzeczywistości to niczego nie zmienia, po prostu tam, w katedrze, i tak by to do mnie dotarło. Wszystko, co ksiądz mówi o niemożliwości opuszczenia katedry w odniesieniu do siebie, w tym samym stopniu tyczy się mnie, ojciec Lotaire. Jeśli nie w większym, no ale już dobrze, o jedno miejsce ustąpię.

- Sophie, czy ktoś pani już kiedyś mówił, że jest pani potworem? Dość sympatyczny potwór, trzeba przyznać, ale absolutny.

- Mówili mi to, proszę nie wątpić.

- Tak też przypuszczałem. Nie jestem oryginalny!

– Och, te katolickie bajery! Czy ksiądz poważnie ma nadzieje, że mnie zagada?

– Nie, niepoważnie, Sophie – westchnął ojciec Lotaire. – Ale mam nadzieję.

– No, wie ksiądz – oczy Sophie wesoło błysnęły i ojciec Lotaire ze zdumieniem zauważył, że znów wydają się czarne. – Ostatecznie, bójcie się Boga. Widzę przed sobą chłopca w wieku lat trzydziestu...

– Trzydziestu trzech, jeśli pani pozwoli.

– istotna różnica, nie pogadasz. Ile ja mam latek, ciekawe czy ojciec dałby radę choć z przybliżeniu policzyć! Urodziłam się przecież jeszcze przed powstaniem światowej sieci internetowej! Czy ksiądz jest w ogóle w stanie wyobrazić to sobie? A skąd, gdzie tam! Ksiądz przecież nie pamięta nawet tych czasów, kiedy europejski internet był niecenzurowany. W porównaniu z księdzem jestem stara jak Troja. A jednak, nie kłóć się z księdzem, chociaż chętnie bym to zrobiła. Czyż nie tak, monsieur de Lescure, ja i pan mamy chyba prawo wymagać od młodzieży, żeby żyła?

– Nie daje pani za wygraną, co Sophie? – księgarz roześmiał się niegłównym starczym śmiechem. – Nie, madame Sévazmiou, mam inne zmartwienie, nawet nie związane z przeżyтыми latami. Owczarnia zostanie bez swojego pasterza.

– Póki co, dzięki Bogu, nie jestem jedynym księdzem we Francji! – ostro zaoponował ojciec Lotaire.

– Moi kochani, po prostu każde z nas trojga bardzo chce przekonać dwoje pozostałych. – De Lescure uśmiechnął się tym specyficznym uśmiechem, jaki zwykło się obserwować u starszków. Pewnie ma go dlatego, że z wiekiem zwężyły mu się wargi, pomyślała Sophie. Ja chyba mam to samo. Ale jeśli jest gdzieś prawdziwa przenikliwość, to właśnie w tych niegdyś niebieskich, maleńkich oczach, co kryją się pod siwymi, krzaczastymi brwiami. Starzec nie jest prostym człowiekiem, oj nie, już przedwczoraj to zauważyłam.

– Wyciągnijmy więc ostatnie karty z rękawów. Dla mnie to pani jest dziewczynką, Sophie. Internet, też mi coś. Ja to się urodziłem, kiedy

każdy komputer zajmował niemały pokój. Zrobimy tak, jak każdemu podpowiada sumienie albo serce. Dla naszego ojca Lotaire'a to coś w rodzaju obowiązku kapitana wobec statku, dla mnie to obowiązek ministranta-żołnierza, który powinien towarzyszyć księdzu-oficerowi, no a pani, Sophie... Nie chciałbym pani obrazić, pani w ogóle w całej tej historii od samego początku występuje jako archetyp śmierci. Śmierć nie może pozostać przy życiu, to nielogiczne.

– Mimo wszystko starość ma swoje zalety, dzięki niej naczytaliśmy się do woli książek, które potem zostały zniszczone... Niech pan spojrzy, monsieur de Lescure, jak się skrzywił nasz drogi ojciec Lotaire! On z kolei dorastał w latach, kiedy tamci solidnie uzurpowali sobie obraz śmierci. „Wy kochacie życie, a my kochamy śmierć”, no, pamięta pan, od czego zaczynali. A przecież i tu jest pewna nieścisłość. Nie śmierć oni kochają, a zaledwie nieobecność życia. Martwica, rozpad, rozkład, we wszystkich tych słów znaczeniach. A ja pamiętam, jak pokolenie moich rodziców mówiło: kto kocha życie, temu i śmierć miła, kto życia nie kocha, ten i śmierci będzie się bał. Przecież chrześcijanin nie powinien bać się śmierci, prawda, proszę księdza?

– Nie powinien, Sophie, nie powinien – ojciec Lotaire, zdawało się, rozmyślał o czymś z powagą. Sądząc z tego, jak cały czas zmieniał się wyraz jego twarzy, rozmyślenia były wyjątkowo burzliwe. – Proszę posłuchać, zgadzam się z monsieur de Lescure odnośnie do pani, Sophie, ale znowuż mam warunek. Właściwie nie warunek, a życzenie.

– Wszystko, co sobie ksiądz zażyczy. Obawiam się, że utarguje ksiądz wszystko. Najprawdopodobniej się zgodzę, chociaż widzę po oczach, że to jakieś diabelstwo.

Ojciec Lotaire zachichotał, tak szczerze i wesoło, że Sophie i de Lescure, nic jeszcze nie rozumiejąc, przyłączyli się do niego, zrzucając z siebie ciężar tej niełatwej rozmowy.

– Oj, biada wam, ludzie lat dwudziestych, oj, biada, Sophie! Akurat właśnie „diabelstwo” to najbardziej odpowiednie słowo w waszym duchu, w odniesieniu do tego, co chciałbym teraz zaproponować! Oj, toście mnie ubawili! Och, chyba nie miał wam kto w skórę dawać!

– No, proszę o wybaczenie. Głupie słowo w stosunku do księdza, i rzeczywiście, to paskudny zwyczaj przeklinać. Ale moje pokolenie nigdy nie brało przeklinania na poważnie, tak dla żartu tylko.

– Niech tam... Nie w tym jednak rzecz. Jest już odrobinę za późno, by panią od nowa wychowywać, zwłaszcza w kontekście aktualnych okoliczności.

Sophie wesoło mruknęła, komentując w ten sposób żart księdza.

– Świetnie pamiętam, że jest pani prawosławna – ciągnął dalej ojciec Lotaire. – To znaczy... żadna z pani prawosławna, miałem raczej na myśli pani formalną przynależność do Cerkwi. Mimo wszystko, *ho vis maor excusay*¹⁰⁶ mogę udzielić komunii człowiekowi, jak pani, w tragicznym stanie duchowym, niespecjalnie obawiając się zarzutów o brak kanoniczności. Nasze Kościoły przecież nie odmawiają sobie wzajemne sukcesji apostołskiej¹⁰⁷.

– Och, nie jestem pewna. Ale nawet jeśli wszystko sprowadzałoby się do tego, żeby księdzu było trochę lżej, to bym się i na to zgodziła. A zaczynam myśleć, że chodzi nawet już nie tylko o to.

– Na nic więcej nie liczę, jestem realistą. To jak?

– Mogę przyjąć komunię na tej mszy. I nawet się przed nią wypowiadam, chociaż cała moja spowiedź, jak w powieści waszego francuskiego klasyka, da się łatwo sprowadzić do jednego słowa.

Ohydna powieść, ale ta scena, trzeba przyznać, jest dobra, pomyślał de Lescure. Nawet bardzo dobra, wbrew całemu brudowi, którym zawałona jest głowa autora, jak to tam szło?

– *Niech każdy z was na głos wyzna swoje grzechy – powiedział Grand Francoeur. – Monsignore, proszę mówić.*

– *Zabijałem – odpowiedział Markiz.*

– *Zabijałem – powtórzył Hoisnard.*

– *Zabijałem – powiedział Guinoiscau.*

– *Zabijałem – powiedział Brin d'Amour.*

106 Łac. tu: w nadzwyczajnych okolicznościach.

107 Trudna jest do zrozumienia logika o. Lotaire'a. Kwestią zasadniczą jest bowiem to, że Sonia jest ateistką (przyp. red.)

– Zabijałem – powiedział Chateney.

– Zabijałem – powiedział l'Imânus.

Grand Francoeur przeżegnał ich krzyżykiem i wypowiedział słowa:

– W imię Trójcy Przenajświętszej, odpuszczam wam wasze grzechy.

Idźcie z Bogiem!

– Amen! – odpowiedziało sześć głosów. Markiz wstał.

– A teraz czas umierać – powiedział.

– I zabijać – dodał l'Imânus¹⁰⁸.

Pamięć mam jednak świetną, wątpię, czy zrobiłem choć jeden błąd w całym cytacie. Ale jakżeby tu nie pamiętać tak jaskrawego przykładu na to, jak bohaterowie książki wygrywiają z autorem. Zawsze lubiłem się tak zabawiać, znajdować w książkach potwierdzenie na to, że prawda artystyczna często zwycięża z kłamliwą ideą. Ale czemu ja tu teraz o książkach? Jak jakiś Rzymianin, urodzony gdzieś w trzecim pokoleniu w Galii, dłubię sobie w zwojach ksiąg w willi z podgrzewaną mozaikową podłogą, a wodociąg, tymczasem, już nawala, wokół rąbią siekierami niemyci giganci, Frankowie. Nasz świat już nie pierwszy raz stał się barbarzyński, i znów nie czas dłubać w poezji przeszłości, trzeba bacznie uważać, jak rodzi się wokół nowy epos.

– Do bardzo odległych imperiów pan trafił, monsieur de Lescure – powiedział ojciec Lotaire. – Już jakąś minutę pana obserwujemy.

Uśmiechał się. Uśmiechała się Sophie Sévazmiou.

*

Snajper dobrze się usadowił... aż nazbyt dobrze, by można było choć na chwilę o nim nie rozmyślać. A czasu na rozmyślania było wiele. Wróg nie spieszył się z atakiem. Eugène Olivier widział, jak na bulwarze za Sekwaną gromadzi się chmara niebieskich mundurów, słyszał hałas ciężarówek. Niedługo nie będzie gdzie szpilki wetknąć.

– Jak na razie zyskujemy na czasie – powiedziała Jeanne. – Słuchaj, nie widziałeś może Valérie?

– Nie. A zdajesz sobie sprawę, że teraz po raz ostatni widzimy Paryż za

108 Z powieści W. Hugo, *Rak dziewięćdziesiąty trzeci*, tom V, rozdział XI.

dnia?

– To zależy, jaka będzie Boża wola.

– Ale ja nie o tym mówię – z niezadowoleniem zaoponował Eugène Olivier. – Wszystko się zmienia. Ludzie z getta, chwała Bogu, uciekają, ale bez getta nie ma życia dla partyzantki. Jutro rano, jeśli pozostaniemy przy życiu, będziemy w katakumbach. Być może przyjdzie nam siedzieć jakiś miesiąc bez światła dziennego, albo i dwa. Potem przeniesiemy się do lasów Wandei, ale przecież tamci zaczną wtedy uciskać chłopów jeszcze bardziej! Leśne miasta są ogromne, ale są tylko punktami przeładunkowymi w drodze ku granicom euroislam.

– Tak – Jeanne ścisnęła małe dłonie. – To jest wyjście.

– Co?

– No, jakiś ty niekumaty!

– Poczekaj, skąd to? Z Biblii?

– No tak. Wyjście. Tylko że nie z niewoli, lecz z ziemi ojczystej.

– No, być może jeszcze tutaj wrócimy. Na czołgach – Eugène Olivier bardzo chciał pocieszyć Jeanne i zdaje się, że mu się udało. Twarz dziewczyny rozjaśniła się.

– Na jakich? Rosyjskich czy polskich? – zapytała z pewnym wahaniem.

– Przecież Sophie Sévazmiou jest Rosjanką – przypomniał Eugène Olivier.

– No tak, to w takim razie myślę, że znaleźlibyśmy z Rosjanami wspólny język! Jeśli są choć odrobinę tacy jak Sophie. Wiesz co, nie podoba mi się, że nikt nie wie, gdzie jest Valérie. Pójdę jej poszukać.

Cóż, taka była Jeanne - dopiero co tu stała, a już nie było po niej śladu, Eugène Olivier przymrużył oczy, próbując dojrzeć utajony cień na galerii zwieńczenia katedry. Chowa się, brudas, ze swoją snajperską spluwą. A gdyby tak znaleźć się teraz na dachu, całkiem łatwo można by się z nim rozprawić. Z pewnością patrzy tylko w dół i nie spodziewa się ataku z góry.

Ojciec Lotaire i de Lescure siedzieli na ławeczce przy kwietniku urządzonym pod Concergerie. Stary księgarz przesuwiał jeszcze starsze białe porcelanowe paciorki różańca, podczas gdy duchowny obserwował podskakiwanie zadziornych paryskich wróble, dzielących po drodze między sobą rzucony kawałeczek bułki.

– Już zaczynałem się obawiać, czy aby na pewno doba ma dwadzieścia cztery godziny – de Lescure, ucałowawszy krzyżyk, wsunął różaniec do kieszeni.

– Pamięta ksiądz, ilu wiernych przyszło wczoraj wieczorem do spowiedzi? A przecież nic się nie stało, jakimś cudem wszyscy zdążyli się wypowiadać.

– Wszyscy – ojciec Lotaire nie odrywał wzroku od pstrokatego stada.
– Oprócz jednego, któremu raczej niewiele mogę pomóc.

– Tak, nie może ksiądz. Już zbyt gwałtownie wszystko się rozwinęło, jak na filmie, który puścili w przyspieszonym tempie. Rozumiem, jak to ciężko, ojciec Lotaire. Ale może jednak opowie mi ksiądz, co mu leży na sercu? Ja, oczywiście, nie mogę księdzu odpuścić grzechów, ale być może zrobi się choć troszkę lżej?

– Dobry z pana człowiek. Ale nie chcę w ostatnim dniu życia popełniać kolejnego grzechu - obciążać bliźniego swymi ciężkimi myślami.

– Proszę księdza, przecież to absurd! Nie od dziś skrywa ojciec w sercu najbardziej gorzkie tajemnice wiernych naszej wspólnoty. Co się złego stanie, jeśli jeden z tych wielu weźmie na siebie choć odrobinę z księdza ciężaru?

Ojciec Lotaire, tak jak poprzednio, patrzył nie na swojego rozmówcę, a wprost przed siebie, chociaż wróble dawno już się rozpierchły, wydziobawszy ostatnią kruszynkę. W jego postawie, postawie człowieka prawie nieustannie nawykłego do noszenia ubioru oznaczającego funkcję, było coś wojskowego.

*

Tamta, teraz już jakby bardzo odległa, wizyta u Ahmeda ibn Salih, to znaczy Knieżewica, zmieniła się w prawdziwą hańbę. Powierzili mu to

zadanie nie tyle ze względu na jego znajomość komputerów, ile z powodu jego umiejętności alpinistycznych. Tam, nawiasem mówiąc, można się było prawie bez nich obejść, zadanie nie mogło być prostsze. Ale przecież te stare kamienie katedry też nie są jakimś nieosiągalnym szczytem. Można się świetnie wdrapać po łukach. Od wschodniej strony będzie i prościej, i bezpieczniej, skoro brudas usadowił się już na galerii.

Gdyby się jeszcze tak dostać do tych łuków. Z dołu z kolei brudasy ostrzeliwują przedpola. Poczekać, aż zapadnie ciemność? Ale tamten, na galerii, też przecież tylko na to czeka. A tam... raz kozie śmierć!

Oblał go zimny pot, prawie, jakby skoczył do lodowatej wody. Eugène Olivier podkradł się do muru i zaczął za ostatnim przystrzyżonym krzewem, przygotowując się do przebiegnięcia otwartej przestrzeni. Szlag by ich trafił, cały wschodni cypel to jeden wielki trawnik z rabatkami, jakby ktoś dywan rozłożył. Prawdziwi gospodarze Paryża, królowie, nie bali się ani narodu, ani ciasnych uliczek, przemknęło mu przez myśl. To przecież Bonaparte pierwszy zaczął oczyszczać wielkie przestrzenie, muzułmanie tylko to po nim przejęli. Niczego własnego nie potrafią wymyślić. No dobra, na bok z historią. Trzeba w tej chwili zdecydować, zdjąć adidasy czy nie? Wspiąć się bez nich będzie prościej, ale przecież nie zawiesi ich sobie na szyi, trzeba by je zostawić. A potem? Wojuj do rana na bosaka. Nie, już jakoś to będzie. Dobra, to idziemy!

Eugène Olivier biegł, zataczając koła. Od czasu do czasu to pochyłał się, to znów się prostował. Po jezdni zadudniły wystrzały. Chwała Bogu, że to nie seria z automatu! Przecież policjanci nie paradują zwykle po mieście z automatami. Nie byłoby źle, gdyby musiał dobiec tylko do muru. Przytknąłby do niej nos i ci z okien już by go nie dosięgli. Ale on musi dostać się do łuku. Och, jakże łatwym celem będzie na tym mostku! Panie, żeby tylko nie zorientowali się, dokąd biegnie!

*

– Meksykańskie przywileje¹⁰⁹ kryją w sobie ogromną pokusę – ręce

109 Przywileje meksykańskie - w czasach bezprecedensowych prześladowań Kościoła

ojca Lotaire ścisnęły kieszonkowy brewiarz ze spłowiałymi tasiemkami i wytartą na brzegach skórą. – Widzi pan mój brewiarz, de Lescure? Na pozór nic nadzwyczajnego, czyż nie?

– Proszę nie zapominać, że ma ksiądz do czynienia z księgarzem. Początek XX wieku, nieprawdaż? – De Lescure ostrożnie wziął książkę od ojca Lotaire i otworzył na stronie z rzymskimi liczbami roku wydania. – Tak, tysiąc dziewięćset pierwszy rok. Edycja pozłacana!

– Tego to ja akurat nie wiem. Zresztą, co jest takiego szczególnego w pozłacaniu, poza tym, iż dobrze się trzyma? To na moim brewiarzu nie obdarło się ani trochę.

– A wie ksiądz czemu? Bo to nie jest zwykła farba. Do brzegu bloku książki przyklejano cieniuteńką złotą folię, a potem ją wcierano za pomocą kości słoniowej, aż strony zaczynały się rozchodzić. Tak, kiedyś to umieli robić takie rzeczy. Niemniej jednak, wydanie jest banalne, masowe. Od razu tak sobie pomyślałem. Ratyzbona, Fryderyk Pustet.

– Rzeczywiście, jednak punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Niezłe baty dostałem we Flavigny za ten właśnie „banalny” brewiarz! Nazywaliśmy się przecież Bractwem Kapłańskim św. Piusa X. Jakże czciliśmy tę jego „Przysięgę przeciwko herezji modernizmu”¹¹⁰! Jednak o tym, że to on jako pierwszy zreformował brewiarz, który przez tysiąc lat jakoś wszystkim odpowiadał, nie wypadało wówczas wspominać. Spośród świeckich wielu i tak nie wiedziało, że czytają nie ten brewiarz,

katolickiego w Meksyku w latach 1920-1930, na skalę porównywalną z bolszewickimi prześladowaniami wszelkich przejawów religijności w Rosji, papież Pius XI (1922-1939) udzielił meksykańskim duchownym specjalnych pełnomocnictw: w przypadku skrajnych okoliczności księża mieli prawo działać w kwestiach liturgiczno-kanonicznych według własnego uznania, bez konieczności uzgadniania tego z rządzącym biskupem.

110 „Przysięga przeciwko herezji modernizmu” - wprowadzona 1 września 1910 r. przez papieża Piusa X. W „przysiędze” zawarte było wyznanie katolickiej wiary w Boga, Boże Objawienie, świętość Kościoła i jego ustanowienie przez Boga, jak również odrzucenie modernistycznych tez o ewolucji kościelnego nauczania, sprzeczności dogmatów z „historycznym nauczaniem Chrystusa”, potrzebie krytycznego spojrzenia na historię chrześcijaństwa, itd. „Przysięgę” obowiązkowo składali kandydaci do kapłaństwa przed wyświęceniem, a następnie powtarzali ją corocznie.

z którego korzystali ich dziadowie. Cóż, podporządkowałem się wtedy, wiem przecież, jak ważna jest w Kościele dyscyplina. Zrobiłem to wbrew samemu sobie. Schowałem ten oto egzemplarz głęboko do walizy i zacząłem używać nowego wydania. Ale kiedy miesiącami nie widzi się swojego biskupa... A czasem, gdy się w ogóle nie ma z nim kontaktu... Takie są skutki: już od dawna czytam ten stary, niezreformowany brewiarz. Meksykańskie przywileje, w najbardziej szulerskiej interpretacji z możliwych!

– Niezreformowanym przyjęto nazywać akurat ten brewiarz, który wprowadził do użytku święty Pius X, nieprawdaż?

– Brewiarz, z którego korzystaliśmy, był młodszy od owej przechodzącej wszelkie wyobrażenia „Liturgii Godzin” o jakieś sześćdziesiąt lat! Lescure, istota problemu tkwiła nie w samym brewiarzu, nie tylko w zmianach, jakie wprowadzono! Często się zastanawiam, dlaczego, my, Lefebryści, tak się upieramy, że granicą dla wszystkiego był Sobór Watykański II? Po Soborze oficjalny katolicyzm stał się dla nas parodią samego siebie, z tymi imitującymi prawdziwe ołtarze stolikami, z tym puszczeniem w niepamięć łaciny, naruszeniem rytu liturgicznego i pozał się Boże - ekumenizmem... Ale jeśli przed Soborem Watykańskim II wszystko było tak pięknie, to skąd on się wziął, ten Sobór? Zna pan zasadę chirurgii rany ropnej? Nacięcia dokonuje się na zdrowej tkance! A my, czyż nie chorą nacięliśmy, gdy zrywaliśmy z papieżem? Zakon dominikanów do XIX wieku walczył z dogmatem o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny, walczył, dopóki mu nie połamali grzbietu! A co, jeśli uważam ten dogmat za absurdalny, w ślad za tymi dominikanami z minionych wieków?¹¹¹ Ach, Lescure, jeśliby zwołać prawdziwy sobór powszechny,

¹¹¹Dogmat ten wprowadził w 1854 r. papież Pius IX, poprzednik patrona lefebrystów - Piusa X. Trudno uwierzyć, by ksiądz Lotaire kontestował dogmatyczne idee fix tego wybitnie „trydenckiego” papieża. Argumentowi oponentów Piusa IX w tym sporze - korzystając z okazji - warto się przyjrzeć. Krytycy nowego dogmatu wątpili przede wszystkim w to, iż ktokolwiek z ludzi (w tym Maria Panna] mógł się począć bez grzechu (niepokalanie] PRZED złożeniem zbawiającej wszelkie stworzenie ofiary Syna Bożego. Wszak Maria, matka Jezusa, przyszła na świat przed Jego narodzeniem, co za tym idzie: PRZED aktem śmierci Zbawiciela na krzyżu. Po drugie, jeśli Chrystus w śmiertelnym ciele (śmierć to przecież efekt grzechu] zadał śmierć

jeśliby spróbować zrozumieć, kiedy odeszliśmy od wiary ojców? Skąd się wzięła ta rysa, przez którą później katolicyzm rozleciał się na kawałki?

– Ty nie zdążysz już tego rozstrzygnąć, Lotaire – odparł ciężko staruszek. – Ale, być może, kiedyś zrobią to inni. Nie wiem, czy księdza wątpliwości są słuszne, czy też są zesłane jako próba. Prawdę mówiąc, dla mnie to zbyt trudne. Ale teraz powinniśmy nappełnić nasze dusze pokojem. Przecież ksiądz zawsze był dobrym rycerzem Kościoła, proszę nie zaprzeczać, ja z boku lepiej to widzę. Męczył się ksiądz, ale się podporządkowywał. No, może oprócz tego zbyt starego brewiarza. Pan jest miłosierny. Nawet jeśli błądzimy w jakiejś sprawie, niech nasze błędy spłoną w ogniu razem z naszą katedrą.

– Amen – ojciec Lotaire uśmiechnął się.

*

Wojska wciąż nadciągały. Nie policja, nie wojska wewnętrzne, a pododdziały prawdziwej armii. Na co tylu ludzi przeciwko tak żalosnej garstce makisarów? – mimowolnie pomyślał Kassim. Rozkazu, by przejść do ataku, jeszcze nie było.

*

Jest dobrze, gruba podstawa podpory go ukryła. Zresztą jak na razie nikt go nie obserwował, więc skąd mają wiedzieć, dokąd idzie? Eugène Olivier wspinał się jak po kamiennym pomoście, przyszyła mu nawet ochota, by tam, gdzie to możliwe, wyprostować się. Ale to byłoby już zwykłym szpanerstwem. Wspinaczki do góry nigdy nie bał się specjalnie. Za to schodzenie w dół było dla niego dwa razy trudniejsze. Nieważne, schodzić tą samą drogą i tak nie będzie, bez względu na to, czy mu się powiedzie, czy nie. Powierzchnia skweru wokół katedry była bardzo daleko w dole.

*

grzechowi, to jakim sposobem mógłby, przychodząc na świat, przyjąć grzeszne ciało, jeśliby ciało Jego matki było już bez grzechu? (przyp. red.).

Mięśnie strasznie mu zdrętwiały. Ostrożnie, odłożywszy na bok karabin, Wali-Farad postanowił rozprostować nogi. Szkoda, że nie ma teraz nic do roboty, a jeszcze bardziej żał mu, że nie trafił makisara, który prowokacyjne biegał u stóp katedry. Teraz tu pewnie nie wyjdą. Czekają, aż zapadnie zmrok. Nie mają jednak pojęcia, jaki ma karabin. Będzie wesoło. A koledzy ze służby podśmiewywali się, kiedy uprosił ojca, żeby ten podarował mu na osiemnastkę SB-04. Na co w końcu młodszemu funkcjonariuszowi policji taki drogocenny karabin? Przecież na patrole z nim nie będzie chodził. To nie chodził. Ale w robocie trzymał. No i na czyje wyszło? Proszę, jak się przydało!

Dziecięco pulchna, zazwyczaj skwaszona twarz Wali-Farada, miała szczęśliwy wyraz. Na ustach, ozdobionych wąsikami, których nie można było jeszcze żadnym sposobem uformować, jaśniał uśmiech zadowolenia. Wydawało się, że pogodził się już z kategorycznymi planami ojca: żadnej pracy w getcie, żadnej pracy przy rozpracowywaniu makisarów, aż do zdobycia odpowiedniego wykształcenia.

Do ukończenia szkoły wynudzi się jeszcze przez rok jako zwykły krawężnik. Niech będzie. Praca będzie w prestiżowej okolicy, a to dobrze wygląda w aktach osobowych. Tymczasem plany samego Wali-Farada sięgały znacznie dalej niż walka z makisarami we Francji. Marzył o wojowaniu w Dar-al-habr, wszakże nie na wieki wstrzymano gazawat¹¹²? Potrzebna będzie bomba. Najpierw trzeba jednak tę bombę zdobyć od niewiernych i wojować, wojować...

O wojowaniu z niewiernymi Wali-Farad marzył, odkąd pamiętał. W wieku trzynastu lat stworzył z grupy przyjaciół niewielką „brygadę”. Na początku podrostki obrały za swój cel getto Austerlitz. Zdążyli się zabawić jedynie z pięć razy, ale za to na całego. Najpierw, co było pomysłem Wali-Farada, okrążali głęboką nocą czyjaś siedzibę i zaczęli chrumkać pod drzwiami i oknami. A co, może ci brudni kafirzy to nie świnie? Potem już włamywali się do domów. Nie przejmowali się tym - jak prawdziwa policja religijna - co wolno, a czego nie, chcieli się po prostu zabawić. Tłukli zastawę, deptali pościel, łapali kobiety, zwłaszcza

112 Arab. ofensywa przeciw niewiernym (przyp. red.).

rówieśniczki; dorosłych jakby z lekka unikając. Przecież rozedrzyć piżamę na piszczącej i wyrywającej się dziewczynce to świetna zabawa.

Gwałcić nie próbowali, skrywając pod żarcikami strach, że mogliby się jeszcze skompromitować przed kumplami; mimo wszystko byli jeszcze podrostkami. Dorosli kafirzy jakimś sposobem to wyczuwali, chwytali za ręce, pouczali, grozili, ale do otwartej przepychanki nie dochodziło. Wiadomo było, że nikogo nie zabiją ani nie zgwałcą, ale i tak zabawnie było wśród dzikich wrzasków wyrywać się z rąk dorosłych, rozbiegając się po całym domu. Złap tu teraz takich sześciu, kiedy jeden pluje w garnki, drugi sika na dywan, trzeci zbija pałką szkła, czwarty ugania się za córką gospodarzy, piąty wywalił na podłogę ubrania z szafy i skacze na kupie żalonych szmat, a szósty po prostu stroi miny...

Bardzo szybko wyszło to na jaw. Kumpli za karę od razu wcielili do wojska, ale jemu jakoś się upiekło - był najstarszy i do tego nieźle ustawiony. Dostało mu się, ale bez przesady. Wali-Farad rozumiał doskonale, że ojciec, mimo iż uważał za niezbędne surowo ukracać obyczaje syna, w rzeczywistości wiązał z nim wielkie nadzieje. Teraz, rzecz jasna, tamta sprawa to tylko wspomnienie. Lekka służba w policji miała być nudna jak flaki z olejem, a tu nagle taka niespodzianka! Oczywiście, z makisarami szybko sobie poradzą, ale on zdąży sobie w tym czasie postrzelać. W końcu będzie okazja, żeby przetestować nowy karabin. Martwić się nie ma czym, meczet jest solidny, mogą się tu bezproblemowo utrzymać do nadejścia odsieczy.

Wali-Farad wyciągnął z kieszeni batonik czekoladowy.

*

Piękne dzięki wam, czcigodni budowniczkowie, że nie szkoda wam było zachodu na zdobienie świątyni wszelkiego rodzaju kamiennymi ornamentami! Strach pomyśleć, co bym przez was musiał teraz robić, gdybyście byli zdeklarowanymi klasycystami! Mimo to, Eugène Olivier dwa razy o mało co by nie spadł. Za każdym jednak razem nie zdążył nawet porządnie się wystraszyć. Za pierwszym razem odkrył, jak należy stąpnąć, za drugim - za co się łapać. Nie na darmo już od dzieciństwa

całymi dniami wspinał się na podmiejskie ruiny.

Poharatane dłonie, pozostawiały na kamieniach krwawe plamy. Dobrze jednak, że nie zdjął butów. Z drugiej strony, bosa stopy mogłyby wyczuć każdą nierówność. Mimo wszystko było się czym pochwalić. Mało kto wszedłby tak, bez asekuracji, na szczyt dachu katedry. OK, chwalić się będziemy później.

*

Brisseville odłożył lornetkę: nawet i bez niej widać było, że po drugiej stronie barykady zaczęło się dziać coś poważnego. Prawowierni ściągnęli sprzęt do rozbierania wałów: buldożery, ciągniki. No cóż, można było się tego spodziewać. Wozy strażackie - całkiem niegłupio. Tylko wątpliwe, czy to im coś da.

- Teraz to dopiero będzie - powiedział leżący obok Jeanne nieznamy chłopak, wpatrując się jak urzeczony w zbliżający się do linii ognia buldożer.

- No ba - uśmiechnęła się z wyższością. - Czyżby w końcu poszli po rozum do tego głowy i zrozumieli, dlaczego oszczędzamy naboje?

Buldożer powoli kierował się na samochodową zaporę. Jeanne widziała poszarzałą ze strachu twarz czarnego robotnika w przezroczystej kabinie. Przecież buldożerów z kuloodpornymi szybami nie produkują.

Gigantyczna łopata z mocą popchnęła przewrócony kołami do góry Citroën.

Jeanne zdążyła tylko rozchylić i usta, i nie bez powodu. Po uszach łupnęło porządnie, chociaż mogło być gorzej. Miny wybuchały jedna po drugiej, niewidoczne, oplatające z góry do dołu cały przedni rząd barykady. Baki z benzyną momentalnie buchnęły płomieniem, wybuchł też bak przewalonego buldożera. Zza wszechogarniającej, strzelającej ku niebu ściany ognia nie można było dostrzec szkód jakie potężna eksplozja wyrządziła wrogowi. Z daleka tylko dobiegały hałasy, dziwne zgrzyty, wybuchy i dzikie wrzaski.

Niemalże w tej samej chwili szaleńcze petardy zatrzeszczały po drugiej stronie Sekwany. Potem znów po tej stronie, ale w kierunku

zachodnim.

– Super, normalnie super! – Jeanne śmiała się, sama nie zdając sobie sprawy, że śmieje się przez łzy szczęścia. – Hej, rozumiesz, rozumiesz to? Mieli rozkaz nacierać jednocześnie!

– Na to wygląda. Przy okazji, jestem Artur – młodzieniec wyciągnął rękę.

– Jeanne.

– Hej, nie macie tam rannych? – Murzynka Michelle miała na sobie bladuróżową jedwabną sukienkę ze wzorem w srebrzyste klonowe liście. Niezbyt pasowało to do ogromnej torby sanitarnej, którą dziewczyna taszczyła na ramieniu.

– Jak na razie wszyscy cali i zdrowi – odrzyknęła Jeanne. – Słuchaj, ubrałabyś się może jakoś po ludzku! Żał patrzeć, jak tu tańczysz na tych swoich szpilkach!

– A jeśli dziś przyjdzie mi zginąć za naszego Pana, Jezusa? – Michelle uparcie podniosła podbródek.

– A co mają do tego szpilki?

– Na takie święto trzeba założyć swoje najlepsze rzeczy.

– To ty dlatego w getcie chodziłaś codziennie taka wystrojona? – zdumiała się Jeanne.

– Przecież w getcie to święto mogło nadejść każdego dnia. No nic, lecę dalej, skoro u was wszystko w porządku.

Jeanne tylko cichutko gwizdnęła w ślad za Michelle. Do takiej radykalnej pobożności było jej jeszcze daleko.

*

– W porządku, rozumiem, że mieli kilka stingerów, ale skąd by mieli miny? Skąd miny?! Automaty, karabiny, to by jeszcze można jakoś wytłumaczyć! Co oni jeszcze tam mają, co i skąd?! – Głos generała miotał się w słuchawce jak drapieźnik w klatce.

– Myślę, że mimo wszystko nie z Rosji – odpowiedział znużonym głosem Kassim. – Zdaje się, że teraz nie czas na dochodzenia, panie generale, ale jeden z naszych magazynów niewątpliwie poważnie

zubożał.

– Stan magazynów jest w tej chwili sprawdzany. Musimy przynajmniej dowiedzieć się, czym nas jeszcze uszczęśliwią kafirzy. Co z imamem Mowsarem-Ali, łączność jednak przerwana?

– Tak, panie generale.

– No i trudno. – Generał trochę się uspokoił. – Będzie trochę krzyku, ale nie mam zamiaru tracić ludzi tylko po to, żeby go ratować za wszelką cenę. Stanem meczetów mój resort się nie zajmuje.

Kassim uśmiechnął się pogardliwie. Generał Francuzem co prawda nie był, ale za to Paryżaninem w czwartym pokoleniu i to z bogatej rodziny. Przy innym Arabie nigdy nie pozwoliliby sobie na takie sformułowania.

– Dużo mamy strat?

– W tej chwili trudno policzyć. Sporo, i w sprzęcie, i w ludziach.

– Co zamierzacie robić?

– Wycofaliśmy się na bezpieczną odległość. Wojska techniczne zastanawiają się, jak staranować postawione zapory bez dalszych strat. Saperów strach puszczać, musieliby pracować pod ostrzałem.

Im szybciej rzędy ogrodzeń wybuchną, tym szybciej spłoną do cna. To zapewni makisarom osłonę tylko na kilka godzin.

*

– Wygrywamy zaledwie kilka godzin – zwrócił się do Sophie La Rochejaquelein. – To jednak sporo w naszej sytuacji. Sophie, doszły mnie jakieś głupie plotki, jakobyś...

– Nie będziemy o tym dyskutować, Henri. Nie ma na to czasu. Teraz ważne jest, jakie siły zgromadził przeciwko nam wróg. Niestety, wygląda na to, że o wiele większe, niż myśleliśmy. Czekają nas ogromne straty, kiedy barykady się dopalą!

*

Gdy na dole eksplodowały miny, Eugène Olivier siedział już wysoko na cokole katedry, całym ciałem przywarłszy do kamiennej balustrady. Próbował stwierdzić, na ile poważnie nadwyrężył sobie dłoń. No tak,

tam na dole zaczęły się już pierwsze przygotowania do szturmu. Trzeba się spieszyć. Na szczęście nic się nie stało, ręka tylko trochę boli, ale może nią normalnie poruszać.

*

Nieznośny swąd spalenizny tłumiła wiosenna woń zmieszana z wilgotnym zapachem rzeki. W powietrzu gęsto fruwały tłuste płaty sadzy, brudząc różową sukienkę Michelle, która pochylała się właśnie nad siedzącym na jezdni, zgiętym w pałąk Brissevillem. Jego ciało straszliwie drżało w ataku duszności, Michelle bała się wbić mu igłę. Dobrze chociaż, że nie w żyłę. Kiedy on się dusi, trzeba go przenieść do zamkniętego pomieszczenia! Oby tylko zastryk choć trochę teraz pomógł.

*

Im bliżej było do galerii, tym wolniej Eugène Olivier się poruszał. Teraz już w ogóle nie obawiał się, że spadnie, za to bardzo nie chciał narobić hałasu. Ciszej, jeszcze ciszej, jeszcze wolniej.

Udało się! Młody policjant, przysypiał na siedząco na podłodze galerii. Karabin stał tuż obok, oparty o mur. Eugène Olivier czołgał się powoli powstrzymując oddech. Nachylił się. Wyciągnął rękę, bardzo ostrożnie, bez najmniejszego szmeru. Mocno chwycił palcami lufę karabinu. Teraz wystarczy tylko wyciągnąć do góry. Jeszcze moment, a będzie mógł go chwycić drugą ręką. W ten sposób karabin, zbyt ciężki, by go wyciągać samymi palcami, znajdzie się w jego posiadaniu.

A niech to szlag! Ostry ból w prawym nadgarstku nie zmusił go wprawdzie do wypuszczenia jego zdobyczy, ale kolba zdradziecko stuknęła o kamień.

– A-a-ach! – Młody policjant, wyrwany ze snu aż podskoczył, ze wszystkich sił chwytając za kolbę.

Zdając sobie sprawę, że nie da rady utrzymać wyrwanej broni, Eugène Olivier rzucił się z góry prosto na funkcjonariusza.

Karabin upadł z hukiem, nieprzydatny już dla żadnego z nich. Także

nieprzydatny okazał się rewolwer w kaburze Eugène'a Obviera. Trwali w zwarciu, wgniatając się w kamienie ściany i raz po raz od nich odbijali, na moment nie rozluźniając uścisku.

– Kafir, łajdak, Świnia – na jednym oddechu syczał policjant.

Eugène Olivier walczył w milczeniu, jego przygotowanie było zbyt profesjonalne, żeby pozwolił sobie na tak głupie marnowanie oddechu. Arab był silny, rośły i dobrze wykarmiony; ważył chyba z dziesięć kilo więcej niż Eugène Olivier. Najwidoczniej świetnie zdawał sobie sprawę ze swojej przewagi.

– Rozgniotę cię na proch, ty brudny kafirze! Żal by mi było tracić na ciebie nabój, nie łudź się, sam ci gardło poderżnę! Zaraz się uśmiechniesz od ucha do ucha! – Policjanta wyraźnie rozwścieczyło to, że Eugène Olivier nie odpowiadał. Wykrzykując przekleństwa pulchnymi, wyraźnie zarysowanymi ustami, obrzydliwie pluł śliną.

Eugène Olivier stopniowo zaczął zyskiwać przewagę. Był to decydujący moment i chłopak wyczuł to dobrze. Teraz! Uderzenie, trafiło Araba w podbródek. Nie było może zbyt silne, ale ciało policjanta przez moment przeszył dotkliwy ból. Jego mięśnie odrobinę zwiotczały, a uścisk się rozluźnił. Eugène Olivier nagle przysiadł, chwycił muzułmanina za kolana i zwałił go z nóg. Zebrawszy w sobie wszystkie możliwe siły, wstał, wciąż ściskając tamtego za kolana, a następnie zarzucił go po ramiona na balustradę, próbując go zepchnąć.

– Nie!! – głowa policjanta wisiała w powietrzu, starał się jednak rozpaczliwym ruchem wyślizgnąć z poręczy z powrotem. Eugène Olivier spychał go ze wszystkich sił. – Nie zrobisz tego!! Nie zrobisz!! Mój ojciec spalił cię żywcem, wbije cię na pal, ty nie wiesz, kretyńco, kim jest mój ojciec, on...

Ostatni zryw i ciało runęło w dół tak gwałtownie, że Eugène Olivier ledwo zdołał zachować równowagę.

Krzyk odbijał się echem, ciało koziołkowało w locie i wydawało się dziwnie drewniane, jakby już było martwe. Przed oczami Eugène'a Obviera skakały teraz migoczące iskierki, w skroniach czuł szalone łomotanie.

Dziwnie dziarska melodyjka, która zabrzęczała gdzieś obok, wydawała się nierealnym odgłosem z niedorzecznego snu. Mały telefon komórkowy z klapką, który w tak złym dla siebie momencie zgubił imam Mowsar-Ali, leżał teraz na podłodze, upuszczony w czasie walki.

Niech sobie dzwoni. Roziskrzone kręgi, jakie miał przed oczami powoli znikwały. Nie, nie wolno odbierać. Może ci na dole zorientowali się, że coś idzie nie tak? Albo coś widzieli? Jednak wiedziony ciekawością Eugène Olivier pomimo wszystko podniósł klapkę.

– Halo?

– Wali-Farad? Jak tam, wszystko w porządku? Hej, kto mówi?! Tam, w meczecie ktoś jest! Proszę zawołać mojego syna!

– Nie może teraz podejść. Bardzo się spieszy!

Eugène Olivier trzasnął klapką i popatrzył w dół. Wali-Farad - to tak miał na imię policjant - nigdzie się już nie spieszył. Leżał nieruchomo w kałuży krwi.

W dali, na mostach, olbrzymimi kłębami unosiły się w niebo czarne dymy przesłaniając pobłyskujące spokojnie srebrzyste wody Sekwany.

Dawniej gdzieś tutaj, na wysokości, wisiał ogromny dzwon. Ale i bez niego miejsce było majestatyczne. Przyjemnie było patrzeć stąd na nieskończoną panoramę dachów Paryża. A ta biedaczka z odbitą głową, to pewnie chimera. Jakaś ty wysoka, Notre Dame! Wiatr targał mu włosy. Tu, na wysokości, oddychało się pełną piersią.

Eugène Olivier ostrożnie podniósł karabin. Wspaniała sztuka, będzie jeszcze miał czas dobrze się jej przyjrzeć, z całą przyjemnością. Szturmu Notre Dame nie rozpoczną przed zmrokiem. A to oznacza, że posiedzi tu jeszcze kilka godzin. Dopiero o zmierzchu spróbuje zejść po tych krętych schodach, o których tyle się nasłuchiwał w dzieciństwie. Jeśli się nie uda, sprzątną go szybciej, niż zdąży w nich wycelować. Jest jednak szansa, że się powiedzie. I wtedy, od środka otworzy swoim wspaniałe, rzeźbione drzwi portalu Sądu Ostatecznego. Mógłby, oczywiście, otworzyć którekolwiek z dwóch pozostałych, ale postanowił, że pomimo wszystko otworzy właśnie te. Sąd Ostateczny, w pewnym sensie, właśnie się zaczynał.

ROZDZIAŁ XVII

Szturm pośród szturmu

Ogień jeszcze trawił czarne szkielety samochodów, gdy zasłona dymna zaczęła się przeredzać, aż w końcu stała się niemalże przezroczysta. Spoza niej wyłaniały się już wojska gotowe do szturmu. W słońcu pobłyskiwały kuloodporne hełmy i kałasznikowy.

A my nawet kamizelek kuloodpornych nie mamy – pomyślał z goryczą La Rochejaquelein. – Co to za bezsens! Jak to możliwe, żeby w magazynie wojskowym nie było takich rzeczy? Jak na złość, wszelkich nieprzydatnych drobiazgów, typu chusteczki z wodą kolońską, było tam aż nadto.

– Teraz zrobią takie natarcie, że czapki z głów. – Sophie przeładowała broń. – Wiedzą wszyscy, kogo zdejmujemy w pierwszej kolejności?

– Oficerów – prychnął jakiś chłopaczek, z uwielbieniem pożerający ją wzrokiem.

– A ja już zaczęłam się bać, że ktoś tu nie uważał na lekcji – niesamowite oczy Sophie śmiały się. – Bez dowództwa wojsko zmienia się w stado owiec.

– Postaramy się zamienić ich w stado tak przez nich uwielbianych baranów – rozjaśnił się chłopiec.

– Dobra, Henri, zdaję dowodzenie, chociaż zostanę tu na jeszcze na trochę, żeby postrzelać. Za jakąś godzinę zacznie się ściemniać. Czas zacząć wykurzać glińiarzy z Notre Dame.

La Rochejaquelein kiwnął w milczeniu i zbliżył oko do celownika optycznego. Rozległ się pierwszy wystrzał. Pierwszy wystrzał jest zawsze jak kamyczek, który porusza lawinę. Lawina ruszyła.

*

Abdullah ze wszystkich sił próbował przycisnąć się do tylnych rzędów, za plecy innych żołnierzy. Gdybyż to on wiedział jeszcze tydzień temu, jak diametralnie zmieni się jego udane, wygodne życie! Roześmiałyby się i wziął to za dobry żart! Tymczasem jego patron nie żyje i teraz już nikt nie wyciągnie Abdullaha z całej tej ludzkiej masy biegnącej wprost pod ostrzał z karabinów! Teraz przyszła jego kolej. O, teraz właśnie, zanurkuje pod naczepę buldożera, a stamtąd wypłynie już na otwartą przestrzeń, choćby nawet za plecami innych. Naprzód, szybko, jeszcze szybciej... Z boku dostrzegł otwarte drzwiczki poobijanej kabiny ciężarówki. Przypominała czerep wieloryba czy też innego potwora morskiego. Tam na pewno nikt go nie znajdzie!

Poobijany Abdullah wślizgnął się do kabiny. W samą porę. Wyglądało na to, że uda się mu przeczekać w tej kryjówce całe zamieszanie. Jednak tuż obok niego pojawił się, klnąc i sapiąc, jeszcze jeden żołnierz. Kolejny wyskoczył na goły asfalt, zamiast Abdullaha. Nowi atakujący potykali się o ciała zabitych. Największy stos trupów utworzył się nieopodal dogasającej barykady.

A może by tak podcepić ciągnik? – pomyślał Kassim. Można by wtedy całkowicie rozebrać tę barykadę. Jak do tej pory zbyt wiele strat kosztuje próba jej zdobycia. Mimo wszystko wstrzymał się jednak z wydaniem rozkazu.

*

Chwała Bogu, że mamy dość amunicji, pomyślał La Rochejaquelein. Z drugiej strony, ilu ich tam jest! Co oni, z całej Francji zebrali wojska?

Pojawili się już pierwsi ranni, wynosiły ich z mostów kobiety - chrześcijanki z katakumb. Całkiem sprawnie udzielały im też pierwszej pomocy. Nic dziwnego, w końcu w getcie brakowało lekarzy i nieraz mogły polegać tylko na sobie. We wszystkim zresztą, co tylko możliwe, kobiety były zdane na siebie. Gdyby nie to, że każdy w tym szalonym mrowisku zajęty był teraz swoimi sprawami, ktoś mógłby zauważyć, że niektóre z nich, opadłszy na asfalt przed rozpostartymi ciałami, klęczały

nieruchomo na kolanach, ze złożonymi dłońmi i z pochylonymi głowami. Odmówiwszy modlitwy, pospiesznie wstawały z kolan, całowały poległych w czoło i biegly z powrotem na barykadę.

Biegła też i Michelle, pochlipując w biegu i ocierając dłonią łzy. Palce obu rąk strasznie jej zdrętwiały. Przez dłużej niż godzinę, dopóki Philippe-André Brisseville nie oddał ostatniego, tchu, trzymała jego dłoń w swoich. Jakże on się męczył, biedny monsieur Brisseville!

Za to Michelle nie męczyła się nawet minutę. Obcasy jej szpilek zacięły się nagle w biegu i dziewczyna upadła, najpierw na kolana, a potem na wznak.

– Powinna mieć w torbie jakieś bandażę, wiesz jak się opatruje rannych? – czternastoletni Artur, zajmujący od samego początku miejsce na pozycji razem z Jeanne, przypadł do Michelle chcąc ją ratować, gdyż padła całkiem blisko od barykadę.

– Nie musisz się już tym zajmować – Jeanne ostrożnie, ale bez strachu, położyła kędzierzawą głowę Michelle na korzeń platanu. – Zajmij się strzelaniem, a o nią się nie martw. Ma dziś święto.

Pierwszy atak spełzył na niczym. Makisarzy strzelali teraz w kierunku uciekających Arabów. Pole walki nagle ucichło. Pierwsze starcie zostało wygrane.

– Kolejne kilka godzin dla nas! – La Rochejaquelein otarł dłonią czoło, na skutek czego stał się podobny do górnik wychodzącego z kopalni. – Słuchaj, Maurice, wyślij kogoś po zapasy tych psich konserw. Myślę, że przydałoby się jeszcze choć kilka sztuk podłożyć pod te rozpalone żelastwa.

– Już się robi, La Rochejaquelein. Artur, skocz do magazynu po jeszcze kilka min, jakieś pięć sztuk wystarczy.

Maurice Loder postanowił nie tracić czasu. Zakładanie min na czarnych szkielecach samochodów to prawdziwa sztuka, zbyt łatwo rzuca się w oczy każdy drut. Trzeba by dobrze się przyjrzeć, gdzie je umieścić.

Mając na wszelki wypadek kałasznikowa w gotowości, Maurice przelał przez piaszczysto-cementowy stos worków. Tu, na moście, były tylko trupy muzułmanów. *Walajcie się tu, ścierwa, wron dla was nie*

zabraknie.

Podbiegł do najbliższej sterty złomu i zamarł. Usłyszał bowiem szelest ze środka tej masy żelastwa, a w głębi mignęła mu niebieska tkanina. Ktoś próbował wydostać się ze środka i to nie na stronę powstańców.

– Słuchaj, ścierwo – na wszelki wypadek Maurice mówił w lingua-franca. – Zaraz rzeczywiście wyleziesz, tylko że nie na tamtą stronę, a na tą. Nawet nie próbuj zrobić jakiegokolwiek ruchu, który by mi się nie spodobał. Nawet nie myśl o strzelaniu, bo przerobię cię na sito zanim zdążysz się złożyć.

Abdullah wychodził powoli, bardzo powoli, próbując odwlec nieuniknione, bał się jednak sprowokować makisara. Jakkolwiek by się włókł, chwile leciały zbyt szybko. Buty dotknęły asfaltu, bezpieczna kryjówka pozostała za plecami.

Powinno się go przekazać dowództwu i przesłuchać, choć Maurice wolałby od razu go podziurawić. Ale za dawnych czasów, zdaje się, mówiło się na kogoś takiego „język”. Potrzebna rzecz.

– M... M... Maurice! – głos „języka” żałośnie drgnął, uradowany.

Twarz Lodera w jednej sekundzie poszarzała. Wzdrygnąwszy się całym ciałem, wbił wzrok w dopiero co pozyskanego jeńca.

– Wyobraź sobie, Maurice, że byłem szoferem – paplał radośnie Abdullah. – Szoferem! I nagle wcisnęli mnie do wojska, do tego jeszcze tutaj wysłali! Ja nie chciałem, wiesz przecież, ja sam, z własnej woli, nigdy bym czegoś takiego nie chciał zrobić, Maurice!

– Wiem, za bardzo kochasz własną skórę. – Głos Lodera był jakby martwy. – Ale niestety, trzeba będzie ją stracić. Kiedy ty przeprowadzałeś się do tych łajdaków, matkę wieźli właśnie na cmentarz.

– A co ja mogłem na to poradzić, że ona nie chciała! Sama odmówiła przejścia na islam! Maurice, chyba mnie nie zabijesz, przecież jesteś moim bratem!

– Są różni bracia. Nie myślałeś kiedyś o tym, że i Abel mógłby zabić Kaina?

– Nie wolno, Maurice, nie wolno! Przecież jesteście braćmi!

– Bracia... – Szara twarz Lodera była straszna, ale mówił spokojnie i bez pośpiechu, jakby z dystansem, rozmyślając nad jakimś zagadnieniem filozoficznym.

Być może Kain i Abel to zły przykład. Widzisz, Kaina zwali Kainem, a Abła zwali Ablem. Z tym dość trudno jest się nie zgodzić. Tymczasem ja nigdy nie miałem brata o imieniu Abdullah. Nie, nie jesteśmy braćmi.

– Nie zabijaj mnie!!

– Nie zabiję. Gdybyś był moim bratem, chyba bym cię zabił. A tak... oddam cię tam, gdzie trzeba. Tylko nie łudź się, w ostatecznym rozrachunku wątpliwe jest, czy ktoś się nad tobą ulituje. Ale niech wszystko to idzie swoją koleją rzeczy, tak jak jest pożyteczniejsze dla sprawy. Mnie to nic nie obchodzi. Ruszaj się! – Maurice pchnął jeńca w plecy lufą automatu.

*

Ze zdobyczym karabinem na ramieniu, Eugène Olivier schodził po kamiennych schodach. Schody kręciły się jak korkociąg i wciągały jak kamienny lej. *Dziad Patrice zdaje się, setki razy po nich chodził, pomyślał chłopak nie bez zazdrości. Ciekawe, czy dziadek umiał dzwonić dzwonem? Na jego miejscu bym nie wytrzymał; musiałbym się nauczyć.*

*

– Idą do ataku, będą nas szturmować!! – Imam Mowsar-Ali w ciągu ostatnich godzin trochę zdał sobie głos. – Atakują, makisarzy atakują, kafirzy atakują! A ci synowie szejtana tam, w sztabie, siedzą i nic nie robią!

– Ale nasi też atakują, czcigodny Mowsar-Ali – ośmielił się zaprzeczyć stojący obok młodzieniec, jeden z pomocników policji religijnej. – Słysząc przecież, że tam walczą.

– Atakują?! Przecież wycofali się, jak tylko zaczęło się ściemniać. Od tamtej pory nie słysząc było ani jednego wystrzału! I to akurat wtedy, kiedy kafirzy ruszyli na nas! – imam meczetu Al-Frankoni zdecydowanie nie był w nastroju do dyskusji.

*

- Chętnie bym się dowiedział, gdzie się podział snajper, ten z tym sławnym karabinem na podcierwień – wykrzyknął wesoło Paul Germy, podczas kolejnej przebieżki.

Kule, rzecz jasna, waliły po bruku, ale ryzyko oberwania rykoszetem było teraz o wiele poważniejsze niż niebezpieczeństwo bycia trafionym bezpośrednio. Spowici ciemnością, obłożeni strzelali na ślepo.

- A co, spieszy ci się do niego?

- Niespecjalnie! – Paul nawet nie wiedział, komu odpowiada, zresztą to i tak nie było ważne.

- Idę do przodu! – Roger Moulinier wyciągnął z kieszeni granat. – Zaraz otworzę wam wszystkim drzwi, elegancko, jak angielski dworzanin!

Stopnie kończyły się. Teraz wszystko zależy tylko od szczęścia. Rygle w drzwiach były bardzo stare, odlane z brązu, a dębowe drzwi

- tak solidne, że trzeba by być idiotą, żeby ustawiać jakąś dodatkową zaporę. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, będą otwarte za kilka sekund. To zaledwie kwestia szczęścia. Roger Moulinier przymocowywał granat do drzwi. Jest! Chłopak szarpnął się do ucieczki co sił w nogach. Gruchnął wybuch.

*

Imam Mowsar-Ali, skuliwszy się na kanapie w pokoju gościnnym, z rozpaczą obserwował, jak rozsypuje się zasłaniająca okno góra książek. Dopiero co służyła jako osłona dla policjanta z karabinem. Ale karabinów i policjantów z meczetu było teraz o wiele mniej niż okien.

Książki nie pospadały same z siebie. W ślad za nimi na parapecie pojawił się makisar. Kompletnie nie zwracając uwagi na imama, obejrzał się za siebie, po czym odwrócił się do tyłu, by wciągnąć drugiego, prawdopodobnie tego, który podsadził go do okna. I oto już makisarzy wskakiwali na podłogę apartamentu imama.

*

To tu, to tam, w ciemności dźwięczały pojedyncze bezładne wystrzały. Usłyszawszy wybuch, Eugène Olivier pospiesznie zeskoczył ze schodów, zapominając już o ostrożności. Drzwi portalu Sądu Ostatecznego leżały przed nim kompletnie zniszczone.

– Lévequeü A ty skąd ześ się tutaj wziął?! W grupie szturmowej cię nie było! – w przejściu stał Roger Moulinier.

– A to widziałeś? – Eugène Olivier rzucił trofeum.

– Więc to tutaj się podział nasz snajper! A my sobie głowy łamiemy! – Roger podniósł automat: grupa pięciu policjantów schowała się w bocznej galerii.

Notre Dame powoli zapełniała się makisarami, jednak wszystko szło o wiele wolniej, niż powinno. Wnętrze katedry kryło w sobie zbyt wiele miejsc dobrych do tego, by się schować, i kiepskich do tego, żeby kogoś znaleźć. Muzułmanie okopali się na pierwszym, „żeńskim” piętrze, w mieszkaniu imama, w części ołtarzowej i w krypcie. Najłatwiej było z tymi, którzy zdradzili swoją obecność strzelaniem - poradzono sobie z nimi w godzinę. Jednak aby msza mogła się odbyć bez zakłóceń, trzeba było przeczesać całą wielowymiarową przestrzeń katedry. Pojedyncze wystrzały i krzyki długo jeszcze niosły się ze wszystkich stron.

*

– Po raz pierwszy stoję tu na jawie – uśmiechnął się do Sophie ojciec Lotaire.

– Odrobinę przedwcześnie tu ksiądz stoi. Trzeba pamiętać, że nie mamy księdza kim zastąpić.

– Najbardziej kusząca i szkodliwa dla duszy rzecz to sądzić, że jest się niezastąpionym. Proszę się nie martwić o moje bezpieczeństwo, Sophie. Jeśli Pan chce tego, to On mnie ustrzeże. Nie mam więc co samemu o nie zbytnio zabiegać.

– Ale mówią, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Dwulicowość tej postawy to w gruncie rzeczy przykrywka dla niewiary.

Dyskusję przerwał hałas: to makisarzy wyprowadzali z korytarza wewnętrznego sześćcioro ludzi. Trzech mężczyzn - imama i dwóch gołowąsów, którzy starali się przywrzeć jak najbliżej do jego otyłej figury, oraz trzy kobiety w parandzach, z których jedna niosła na rękę dziecko.

- Mimo wszystko nie pozabijaliśmy tych gówniarzy, Sophie. Znam pani ogólny pogląd na te sprawy, ale może już wystarczy - odezwał się niemłody makisar, którego ojciec Lotaire widział po raz pierwszy.

- Nie ośmielicie się mnie zabić, psy niewierne! - Imam Mowsar-Ali, zdawało się, nagle nabrał odwagi. - Jestem imamem meczetu Al-Frankoni...

- Mylisz się w obu punktach - Sophie wyciągnęła z kieszeni rewolwer i z lodowatym uśmiechem przystawiła go do skroni imama.

Trzymała go tak przez jakiś czas, obserwując, jak przebłyśki pewności siebie zmieniają się w jego świńskich oczkach we wszechogarniające przerażenie.

- Do kogo ty mówisz, sukinsynu? Jestem Sophie Sévazmiou. Nie, padanie na kolana nie jest obowiązkowe, chociaż widzę, że same ci się uginają. No dobrze, jak widzisz, rewolwer już schowałam, możesz spróbować utrzymać się na nogach, jeśli oczywiście potrafisz. A więc, to twoja pierwsza pomyłka, którą pewnie już zrozumiałeś, sukinsynu. Ośmielimy się ciebie zabić i to bez mrugnienia okiem. Ale jest i druga. Nie jesteś żadnym imamem meczetu Al-Frankoni.

- Nie, to ty się mylisz, ja jestem imamem! Jestem imamem meczetu Al-Frankoni, tu są moi świadkowie! To naprawdę ja! Kto by się ośmielił podawać się za tak ważną osobistość, za człowieka, którego można z korzyścią wymienić na...

- Zamknij się, wieprzu, i posłuchaj. - Sophie z niewiadomego powodu dmuchnęła w lufę rewolweru. - Nie jesteś imamem meczetu Al-Frankoni, a to dlatego, że od dziś meczet Al-Frankoni już nie istnieje. Jesteś teraz tylko bezrobotnym imamkiem.

- Co?! Jak?! - Oczy Mowsara-Ali nieomalże wyszły z orbit, szczęka opadła. Zdawało się, że widzi przed sobą grzechoczące kośćmi

przywidzenie, chociaż w rzeczywistości patrzył na ojca Lotaire'a w jego czarnej sutannie.

– Tak, właśnie tak. Od tego dnia i na zawsze to znów jest katedra Notre Dame.

– I tu się mylisz, kobieto! – Zdawało się, że Mowsarowi-Alemu znudziło się w końcu tchórzostwo. – Jesteś w błędzie i to w ogromnym! Możecie się tu utrzymać, na wyspie, z tydzień, no niech nawet będzie miesiąc, ale wokół jest przecież szariacka Francja! Czyżbyś myślała, że pozwolą waszemu gniazdu os tak po prostu tu być? Zaprawdę, kobiety nie mają mózgu, ale nie mają mózgu też ci, którzy kobiet słuchają! Co wyście sobie w ogóle myśleli? Wykurzą was stąd, to tylko kwestia czasu! A ta budowla znów stanie się meczetem Al-Frankoni, inaczej być nie może!

– Może, i to jeszcze jak! – Sophie wsunęła rewolwer do kieszeni. – Powtarzam: Notre Dame nigdy więcej nie stanie się meczetem. A już jakim sposobem to osiągniemy, niech cię o to głowa nie boli. Przy okazji mamy dla ciebie dobrą wiadomość: twój czas na ślizg aż do piekła jeszcze nie nadszedł. Puszczamy cię wolno.

– Puszczacie? – Imam z jakiegoś powodu pozieleniał i ponownie zachwiał się na nogach.

– Tak, ciebie, z całą tą twoją hałastrą. Powstańcy odprowadzą was na barykadę i wypuszczą. Dostarczycie swoim ciekawych wieści. Wszyscy mają się dowiedzieć, że żadnego meczetu już tu nie ma, że w tym miejscu będzie odprawiana msza święta, i że krzyż pokonał półksiężyc.

Sophie skinęła niedbale ręką. Trzech makisarów odprowadziło jeńców do wyjścia. Imam szedł zataczając się. Z jednej strony podtrzymywała go pod ramię jedna z żon, z drugiej zaś - jeden z młodzików.

– Idź, idź! – Eugène Olivier ośmielająco kiwnął pozostałej na miejscu kobiecie z dzieckiem, która nie podążyła w ślad za grupą wyprowadzanych. Najwidoczniej słabo rozumiała lingua-franca albo była zbyt wystraszona. – Nikt cię nie tknie, możesz uciekać z pozostałymi.

– Posłuchajcie... kafirzy... – Kobieta mówiła w lingua-franca z jakimś

niezrozumiałym akcentem. – Czy mogłabym... Czy mogłabym tu zostać? Nie zabijecie nas przecież? Słyszałam, że nie zabijacie kobiet i dzieci. Wielu ludzi mi tak mówiło. Więcej o was, znaczy się, o kafirach, prawie nic nie wiem, nie uczyłam się, nie umiem nawet czytać. Ale mogę dla was pracować, umiem wykonywać bardzo dużo różnych prac, które robią służące. Umiem ciężko pracować, przysięgam!

– Ale po co ci to? – Eugène Olivier ledwo mówił ze zdumienia. – Przecież jesteś młodszą żoną imama, tak?

Kobieta wzdygnęła się na całym ciele.

– Tak...

– Słuchaj, dziecinko – głos Sophie zabrzmiał niespodziewanie łagodnie. – Zdejmij no na początek tę szmatę.

Młoda kobieta w zalęknieniu aż odskoczyła, spazmatycznie i głośno westchnęła, a następnie zdecydowanym ruchem, jakby bała się, że się rozmyśli, zerwała parandżę. Okazało się, że jest zupełnie młodziutka, szczupła, niebieskooka, z jasnymi rzęsami i prawie bezbarwnymi włosami.

– No i po co było chować taką ładniutką buźkę? O co chodzi, gadaj tu zaraz, tylko nie za długo, bo nie mamy czasu.

– Nie sądzę, żeby wśród kafirów było mi gorzej niż wśród prawowiernych. Wydali mnie za imama dlatego, że rodzice bardzo chcieli się spowinowacić z wpływowym człowiekiem, a on... Widzi pani, to mój syn! Widzi pani przecież, ma jasne włosy... Mąż chciał... chciał...

– Chciał go podać za dziecko z getta? – szybko dokończyła Sophie. – Planował go poświęcić w razie wpadki, byle się uratować?

Młoda kobieta słabo kiwnęła, silniej przyciskając chłopczyka do piersi.

– Stara sztuczka. – Sophie jakby nie zauważyła spojrzeń, którymi wymienili się jej towarzysze broni. – Oczywiście, nikt cię nie zmusza, żebyś z nimi szła. Léveque, odprowadź dziewczynę do metra. Przydziel ją do grupy ewakuacyjnej, słowem, będziesz na miejscu, to coś wymyślisz.

– Idziemy! – Eugène Olivier, oczywiście, dobrze wiedział, że młodej kobiety nie wolno na przykład wziąć za rękę, żeby jej nie wystraszyć na

śmierć. – No nie trzęś się już jak osika. Patrzcie no, powiedziała mężulkowi *talak*¹¹³!

– Kobieta nie może powiedzieć mężowi *talak* – zaoponowała lekliwie, wychodząc za Eugènem Olivierem. – To może powiedzieć tylko mąż żonie.

– A tobie udało się zrobić na odwrót! – Eugène Olivier uśmiechnął się. – No dobra, biegnijmy trochę szybciej. Może ja poniosę malucha? Strasznie ciężki! No nie rycz, mama sobie nigdzie nie poszła, tu jest, obok. Po takich tarapatach można powiedzieć, że przeszedłeś chrzest bojowy, chłopcze.

Makisarzy stopniowo opuszczali katedrę, wracając na pozycje. Pozostało tylko kilku młodych katakumbników i de Lescure. Sophie nawet nie zauważyła, kiedy wszedł.

– Robić z tej rzeczy na powrót tron biskupi nie ma w ogóle sensu – do uszu Sophie dochodził głos ojca Lotaire’a. – Biskupa i tak tu dziś nie mamy! Po prostu wynieście to stąd, ale mimo wszystko trochę dalej, żeby się nie wałało podczas procesji pod nogami. Richard, Denis, zdejmijcie te idiotyczne mikrofony... De Lescure, a węgla to my mamy pod dostatkiem?

– Proszę o wybaczenie, ojcze, chciałbym się tylko upewnić, czy nie zostawił ojciec w domu kielicha liturgicznego? Dzięki Bogu, że akurat stary ołtarz jest prawie cały.

– Proszę księdza, niech ksiądz tu przyjdzie i sam zobaczy!

Sophie nie odmówiła sobie przyjemności wejścia po krętych schodach, żeby obejrzeć panoramę Paryża. Wejście warte było wysiłku, dokładnie tak, jak obiecywały przewodniki z czasów jej młodości. Widok zapierał dech w piersiach nawet teraz, gdy miasto leżało jeszcze w mroku. Letnia noc szybko jednak się rozplątywała. Można było już zobaczyć nie tylko rysujące się w ciemności na tle bladego nieba sylwetki budynków, ale i całe paryskie ulice, podobne do koryt wyschniętych rzek, gotowe za moment napełnić się ludzkimi potokami. Czy nie za dużo jest tłumów na ulicy o tej porze? Sophie, wczepiwszy się w kamienne pióra budowli,

113 Arab. Rozwodzę się z tobą!

wpatrywała się w dal. Wpatrywała się ze wszystkich sił. Beznadziejnie to wyglądało! Wczoraj jeszcze zdawało się im, że wojsk jest wiele, a przecież na palcach obu rąk można było policzyć zgrupowane tam było jednostki! Dziś było ich morze.

Wszystko jasne. Boją się sukinsyny użyć artylerii, ale mięsa armatniego im nie szkoda. Właśnie tak postanowili nas zgnieść, i to jak najszybciej. Dowództwo już to pewnie zaplanowało. Mają tam geniuszy, nie ma co!

Coś błysnęło pod nogami. W kącie leżał jakiś porzucony telefon komórkowy. Już kilka razy w ciągu minionej doby chciała się zaopatrzyć w takie urządzenie, ale jakoś nie było okazji. Gdyby nie przypadek, musiałyby teraz gnać w dół na złamanie karku. Podniosła go i natychmiast wystukała numer.

– Dobrze, że to pani, Sophie! – natychmiast zgłosił się La Rochejaquelein. – Akurat chciałem się dowiedzieć, co tam u was.

– Dziękuję, trzymamy się. Henri, czas wyciągać karabiny maszynowe, granatniki, artylerię. Słowem, nie ma już żadnego sensu ukrywać naszego arsenału.

– Sophie, przecież oni wtedy też puszcza w ruch armaty.

– Nie zdążą, nawet nie przyszło im do głowy, żeby je tu sprowadzić.

– Jest pani pewna?

– A jak pan myśli, gdzie teraz jestem, Henri? Na dachu Notre Dame.

– No cóż, wnioskuję z tego, że wszystko u was porządku.

– Nawet lepiej – Sophie odgarnęła kosmyk, który wiatr zarzucił jej na twarz. – Myślę, że kościół jest już doprowadzony do porządku, o ile to w ogóle możliwe. Potrzeba nam będzie około trzech godzin na wszystko razem. Henri, jedyna nasza szansa w tym, że nie wiedzą, jak mało nam już brakuje do zrealizowania planu. Nie wiem, czy zdążymy jeszcze się skontaktować, więc na wszelki wypadek już powiem, żeby za dwie i pół godziny dał pan sygnał do odwrotu.

– Zanotowałem czas. Za dwie i pół godziny zaczniemy wycofywać linię obrony.

– Wycofywać się zaczynajcie już powoli za dwie godziny. Henri, to będzie jatka. Dacie radę?

- Utrzymamy mosty, proszę się nie martwić, Sophie.
 - Wiem. Jeszcze jedno, Henri...
 - Tak? – głos w słuchawce stał się napięty.
 - Co złego to nie ja.
- Sophie rozłączyła się.

Najbardziej przykre jest to, że w tak krótkim czasie niczego nie da się zrobić z tymi korytami do mycia nóg. Nawiasem mówiąc, wykonali je nader solidnie. Sprowadzenie organów na ich właściwe miejsce, to jest na chór, też się nie uda, zresztą skąd by je teraz wziąć?

- Prawdziwa gregorianka¹¹⁴ nie potrzebuje organów – zwrócił się do de Lescure'a ojciec Lotaire. – Na mój gust, organy wynaleziono zbyt późno.

- Tak jak i okrągłe nuty, których ksiądz nie zna? – De Lescure rozpakowywał pudełka ze świecami.

- A po co miałbym je znać, skoro i tak wszystko widać na kwadratowych – prostodusznie odpowiedział ojciec Lotaire. – Nigdy nie mogłem pojąć, na co wam całe pięć linijek, nie, nawet proszę mi nie próbować wyjaśniać, ja i tak nie zrozumiem. Napatrzyła się już pani na miasto, Sophie? Zaraz zaczynamy.

- Za minutkę! – Sophie uniosła rękę we władczym geście. W jej głosie było coś, co sprawiło, że wszyscy wokół zamarli jak w bajkowym filmie animowanym. W ręce de Lescure'a zawisła w powietrzu wyjęta z opakowania świeca, a Yves Montoux zamarł w drzwiach, wynosząc na śmietnik stosy modlitewnych dywaników.

- Zamieniamy się w słuch, Sophie – powiedział miękko ojciec Lotaire.

- Za kilka minut wróg przystąpi do natarcia na mosty – ciągnęła dalej Sophie. – Walka będzie taka, że wczorajsza była tylko rozgrzewką. Rozumiem, bardzo dobrze rozumiem, jak wielu z was chciałoby być na dzisiejszej mszy w Notre Dame, na nabożeństwie będącym dowodem

114 Gregorianka - śpiew gregoriański albo chorał gregoriański, średniowieczny system śpiewu w Kościele rzymskokatolickim, według legend, ustanowiony przez papieża św. Grzegorza I Wielkiego (Dwojesłowa, 590-604). Śpiew gregoriański na równi z językiem łacińskim stanowi nieodłączną część tradycyjnej mszy św.

naszego zwycięstwa. Być może jeszcze jedna para rąk niewiele zmieni na barykadach. Ale... ojciec Lotaire, ilu ludzi potrzeba, zgodnie z waszą liturgią, żeby msza mogła się odbyć?

– Potrzebuję ministranta. I dobrze byłoby jeszcze, gdyby był choć jeden wierny. To już minimum minimorum.

– Potrzebny jest nam każdy, kto potrafi walczyć. Z drugiej strony, nie jestem ślepa na duchowe aspekty naszej walki. Powtarzam jednak, każda para rąk przyda się podczas tej bitwy. Nie mam żadnego prawa tego wymagać. I nie wymagam. Każdy powinien zdecydować sam za siebie, czy ma prawo być na mszy w chwili, gdy inni będą umierać. Skończyłam. Może ksiądz przystąpić do dzieła.

Thomas Bourdelet zaszlochał jak dziecko.

Yves Montoux zazgrzytał zębami.

– Jeśli o mnie chodzi, wracam na barykady. Tutaj rzeczywiście wystarczy trzech.

– Ja też.

– No to co, wszystko chyba jasne.

– Niech będzie. Roger, weź ze sobą jednego człowieka, lećcie na złamanie karku do magazynu, tam, do metra. Nie mogliśmy ryzykować przed czasem, wyciągając plastit-n na powierzchnię. Teraz jednak trzeba go szybko dostarczyć, dyżurny magazynu wie, ile dać. Postarajcie się uwinąć z tym w pół godziny.

– Dobrze.

*

Przekazawszy grupie ewakuacyjnej byłą żonę imama, Eugène Olivier pospieszył do wyjścia z metra. Jeszcze gdy do niego szli, na mostach zaczynała się już strzelanina. Teraz brzmiała inaczej, wydano chyba rozkaz, żeby wystawić karabiny maszynowe. Trzeba się spieszyć. Na schodach Eugène Olivier zderzył się z Rogerem Moulinier, obok którego biegł jakiś chłopak z katakumbników.

– Cześć! Czy msza już się zaczęła?

– Jeszcze nie. Wyobrażasz to sobie, przecież to będzie msza-requiem! –

wykrzyknął piegowaty chłopak.

– Poszedłbym, ale nie mogę... Idę teraz do Małego Mostu. Chciałem jednak poczekać, aż ojciec Lotaire zejdzie do metra. Nie wiecie przypadkiem, kiedy wyjdzie z katedry?

Rozmówcy wymienili się jakimiś dziwnymi spojrzeniami.

– Nie kombinuj, Léveque, wycofuj się, kiedy rozkażą – napomniął go ostro Roger.

– Co z ojcem Lotairem?! – zatrzymując Rogera, Eugène Olivier wczepił się stalowym uściskiem w jego łokieć. – Moulinier, dokończ!

– To ty w ogóle o niczym nie słyszałeś? Ojciec Lotaire... i Sophie Sévazmiou... zostaną w Notre Dame do końca. Do samego końca. Tak postanowili. I puść moją kurtkę, Léveque, mam jeszcze dużo do roboty.

Nie musiał prosić, palce same zwolniły uścisk. Eugène Olivier szedł na Mały Most, z początku wolniej, potem szybciej, w miarę tego, jak docierało do niego, co się dzieje na barykadach.

Na Małym Moście tymczasem działy się rzeczy niewyobrażalne. Ani nadpalonej barykady, ani powierzchni przejezdnej części mostu nie było już widać pod ciałami w niebieskich mundurach. Inne niebieskie mundury wbiegały prosto po nich. Wydawało się, że ktoś obficie polał płonąca naftą ogromne mrowisko.

– W żyłę im czegoś dali, czy co, do cholery?! – rzucił gniewnie George Pernoud. – Prą jak otumanieni! Boże miłosiwy, to jakiś obłąd! Hej, Bertaud!

Ten, nie pytając, odłożył kałasznikowa i usiadł na miejsce Pernoud przy karabinie.

– Halo, Paul, halo?– krzyczał Pernoud. – Pociski do granatników jeszcze są? Nie wiecie? Cholera, może chociaż coś do moździerzy? Cokolwiek? Dobra, weźmiemy! I daj sygnał La Rochejaqueleinowi, niech skądś wytrząśnie ludzi, chociaż dziesięciu ludzi by mi się przydało! Tu połowa ludzi została wybita, zresztą, co ja mówię, połowa, dwie trzecie!

Tak, dwie trzecie, i to wszystko w ciągu jakiejś pół godziny, pomyślał Eugène Olivier, spojrzawszy mimochodem na rozbitą głowę Yves'a

Montoux. Nie było już możliwości, by chociaż przenosić ciała zabitych na bok.

– Léveque, leć po granaty, póki dają! – krzyknął George. Kosmyk włosów, który opadł mu na czoło, szerniał od lepkiej krwi, trudno powiedzieć, czyjej.

Eugène Olivier podskoczył i puścił się pędem: ukryte znużenie było tak wielkie, że na świst kuł zwracał nie większej uwagi, niż na majowe chrząszcze. Wydawało mu się, że może biegać, padać, podskakiwać i strzelać w nieskończoność, jak zaprogramowany automat. Jakby ten kołowrót miałby nigdy się nie skończyć, jakby ta mocno skręcona wewnątrz sprężyna miała nigdy nie pęknąć.

*

Kassim pędził po Małym Moście na przedzie, prawie nie zasłaniając się kuloodporną tarczą. Ruszył do ataku jako jeden z pierwszych, chociaż mógłby spokojnie siedzieć sobie teraz w „Szekspirowskiej” bibliotece. Prowadząc żołnierzy do ataku, po drodze zadawał sobie pytanie, czy ktoś zauważy, że on akurat nie strzela. Nie rozumiał, dlaczego nie strzela, nie chciał rozumieć, jaka siła ciągnie go wprost na linię ognia.

*

– Bertaud, zmienię cię! – krzyknął George Pernoud, zanim zdążył zrozumieć, że karabin, za którym leżał Roger, nie strzela.

Nie próbował nawet przesuwać ciała kolegi, po prostu odrobinę przysunął się ramieniem i położył obok martwego. Strzelał jeszcze jakieś pięć minut, dopóki karabin znów nie zamilkł. La Rochejaquelein zdążył: Eugène Olivier pędził z powrotem nie tylko z granatami do moździerzy. Biegło z nim siedmiu ludzi, wziętych do pomocy ze spokojnego Mostu Świętego Ludwika.

*

Nareszcie! Kassim lekko wskoczył na nasyp drugiej barykady. Jeszcze

chwila i będzie już po drugiej stronie. Są w Cité! Są? Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że póki co w Cité jest tylko on jeden. Obrońcy barykady, martwi, leżący teraz jeden na drugim, zdążyli położyć wszystkich atakujących z bliska. Wszystkich, oprócz jego, Kassima.

To nie miało już żadnego znaczenia, wygrali mniej niż minutę, mniej niż pół minuty. Ale czas zaczął nagle biec wolniej niż wody Sekwany, tam w dole. Był sam na sam z martwymi, jedyny żywy. Makisar w bejsbolówce założonej daszkiem do tyłu, szczuły i niewysoki, okazał się być dziewczyną. A jaką tam dziewczyną, nie miała nawet trzynastu lat. Obok leżał mężczyzna w średnim wieku, a przecież Kassim widywał go już wcześniej, akurat raz kiedyś naprawiał samochód nie w swoim stałym serwisie, a w jakimś przypadkowym tanim warsztacie. On był tam pracownikiem, tak, niewątpliwie. Nigdy by go nie wziął za makisara. A tamten, z karabinem, jest bardzo podobny do Antoine'a. Antoine?! Nie, to na pewno ktoś inny, po prostu bardzo podobny. Dość tego!

Ile lat trwały te sekundy?

Kassim ułożył się za karabinem w tej samej chwili, kiedy czas nagle zaczętnął i przyspieszył. Jego wrogowie w niebieskich mundurach biegli już po moście.

*

Eugène Olivier biegł tak, aż wydawało się, że serce zaraz wyskoczy mu z gardła. Czyżby strzelanina na Małym Moście nagle ucichła? Wydawało mu się. Błagam, chłopaki, utrzymajcie się jeszcze chociaż ze cztery minuty!

Z dwóch karabinów maszynowych i kilkunastu kałasznikowów słychnąć było teraz tylko jeden karabin maszynowy. Wystarczyło to w zupełności, aby nie pozwolić atakującym wejść na barykadę. Strzały były przerywane, nierówne. Ktoś podbiegł, żeby zająć za karabinem miejsce rannego. Eugène Olivier tymczasem nachylił się nad nim, żeby zobaczyć, jak może pomóc.

Co to?!

– O cholera!! – ze zdumieniem zaklął ktoś obok. – Kto to jest?!

– Niech... idą... do diabła... – ranny w mundurze muzułmańskiego oficera z trudem otwierał siniejące wargi. Jego chwile były policzone. – Ja... ja nie jestem ich Kassim... Ja... jestem Xavier!

*

To dobrze, że przetrzucili ludzi na Mały Most z Mostu Świętego Ludwika – pomyślała Jeanne, odbezpieczając zamek. – Na drugim moście nie ma warunków do natarcia. Tu zaś napierają, powolutku, ale z uporem. No nic, tutaj i dwóch ludzi wystarczy. A lada moment powinien się pojawić ktoś trzeci.

*

Na razie się obroniliśmy, można sobie zapalić. Słobodan otworzył nową paczkę *Gauloises'ów*. Nie odmówiłby *Bielomorkanałów*, które paliła Sophie Sévazmiou, ale nie wypadało mu przecież prosić kobiety, żeby podzieliła się z nim taką drogą kontrabandą.

– Ej, słyszeliście nowinę?! – tego młodego makisara Jeanne nie znała, a tym bardziej nie znał go Słobodan.

– Nie, a co? Postawili cię tu z nami?

– Nie ma już nawet po co ludzi stawiać! Tamci odeszli, mają już dość rzeźni. Nasi przesłuchali pocztę głosową w telefonie jednego z policjanów. Wycofują się na co najmniej godzinę! Chcą nas ostrzelać z artylerii, planują też desant przez Sekwanę. Chyba w końcu wzięli nas na poważnie! Jaka szkoda, że nie będzie do kogo strzelać przez godzinę! No, zdziwią się, biedacy, jak zobaczą, co tu szykujemy. Słowem, na razie mamy rozkaz wycofywać się.

– Super!! – Jeanne podskoczyła, unosząc ręce nad głową. – No, super! To ja teraz chyba odtańczę partię Giselle!

*

Słobodan mimowolnie uśmiechnął się, z rozkoszą zaciągając się dymem. Stał oparty nogą o worek, i było mu niewypowiedzianie

przyjemnie rozprostować plecy. Rzuciwszy niedopałek, mimowolnie zaobserwował jego lot – upadł tam, za barykadą, po stronie nieprzyjaciela. Niedopałek leżał na asfalcie, obok ręki zabitego ściskającej rewolwer. Ręka zaczęła powoli się podnosić, lufa rewolweru wycelowana była tuż obok Słobodana, w skaczącą po barykadzie Jeanne.

Rewolwer szarpnął, wyrzucając z siebie śmiercionośny pocisk. Ciało na asfalcie spięło się w ostatniej konwulsji.

Słobodan zdążył na wpół odciągnąć, na wpół zakryć Jeanne, jak się okazało, własną pierśią. Paskudna sprawa, stwierdził jeszcze spokojnie, jakby nic się nie stało. Kto mógł przypuszczać, że tamten jeszcze żyje i że strzeli.

– Jesteś ranny?! Mocno ci brudas dołożył? – krzyknęła Jeanne.

– Nie wiem jeszcze. Biegnij do metra... wyślesz po mnie... sanitariuszy... – Na początku wypowiadał słowa całkiem lekko, potem coraz trudniej. Świadomość, dopiero co jasna, nagle zmąciła się gwałtownie, jakby ktoś zaparował oddechem przezroczyście szkło.

– Słyszałaś... to rozkaz... Nie masz tu już nic do roboty. Biegnij!

– *Odbiło ci?!!*

Słobodan poczuł, jak jezdnia pod nim zaczęła się poruszać niczym twarda tarka. Później kamienie nagle przestały go uwierać i zaczął widzieć wyraźniej. Odkrył, że leży prawie przy samym wejściu na peron Cité, a nad nim nachyla się Jeanne. Nie od razu ją poznał. Przezroczyście krople obficie spływały po jej policzkach. *Pewnie pada deszcz*, pomyślał. Ale deszczu nie było. Jeanne otarła twarz rękawem kowbojki. Słobodan ze zgrozą uświadomił sobie, że dziewczynka wlokła go sama jedna od Mostu Świętego Ludwika aż do wejścia do metra. Jak jej się w ogóle udało go podźwignąć z miejsca, przy jego wzroście i dziewięćdziesięciu kilogramach wagi!

– Po co... przecież... przeforsujesz się.... – słowa miały jakiś słony smak.

– Cicho! – oddech Jeanne był głośny i świszczący. – Nie wolno ci mówić... A po coś ty to zrobił? No po co? Co to, ja sama nie umiem się o siebie zatroszczyć?!

Słobodan patrzył z rozrzewnieniem na młodziutką twarz i nie mógł oderwać od niej oczu: francuska dziewczyna złościła się na niego za to, że osłonił ją swoim ciałem Teraz, gdy jest ranny, Francuzka zaciekle walczyła o jego życie.

Nagle zrobiło mu się lekko, niewypowiedzianie lekko. Jego serce zostało przepełnione poczuciem szczęścia, którego od lat nie doświadczał. Było to beztroskie, dziecięce szczęście, jakiego doznają maluchy w wigilię bożonarodzeniowej kolacji otoczone miłością rodziców. W końcu dotarło to do niego. Jego dusza okazała się znacznie bardziej pojętna niż umysł. Przyszedł na te barykady nie dlatego, by postrzelać do muzułmanów, o czym skądinąd przecież marzył całe lata. Sophie miała rację - normalny człowiek nie znajduje w zemście ani spełnienia, ani satysfakcji. Nie rozumiał tego wcześniej, ale jego dusza to wiedziała. Przyszedł tutaj po to, żeby ramię w ramię dzielić ciężar walki z narodem, który niegdyś wyrządził krzywdę jego narodowi, ale który teraz cierpiał równie mocno. Przyszedł tutaj, żeby być razem z tymi, którym wybaczył.

Ale po to, by uświadomić sobie to i doświadczyć szczęścia oraz dobrodziejstwa chrześcijańskiego wybaczenia, potrzebował, jak się okazało, drobnostki. Potrzebował jedynie zobaczyć nad sobą to gniewne oblicze młodej Francuzki. A może to wcale nie drobnostka, a coś bardzo wielkiego?

- ...*Żyj... proszę...* - słowa zabrzmiały z niespodziewaną siłą, głośno. Krew trysnęła z jego ust.

- Nie!!! - rozpaczliwie krzyknęła Jeanne. Ale ten krzyk dotarł do Słobodana już jakby z bardzo daleka, i zanim ustał, niczego już nie słyszał.

- Słyszałeś, Léveque?! Mamy rozkaz wycofywać się! Wytrzymaliśmy, ile było trzeba! Tam, w katedrze, będą mieli jeszcze nawet godzinę więcej, niż potrzeba!

Eugène Olivier kiwnął głową, wziął ofiarowaną mu przez kogoś butelkę wody. Na początku dotarło do niego tylko jedno - można się nie bić i nie strzelać, choćby na chwilę. Powieki same się zamknęły.

Ciemno. Nie spał, po prostu upajał się ociężałością mięśni i dzwoniącą pustką myśli.

Minęła minuta. Pięć minut. Eugène Olivier wzdrygnął się. Przypomniał sobie.

ROZDZIAŁ XVIII

Statek odpływa

Odgłosy serii z automatów niosły się już nie tylko z mostów. Na dole, na peronie stacji metra Saint-Michel, również terkotały karabiny maszynowe.

– Artyleria właśnie wkroczyła do akcji – zauważył Vincent de Lescure. – Nasza artyleria. Swoją drogą, moim rodzicom w życiu by się nie śniło, że przyjdzie mi uczestniczyć w tak starodawnej ceremonii, jak *Ritus reconcilliandi ecclesiam violatam*¹¹⁵.

– Jak pan ocenia sytuację, sądząc po odgłosach strzelaniny? – ojciec Lotaire kartkował w powietrzu kieszonkowe wydanie *Rituale Romanum*¹¹⁶. – Muszę przyznać, monsieur de Lescure, że jestem pod ogromnym wrażeniem pańskiego udziału w opracowaniu planu obrony. Nawet Sophie Sévazmiou powinna była pana słuchać.

– Zapomina ksiądz, ile mam lat – uśmiechnął się de Lescure. – Uczyłem się w Saint-Cyr¹¹⁷. Było to chyba jedyne miejsce w naszej fatalnej republice, które umożliwiło start do wielkiej kariery nie dorobkiewiczowi, a ubogiemu arystokracie. Gdyby nie to, że byłem wtedy za młody, zostałbym pewnie generałem sztabowym, zamiast skończyć jako księgarz.

– W życiu bym nie pomyślał – ojciec Lotaire, zaznaczywszy jedwabną

115 Łac. Rytuał rekonsekracji zbezczeszczonej świątyni.

116 *Rituale Romanum* (łac. *Rytuał Rzymski*) - księga obrzędowa Kościoła rzymskokatolickiego, zawierająca teksty różnych rytuałów - chrztu, ślubu, egzekwii, sakramentu chorych itd.

117 Akademia wojskowa Republiki Francuskiej, założona przez Napoleona Bonaparte (przyp. red.).

wstążeczką odpowiednią stronę, podał książeczkę de Lescure'owi i narzucił na wierzch sutanny pluwiak¹¹⁸. – Zaczynamy w imię Boże, już czas.

Stali przed drzwiami głównego wejścia. Wiatr przewracał strony książeczki ojca Lotaire'a i podwiewał komżę de Lescure'a, zbyt szeroką dla jego szczupłej figury. Węgiel syczał i strzelał w kadzielnicy, cienka strużka kadzidła rozpoczęła swoje igraszki z wiatrem.

– *Asperges me, Domine, hyssopo, et mundabor: lavabis me, et super nivem dealbabor*¹¹⁹ – głos wzniósł się ku niebu, echem odbijając się od ścian. Dziwnie, niesamowicie dziwnie było móc swobodnie odprawiać rytuał nie w podziemiach, a przy jasnym świetle słońca.

Powoli krocząc za słońcem, ruszyli wzdłuż ścian. Zanim jednak małeńka procesja okrążyła fasadę, do głównego wejścia przybiegli co tchu dwaj chłopcy, pochyleni, z workami na plecach.

Sophie, spojrzawszy na zegarek, westchnęła z ulgą.

– Madame raczy przyjąć dwadzieścia kilogramów czekolady! – rzucił w biegu zziązany Thomas Bourdelet, niewysoki, piegowaty, jeden z tych, dla których nie ma zbyt trudnych spraw. Na msze chodził od najmłodszych lat, najpierw z rodzicami, potem – po ich śmierci w getcie – już sam.

– Ciszej, głupku, ojciec Lotaire już zaczął – ofuknął go Roger Moulinier, przerzucając ciężar na drugie ramię. Jeszcze miesiąc temu on, dziewiętnastoletni bojownik *Maquis*, nawet nie wiedział co to takiego jest msza. – Wszystko w porządku, Sophie. Do metra nie można się już teraz tak łatwo dostać, brudasy odłączyły prąd. Na czynnych stacjach panuje w tej chwili taki sam mrok, jak na zamkniętych. A plastitum mamy rzeczywiście dwadzieścia kilogramów, popakowane po dziesięć w każdym worku.

118 Pluwiak (z łac. *pluviale*- płaszcz przeciwdeszczowy] - zapinana na piersiach długa szata liturgiczna, narzutka z kapturem, zakładana podczas procesji i wszelkich nabożeństw, z wyjątkiem mszy świętej.

119 Łac. „Pokrop mnie, Panie, hizopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybielej” (Ps 51,9).

Skrucha Dawida wylewała się ze słów psalmu pięćdziesiątego pierwszego, z błagalnej modlitwy wznoszonej do Boga, by oczyścić go z nieprawości i obmył z grzechu. Przechodząc pod zawieszoną na zewnątrz drabinką, wiodącą na „żeńskie” piętro już prawie byłego meczetu, de Lescure skrzywił się, z trudem powstrzymując cisnące się na usta przekleństwo. No trudno, całe to paskudztwo i tak nie ma już żadnego znaczenia.

– Nieźle się spisaliście, chłopcy! – Sophie Sévazmios nasunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło: w jej oczach igrały wesołe iskierki. Miała na sobie jedwabisty czarny golf, na to kowbojkę w szarą kratkę, a do tego lekką wiatrówkę z mnóstwem kieszeni. Ale nawet spod tej grubej warstwy ubrań widać było jej niemal dziewczęcą szczupłość. Roger poczuł, że jego wzrok jakby sam z siebie rejestruje najdrobniejsze rysy jej twarzy: usta były odrobinę spieczone, pod oczami, na skutek zmęczenia, pojawiły się cienie. Jakże piękna była jej ręka, ta bez rękawiczki, z długimi palcami, biała, całkiem nieopalona.

– Umrzeć możesz dziś i ty, Roger – Sophie uśmiechnęła się, jej wesołe spojrzenie znów skryło się za okularami. – Zwłaszcza, jeśli się pospieszysz. Na pozycjach liczy się każdy kałasznikow. Dalej, chłopcy, postawcie to wszystko migiem pośrodku nawy, nie kaźcie staruszce się schylać.,

Dwuosobowa procesja kroczyła już pod oplatającą katedrę gęstwiną łąków przyporowych. Niechybnie to właśnie do nich Sophie przyczepi ładunki, mimowolnie pomyślał ojciec Lotaire, potrząsnąwszy kropidłem. Błyszczące krople wody opadły na stare kamienie.

Moglibyśmy szybciej okrążyć kościół, nie wiedzieć czemu pomyślał de Lescure, walcząc z pragnieniem, żeby przyspieszyć kroku. Panie, pozwól doprowadzić to dzieło do końca, przecież wszystko teraz zależy od tego młodego księdza, niosącego na ramieniu zbyt ciężkie brzemię. Nawet mój młodszy syn, Etienne, gdyby żył, byłby teraz o sześć lat starszy. Panie, pozwól mu doprowadzić dzieło do końca. Jeszcze tylko dwa-trzy kroki. Skąd to dziwne uczucie, że za tamtą ścianą jest już bezpiecznie? A czy teraz coś mu w ogóle grozi?

Kula wystrzelona przez snajpera, który nie wiadomo skąd się tu przedostał, z brzdękami stuknęła o kamień. Kadzielnica drgnęła.

Pudło, pomyślał ojciec Lotaire, jeszcze zanim de Lescure, zatoczył się i osunął na kolana.

– A niech to... rykoszet... – wyszeptał, próbując jeszcze podać kapłanowi naczynie z kropidłem.

– Jest pan ranny, Lescure, ciężko? – Szamocząc się z kadzielnicą, *Rytuałem* i kropielnicą ojciec Lotaire próbował wyswobodzić jedną rękę, żeby pomóc ministrantowi.

– Ranny, zabity, a skąd ja mam to wiedzieć – fuknął zirytowany de Lescure. – Ruszaj! To nie zabawa, tutaj wciąż jest jeszcze meczet!

Ojciec Lotaire, zagryzłszy wargi do krwi, odwrócił się do rannego plecami i poszedł dalej. Jeszcze jedna kula uderzyła o jezdnię, lecz ksiądz był już poza zasięgiem strzałów.

Przypadłszy ciężko do ściany, de Lescure próbował odgadnąć, skąd strzelano. Ale kolejnych wystrzałów już nie było, zresztą, w tym chaosie trudno było cokolwiek zrozumieć. Ból rozmywał przed oczami znajomy mu od dzieciństwa miejski pejzaż, jak strugi deszczu na przedniej szybie samochodu. Nie pomogło mruganie powiekami - wzrok nie chciał się wyostrzyć. De Lescure pozwolił sobie w końcu na jęk, mając nadzieję, że kapłan jest już daleko.

Kapłan jednak ten jęk usłyszał - szedł teraz dwa razy wolniej, sam nie rozumiejąc, jak mu się udaje jednocześnie radzić sobie samemu z *Rytuałem*, kadzielnicą i wodą święconą. Ale dalej już tak nie da rady... *In extremis*, oczywiście, może pomóc Sophie, ale ona przecież sama jest zajęta.

Sophie była już w środku, właśnie rozpakowywała zawartość worków, przymocowując do każdego niewielkiego pakunku zapalnik. Bourdelet i Moulinier też wrócili już na swoje pozycje.

Ojciec Lotaire ponownie stanął u wejścia, gdzie powołując się na autorytet Zbawiciela, nakazał szatanowi iść precz. Procesja dokoła świątyni została zakończona. Na szczęście, drzwi były rozwalone, inaczej nie zdołałby wejść do środka ze swoim niezbyt ciężkim, ale za to bardzo

niewygodnym brzemieniem.

Sophie, siedząca nieopodal i zajęta grzebaniem w plastocie-n, podniosła głowę. Po jej twarzy przebiegł cień. Porzuciwszy swoje zajęcie, zerwała się na równe nogi, po czym zawahała się: biec do kapłana, by wziąć coś od niego, a może raczej nie, może nie wolno? Ta poza: rozpoczęty, ale zatrzymany krok, rozłożone w niedowierzaniu ręce, uczyniła ją jakoś wzruszająco młodą.

Ojciec Lotaire uśmiechnął się do niej z daleka: można, Sophie, *in extremis* bardzo wiele można. W sowieckich łagrach kobiety z braku kapłana same chrzcili niemowlęta, więc czemu teraz kobieta by nie mogła wziąć ode mnie kadzidła? Tamci zabrali nam jednak trochę czasu, zabijając Vincenta de Lescure'a, jego nieobecność będzie nas kosztować jeszcze wiele istnień.

Za plecami zadudniły pospieszne kroki, ale ojciec Lotaire nawet się nie obejrzał: z twarzy Sophie mógł wyczytać, że nie ma niebezpieczeństwa. Z hukiem upadł rzucony na posadzkę kałasznikow: Eugène Olivier Léveque, ciężko dysząc, z świeżo zaschniętymi krwawymi zadrapaniami na dłoniach, cały umazany benzyną, sadzą, ziemią, cementem, w porwanych na jednym kolanie džinsach, wyciągał już rękę po kadzielnicę.

*Jube, Domne, benedicere!*¹²⁰ – słowa powiedziały się same, jakby od zawsze je pamiętał, jakby je wypowiadał setki razy.

Nie było czasu i powodu, by się zastanawiać, jak się dowiedział, że de Lescure wypadł z szeregu. A może zjawił się tu z innego powodu? Sophie zabrała się za pakunki, w pośpiechu nadrabiając stracone minuty. Ojciec Lotaire, uczyniwszy nad klęczącym młodzieńcem znak krzyża, z ulgą przekazał mu kadzielnicę, kropidło i kropielnicę, sobie zostawiając jedynie *Rytuał*.

– *Or emus.* – Cuda, to prawdziwe cuda, o których wiedział, ale nie miał już nadziei, że kiedykolwiek w życiu sam jednego doświadczy, i nie przypuszczał, jak wielkie to szczęście: sklepienia uniosły jego głos ku górze, tak jak wiatr unosi liść. Czy można to w ogóle porównać z tymi

120 Łac. Panie, racz pobłogosławić (przyp. red.).

byle jak zaaranżowanymi na kaplicę zwykłymi pokojami? Jakimiż ignorantami musieli być ci z neokatolików, którzy mając tak doskonale zaprojektowaną akustycznie świątynię, porozwieszali tu mnóstwo głośników. Nic dziwnego, że potem tak łatwo przeszli na islam! Doskonała gotycka architektura sprawiała, że dźwięk nie niknął, a coraz bardziej rozbrzmiewał wśród ścian katedry.

– *Omnipotens et misericors Deus, qui Sacerdotibus tuis tantam prae ceteris gratiam contulisti, ut quidquid in tuo nomine digne, perfecteque ad eis agitur, a te fieri credatur: quaesumus immensam clementiam tuam; ut quidquid modo visitaturi sumus, et quidquid benedicturi sumus, benedicas; ad nostrae humilitatis introitum, Sanctorum tuorum meritis, fuga daemonum, Angeli pacis ingressus. Per Christum Dominum nostrum*¹²¹.

– Amen – odpowiedział Eugène Olivier.

Procesja skierowała się w stronę ołtarza. Zrównawszy się z Sophie, ojciec Lotaire podniósł kropidło. Krople wody opadły na jej twarz. W młodości, w ciągu tych kilku szczęśliwych lat spędzonych z Leonidem Sévazmiose, szczęśliwych o tyle, o ile Sonia Grinberg w ogóle była w stanie doświadczać szczęścia, woda święcona nie wiedzieć czemu, pachniała dla niej konwaliami. Tyle lat już minęło, a zapach pozostał ten sam.

Ojcu Lotaire'owi zdawało się, że to we śnie idzie po ogromnej świątyni, poprzecinanej smugami słonecznych promieni, podobnej do statku ze swoimi masztami kolumn, zwężeniem części ołtarzowej, prostą linią chóru i czymś jeszcze, czymś, czego nie sposób pojąć. W tym miejscu powinny wisieć chorągwie, jak żagle. Statek, znamienna podstawa kościelnej architektury.

Statek odpływający do Wieczności, ojciec Lotaire uśmiechnął się sam do

121 Wszemogący i miłosierny Boże, Ty swoim kapłanom udzieliłeś tak wielkiej i szczególnej łaski, że cokolwiek w Twoje Imię godnie i z doskonałością czynią, jako przez Ciebie samego uczynione, z wiarą przyjąć należy. Przeko błagamy Twe nieskończone miłosierdzie, abys to, co nawiedzić pragniemy i pobłogosławić, błogosławił; abys przez to nasze wejście, poprzez zasługi świętych Twoich wypędził ducha złego, a niechaj w to miejsce wstąpi Anioł pokoju. Przez Chrystusa, Pana naszego.

siebie. Mając głowę pełną tak wzniosłych myśli, rzeczywiście mógł się łatwo poczuć jak średniowieczny rycerz. *Ale dość tego; jak powiedziałaaby Valérie: trzeba dokonać dzieła, zanim zbiegną się tu „zadki”.*

Rozpoczynając litanię, ojciec Lotaire zauważył kątem oka, że Sophie skierowała się do wyjścia z pakunkami w rękach. No tak, łęki przyporowe. Tymczasem jednak, jeśli ją zabiją, jak de Lescure’a, trudno będzie znaleźć kogoś, kto zrobi to za nią. *Trzeba mieć nadzieję, że chociaż chłopak okaże się dobrym ministrantem. Ale postaraj się, Sophie, przeżyć jeszcze półtorej godziny.*

– *Ut hanc ecclesiam, et altare hoc purgare, et reconci...* – ojciec Lotaire, powstawszy z kolan, uczynił znak krzyża nad kamieniem, który przez wiele lat służył za bezsensowną dekorację – *...liare digneris*¹²².

– *Te rogamus, audi nos!*¹²³ – prawie w rozpacz krzyknął Eugène Olivier, już nie pytając siebie, jak to możliwe, by pamięć przodków przemawiała teraz jego ustami.

Zaczęli modlić się Psalmem 67.

Sophie wróciła do kościoła bez bagażu, czego zresztą należało się spodziewać. To znaczy, że już się zaczęło; czas ruszył z miejsca, a przynajmniej jego wskazówka przesunęła się już w stronę innej formy bytu.

– No i proszę, teraz to znów jest kościół – ojciec Lotaire nagle odczuł, jak chwieje się od wewnętrznego napięcia. – Teraz to znów Notre Dame. Eugène Olivier, Sophie, meczet Al-Frankoni już nie istnieje, diabli go wzięli.

– *Hurra!* – Eugène Olivier był podekscytowany. Sądząc po twarzy ojca Lotaire’a, on sam też nie miałby nic przeciwko jakiemuś okrzykowi, a w iskiekch malutkich świeczek odbijających się w czarnych oczach Sophie Sévazmiou widać było to samo łobuzerskie i niepoważne „Hurra!”

– Co z de Lescurem, Sophie?

– Nie żyje.

122 Łac. Abyś kościół ten i ołtarz ten oczyścić i na nowo poświęcić raczył.

123 Łac. Ciebie prosimy, wysłuchaj nas.

– Rozumiem. No cóż, wszyscy na miejsca – ojciec Lotaire zwrócił się do Eugène’a Obviera. – Ornaty leżą w porządku, w jakim powinienesz mi je podawać. Dalej będę ci już podpowiadał.

Ojciec Lotaire, już bez pluwiaku i biretu, na chwilę przykrył głowę amiktem¹²⁴ i przełożył go na ramiona, przyoblekł na wierzch sutanny długą, lnianą albę. Na albie zawiązał powroźniczy pas. Nasze węzły też są jakby morskie, przemknęło mu znów przez głowę. W każdym razie, je także trzeba znać. Zarówno stuła, jak i ornat były czarne, jak to przyjęte jest na mszy żałobnej.

Sophie przypomniała się nagle ciocia Liza, choć śmiesznie było nazywać ciotką dziewczynę starszą zaledwie o jedenaście lat. Sonia najczęściej też nazywała ją po prostu Lizą.

Stojąc na drabince, Sophie umocowywała teraz na kolumnie kolejne opakowanie plastytu-n, nie grubsze od książki, obklejając je na krzyż szerokimi pasami taśmy. Liza. Że też musiało jej teraz przyjść do głowy tak zupełnie zatarte wspomnienie! Niezatarte, ale wyparte przez pamięć, mimowolne poczucie winy, które w młodości nie dawało jej spokoju.

Z postaci Lizy Zabielinej, dużo młodszej siostry matki, zapadł jej w pamięć przede wszystkim wspaniały warkocz do kolan. Zdarzają się takie jasnokasztanowe lekko faliste włosy, odrobinę sztywne, ale za to niewiarygodnie puszyste. Za warkoczem Lizy oglądano się na ulicy. Warkocz stanowił jej styl, niezwykle upiększał jej nieco okrągłą twarz z odrobinę zadartym noskiem i szeroko rozstawionymi szarymi oczami. Liza miała szerokie ramiona i długie nogi. Lubiła chodzić w koszulkach polo i adidasach, przez co wyglądała na miłośniczkę sportu, chociaż nigdy w życiu nie była na lekcji WF. Od urodzenia miała problemy z sercem. Sonię, ku jej zawstydzeniu, ten temat zainteresował dopiero wtedy, kiedy nie było już kogo o to zapytać. Liza - chorowite, późne, zbyt długo trzymane pod kloszem dziecko - jak to się często zdarza,

¹²⁴ Amikt (*łac. amictus* - okrycie) - szata liturgiczna używana przez kapłanów w Kościele rzymskokatolickim: niewielki biały płaszcz zakładany pod albę. Po Soborze Watykańskim II w ramach reform liturgii amikt został zniesiony, ale zachował się u katolików-tradycjonalistów.

wyglądała zarówno na młodszą, jak i na starszą niż w rzeczywistości. Porywczą, gardzącą rówieśnikami, za to doskonale odnajdującą się w towarzystwie dorosłych Liza potrafiła godzinami surfować po internecie, wyjaśniając losy jakiegoś albumu sprzed dziewięćdziesięciu lat. Dorosła Sophie zapamiętała tylko zewnętrzne oznaki wewnętrznego świata młodej ciotki, tak jak paleontologowi przedstawia się kości dinozaura, żeby on sam oblekł je w ścięgna i mięśnie: zaczytane aż do zdercia pierwsze wydanie *Uniesionych wiatrem* w ciemnooliwkowej oprawie, portrety wielkich generałów i chłopca w generalskim mundurku, lampka oliwna przed ikoną w zaszklonej skrzynce, którą dziecko chętnie by rozdłubało. I to właśnie dla tego dziecka, Sońki-chrześcianki (był to pierwszy przejaw jej silnego charakteru - dwunastoletnia dziewczynka wpadła na pomysł, żeby w tajemnicy ochrzcić roczne dziecko), Liza, otaczająca się wyłącznie intelektualistami, robiła wyjątek. Z siostrzenicą potrafiła bawić się godzinami.

– *Requiem aeternam dona eis, Domine*: – ojciec Lotaire uczynił znak krzyża nie wysoko, przed sobą, jak podczas normalnej liturgii, ale nad kamieniem ołtarza, błogosławiąc dusze umarłych – *et lux perpetua luceas eis. Te decet himnus, Deus, in Sion, et tibi reddetur Votum in Jerusalem: exaudi orationem meam, ad te omnis caro veniet. Requiem aeternam dona eis, Domine: et lux perpetua luceat eis*¹²⁵.

W wieku około dziesięciu lat Sonii nie ciągnęło już tak do staromodnego i ciemnego mieszkania na prospekcie Uniwersyteckim. Ciotkę denerwowały jej gry przygodowe i strzelanki, zmuszała ją za to do oglądania długiach filmów o historii ojczyzny, bez zamków, rycerzy i turniejów.

Ale podczas tych ciężkich miesięcy, gdy Sonia była w niewoli, to właśnie Liza nagle gwałtownie wydorosła i stanęła u boku ojca, który początkowo odchodził od zmysłów. Stała się niezawodną sekretarką,

125 Łac. Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Ciebie, Boże, przystoi wielbić hymnem na Syjonie; Tobie dopełnią ślubów w Jeruzalem; wysłuchaj mojej modlitwy; do Ciebie przyjdzie każdy człowiek. Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci.

wypełniając jego polecenia w firmie, w czasie, gdy on zajęty był ratowaniem Soni, i wydzwanając do ludzi potrzebnych do negocjacji, kiedy musiał wracać do interesów.

Jednak gdy ojciec, upuściwszy słuchawkę na podłogę, zakrzyknął: „Lizka, Sońkę wypuścili!!”, z sąsiedniego pokoju odpowiedziała mu głucha cisza. Liza siedziała tam nieruchomo, na kanapie, z zastygłym uśmiechem na ustach.

Dowiedziawszy się po czterech latach o okolicznościach śmierci ciotki, Sonia łamała sobie głowę pytaniem, na które nie było odpowiedzi: skąd to dzikie poczucie winy, przecież jasne jest, że to nie była jej wina, absolutnie nie, winni byli tylko oni.

A może to był tylko żal, że pewnych rzeczy nie da się już naprawić? Jedno jest pewne, nieprzypadkowo wspomnienie o ciotce przyszło właśnie dziś.

Tak rozmyślając, Sonia mocowała czwarty już ładunek plastyku-n.

Ojciec Lotaire, nie odwracając się, jednym tylko stanowczym ruchem ręki zatrzymał Eugène Obviera, kiedy ten próbował powtórzyć za nim słowa *Confiteor*¹²⁶. Jak to? Pamiętał na pewno, że wierni też biją się pięścią w piersi przy słowach *mea culpa*¹²⁷. Na pewno, trzykrotnie. Och! To tylko u modernistów, a normalnie są dwa *Confiteor* - jedno kapłana, a drugie wiernych. Ojciec Lotaire właśnie zakończył swoje.

Eugène Olivier wyszedł z sytuacji z łatwością: trochę pomilczał, pochyliwszy się, i trzy razy wypowiedział tylko słowa, towarzyszące uderzeniom w pierś. Panie, już wybac mi to jakoś, przecież wiesz, że ja niespecjalnie. *Mea culpa*, Panie!

Co to będzie za widok! – uśmiechnęła się Sophie, starannie wystukując na ekraniku minutnika zielone cyfry.

Ileż to już lat sklepienia te nie słyszały łaciny, mimowolnie pomyślał ojciec Lotaire, przecież to było jeszcze na długo przed muzulmanami, zdaje się, że od roku siedemdziesiątego. Akurat mija siedemdziesiąt lat.

126 Łac. Spowiadam się - początkowe słowo i nazwa rytuału wyznawania grzechów, wchodzi w skład zachodniej liturgii obrządku rzymskiego.

127 Łac. Moja wina.

Jakże musiały tęsknić!

*Dies irae, dies ilia Solvet saeculum infavilla: Teste David cum Sibilla*¹²⁸.
*Quantus tremor estfuturus, Quando judex est venturus, Cuneta scripte discussurus!*¹²⁹

Sophie mimowolnie utkwiała wzrok w urzekający rytm gestów kapłana przed ołtarzem. Majestat katedry przydawał słowom hymnu pogrzebowego niezwyklej mocy.

*Tuba, mirum spargens sonum
Per sepulera regionum,
Coget omnes ante thronum.
Mors stupebit et natura
Cum resinget creatura,
Judicanti responsura*¹³⁰

To przecież za tych, którzy teraz padają na barykadach mostów, pomyślał sobie Eugène Olivier. O ileż złej jest tak umierać!

Sophie zesłała na dół w chwili, kiedy hymn już się zakończył. No cóż, teraz można sobie spokojnie wziąć udział w liturgii. Ziarenka minut będą dalej sypać się same.

Jakże Eugène Olivier żałował, że nie zna na pamięć Ewangelii, to na pewno jest jakiś urywek z tych, które mówią o przejściu ze śmierci do życia wiecznego. Co za szczęście mają ci, którzy mogą wysłuchać Ewangelii, a po niej kazania. Skąd on to wie? A jednak wie.

Zgadza się, ojciec Lotaire odwrócił się twarzą do wiernych. Spojrzał na Sophie, skinął jej, zrozumiałwszy przyczynę jej beczynności, a następnie przeniósł wzrok na Eugène'a Oliviera, przyglądając mu się z uwagą.

128 Łac. Dzień to gniewu, dzień co zburzy/1 w popiołach świat zanurzy,/ Jak z Sybillą Dawid wróży.

129 Łac. O, jak wielka będzie trwoga/ Gdy przed ścisłym sądem Boga/Stanie grzesznych rzesza mnoga.

130 Łac. Odgłos trąby archanioła/ Grzmiać wśród grobów dookoła /Wszystkich przed tron Boży zwoła/ Śmierć z przyrodą oniemiała,/ Ujrzy cud, gdy ludzkość cała/ Na sąd pójdzie zmartwychwstała.

– Najmilsi moi, kazania nie będzie, chociaż to wbrew zasadom. Ale wszystko, co można było powiedzieć, powiedzieliśmy dziś bez słów. Eugène Olivier, gdy już obmyjesz mi ręce, pójdę dalej bez ministranta.

– Co ksiądz chce przez to powiedzieć?!

– To, że potem możesz już iść. Po obmyciu rąk – kapłan wpatrywał się w niego uparcie.

– Ojciec Lotaire, co ojciec, niczego nie rozumie?! – cicho, żeby sklepienia wrażliwe na sakralne słowa nie podchwyciły niegodnej mowy ludzkiej, zaprotestował Eugène Olivier. – Ja nigdzie nie pójdę! Mam prawo tutaj być, powinienem umrzeć razem z Notre Dame. Jestem z rodu dziedzicznych ministrantów tej katedry.

– I dzisiaj służysz w niej do mszy świętej. Nikt nie odmawia ci twojego prawa, jednak to nie twoja kolej umierać.

– Ale ja chcę iść do komunii! – Tego chyba nie odważy się mu odmówić.

– Nie, nie jesteś jeszcze gotowy, żeby przyjąć komunię świętą. Gdyby ta msza była ostatnią na ziemi, udzieliłbym ci komunii na własną odpowiedzialność. Ale twój dług wobec tej katedry to przyjąć komunię jak należy. Niech to nastąpi w innych okolicznościach. Tak, jesteś tu ministrantem – ojciec Lotaire nie wiedzieć czemu uśmiechnął się. – Ale kapitanem statku jestem dzisiaj ja. Nakazuję opuścić pokład.

No tak, za jakieś piętnaście minut znajdzie się już w bezpiecznej odległości, pomyślała Sophie.

– A ja jestem twoim dowódcą, Léveque – wtrąciła się delikatnie. – I nakazuję ci żyć.

Wesołe iskierki igrały w czarnych oczach Sophie Sévazmiou, jasnoszare spojrzenie ojca Lotaire'a było niezłomne. Osiemnastoletniej siły Eugène'a Obviera nie wystarczyło, by kłócić się z tymi dwojgiem.

– A kto się będzie się modlił podczas mszy?¹³¹ – zapytał złamanym

131 Autorka mija się z prawdą. Tzw. prywatne Msze, bez wiernych, były normalną praktyką w czasach pomiędzy Trydentem a Vaticanum II, tj. 1563-1965. Sobór Watykański II zobowiązał kapłanów do odprawiania mszy świętej z wiernymi (przypr. red.).

głosem. – To tylko u modernistów ksiądz może odprawiać mszę bez modlących się, czy nie tak, ojciec Lotaire?

– Ja jakoś spróbuję – odpowiedziała Sophie. – Nie bardzo umiem, ale zdaje się, że najwyższy czas się nauczyć.

– I proszę, wszystko się wyjaśniło – ojciec Lotaire wrócił do ołtarza. – *Gloria tibi, Domine*¹³².

Eugène Olivier nie śledził już słów, wypadł z biegu mszy, pogrążony w urazie z powodu nieprzyjętej ofiary.

Gdzieś tam na ścianach, w słabych punktach kamieni, w elektronicznej klepsydry sypały się ziarenka czasu, jaki im pozostał.

Zwyczajne brązowe szklane buteleczki, całkiem jak z apteki (na skórzanym futeraliku jednej z nich wyciśnięte było winogrono, na drugiej rysunek zupełnie się zatarł), drżały w dłoniach Eugène'a Obviera. Woda spłynęła cienką strużką na palce ojca Lotaire.

– To wszystko, idź z Bogiem – cicho szepnęła kapłan, odwracając się do ołtarza.

Chłopak nie chce pozostać wśród żywych, pomyślała Sophie. Nic się nie stało, kolego, będziesz musiał to jakoś przeboleć. I bez ciebie wielu dziś poległo. Ale mimo wszystko dzieło zostało wykonane.

– *Orate, fratres...*¹³³.

Chwiejąc się odrobinę, powoli, jakby oczekując, że kapłan zawoła go z powrotem, Eugène Obvier szedł w kierunku drzwi. Kiedyś było tu centralne przejście między dwoma rzędami drewnianych ławek, jeszcze zanim modernista Lustiger¹³⁴ ustawił w tym miejscu podwyższenie, które z kolei zlikwidowali muzułmanie. Uzyskaną w ten sposób wolną przestrzeń wyłożyli jaskrawymi, tandetnymi kafelkami. Ale Eugène Olivier szedł nie po nich, a po kamiennej posadzce, między długimi, twardymi ławkami z prawa i lewa, w których, jak mu się zdawało, klęczą

132 Łac. Chwała Tobie, Panie.

133 Łac. Módlcie się, bracia.

134 Lustiger Jean-Marie - arcybiskup Paryża od 1981 r., kardynał [od 1983 r.j, zwolennik modernizacji i „odnowienia” Kościoła rzymskokatolickiego. W latach 90. zainicjował i wydał pozwolenie na dokonanie przebudowy Notre-Dame, naruszając starodawne wnętrza katedry na potrzeby reformowanego katolicyzmu.

teraz dziesiątki osób uczestniczących w liturgii. Wśród nich rozpoznawał znajome postaci - Patrice Léveque, z radosnym uśmiechem odwracający głowę za przechodzącym wnukiem, Antoine-Philippe Léveque, z twarzą ciężko chorego, którego dopiero co opuścił atak nieznośnego bólu, Claire-Eugenie Léveque, która straciła przy przełamaniu linii Maginota trzech synów, Genevieve Léveque, zmarła w wieku siedemnastu lat na suchoty, August-Antoine Léveque, w surducie i sztywnych kołnierzykach, który podwoił na kauczuku rodzinny kapitał, a potem jeszcze wzbogacił się na imporcie czekolady, Eugène Léveque z przypudrowanymi włosami, obrońca kaperstwa, Patrice Olivier Léveque w peruce królewskiego urzędnika.

Proszę, oto kto dziś przystępuje do komunii, Eugène Olivier spowolnił kroku.

Maleńka sterta szarych szmat, porzuconych przez kogoś w pobliżu drzwi, na moment przyciągnęła jego uwagę. Valérie! Valérie w swoich łańchmanach, leżała na podłodze bez życia. Jasne loki opadały swobodnie na ziemię. Poranione ręce rozpostarte były, jak u jakiejś lalki z porcelany. Oczywiście, można się było od razu domyślić! Jak zresztą mogłoby być inaczej, ona umarła, umarła razem z katedrą!

Przełamując swój nieodłączny strach przed dziewczynką, Eugène Olivier skierował się w jej stronę. Sam nie wiedząc dlaczego, odgarnął zakrywający twarz kosmyk włosów. Jego dłoń, jeszcze zanim dotknęła dziewczynki, wyczuła ciepło czoła. Eugène Olivier pospiesznie przypadł ku unoszącej się dziecięcej piersi, ku bijącemu sercu.

I co z nią teraz? Oddech był równy, zadziwiająco równy. Eugène Olivier ostrożnie wziął śpiącą dziewczynkę na ręce i, gwałtownie przyspieszwszy, pobiegł do drzwi. Gdyby ojciec Lotaire go nie wyгнаł, kto by wtedy wyniósł Valérie z nieuchronnego pożaru?

Nieco wystraszona jego pośpiechem, Valérie na moment otworzyła oczy. Rozmyte snem, niezadowolone spojrzenie dziecka na moment spotkało się z jego spojrzeniem. Potem powieki znów się zacisnęły, dziewczynka westchnęła, wygodniej układając głowę na jego ramieniu. Nigdy wcześniej Eugène Olivier nie widział u Valérie takiego zwykłego,

dziecięcego spojrzenia. Najzwyczajniejszy na świecie dzieciuch, mimo że okropnie umazany, spał teraz na jego rękach. Eugène Olivier drgnął.

Brudna rączka, cała w strumieniach zaschłej krwi, już nie krwawiła. Stygmat zniknął. Nie było nawet zagłębienia w tym miejscu, tylko różowa plamka świeżej skóry.

Ostrożnie, strzegąc snu tego ciężaru, Eugène Olivier łokciem i kolanem otworzył ciężkie drzwi i wyszedł na paryski jasny dzień, szaroniebieski, pełen słońca i odgłosów strzelaniny. Dzień, w którym na przekór śmierci i krwi, jak zawsze szemrały czystą wodą maleńkie uliczne fontanny. Dzień, w którym gdzieś obok była Jeanne, żywa, z całą pewnością żywa.

Minutniki równo odmierzały czas, jaki pozostał katedrze. Młody ksiądz trwał na swoich modlitwach, a stara kobieta, zgiąwszy kolana, przysłuchiwała się im, najprawdopodobniej pierwszy raz w życiu, z własnej potrzeby serca. Nie byli pewni, choć oboje zadawali sobie to pytanie, czy powinni obawiać się tego, że za kilka minut ich dusze, wyrwane z cielesnej powłoki po niewyobrażalnej, ale i krótkiej męce, wzbiją się w górę w olbrzymim tajfunie z broku i płomieni.

Koniec

Luty - październik 2004 r.
Moskwa - Paryż - Cannes - Moskwa

Od autorki

Książkę tę napisała chrześcijanka, być może kiepska, ale w każdym razie, niezupełna analfabetka. Tym też usprawiedliwić można tę surowość opinii, za którą niewątpliwie usłyszę jeszcze niemało zarzutów. Śpieszę, by wyjaśnić, że część z nich powinna zostać skierowana do Pisma Świętego: to właśnie tam powiedziano jasno i wyraźnie: chrześcijaństwo jest jedyną prawdziwą religią, a wszyscy bogowie pogan to w istocie demony. Już widzę, jakie gromy posypią się na moją głowę, jak będzie się odmieniać przez wszystkie przypadki słowo „monoteizm”. Muzułmanie nie są przecież poganami. Można by pomyśleć, że to cokolwiek zmienia.

Chętnie bym zobaczyła, jak święty Jan Złotousty albo Grzegorz Dialogos zgadzają się uznać jakąś niechrześcijańską religię za paralelną prawdę, ze względu na jej monoteistyczny charakter. Zbawiciel ujął to krótko: „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie” (Mt 12,30). Europa, w której rozgrywa się akcja mojej powieści, w minionym stuleciu pozwoliła sobie na samobójczą, w sensie światopoglądowym, polemikę z Pismem Świętym i ojcami Kościoła, stwierdzając, że wszystkie religie są siostrami, wszystkie prowadzą do zbawienia, ale każda - swoją drogą. Cudownie - powiedziały przyszywane „siostry”. Zrównaj nas ze sobą w prawach, nasza siostrzyczko, Kościele chrześcijański, pokaż nam prawa człowieka w praktyce.

Potem wszystko potoczyło się już jak w bajce o lisicy z wałkiem. Wpuść mnie za próg, wpuść mnie do sieni, wpuść mnie za stół, wpuść mnie na piec - a teraz won sama z domu, głupia gospodyni! W ubiegłym tygodniu do Moskwy przyjechał, jak powiedzieli mi znajomi katolicy-tradycjoniści, ksiądz z Niemiec. (Powieм dla jasności, że w odróżnieniu od neokatolików, katolicy tradycjoniści nie uznają

zakładanej pod świecką marynarkę koszuli z niepozorną białą koloratką.) „Jak tu u was dobrze - wdychał podczas swojego pobytu. - Chodzę sobie w sutannie po mieście, nikt na mnie nie zwraca uwagi, jeszcze do tego chcą mi miejsca w metrze ustępować! A coś takiego, żeby za mną gwizdali, pohukiwali albo specjalnie poszturchiwali w miejscach publicznych, to mi się ani razu nie zdarzyło! Normalnie jak na wakacjach". Ale być wystawionym na kopniaki i opluwanie za noszenie sutanny w dzisiejszych Niemczech jeszcze nie jest najgorsze. Niedługo przyjdzie dzień, kiedy wspomnianego księdza będą po prostu łapać i ciągać po kryminałach - w majestacie prawa - za pojawienie się na ulicy w stroju obrażającym uczucia obywateli innego wyznania.

Przewróciliśmy już stronę, na której Notre Damę wyleciała w powietrze, fantazje o przyszłości zakończone. Mówimy teraz tylko o faktach z naszych czasów. A fakty są następujące: największy brytyjski bank, Berkeley Bank, zeszłego lata zlikwidował konta Brytyjskiej Partii Narodowej, karząc ją w ten sposób uderzeniem po kieszeni, za krytykę islamu. Wiadomo, że tak naprawdę chodzi nie o „konstruktywną krytykę rasistowskiej ideologii”, jak skomentowali to wydarzenie sami muzułmanie.

Oriana Fallaci niejednokrotnie już pytała: a co ma do krytykowania islamu rasizm? Islam to nie narodowość, tylko religia. Zdaje się, że nikt jej słów nie słyszy, powtarza się jedynie słowo „rasizm” jak magiczne zaklęcie. A przecież to, że islam nie jest narodowością, jest chyba aż nazbyt widoczne. W tym miejscu nie sposób nie zauważyć zadziwiającej ślepoty władz izraelskich, zajmujących się wydalaniem ze swojego terytorium prawosławnych Arabów. To jest dopiero rasizm! Przy czym krótkowzroczny i tępy.

Nie trzeba być szczególnie przyziemnym, by zauważyć, że banki interesuje nie etyka, a zysk. Ergo - muzułmanie w Wielkiej Brytanii mają o wiele więcej pieniędzy niż Brytyjska Partia Narodowa. Klócić się z pierwszymi jest niewygodnie, z drugimi - a proszę bardzo, można. Kto więc rządzi w Wielkiej Brytanii? W tym samym czasie w Niemczech muzułmanie żądają przyznania statusu prawnego Szurze - radzie

wspólnot islamskich w Nadrenii-Palatynacie, czyli usankcjonowania prymatu religijnego sądownictwa nad świeckim.

I kto rządzi w Niemczech?

Lisica z wałkiem już siedzi na europejskim piecu, pozostał już tylko jeden ruch w grze - zabieraj się z domu sama, głupia gospodyni!

A nasza chrześcijańska cywilizacja w dzisiejszych czasach głupieje. Głównie dlatego, że wbiła sobie do swej zbyt dobrotliwej głowy idee demokratyczne. Niewątpliwie, przyroda nie znosi próżni. Jeśli jedna świętość się dewaluuje, jej miejsce zajmuje inna. Islam to kukułcze jajo w europejskim gnieździe, które z dnia na dzień rośnie w siłę i niedługo się wykluje. Od zakazu akcentowania przynależności do chrześcijaństwa jest już tylko jeden krok do ogłoszenia dominującej roli islamu.

Moja książka opowiada o starciu cywilizacji, którego przykłady zaczerpnięte zostały z dzisiejszych czasów i zostały jedynie projektowane na przyszłość. Bardzo ważne jest, by mówiąc o konflikcie chrześcijańskiej i muzułmańskiej cywilizacji, zdawać sobie sprawę, że kwestia ta dotyczy nie tylko wierzących chrześcijan. Oriana Fallaci, określająca się jako ateistka, przypomina, że wszyscy Europejczycy, niezależnie od wiary w Boga, są spadkobiercami osiągnięć chrześcijańskiej cywilizacji. Architektura, malarstwo, literatura, nauka, wszystko, czym przyzwyczailiśmy się dysponować - wszystko to narodziło się w łonie chrześcijaństwa. I właśnie tę naszą spuściznę próbuje się teraz usunąć. W tekście konstytucji Zjednoczonej Europy zostanie wykluczona wzmianka o chrześcijańskich korzeniach kontynentu. Tymczasem europejska cywilizacja umrze, jeśli odetnie się ją od tych korzeni¹³⁵.

Ateiści uważają, że jeśliby zeszkrobać z Europy eklezjalne ozdoby to spokojnie przeżyją, myśląc i tworząc na podstawie dawnego dorobku

135 Autorka nie знаła jeszcze tego rozstrzygnięcia, pisząc swoją książkę. Dziś już wiadomo, że spór pomiędzy chrześcijanami a wojującymi ateistami o kształt preambuły do konstytucji przyniósł w 2004 r. jedynie tzw. zgniły kompromis. Duchowe korzenie współczesnej Europy wywiedziono ostatecznie z „tradycji humanistycznej i religijnej” bez precyzowania światopoglądowego modelu (przyp. red.).

kultury chrześcijańskiej.

Nadchodzący konflikt cywilizacji to jednak coś więcej niż tylko konflikt wiary chrześcijańskiej z islamem. Właśnie z tego akurat nie zdają sobie sprawy ateści. Kiedy człowiek zaczyna postrzegać katedrę jako zabytek architektoniczny, traci gotowość, by za nią umrzeć. W rezultacie traci wówczas i zabytek architektury. Samotna postać Oriany Fallaci to wyjątek od zasady. To właśnie ona pierwsza nie bała się zadeklarować, że umarłaby za katedrę, za ten skarb architektury, ale ludzi jej podobnych można by policzyć na palcach jednej ręki. Rachunek rozpoczyna się i kończy na słowie „raz”.

Niczego nie obronimy bez wiary w Chrystusa, absolutnie niczego. Dlatego też jeden z bardzo niewielu rozsądnych ludzi, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Kultury, francuski kardynał Paul Poupard, występując przeciwko wspomnianemu odrzuceniu chrześcijańskich korzeni naszej cywilizacji i zasług chrześcijaństwa dla rozwoju kultury, powiedział: „To o wiele więcej niż zwykły antyklerykalizm, to próba zniszczenia świadectwa wiary chrześcijańskiej”. W wywiadzie udzielonym gazecie „Avenir” kardynał przewiduje, że w XXI wieku wielu chrześcijan znów poniesie męczeństwo za swoją wiarę. Kardynał, zdaje się, jest wielkim optymistą, zakłada, że w XXI wieku będą jeszcze chrześcijanie, do tego prawdziwi, zdolni do przyjęcia męczeńskiej śmierci. Och, jego słowa to doprawdy miód na serce.

Ale czemuż to piszę o Europie, skoro jestem z Rosji? Rosja należy do kręgu kultury europejskiej z bardzo prostego powodu - z powodu tychże chrześcijańskich korzeni. Dopóki nie zostaną one od nas odcięte, będziemy także należeć do Europy.

U nas wszystko wygląda inaczej, póki co odrobinę lepiej. U nas lisica wciąż jeszcze siedzi tylko w sieni. Już słyszę chór głosów: jakże to tak?! Muzułmanie napłynęli do Europy w XX wieku z zewnątrz, ale w Rosji za to przez stulecia sąsiedowali z chrześcijanami. Czy przypadkiem nie chcę ogłaszać rosyjskich muzulmanów obywatelami drugiej kategorii?

Nie, nie chcę. Chcę zrozumienia różnic między świeckim prawem a religijnym nauczaniem. I uważam, że drugie w żadnym wypadku nie

powinno być zakazywane przez pierwsze, powinniśmy się czegoś nauczyć na błędach Europy Zachodniej.

Ani w Europie, ani u nas muzułmanie zasadniczo nie uważają, że nasza i ich religia są jednakowo prawdziwe. Dla ideologów i ich ekstremizmu wygodne jest, abyśmy uważali ich za braci, podczas gdy oni uważają nas za kafirów, żebyśmy milczeli, podczas gdy oni głoszą swoje nauki.

Absolutnie nie twierdzę, że wśród muzułmanów nie ma wielu, wręcz bardzo wielu dobrych, porządných ludzi. Odwołajmy się jednak do elementarnej logiki. Co jest bardziej rozumne: przyznać, że dobry człowiek błądzi, czy uznać błąd za prawdę dlatego, że wyznaje go dobry człowiek?

Jeśli to drugie, to bądźmy już konsekwentni. Nazwijmy towarzysza Dżugaszwili¹³⁶ moralnym wzorem i geniuszem wszech czasów (a co, może nie tak właśnie myślały setki tysięcy dobrych ludzi?), Parteigenosse Adolfa Schickelgrubera¹³⁷ ogłośmy wybitnym synem niemieckiego narodu (przecież takie talenty, jak Leni Riefenstahl albo autor *Kobiety bez cienia*, za takiego go uważali)¹³⁸. Jeśli zwolennicy drugiej opcji gotowi są i na to, zamilknę. Jeśli się na to nie godzą, to prawdziwa jest pierwsza droga.

Dla mnie osobiście granica jest prosta - nie było dobrych czekistów, nie było dobrych budionowców, nie było dobrych esesmanów, nie było dobrych pracowników obozów koncentracyjnych po obu stronach frontu - jako że błędy wyżej wymienionych łączą się z krwią i bestialstwem¹³⁹. Ale były przecież wielkie masy ludzi uznające te błędy za niewzruszoną prawdę, choć nie pieczętowali tego niewinną krwią ofiar. Nie upieram się, że nie można im niczego zarzucić, ale przecież człowiek, który nie brodzi w krwi bliźnich dla dogodzenia diabłu, może

136 Stalina (przyp. red.).

137 Hitlera (przyp. red.).

138 Leni Riefenstahl - nazistowska reżyserka, autorka nakręconych ze znanstwem i talentem filmów gloryfikujących Hitlera i jego reżim (przyp. red.).

139 Budionowcy - żołdacy Armii Konnej Siemiona Budionnego, którzy w czasie wojny polsko-bolszewickiej po bandycku pustoszyli Polskę i Ukrainę (przyp. red.).

być o wiele lepszy niż jego własne poglądy. Do tej kategorii odnoszę miliony dzisiejszych muzułmanów. Oni również nie są wzorem niewinności, płacą zekat, karmią terroryzm, choć sami nie są mordercami.

Co bym radziła, z mojej ekstremistycznej ambony, robić z takimi ludźmi? Tylko jedno - starać się wyprowadzić ich z błędu, który grozi zatraceniem dusz tych dobrych ludzi. Chór liberałów zawoła: a kim ty jesteś, żeby stwierdzać, czyje poglądy są prawdziwe, a czyje - błędne?! Czy przedstawiam tu jednak własne zdanie? To wspólne zdanie świętych ojców, a ja nie mam tu nic do rzeczy¹⁴⁰.

Proponuję pozbawić liberalizm głosu - przegrał już z islamem przyszłość Europy, przerznął do cna, jak podpity nuworysz trwoniący swój majątek w kasynie. Wróćmy lepiej do pilnego pytania: co robić w stosunku do muzułmanów - niebojowników, nieterrorystów, nietalibów.

Odpowiedź sprowadza się do jednego słowa - ewangelizować!

Powinniśmy w pokojowy sposób żyć z przestrzegającymi prawa muzułmanami w historycznie ukształtowanych terytoriach, powinniśmy w końcu zacząć naprawiać błędy i wypaczenia imperium sowieckiego i rosyjskiego, odziedziczone po Imperium Rzymskim.

Ale jak długo będziemy się jeszcze guzdrać z przygotowaniami choćby tylko do zrozumienia niezbędności takich działań, podczas gdy druga strona, którą reprezentują bynajmniej nie ci „dobrzy” muzułmanie, prowadzi już swoją grę na całego, tyle że w przeciwnym kierunku. Zakładają oni specjalne organizacje zajmujące się nawracaniem Rosjan na islam. Wiele wpływowych postaci mediów są zakonspirowanymi członkami tych organizacji, o czym z porażającą otwartością powiedział generał Dżemal w wywiadzie, o którym wspomnę za chwilę. A to

140 To, że religia islamska do zbawienia i życia wiecznego nikogo nie doprowadzi, stwierdza nade wszystko sam Nowy Testament. Tylko żywa wiara w Jezusa Chrystusa może dać człowiekowi zbawienie. Mahomet nie umarł za grzeszników, nie był też Synem Bożym. Co zatem może zdziałać wobec przemożnej siły grzechu i śmierci? (przyp. red.).

oznacza, że pozostając z pozoru Rosjanami, działają jakby sami z potrzeby swego serca, a w rzeczywistości - w interesach islamskiego prozelityzmu. A owoce ich działalności widoczne są coraz częściej i tu, i tam.

Jak, na przykład, wyjaśnić, że poważne wydawnictwo wydaje już trzecią książkę pewnego literata, w której zupełnie otwarcie reklamuje islamski terrorizm. W jednym z epizodów bohaterowie pozytywni, Arabowie i rosyjscy muzułmanie, biorą zakładników. Aby naocznie zademonstrować młodszemu towarzyszkowi brak poczucia własnej godności u kafirów, herszci zaczynają na wszelkie sposoby natrzęcać się nad zakładnikami, w tym sikają im na twarz. Zasmuceni faktem, że zakładnicy naprawdę są tak nikczemni - nie rzucają się, patrzcie no, z gołymi rękami na uzbrojonych bandytów, młody terrorysta zaczyna strzelać do nich ze swojego automatu.

Okropnie przykro jest dowiedzieć się, w miesiąc po wydarzeniach w Biesłanie, że takie książki są do kupienia w księgarniach naszych miast. Ściśle mówiąc, trzy części już leżą, kolejna, czwarta, lada dzień się ukáže. A najgorsze jest to, że te „dzieła” zalicza się do gatunku „fantasy”. Główny odbiorca tego gatunku to podrostek. Jego osobowość nie jest jeszcze uformowana, jest podatny na pokusę, kiedy ktoś odrobinę starszy próbuje mu wpoić, że to wcale nie paskudnie, a wręcz „zajebiście” jest stać z automatem w rękach i patrzeć, jak kurczą się ze strachu bezbronni ludzie.

Nie podaję ani nazwiska autora tego obrzydlistwa, ani stopki wydawniczej [jeśli zostaną mi przez to postawione zarzuty, oczywiście przedstawię fakty na poparcie swoich słów}. Wspomniana saga, z powodu swojej miernoty artystycznej, nie narobiła szumu, wbrew nadziejom tych, którzy je forsowali. Nie ma po co robić jej znów reklamy. Ale przecież następnym razem może pojawić się ktoś bardziej utalentowany. Islam nie może nie atakować, dlatego że bardzo potrzebuje nam coś odebrać. Pozwolę sobie na niewielką dygresję, żeby wyjaśnić, o co chodzi.

Być może ktoś uzna za oszczerstwo malowany przeze mnie obraz

technicznego zacofania nadchodzącej Eurabii. W odpowiedzi wspomnę o tym, jak moi przyjaciele ze szkolnej ławy, którzy przeżyli Afganistan, też mi niegdyś coś malowali. Taki, na przykład, obrazek z afgańskiego życia: Rolnik idzie za pługiem, orze skąpą ziemię. Budowa tego pługa raczej niewiele się zmieniła, od kiedy ludzkość nauczyła się wytapiać metale. Za to na jego uchwycie wisi radio tranzystorowe. Ma się rozumieć po to, żeby oraczowi się nie nudziło przy robocie.

Zaczynam się obecnie skłaniać ku temu, że w tym tranzystorku na ubogim drewnianym narzędziu kryje się głęboki, ogólny symbol. Symbol islamskiej cywilizacji. Cywilizacji księżycowej, cywilizacji bezpłodnej, cywilizacji pasożytniczej.

Co zabawne, w rzeczywistości z moimi prognozami zgadzają się nawet sami muzułmanie. Tak, na przykład, generał Gajdar Dżemal, który nie zadaje sobie nawet trudu, by ukryć swoje nadzieje na totalną islamizację Rosji, obwieszcza: „Jeden z głównych problemów współczesności dla islamu to dość wyraźne odstawanie od reszty świata w sferze technologicznej i socjalno-ekonomicznej. Dystans ten, moim zdaniem, można pokonać dzięki dwóm czynnikom: po pierwsze, dzięki zachodnim muzułmańskim diasporom, których przedstawiciele żyją we współczesnym socjalnym i technologicznym otoczeniu i w znacznym stopniu je przejęli, a po drugie, dzięki przechodzącym na islam ludziom, należącym do narodów niebędących tradycyjnie muzułmańskimi. To oni mogą stać się pomostem, który połączy technologiczne osiągnięcia Zachodu z duchowością muzułmańskiego Wschodu” (Portal „Credo” 04.09.2004 r.). Taka otwartość to w rzeczywistości nie byle co. Jeśli ktoś nie zrozumiał, ujmijmy to dobitniej: generał Dżemal chce ubogacić naszą bombę ichnią duchowością.

Zamierza to zrobić, opierając się na piątej kolumnie, która już mu tego wsparcia udziela. Uran wzbogacony islamską duchowością będzie chyba bardziej radioaktywny od zwykłego wzbogaconego uranu.

Podsumowując: nasza jedyna praktyczna nadzieja na przeżycie rysuje się akurat w obronie cywilizacji - antypodów.

Przegamy, jeśli nie uznamy, że dwie cywilizacje i dwie religie są w

głębokim konflikcie. Trudna i straszna jest ta konstatacja. Jest to jednak konieczne. Jeśli nawet wśród samych muzułmanów słyhać głosy niepokoju o to, jak wyjaśnić światu, że jeśli nawet nie wszyscy muzułmanie są terrorystami, to wszyscy terroryści są muzułmanami? (Nawet bez próby zwalania części problemu na mikroskopijne lokalne grupy Basków i Irlandczyków.) Sami muzułmanie mają problem z odpowiedzią na to pytanie. Powinniśmy powiedzieć: problem terroryzmu sto lat temu był problemem życia bez Boga, ale problem terroryzmu dziś to problem życia z fałszywym bogiem. Tymczasem my na łamach gazet bierzemy w cudzysłów słowo „szachidki”¹⁴¹. Kto wyjaśni, czym różnią się od nich szachidki bez cudzysłowu? Moim zdaniem, jeśli dzisiejsze szachidki są fałszywe, to niech nas Bóg broni od prawdziwych!

Podczas gdy świat muzułmański dyskutuje - szanse na to, że uczciwie, są pół na pół - o tym, czy Allahowi podoba się zabijanie dzieci, ja miałam ogromną ochotę napisać książkę, jednoczącą chrześcijan. Być może dobrze, że teraz myśl o takiej książce przyszła do głowy właśnie mnie, człowiekowi od dawna jasno zadeklarowanemu w literaturze i publicystyce jako nieprzejednany przeciwnik protestantów i neokatolików, wróg porozłamowych dogmatów tradycyjnego katolicyzmu. Również na stronach tej książki ze smutkiem rozmyślałam o błędach katolicyzmu, które w dużym stopniu przyczyniły się do dzisiejszego żalosego stanu Europy. Ale w tej książce ja, jak moja Sophie, jadę „na jednym wózku z katolikami”. Problemami wewnątrz chrześcijaństwa można zająć się później, byleby tylko w pokojowy sposób odeprzeć islamską ekspansję. Panie, oby było nam dane to „później”!

Jeszcze coś o dopuszczalnym i niedopuszczalnym. Niemało kopii skruszono w procesie tworzenia tej powieści wśród przeżywających to przyjaciół, z powodu wybryków mojej małej Valérie. Wielu mi mówiło - lepiej to złagodzić, jakoś tak brzydko, że mówi o nich „zadki”, lepiej,

141 Szachidki - terrorystki samobójczynie, cudowna broń dżihadu. Wg propagandy islamskiej są oblubienicami Allacha.

żeby krytykowała istotę islamu, a nie to, jak z boku wygląda akt namazu, jakoś to nie przystoi. Nie wolno stawać w jednym szeregu z jakimiś aparatczykami, którzy nie takie rzeczy pisali o Cerkwi prawosławnej w swoich książkach. Bardzo nie chciałabym stawać z nimi w jednym szeregu, ale nie będę niczego łagodzić, po prostu postaram się wyjaśnić.

Valérie to nie odbiornik radiowy dla przekazywania głosu z góry. Wszystko, co dane jest jej słyszeć, przebija się przez jej świadomość - świadomość małego dziecka. Dorośli jurodwi¹⁴² bardzo często rzucali mięsem. Ale przecież dla dziecka słowa oznaczające genitalia i stosunek płciowy nic nie znaczą. Złe słowa w dziecięcym postrzeganiu to wszystko, co związane jest z ubikacją: produkt naturalnego wydalania organizmu albo narządy, które w tym uczestniczą. Dziecko może przeklinać tylko słowami, które to nazywają, bo to rozumie.

A Valérie przeklina. Zapytajcie pierwszego lepszego psychologa: jak zachowuje się dziecko, które rozpaczliwie i bezskutecznie pragnie zwrócić uwagę dorosłych? Jeden z najczęstszych wariantów: ach, nie zauważacie mnie, to będę się źle zachowywać. Mówić brzydkie słowa. „Zadek” to najgorsze, co Valérie potrafi powiedzieć, i już ona idzie na całość. Jurodwi zawsze idą na całość, a Valérie to przejaw fenomenu jurodistwa, wyrażony z czysto dziecięcą rozpaczą.

Proszę państwa, nie zmuszajcie malutkiej Valérie, aby była poprawna politycznie. Inaczej rozzłości się i jeszcze was wyzwie od jakichś „gnojów”. Za dawnych czasów ludzie bali się ściągnąć na siebie gniew jurodiwego. Nie tykajcie jej.

Nie mogę tu nie wspomnieć i o innej dziewczynce, o tej, która w pewnym stopniu posłużyła za prototyp Soni. Nie udało mi się sprawić, by ten prototyp stał się nierozpoznawalny, choć bliscy przyjaciele

¹⁴² Jurodiwy (gr. móros, syr. Jdiaćau), także saloita - święty, szaleniec Chrystusowy. Jeden ze wzorów świętości dawnej Rosji (obok strastoterpców, starców i pielgrzymów]. Staroruski termin pochodzi od słowa po,ąb, czyli „poroniony płód”, nawiązując do Pawłowego określenia (1 Kor 15,8). Inne znaczenia słowa to: coś nienaturalnego, zniekształconego, zdeformowanego, obcego i niezrozumiałego (wg Wikipedii).

naciskali, że trzeba zmienić rodzaj okaleczenia, narodowość, jeszcze coś tam pozmienić. Nie chciałabym przecież upodobnić się do Edwarda Topola, który jak hiena zdobywał gorący materiał wśród odchodzących od zmysłów ludzi wprost pod oknami szpitala po Nord-Oście. (Czasopismo „Panorama czytającej Rosji” 2003 r.]. Wywiad z pisarzem z okazji wydania książki *Powieść o miłości i terrorze*. Trudno nawet zrozumieć, co dominuje: cynizm czy zwalająca z nóg moralna nieodpowiedzialność. Topol mówi: „Bardziej zajmował mnie wątek ludzki niż polityczny. Głównym wątkiem powieści jest miłość rosyjsko-amerykańskiej pary. Znaczące miejsce zajmuje również historia miłości samego Mowsara Barajewa do rosyjskiej dziewczyny”. Pięknie. Taki watażka przyszedł zabijać spokojnych ludzi, a pisarz Topol stawia jemu i jego ofiarom wspólny pomnik. I nawet nie podejrzewa, że jest w tym coś obrazoburczego. Dalej, nawiasem mówiąc, potwierdza też, że terroryści „to również do pewnego stopnia zakładnicy” okoliczności. Ciekawe, czy starczyłoby mu tupetu, żeby coś podobnego powtórzyć i po Biesłanie?). Ludzka tragedia to nie jest powód do zajmowania się ćwiczeniami literackimi.

Niestety, w pewnym stopniu to mimo wszystko powód. Nie wymyśliłam tego specjalnie, ale obraz dwunastoletniej dziewczynki z twarzą czterdziestoletniej kobiety przez kilka lat majaczył mi gdzieś w duszy, dopóki nie zmienił się w literacki obraz Soni.

Mam nadzieję, i wierzę w to, że prawdziwa dziewczynka w niczym nie powtórzy losu mojej Sophie, że będzie szczęśliwa, że będzie mieć dzieci, że z każdym przeżyтым dniem będzie coraz spokojniejsza i bardziej szczęśliwa. Mam nadzieję, że nie wpadnie jej w ręce ta książka.

Czas postawić kropkę. Wszystkiego nie da się powiedzieć. Przystępując do pracy nad tą książką, nie wyobrażałam sobie nawet, że lawina strasznych faktów zasypie mnie po uszy, że będę tak rozpaczliwie wrywać się na powietrze, walcząc słabym orężem fabuły. Oby nie przyszło nam jednak nigdy ginąć w katedrze Notre Dame.

Elena Czudinova
październik 2004

Paryż, rok 2048. W opanowanej przez islam Europie panuje prawo szariat, a ulice patrolowane są przez policję religijną. Nowa rzeczywistość dzieli ludzi, rodziny i przyjaciół. Gdy jedni wybierają dostatnie życie kolaborantów, inni usiłują zachować resztki godności i wolności, choćby za cenę nędzy i prześladowań. Ostatni chrześcijanie zostają zepchnięci do getta i pozbawieni wszelkich praw.

Nierówną walkę z islamistami podejmują jedynie członkowie Ruchu Oporu, prowadząc krwawą partyzantkę. Jednym z nich jest osiemnastoletni Eugène Olivier, potomek rodu Léveque, którego przedstawiciele z pokolenia na pokolenie sprawowali godność ministrantów w katedrze Notre-Dame (obecnie meczet Al-Frankoni). Wraz z ojcem Lotaire – duchowym przywódcą paryskich katakumbników oraz tajemniczą Sophie Sévazmiou, bierze on udział w desperackiej walce przeciw dominującemu systemowi religijno-cywilizacyjnemu, w sytuacji gdy muzułmańskie władze planują „ostateczne rozwiązanie kwestii chrześcijańskiej”.



WYDAWNICTWO
VARSOVIA
WARSZAWA

Patronat medialny:



Cena 39 zł

ISBN: 978-83-61463-03-0



9 788361 463030